

KATARZYNA

# BONDA

HUBERT MEYER  
PSYCHOLOG ŚLEDZCY

Zimna sprawa

**SERIA KRYMINALNA  
Z HUBERTEM MEYEREM**

*Sprawa Niny Frank*

*Tylko martwi nie kłamią*

*Florystka*

*Nikt nie musi wiedzieć*

*Klatka dla niewinnych*

*Balwierz*

KATARZYNA  
**BONDA**

Zimna sprawa



— ✓  
MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redaktor prowadzący: *Mariola Hajnus*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Monika Łobodzińska-Pietruś, Beata Kozieł*

Fotografie na okładce:

© Yupa Watchanakit/Dreamstime.com

© Evgeniya Litovchenko/Shutterstock

© by Katarzyna Bonda

All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2022

ISBN 978-83-287-2027-5

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

*Aby określić, co jest prawdopodobne,  
należy wiedzieć, co jest prawdą.*

J.P. SARTRE, *Problem bytu i nicości. Egzystencjalizm jest humanizmem*, przeł. M. Kowalska, J. Krajewski,  
Warszawa 2001

*Cold case* – niewyjaśniony przypadek morderstwa. W Polsce w takiej sytuacji w aktach sprawy pojawia się adnotacja: sprawa niewyjaśniona-zakończona.

Dla Wolfa-Motyła  
oraz wszystkich wielbicieli kotów



## Spis treści

ROZDZIAŁ 1 SIŁA

ROZDZIAŁ 2 DOSTATEK

ROZDZIAŁ 3 NORMALNE DZIAŁANIE

ROZDZIAŁ 4 SYTUACJA AWARYJNA

ROZDZIAŁ 5 NIEBEZPIECZEŃSTWO

ROZDZIAŁ 6 NIEISTNIENIE

ROZDZIAŁ 7 WĄTPIENIE

ROZDZIAŁ 8 WROGOŚĆ

ROZDZIAŁ 9 ZDRADA

EPILOG DEZORIENTACJA

# ROZDZIAŁ 1

## SIŁA

**28 września wieczorem (wtorek)**

**BERLIN**

Klara wjechała do garażu, wygasła silnik i jeszcze długo siedziała w samochodzie, by zastanowić się, czy jej plan zadziała. Izaak, jej były mąż, skutecznie potrafił wyprowadzić ją z równowagi – choćby sam nie pojawił się w sądzie, a jego adwokat udawał najmilszego człowieka na świecie. Tym razem nie chodziło o naprzemienną opiekę nad córkami ani nawet używanie języka polskiego podczas widzeń w Jugendamtach. Klara dawno zrozumiała, że Izaakowi nie zależy na dzieciach, lecz na gnębieniu jej. No i pieniądzach.

Dlaczego kiedy ludzie zakochują się w sobie, obiecują różne rzeczy, idą na ustępstwa i wychodzą ze skóry, by ta druga osoba była szczęśliwa, a gdy dochodzi do rozwodu, wszystko rozbija się o majątek ruchomy i nieruchomy? – myślała.

Dotknęła naszyjnika z trzech zawieszonych na złotym łańcuszku szlifowanych karneoli wielkości ziarenek grochu i od razu poczuła się lepiej. Sięgnęła do skrytki po owsiany batonik. Zjadła go w dwóch kęsach, choć właściwie nie czuła smaku. Poprawiła podwójnym knoppersem i dopiero po przyjęciu dawki cukru spakowała torbę z zakupami. Pozbierała dokumenty, włożyła je do aktówki. Wsiadła z auta, nie trując się zamykaniem go.

Izaak miał obsesję bezpieczeństwa. Wiedziała, że garaż jest monitorowany i może nawet teraz były mąż ogląda nagranie. Spojrzała w oko kamery, uśmiechnęła się. Nie wiesz, czego dziś dokonałam, zwróciła się do niego w myślach. Zrobiłam cię na szaro, ale dowiesz się we właściwym czasie. Kiedy ja zdecyduję.

Zamarzyła o lemoniadzie, którą miała w lodówce, i ciastkach z mango, kupionych na taką właśnie okoliczność. Ruszyła po schodach do domu.

Szpilkę zostawiła przy drzwiach. Płaszcz rzuciła na fotel biedermeier. A potem stąpając na bosaka, weszła do gabinetu, by włożyć do segregatora umowę przedwstępną sprzedaży domu po rodzicach na poznańskim Sołczu. Otworzyła szafę, wyjęła właściwą przegródkę i już czuła w ustach smak lemoniady oraz mango, kiedy między książkami zobaczyła coś, czego rano, zanim wyszła z domu, z pewnością tutaj nie było.

Podeszła bliżej, nie dowierzając, że to, co widzi, jest realne. Zbierało jej się na wymioty, gardło wyschło momentalnie. Nie miała odwagi sięgnąć po zdjęcie, które siedem lat temu oddawała do zakładu pogrzebowego, by zrobili odbitkę na porcelanie. Tata był na nim jak żywy: z sumiastym wąsem i szerokim uśmiechem bohatera domu. Obok leżało to coś.

Gdzieś w głębi serca liczyła, że to atrapa – po prostu córki zrobiły jej psikusa. Ale śmierzdziało, wyglądało ohydnie. Brunatna ciecz skapywała po książkach, a Klara wiedziała, że jej dziewczynki nie są zdolne do takiej maskarady. Pomyślała, że to sprawa Izaaka. Wkurzyła się. Zapalała gniewem. Znów sięgnęła do naszyjnika. Tym razem bezskutecznie. Zdawało się jej jedynie, że miejsce, w którym karneol dotykał jej skóry, pali żywym ogniem. Zerwała ozdobę z szyi, schowała do kieszeni. Wtedy spostrzegła błysk rodzowego sygnetu. Ten herb rozpoznałaby na końcu świata. Na karku poczuła mrowienie przerażenia i aż podskoczyła, kiedy dobiegł ją głos Ewy, najstarszej córki:

– Mamo, znów nie ma tostowego!

Drzwi otworzyły się z impetem i do gabinetu wpadła zagniewana nastolatka. Włosy miała ufarbowane na niebiesko, choć Klara mogłaby przysiąc, że jeszcze wczoraj były fioletowe. Z uszu zwisały jej trupe czaszki, a oba łuki brwiowe zasłaniał metal. Ale nawet kółko w nosie nie było

w stanie oszpecić dziewczyny, która była jak skórę zdjąć z niej samej za młodu. Matce na widok Ewy nieodmiennie zapierało dech w piersiach, bo zdawało się jej, że przegląda się w zwierciadle przeszłości. Ach, ileż to razy modliła się, by Ewa miała więcej rozumu niż ona sama w tym wieku. Na szczęście dziewczyna spotykała się z równolatkiem.

– Roksana i Ulke zrobiły z niego kule! – pokrzykiwała. – Chleb wala się po całym domu, a Bora szaleje na ganku z jakąś padliną w pysku. Dłużej tego nie wytrzymam! Musisz je rozdzielić! Ja zajmuję pokój taty – zakończyła.

– Dobrze. – Klara nie wiedziała, skąd w jej głosie pojawił się spokój.

Starła się nie mrugać, kiedy podchodziła do półki, by nakryć makabryczne znalezisko chustą, którą zerwała z szyi. A potem odwróciła się, dodatkowo zasłaniając widok swoim ciałem, i dodała najładniej:

– Kupiłam więcej pieczywa. Chipsy dla maluchów, monstery i piwo imbirowe dla ciebie. – Objęła Ewę ramieniem i pocałowała w sam czubek kobaltowej głowy. – Zaraz wszystko ogarniemy.

Przerwał jej krzyk najmłodszej, Roksany, a potem synchronicznie rozległy się głosy pozostałych pięciu dziewcząt. Klara nie zastanawiała się dłużej. Chwyliła najstarszą córkę za ramię, siłą wyciągnęła z pomieszczenia. Zatrzasnęła drzwi. Przekreśliła klucz pod klamką i wcisnęła go do kieszeni płaszcza. Wybiegły na zapuszczony trawnik przed posesją. Dziewczynki stały w szeregu nieme, jakby z nagła zgłuszone. W słusznym oddaleniu przyglądały się zabawie ich czekoladowej labradorki, która hasała po trawie, podrzucając i łapiąc kawał nadgniętego mięsa.

Klara zbliżyła się do psa, by wyjąć mu zdobycz z pyska, ale zamarła w bezruchu, a potem bojaźliwie cofnęła się aż na podjazd. Rozwarła ramiona jak do lotu i oplotła nimi wszystkie córki, jakby instynktownie pragnęła je ochronić, niczym kura pisklęta, gdy do kurnika zagląda lis.

Wokół ogrodzenia zaczęli przystawać zaciekawieni przechodnie.

– Pomóc, pani Haselhof? – krzyknął sąsiad z naprzeciwka i już trzasnął furtą, by wesprzeć Klarę w ujarzmianiu brytana. – Co ta Bora dziś upolowała?

– To chyba ludzka ręka – szepnęła kobieta. – Pan wezwie policję, panie Jakubik. W gabinecie jest druga.

Z trudem hamowała się przed rozciągnięciem ust w triumfalnym uśmiechu.

– Chyba wiem, do kogo mógł należeć ten komplet.

\* \* \*

## **Dzień wcześniej, 27 września (poniedziałek)**

### **WARSZAWA**

Tym, którzy przetrwali, nieuchronnie towarzyszy poczucie winy. Nie ulgi, nie wdzięczności. Z całą pewnością nie spokój. Pytają siebie: dlaczego przeżyłem? Dlaczego tamci zginęli, a mnie ocalono? W przypadku Huberta Meyera dochodził ciężar odpowiedzialności za to, że do strzelaniny w Narwi doszło. To profiler uciszył niewygodnego świadka w procesie Sroki, a potem zawarł pakt z Kołomyjskim. Osobiście i z rozmysłem preparował dokumenty, by chronić przyjaciela, i to jego powinien osiągnąć odwet bandytów. Ale za uczynki Huberta zapłaciła prokurator Weronika Rudy. Cenę najwyższą. To tak, jakby sam wymierzył do niej z broni i nacisnął spust. Wera nie żyje przez niego.

Uważali tak wszyscy, włącznie z nim samym.

Jej mężowi, ministrowi Czajkowskiemu, wylewnie okazywano współczucie. Meyera omijano na korytarzach bez słowa. Kiedy pojawiał się w biurze, ludzie zniżali głos lub ostentacyjnie wychodzili. Starczył byle pretekst, a czasem i on nie był konieczny. Nikt nie pojmował, jakim cudem skompromitowany Ślągacz otrzymał nominację na lukratywne stanowisko szefa pionierskiego Wydziału Wsparcia Dochodzeń.

Meyer radził sobie, jak umiał: pogrążając się w pracy. Przychodził do biura pierwszy, wychodził ostatni. W wynajmowanym mieszkaniu nic na niego nie czekało. Od śmierci Wery nie wziął alkoholu do ust. Przez kilka dni próbował nie palić, ale brak nikotyny doprowadzał go do furii, więc kiedy kupił

sobie paczkę, opróżnił ją w ciągu jednego wieczoru. Nie spał, nie jadł. Papierosy zastępowały mu pożywienie, bo przez kilka pierwszych tygodni po śmierci Werki nie był w stanie przełknąć niczego w postaci stałej. Schudł tak bardzo, że wyglądał jak ofiara obozu koncentracyjnego albo człowiek w ostatnim stadium nowotworu, więc asystentka na polecenie ministra zamówiła mu dietę pudełkową i pilnowała, czy Hubert opróżnia przynajmniej pojemnik z obiadem. Początkowo oszukiwał ją – jadł, a potem wymiotował, ale wkrótce zauważył, że w parku naprzeciwko mieszkają bezpieczne koty. Wychodził tam palić i karmił je paella albo naleśnikami z awokado, myśląc przy tym, że tak naprawdę nie pragnie odkupienia, lecz śmierci.

Dzisiejsza noc była wyjątkowo łaskawa. Zdrzemnął się całe cztery godziny. Ze snu jak zwykle wyrwał go ten sam koszmar: konająca mu na rękach Wera i wszechobecny zapach mięty. Tak, wrócił mu węch. Anosmia, którą szczycił się do niedawna, tak przydatna w pracy kryminalnego, nie była już jego udziałem. A skoro został ponownie powołany do służby, będzie czuł na miejscach zdarzeń to samo, co każdy funkcjonariusz. A pewnie nawet więcej. Otaczające zapachy drażniły go i zwykle wieczorem kończyło się atakiem migreny. Słyszał każdy szmer. Bolało go wręcz fizycznie, kiedy ludzie zanadto się do niego zbliżali. Jakby brak snu, niedożywienie, stres i poczucie winy wyostrzyły jego zmysły niczym u gończego psa. Poza wzrokiem, bo ten zaczął szwankować. Któregoś razu przebudził się jak zwykle w środku nocy i spostrzegł, że cyferblat budzika na nocnej szafce jest niewyraźny. Wyciągnął dłoń i podesunął zegar pod sam nos, by odczytać godzinę. Okulista potwierdził, że to zdarza się po traumie, a Hubert przypomniał sobie, jak Wera żartowała z jego zarostu i polecała szylkretowe okulary, by wypełnić stereotyp psychologa. Tego samego dnia wracając z pracy, zamówił okrągłe czarne oksy i teraz się z nimi nie rozstawał.

Świtało, kiedy wchodził do zabytkowego budynku na Krakowskim Przedmieściu, gdzie ulokowano wciąż tajny Wydział Wsparcia Dochodzeń. Recepcja była nieczynna, a Meyer nie chciał budzić woźnego, więc sam sięgnął po kluczyk do gabinetu. Zauważył, że na tablicy nie ma klucza do sali konferencyjnej, gdzie przydzieleni mu policjanci mieli tymczasowe biurka. Wbiegł po schodach na górę. Był ciekaw, kto poza nim nie może spać po nocach i ślęczy nad aktami, by wprowadzić dane do autorskiego systemu śladów behawioralnych Meyera, który roboczo nazwano WERA. Weryfikacja, Eliminacja, Rozkład, Analiza.

\* \* \*

– Szeffie?

Starszy aspirant Grzegorz Kaczmarek poderwał się na widok Huberta i jednocześnie nerwowo przesunął stertę akt służbowych na leżące przed nim papiery, które wcześniej zawzięcie studiował. Nie uszło to uwagi profilera. Rzucił okiem na puste kubki po kawie, brudną miseczkę z opakowaniem zupki chińskiej oraz kilka skórek od bananów na podłodze.

– Nie wychodziłeś od wczoraj? – Hubert zmarszczył czoło.

Młody funkcjonariusz wybierał śmieci i uporządkował stół, nim się odezwał.

– Nic nie zabrudziłem. Wiem, że nie wolno jeść przy aktach – wyjaśnił. Po czym dodał na jednym oddechu: – Udało mi się wprowadzić do WERY siedemnastu sprawców, którzy wiążą ofiary sznurkiem. Zacząłem też wstępną analizę spraw gwałcicieli używających reprezentantów, ale poległem przy kanibalach z Hrubieszowa. Nie wiem, jak ich zakwalifikować. Modus operandi jest tożsamy, tylko ciało nie znaleziono. Opieramy się przecież na wyjaśnieniach tego, który został uniewinniony.

Hubert podniósł dłoń. Kaczmarek umilkł.

– Spokojnie, Grzesiu. Po pierwsze, nie jestem z sanepidu, a po drugie, nigdy się nie tłumacz. Nigdy. Chyba że jesteś winny, ale wtedy też lepiej milcz. – Spojrzała na zegarek. – Służbę zaczynasz za dwie godziny. O kanibalach pogadamy na odprawie. Inni też chcą się wykazać.

Kaczmarek otworzył usta i je zamknął, a potem westchnął ciężko. Mierzyli się chwilę spojrzeniem.

– Co tam masz?

Meyer sięgnął po odręczne notatki młodego profilera, a spod sterty służbowych akt wylosował kserokopię protokołu. Pieczęć oraz sygnatury wskazywały na poznańską komendę. Stara, nierozwiązana

i zamknięta w 2014 roku „zimna sprawa”.

– Chałtura?

Kaczmarek gwałtownie zaprzeczył.

– Przecież nie wyrzucę cię za dodatkowe zlecenie. – Meyer przemawiał łagodnie. – Tylko na przyszłość nie rób tego w biurze. Jeszcze ktoś ze świętych przyuważy i mielibyśmy kłopot jako wydział. Za kilka dni nas ujawnią. Spodziewam się wianuszka odwiedzających. Potem się uspokoi, ale na początku będziemy na widelcu. – Zawahał się. Na jego twarzy zagościł cień uśmiechu. – Akurat ciebie nie chciałbym tak głupio stracić. Pracujesz efektywniej niż szóstka z moich siedmiu wspaniałych razem wziętych.

Młody policjant na przemian bladł i się rumienił.

– Dzięki, szefie. Więcej się nie powtórzy – zapewnił. – Myślałem, że zdążę. Nikt poza panem nie pojawia się w biurze przed szóstą.

– Mów mi Hubert – wszedł mu w słowo Meyer. – Chyba że obraża cię fraternizowanie się z kimś takim jak ja i wolisz pozostać w stosunkach służbowych z innymi przyczyn. – Urwał. Zdjął okulary. Przetarł je brzegiem golfu, jakby obawiał się, co chłopak na to odpowie.

– Czytałeś w ogóle podania o przyjęcie? – zachnął się Kaczmarek. – Zabiegałem o to stanowisko. Być w twoim zespole to moje marzenie od szkoły oficerskiej.

Hubert założył ponownie okulary.

– Rozszerzone samobójstwo i wprowadzenie dziecka – odczytał z pierwszego dokumentu z brzegu. Przeleciał wzrokiem resztę akt i znów spojrzął na aspiranta. – Dla kogo ta opinia? Prokuratura czy sąd? A może rodzina sprawcy cię zatrudniła? Nie będzie raportu, ale wolałbym to wiedzieć, zanim zrobi się gęsto. Nie pytam, na ile ich skasowałeś. Po prostu martwię się, co będzie, jeśli polegiesz, wrzucisz ich na lewe sanki albo ci się znudzi. Wkurwieni zleceniodawcy ujawnią to mediom. I rozumiesz, że mówię to jako twój wredny szef, lecz przede wszystkim jako człowiek, który wiele razy popełniał ten sam błąd. Bo wydawało mi się, że jestem niepodległy – zaznaczył. – Moim zadaniem jest przede wszystkim chronić wydział. Przez taki wybryk zanim powstaniemy, już nas zamkną. Nie po to się trudzimy. Więc?

– To moja osobista inicjatywa. – Kaczmarek hardo uniósł podbródek. – Nie wziąłem ani grosza. Nikt nie wie, że przy tym dłubię. Guccio to był mój taki jakby starszy kolega.

– Taki jakby? – Meyer się wykrzywił. – Kiedyś, gdy nie chciałem być łączony z jakąś panną, z którą sypiałem na boku, nazywałem ją „taką jakby koleżanką”. Znaczyło mniej niż nieznajoma z pociągu.

Kaczmarek wpatrywał się w Meyera rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.

– Chodziliśmy razem na strzelnicę – wydukał. – Nasze kobiety się znały.

– Zaginiony i potencjalny sprawca? – sprecyzował Hubert. Odczytał nazwisko z akt: – Gustaw Garbarczyk?

Odłożył dokumenty w miejsce, z którego je wziął, i przyjrzał się młodemu funkcjonariuszowi. Nie popędał go. Dał mu czas.

– Guccio z rodziną zniknęli z pola widzenia pierwszego września siedem lat temu – zaczął Grzesiek. – Anita, moja ówczesna dziewczyna, przyjaźniła się z jego żoną. Jej ciocia Iryna była ich gospożą. Karmiliśmy ich koty, kiedy wyjeżdżali, a podróżowali często, bo Gustaw robił interesy w całym kraju i za granicą. Nigdy ich nie zabierali. Po zaginięciu policja wchodziła do ich domu sześć razy. Byłem wtedy w Szczytnie. Wziąłem przepustkę, przyjechałem pomóc i raz pozwolili mi zajrzeć do środka. Obejrzałem każdy centymetr posesji Garbarczyków. Nie było żadnych śladów krwi, włókien. Nic, zupełnie. Jakby ktoś zamówił ekipę sprzątającą. Iryna obejrzała swoją półkę z detergentami i przekonywała, że ktoś w niej grzebał. Nie było połowy wybielacza i żadnej szmaty do mycia podłóg. Miejsce na worek do odkurzacza było puste, a wiadro od mopa zniknęło. Wszystkie rolety antywłamaniowe w oknach zasunięto, jakby gospodarze wybierali się na dłuższą wyprawę. Dobytku jednak nie zabrali. W mieszkaniu zostało wszystko: meble, przedmioty osobiste, pieniądze, pamiątki. Czułem już wtedy, że z Garbarczykami stało się coś złego. Ale lokalna policja nam nie dowierzała. – Odchrząknął. – Koty też zniknęły. Mieli trzy sfinksy kanadyjskie. Takie bez futra, jakby gołe. W tamtym czasie rzadko spotykana rasa. Bardzo droga. I to już właściwie koniec mojej wiedzy na ten

temat. Od pierwszego września dwa tysiące czternastego roku na Sołaczu nikt nie widział Gustawa, jego żony ani czwórki ich dzieciaków. Jakby zapadli się pod ziemię. Zniknęli.

Kaczmarek zatrzymał się, zawahał, po czym dodał:

– A wczoraj na Sołaczu nieoczekiwanie pojawiła się siostra Garbarczyka. Nie utrzymywali kontaktów od lat, kiedy Klara wyszła za mąż za niejakiego Izaaka Haselhofa, drobnego przedsiębiorcę i zresztą oszusta. Ludzie gadali, że facet mienił się guru niewielkiej organizacji new age. Gucio uważał, że siostra była jedną z jego ofiar. Haselhof zrobił pieniądze na praniu mózgow swoim wyznawcom i tworzeniu piramidy finansowej. Chyba krótko za to siedział. Jeśli szczerze, Gucio rzadko wspominał o siostrze. Ze szwagrem byli skłócony. A teraz nagle okazało się, że ten dom, z którego zniknęli Garbarczyki, należał do Klary i właśnie teraz, po latach, postanowiła go sprzedać. Wystawiła go na holenderskiej aukcji internetowej. Przyszła tylko po to, żeby przygotować budynek do przekazania właścicielom.

– Na aukcji? To w ogóle możliwe?

Grzesiek wzruszył ramionami.

– Ten wątek jest dla mnie niejasny. Wiem tyle, ile powiedziała mi Anita, a ona opiera się na plotkach z Poznania. Domyślasz się, że tam na miejscu jest istna burza.

– Czyli tak naprawdę nic nie wiemy – podsumował Hubert.

Kaczmarek niechętnie potwierdził.

– Sąsiedzi mówią, że Klara nalegała na wyważenie drzwi. Nie miała klucza. Weszła do lokalu z policją. Nasi zajrzeli pod taras i wykopali ciała wszystkich. Wszystkich poza Gustawem i najstarszą córką Garbarczyków, Wiką – podkreślił i umilkł.

W pomieszczeniu zapanowała głucha cisza. Słychać było tykanie zegara wiszącego nad drzwiami i pierwsze głosy urzędników, którzy powoli schodzili się do swoich gabinetów.

– I co chcesz osiągnąć, siedząc tutaj po nocach? – Meyer zajął miejsce obok Kaczmarka. Przewertował dokumenty. – Znaleźć go przed wszystkimi?

– Nie od tego jesteśmy? – rzucił wojowniczo Grzesiek. – Znaleźć go. Zamknąć. Doprowadzić do procesu. Skoro Gucio zabił rodzinę, powinien pójść siedzieć. A jeśli został uprowadzony, trzeba go ratować. Jego i jedyną córkę, która została przy życiu.

Sięgnął po swój telefon, obudził z uśpienia. Kliknął w wiadomości, ale ich Meyerowi nie pokazał, jakby te działania miały uwiarygodnić jedynie jego słowa.

– W tej chwili na Sołaczu zbierają ekipę na oględziny. Po południu wypuszczają za Guciem list gończy. Czerwoną notę. Sprawa zacznie być publiczna.

– Dlaczego dopiero po południu? – zdziwił się Hubert. Zamknął akta. – Przecież obstawiają, że to Garbarczyk jest sprawcą.

Kaczmarek wzruszył ramionami.

– Szef kryminalnych z Poznania tylko tyle mi chlapanął. Więcej przez telefon nie powie.

– Jasne – zgodził się Meyer. Wpatrywał się w Kaczmarka w milczeniu.

– Skoro otwierają nas za kilka dni – zaczął nieśmiało młody oficer – moglibyśmy pokazać się na arenie z przytupem. Ta sprawa to będzie bomba medialna. Totalna eksplozja! W Poznaniu budziła wielkie emocje. Garbarczyków szukały wszystkie jednostki.

– Zgadzasz się że prowadzącym dochodzenie, że to rozszerzone samobójstwo i uprowadzenie? – Hubert wskazał notatki Grzegorza.

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli Gucio żyje i to zrobił, jest niebezpieczny. Pamiętam go jako świetnego strzelca, łebskiego stratega. Może nie znałem go zbyt dobrze, ale wiem, że niełatwo godzi się z porażką. – Urwał. – To fajter. Prowadził wiele spółek. Wygrywał. I niejedną raz ryzykował wszystko. Z tej przyczyny został bankrutem. Zaraz potem Maria, on i dzieciaki zniknęli.

Spojrzał na Meyera z nadzieją. Hubert dostrzegł w jego oczach coś, co kiedyś sam posiadał.

– Zawsze to dobry pretekst, by wyrwać się z biura – dorzucił Grzesiek.

Profiler wstał. Zapatrzył się w okno.

– Przygotuj się do odprawy i posprzątaj ten bajzel – polecił. – Przejrzyj internety, podzwonił, gdzie się da. Nikomu nic nie mów, bo obietnicy nie składam. Trzeba to dobrze przenicować, zanim poprosimy ministra, by włączył nas do sprawy przed premierą WERY.

\* \* \*

Kwadrans po ósmej biuro tętniło już życiem. Słysząc było śmiechy, włączone radia i ściszone rozmowy telefoniczne.

Hubert minął załoczoną kuchnię, gdzie wszyscy pracownicy urzędu przygotowywali sobie kawę. Zajął miejsce przy stole konferencyjnym. Otworzył laptop, przejrzał portale. Informacja o wydobywaniu ciał hulała już w sieci na głównych stronach. Na miejscu byli dziennikarze ogólnopolskich stacji. Kliknął stand up jednego z nich.

„Masakra na poznańskim Sołaczcu. Z podziemi zabytkowej willi wydobyto cztery ciała rodziny G. – relacjonował reporter. – Policja apeluje o zgłaszanie się, jeśli ktoś był świadkiem podejrzanych zachowań w okolicy. W tej chwili śledczy nie ujawniają, czyje ciała odkryto w piwnicznym grobowcu. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że poszukiwany jest ojciec rodziny Gustaw G. Może być uzbrojony”.

Zdążył wyciszyć dźwięk, gdy do pomieszczenia wmaszerował Kaczmarek. Twarz miał rozświetloną ekscytacją, oczy bystre, świdrujące, jakby zamiast nocy spędzonej w biurze ładował baterie w ramionach zachwyconej nim kochanki. Pod pachą dźwigał stertę dokumentów. Ustawił swój kubek z kawą na podkładce, którą przyniósł ze sobą. Obok ułożył skórzany piórnik, notes Moleskine i kolorowe samoprzylepne zakładki. Przepisowo wyciszył telefon. Dołożył go do swojego warsztatu.

– Czekają na nas z otwartymi ramionami – zapewnił Meyera szeptem. – Komendant cię pamięta. Ponoć pomogłeś im już w kilku sprawach.

Hubert skinął głową, choć nie sądził, by akurat ten zwierzchnik wspominał go czule, ale nie powiedział tego na głos. Rzucił okiem na zegar i zatrzymał spojrzenie na otwartych drzwiach. Sala konferencyjna świeciła pustkami.

– Siedem minut spóźnienia – stwierdził. – Za godzinę wizytuje nas Czajkowski. To jakiś strajk przed próbą generalną?

Grzegorz oblał się niezdrowym rumieńcem.

– Pogonię ich. – Zerwał się z krzesła, ruszył do wyjścia.

– Nie. – Hubert podniósł dłoń. – Zaczynamy.

Podszedł do drzwi i zamknął je z trzaskiem. Kątem oka widział zaśmiewających się do rozpuku sześciu młodych funkcjonariuszy, których osobiście wybrał z grona setek kandydatów. Udawali, że nie zwracają na zwierzchnika uwagi. Meyer wiedział, że powinien podejść, zagaić coś żartem, wkupić się w ich łaski, motywować do pracy. Ale mu się nie chciało. Wera miała rację. Nie nadawał się na szefa. To, że został na posterunku sam z Grzeńskim, w zupełności mu wystarczało. I wprost marzył, by wyrwać się z tego urzędu na wolność.

Zajął swoje miejsce, włączył projektor. Wyświetlił się pierwszy slajd z prezentacją WERY, ale Hubert nie sięgnął po wskaźnik, nie ustawił się przy tablicy. Położył nogi na stole, wyłuskał z kieszeni zmiętą paczkę z papierosami.

– Ty pewnie nie masz nałogów? – zagaił.

Młody policjant pokazał igrzyska. Uśmiechnął się, ale zaraz zmarkotniał. Wpatrywał się w zamknięte drzwi, do których nikt nie podchodził.

– Nie krępuj się – oświadczył Hubert, jakby bunt pracowników go nie dotyczył.

Stał przy oknie i w kilku zaciągnięciach spalił całą fajkę.

– Za ile mógłbyś być gotowy do wyjazdu? – spytał, gasząc peta o ścianę budynku.

– Tyle, ile zajmie pójście po kurtkę do mojego pokoju.

– Poza nielicznymi wyjątkami nigdy nie pracowałem w duecie – ostrzegł go Hubert. – To może być dotkliwie. Dla ciebie.

– Wiem.

– Zgłoś sekretarce Czajkowskiego, żeby wypisała nam delegację do Poznania. Pobierz broń i kup zapas tych swoich słomek. Spotykamy się na dole za dwadzieścia minut. Jedziemy moim autem. Dowiedz się, jaki jest dokładny adres willi Garbarczyków i kto będzie robił sekcję. – Odchrząknął. – Zadbaj, żeby to był Boziłow. Ściągnij go spod ziemi, nastrasż ministrem. Jak nie pomoże, zadzwoni do jego żony. Numer masz na fiszce nad moim komputerem. Powiedz, że chodzi o zbrodnię rodzinną sprzed lat. Jadzia go przekona. Skoro dopiero ich wyjmują, nie spóźnimy się tak bardzo.

– A co z naradą? – przeraził się Grzegorz. – Minister wścieknie się, jak odwołasz spotkanie. Od tego, czy dobrze nam dziś pójdzie, zależy nasze ujawnienie. No i nie ma polecenia służbowego. Chyba go potrzebujemy, by złożyć wnioski o delegację?

Meyer stał już przy drzwiach.

– A kto mówi, że narada się nie odbędzie? – Podniósł brew, a w oczach błysnęła szelma. – Nigdy nie byłeś na wagarach?

\* \* \*

Podszedł do swojej ekipy i suchym tonem rozdzielił zadania. Dryblasowi, który był najbardziej pewny siebie, wręczył służbowy laptop i poklepał go po ramieniu.

– Szczecinek, dowodzisz na czas mojej nieobecności. Od tej chwili nadaję ci numer jeden.

– Ale szefie – zaproponował niemrawo młody profiler i natychmiast odstawił kubek z kawą.

Reszta zrobiła to samo. Ludzie zaczęli przeciskać się do wyjścia z kuchni.

– Prezentacja jest gotowa – kontynuował Meyer. – WERA wymaga jeszcze testów, ale jest już co pokazać politykom. Oni i tak nie słuchają. Chcą dobrego przedstawienia i je od was dostaną.

– Od nas? – rozległy się głosy oburzenia. – Mamy zrobić to sami?

Hubert uciszył ich gestem.

– Gdyby Czajkowski się czepiał, brońcie naszych flanek do ostatniej kropli krwi. Zmyślajcie, popisujcie się wiedzą. Złóżcie wnioski o ujawnienie meldunków informacyjnych do spraw, które powinniśmy zarchiwizować. Tłumaczcie, że zanim zaczniemy, musimy uszczelnić system. Róbcie cokolwiek, byle odwlec otwarcie wydziału. – Westchnął ciężko. – Podzielcie się regionami, z których pochodzicie, i uzupełnijcie dane według własnego uznania. Na wydrukach. Jak wrócę, sprawdzę, czy symulacje pracują prawidłowo i czy zostajecie w wydziale.

Sześciu policjantów wpatrywało się w Meyera we wrogim milczeniu. Widział w ich oczach gniew, nienawiść, złość. I lęk. W tej chwili wszystkie te emocje zlały się w jedną miksturę, która w bajkach miałyby moc natychmiastowego unicestwiania. Dorzucił więc, by ich upewnić, że nie żartuje:

– W dniu waszego powołania nie wyraziłem się jasno. Papierki możecie przekładać gdziekolwiek. Nie potrzebuję niewolników grzejących dupy przy biurkach. I nie życzę sobie, by ktokolwiek kiedykolwiek był w WWD za karę.

Męczącą pauzę przerwał Szczecinek.

– Kiedy wracasz?

– Jak skończę.

– Mam trzymiesięczną odprawę, a powołuje mnie i odwołuje komendant główny, nie ty! – syknął młody policjant. – Myślisz, że jesteś jakimś pieprzonym Profesorem? Uważasz WWD za swój folwark? A może sam wymyśliłeś ten wydział?

– Nie inaczej – odparł z satysfakcją Meyer. – I WERĘ też.

Był już znudzony użeraniem się z nimi. Najchętniej wyszedłby i nie wracał. Wiedział jednak, że to jedyny sposób na odzyskanie autorytetu lub całkowite pogrążenie. I miał na to kurewską ochotę.



– Rzecz w tym, Szczecinku, że to ja składam na biurko komendanta wniosek o zaniechanie obowiązków albo i zwolnienie dla dobra służby. Możesz dobrze pracować i wiem, że potrafisz. Sam wybrałem z tysiąca podań twoje jako jedno z pierwszych. – Kolejno kierował palec na każdego z pozostałych. – To samo z wami. Nie chcecie napierdalać po mojemu? Szukajcie sobie przeniesienia. – Sięgnął po kubek Szczecinka. Upił łyk jego kawy. – Słodka, z mlekiem. Ohyda! – Splunął do zlewu. – Spojrzał jeszcze raz po wszystkich. – Zapomniałbym. Tylko ja jestem tu w ramach pokuty, więc nie wkurwajcie mnie, bo i bez tego jestem wystarczająco podły. Do przyjazdu ministra zostało wam trzydzieści siedem minut. Szczecinek dowodzi, Białystok robi audyt słupków, a Kraków nawija teorię. Reszta wam pomaga. Pracujemy nad WERĄ siedem miesięcy. Nie możecie tego zjechać. Jakies pytania?

Nie padło żadne.

\* \* \*

– Oni odejdą – odezwał się Grzesiek, kiedy zbliżali się do rogatek Poznania. – Tak nie zarządza się ludźmi.

– Wiem.

– Dzisiejsze spotkanie to będzie porażka. Zamkną nas. Trafię do drogówki albo jakiejś innej chujni. Będę się cieszył, jeśli wezmą mnie na magazyniera dowodów.

– Nie marudź – uciszył go Hubert, rzucając peta za okno. – Ci odejdą, przyjmiemy nowych. Rotacja w wydziale testowym to rzecz normalna.

– Fama zaraz się rozniesie i nikt nie będzie chciał z tobą pracować.

– Nikt nigdy nie chciał. Żadna nowość.

– Ja chciałem – przypomniał Grzesiek. – Masz to na piśmie.

– Wiesz co, wnerwia mnie już to twoje podlizywanie – zbieśli się nagle Meyer. – Jak masz zamiar mi czapkować, to lepiej odgryź sobie język. Nie wziąłem cię po to, żebyś mi robił loda. Uznałem, że jesteś łebski. Nie odpuszczasz. Widzę, że się, kurwa, pomyliłem.

Kaczmarek zacisnął usta w wąską kreskę.

– Na twoim miejscu załatwiłbym to inaczej – odezwał się po dłuższej pauzie.

– No dawaj! Oświeć mnie. Bo widzę, że nie zdzierzysz kwadransa bez wazeliny.

– Tak jak trenuje się psy. Smakołykami.

Hubert wybuchnął chrapliwym śmiechem. Początkowo gorzkim, a potem jednak oczyszczającym. Złapał się na tym, że nie pamięta, kiedy ostatnio ktoś go rozbawił.

– Mam rozdzielać kasę z budżetu na zajęcia przygotowawcze? Ci chłopcy niczego jeszcze nie dokonali! Przeszli kurs podstawowy, na brudno wykonali parę analiz spraw dawno wykrytych. To wprawki! A oni już się stawiają.

– Podzieliłeś ich regionami i to było dobre. Ja jestem Poznań, Wielkopolska, więc odpowiadam za ten teren. Znam jego specyfikę, ludzi, mentalność, bo stamtąd pochodzę. Pozostali też powinni dostać swoje skrzydło. Trzymać nad nim kontrolę, a potem być z tego rozliczani.

– Taki był plan. Sądzisz, że wybierałem was losowo?

– Nikt z nas o tym nie wie. Rozkazu nie było. Kazałeś nam wstukiwać dane do systemu i czytać akta. Każdy wybierał sobie kategorię i nie wiedział, dokąd zmierza. Gdyby Szczecinek od początku wiedział, za co odpowiada, ucieszyłby się z bycia twoim p.o. Pękałby z dumy za Jedynekę, a nie paszczyłby i podjudzał innych. Spieprzyłeś to menedżersko.

Hubert zacisnął szczęki. Chciał coś odpsuć, ale nagle zrezygnował, bo młody miał rację. Wydostał kolejnego papierosa z paczki, zapalił.

– To ma sens. Bylibyśmy taką komendą główną w pigułce – perorował Kaczmarek. – A ty wciąż byłbyś szefem i rozliczał ludzi z wyników.

– W profilowaniu liczy się nie teren, lecz zdolności dedukcyjne i doświadczenie. Tego ostatniego ci chłopcy nie mają. A ślady behawioralne nie zmieniają się terytorialnie.

– Teren ma znaczenie. Powtarzasz to od lat.

Hubert rzucił niedopałek za okno i skręcił na stację benzynową.

– Wezmę paliwo. Chcesz jakąś kawę, hot doga?

Kaczmarek pokręcił głową.

– Na twoim miejscu napisałbym im to szczegółowo w mejlu – rzucił przez zęby. – Polecenie służbowe. Data powinna być dzisiejsza, a kopia iść do Czajkowskiego. Ojcu chrzestnemu WERY spodobą się systematyzacja. Jak chcesz, mogę przygotować taki list na brudno. Z tabelką.

– Czy ty przypadkiem nie czaisz się na moje miejsce, Grzesiu? – burknął Hubert, ale pokiwał głową.

– Okay. Niech ci będzie. Zrób tabelę z wykresami na kolorowo. To zawsze cieszy włodarzy, a przy okazji utrudnia im rozeznanie się w temacie. Nie potrzebujemy, by się wpięprzali w nasze podwórko, kiedy będziemy na gościnnych występach.

Kaczmarek natychmiast wyciągnął z torby laptop i go uruchomił.

– Piję czarną. Bez cukru – wyburczał. – Zadzwoń, że dojeżdżamy, coby nie było obsuwu z wejściem na ogleźdżiny.

\* \* \*

## POZNAŃ

Imponujące wille zbudowane w dolinie Bogdanki witały Meyera i Kaczmarka majestatycznym spokojem oraz feerią zieleni. Już na pierwszy rzut oka widać było, że Sołacz to nie tylko zabytkowe budynki i urbanistyczny popis pragmatyzmu Josepha Stübbena, lecz pojęcie mentalne. Jakby mieszkańcy tych wspaniałych, choć często zaniedbanych domów komunikowali głośno, że przynależą do świata innego od sąsiednich. Miliony za piętro, ale nie za stiuki, zdobienia, dekoracje i funkcjonalność. Tak naprawdę płaciło się za jedno bezcenne udogodnienie: spokój bezczasu. Tym Sołacz był w rzeczywistości i dlatego rozgościło się tu towarzystwo uważające samo siebie za elitę miasta.

– Gorzej niż na wsi – skwitował Hubert, rozglądając się. – Niczego nie da się ukryć. Co znaczy w praktyce cholernie dobrze zamaskowaną prawdę.

– Chyba że jesteś stąd – wszedł mu w słowo Grzesiek. – Na przykład od trzech pokoleń, jak Gustaw Garbarczyk. Jego dziadek był jubilerem, ojciec inwestował w złoto, a Gucio handlował wszystkim, co się dało: kontenerami do segregacji śmieci albo lampkami do selfie. – Wskazał zieleń po jednej stronie wozu. – Park Sołecki, Wielki Staw. – A potem odwrócił się i pokazał listowie odbijające się w tylnej szybie. – Park Wodniczki. Nocą przyjeżdżaliśmy tam na schadzki z dziewczynami. Nikt nigdy nas nie złapał. Zasadniczo adwokaci, lekarze, potomkowie jubilerów i uznani artyści nie wystają w oknach. Mają w cholerę swoich spraw i z pewnością nie szukają z nikim zwady. Teraz wszędzie jest tutaj monitoring.

– Nie to miałem na myśli – sprostował Hubert. – Tutaj jest gorzej niż na wsi, bo oni mają forszę, a więc wiele do stracenia. Nic nie powiedzą. To tak, jakbyśmy mieli prowadzić dochodzenie w Zamku Królewskim, kiedy jeszcze żył tam król. – Zawahał się. – Albo w więzieniu. Przerąbane.

– W więzieniu? – Grzesiek spojrzął na Meyera zdziwiony. – Jaki to ma związek z zamkiem?

Profilery nie zdążył rozwinąć myśli, bo gdy tylko skręcili w ulicę Kujawską, znaleźli się w medialnym kotle. Reporterzy ustawieni wzdłuż wymuskanych ogrodzeń i płotów nagrywali relacje, przepytывali przechodniów. Halną, przy której mieściła się willa Garbarczyków, zablokowano dwoma radiowozami stojącymi w poprzek jezdni. Każdego z pieszych legitymowano oraz dokładnie sprawdzano, czy rzeczywiście tu mieszka.

– Masz wygodne obuwie? – Meyer wyłączył silnik. – Dalej nie pojedziemy.

Nie zdążyli pozbierać swoich rzeczy, a do ich okna pukał już nachmurzony sierżant. Profilerzy, jak na komendę, wyciągnęli odznaki. Funkcjonariusz z respektem odsunął się od samochodu.

– Czekają na was – oświadczył, salutując. – Będę asekurował, inspektorze Meyer i starszy aspirancie Kaczmarek.

Hubert wymienił spojrzenia z Grzegorzem.

– Masz dar przekonywania – wymruczał przez zęby.

Grzesiek tylko wzruszył ramionami.

– Gdybym na wiosnę nie przeszedł do ciebie, byłbym teraz przynajmniej sztabowym, a może i komisarzem, co dawałoby mi szansę na drugiego w poznańskich kryminalnych. Po dzisiejszej odprawie nie jestem pewien, czy mi się opłacało.

– Zależy, w jakiej walucie liczysz – wyburczał Hubert, marszcząc brwi w jedną kreskę. – Drugim w wieku trzydziestu jeden lat? Dlaczego nie pierwszym?

– Bo obecny pierwszy to najlepszy śledczy jakiego znam. Zaraz po tobie, oczywiście – dodał z przekąsem Grzegorz. – Ale Matuszak nigdy tego nie usłyszy. Nie cierpi łodów jeszcze bardziej niż ty.

Hubert lekko się uśmiechnął.

– Wszyscy się dziwili, na co mi to profilowanie – ciągnął młody policjant. – A najbardziej Bodzio, znaczy się Matuszak. Zaraz się poznacie. Szukaj łysego z długimi włosami. I błagam, nie mów do niego po imieniu. Nie znosi zdrobnień, więc jak się domyślasz, imię nadkomisarza znane jest w półświatku od Wałcza aż po Berlin.

Hubert wybuchnął niekontrolowanym śmiechem.

– A myślałem, że tylko mnie rodzice naznaczyli – wymruczał, ale myślał tylko o tym, że jeśli Grzesiek kiedykolwiek wróci do Poznania, to wyłącznie jako pierwszy komendant jednostki. Nie wydziału.

– Matuszak. Bogdan – powtórzył, kiedy już się uspokoił. – Chyba coś o nim słyszałem. Rozwiązał sprawę Szaszłyka w wieku dwudziestu siedmiu lat? Nie miał nawet aspiranta.

– Był kapralem – potwierdził Kaczmarek. – Od razu przeskoczył o dwa stopnie. Specjalizuje się w sprawach zamkniętych-niewyjaśnionych. Zakładał tutejsze Archiwum X i przez lata pracował w duecie z żoną. Liliana zaginęła po akcji poszukiwawczej zbiegłej z więzienia dzieciobójczyni. Matuszak uważa, że z jego winy. Nigdy nie wyłowiono ciała Lilki z Warty. Pod żadnym pozorem nie podejmuj sam tego tematu.

Hubert zbiałał na twarzy i milczał długą chwilę. Grzesiek nie był pewien, czy nie przeholował.

– Już go kojarzę – oświadczył Meyer. – Odmówił terapii i deklaruje, że nie wierzy w psychologię. A jednak sam działa jak książkowy Sherlock. Myślę, że się dogadamy.

\* \* \*

Mimo że dzień był słoneczny, posesję Garbarczyków doświetlono tak, że można było liczyć żdźbła trawy. Wydobyte spod tarasu trzy ciała leżały obok siebie na foliowych płachtach niczym monstrialne kokony. Wokół każdego z nich pracowała ekipa techników. Pozostali funkcjonariusze trudzili się w podpiwniczeniu z wydostaniem ostatnich, najmniejszych zwłok.

– Zapakował ich w kołdry. Owinął folią i zabezpieczył taśmą.

Podszedł do nich czterdziestolatek w kraciastej koszuli i dżinsach. Twarz miał kanciastą, rasową, a orzechowe, hipnotyzujące oczy godne wielkiego kota, szeroko rozstawione jak u żaby. Gdyby nie fryzura łysola z kucykiem, Meyer zakwalifikowałby go do wybitnie przystojnych. Facet niewątpliwie się za takiego uważał. Pewność siebie biła z każdego jego gestu. Odrzucił na bok swój mysi ogonek i wyciągnął dłoń.

– Matuszak. Dowodzę tym bajzłem.

– Meyer – przedstawił się Hubert, z trudem hamując mdłości, jakby był pierwszy raz na oględzinach. Skupiał się głównie na tym, by nie rzucić pawia przy nadkomisarzu. Strasznie go to wkurzało. – Miło poznać guru Kaczmarka. W kółko o tobie gada.

Matuszak próbował przywdziać na twarz coś na kształt uśmiechu, ale tylko zmarszczył się z obrzydzeniem. Hubert poczuł się jak idiota, widząc gniew Kaczmarka, ale przynajmniej na chwilę zapomniał o trupim fetorze.

– Siema, Grzegorz. – Matuszak rzucił chłodno do byłego protegowanego.

– Dzień dobry, szefie. – Młody profiler skinął głową. Był już czerwony jak burak. – Mam nadzieję, że na coś się przydamy.

– Zamknijemy gnoja. Inaczej tego nie widzę. – Prowadzący dochodzenie uśmiechnął się smutno. –

Miałem żal, Grzesiu, że rzucasz mnie jak byle pannę. Teraz przynajmniej wiem dla kogo. Inspektor Meyer, żelazne ramię ministra Czajkowskiego. Winszuję. – Spojrzał w oczy Hubertowi. – To nie kpina. Chcę współpracować.

Meyer mu wierzył.

– Inaczej tego nie widzę – zapewnił.

Odeszli pod ogrodzenie, gdzie Matuszak trzymał zawieszoną na szpikulcu wyświechtaną kurtkę motocyklową. Wyjął z niej papierosy. Zapalili.

– Każdej z ofiar pod pierwszą warstwę folii włożył krzyżyk i obrazek z wizerunkiem Jezusa. Jak do komunii – kontynuował bez dalszych ceregieli nadkomisarz. – Ciała żony i dzieci zakopał metr pod ziemią. Specjalnie w tym celu naruszył fundamenty domu. Oba koty zakleił razem. Też były otulone kocem. Dorzucił im jakiś sznur koralu, ale nie różaniec. Dałem dziewczynom z wydziału zdjęcie, by rozkminiły, co to za artefakt. Koty były pod tamtym drzewem. – Pokazał. – Wykopaliliśmy je jako pierwsze.

Dopiero teraz Hubert spostrzegł najmniejszą płachtę. Nie była obstawiona ekipą do zbierania śladów.

– Gdzie siostra poszukiwanego? – spytał. – To ona odkryła ciała?

Matuszak pokręcił głową, a potem potwierdził, jakby chował w rękawie atutowego asa. Hubert zapamiętał jego zawahanie. Nie skomentował.

– W domu, z dziećmi – padło w odpowiedzi. – Klara Haselhof mieszka w Berlinie. W każdej chwili możemy ją wezwać. Nie widziała ciał. Interesowała ją tylko domowa kasa pancerna Garbarczyków. Stała ponoć w zejściu do piwnicy. Ponieważ zniknęła, zaczęliśmy przeszukiwanie. Jak technicy skończą, zobaczymy. Od tego się właściwie zaczęło. Kiedy kobieta stwierdziła jej brak, zawinęła się i wróciła do siebie. Sprawdziłismy, że faktycznie ma jutro rozprawę w sądzie rodzinnym. Nie było podstaw do zatrzymania.

– Ty prowadziłeś tę sprawę siedem lat temu? – upewnił się Hubert, choć wiedział od Grześka, że tak właśnie było.

Matuszak zacisnął szczęki, wrzucił peta do słoika w tym celu ustawionego pod ogrodzeniem. Podał Meyerowi i Kaczmarkowi, by dorzucili swoje niedopałki. Dokładnie zakręcił. Ruszyli do ogrodu, gdzie wciąż pracowali technicy.

– W tej hacjendzie byłem osobiście sześć razy – zapewnił. – Nic nie znalazłem. Przesłuchałem przyjaciela Garbarczyka z dzieciństwa, obecnie lokalnego proboszcza, Irynę, ciebie Grzesiu, twoją Anitę, wtedy jeszcze narzeczoną, i chyba cały Sołacz postawiłem na nogi. Nada, null, zero. Ani jednego włókna do badań, nawet kropelki krwi. Gdyby nie te listy, ogłoszenie na drzwiach i twoja upierdliwość, Grzesiek, zamknąłbym to dochodzenie znacznie wcześniej. Tak! – Podniósł głowę, jakby się kajał. – Nie wierzyłem, że doszło do tragedii. Sądziłem, że Guccio spierdolił z kraju z powodu długów. Tyle.

– Jakie listy? – Meyer zmarszczył brwi i spojrzał na swojego ucznia z wyrzutem, ale Grzegorz zasznurował usta. Był na niego obrażony za przytyk z guru.

– Normalne, papierowe. Nie żadne mejle czy coś. Były adresowane do przyjaciół, wierzycieli i kontrahentów – podjął wątek Matuszak. – Zresztą ty opowiedz, Grzesiu, bo namiętnie je analizowałeś. Przyznaję ci dzisiaj rację: bagatelizowanie tego wątku to był błąd, ale sam wiesz, jak było. Mieliśmy na warsztacie zabójczynię dzieci i to nas z żoną pochłaniało. – Zawahał się, spuścił wzrok. – Dziś już nie staję na palcach po awanse. Znudziło mi się. Robota nie zając, zawsze cię znajdzie.

– Co było w tej korespondencji? – wtrącił się Meyer.

Wiedział, jak boli mówienie o stracie ukochanej kobiety, kiedy czujesz się winny. Matuszak podziękował mu spojrzeniem.

– Listy były dziwne. – Kaczmarek zdecydował się zabrać głos. – Pisane jak pożegnania, a jednak brakowało w nich spójności. Nadawca kupiał się na szkalowaniu Gucia. Że to oszust, malwersant, współpracuje z Mosadem, innymi wywiadami i grupą przestępczą na Kreuzbergu. To zależało, do kogo list adresowano. Język się zmieniał. Raz był bogaty, stylizowany. Innym razem pełen wulgaryzmów i bez składu, jakby żywcem tłumaczony z niemieckiego przez wujka gugla. Zastanawiałem się, czy Gucio sam ich nie produkował, żeby odciągnąć pogoń.

– Co w nich dokładnie było?

– Żeby go nie szukać, unikać, bo to człowiek groźny. Ustosunkowany. Przystępca z kontaktami. Niemal boss ośmiornicy.

– Ostatecznie uznaliśmy, że pisał je lokalny pieniacz. Garbarczyk był tutaj popularny, więc rzecz jasna miał wielu wrogów – zakończył Matuszak. – Miał długi. Mnóstwo osób groziło mu, jeśli nie odda wierzytelności.

– Śmiercią?

– A jakże – potwierdził Matuszak. – Poćwiartowaniem, kulką w łeb albo i cementowymi nogami w Warcie. Standardowe fantazje sfrustrowanych biznesmenów. Sprawdzaliśmy kontrahentów Garbarczyka dobre pięć miesięcy. Bez wyników.

– Gdzie są te kwity?

– W aktach. Dostaniecie wszystko.

– A ogłoszenie?

– Zwyczajna kartka: „Jesteśmy na urlopie. Rachunki, prenumeratę prasy – zostawiać na poczcie”. I numer komórki. Nikt nigdy jej nie odebrał. Aparatu nie namierzono. To były trochę inne czasy. Dziś pewnie poszłoby nam łatwiej.

– Co prenumerowali?

– Wszystko. Prasę regionalną, biuletyny giełdowe, damskie piśmidła – wymieniał Kaczmarek. – Rok po zaginięciu Garbarczyków na ten adres wciąż przychodziły stopy religijnej bibuły. O końcu świata, ufoludkach albo kometach uderzających w Ziemię. Trochę prasy new age: joga, masaż tantryczny.

– Trochę? – parsknął Matuszak. – Ze dwa kilo tygodniowo. Ktoś w tym domu intensywnie rozwijał się duchowo. I nie sądzę, żeby był to ojciec. Gutek kłął, pił, palił. Regularnie łąził na strzelnicę. Świadkowie mówili wprost: kawał był z niego skurwysyna.

– Musisz wiedzieć, że Garbarczykowie nie używali internetu – dorzucił Kaczmarek.

– Dlaczego?

– Z jakichś powodów ideowych. – Młody profiler wzruszył ramionami. – Szpiegowanie, inwigilacja? Nigdy tego nie rozumiałem. Naśmiewaliśmy się, a Gucia to nie ruszało.

– Jak robił interesy bez mejla?

– Na gębę. Praktycznie nie rozstawał się z telefonem. W kółko rozmawiał i gdzieś jeździł. Dziewczyna w spedycji i od logistyki obsługiwała system już w sieci. Mieli kilka sklepów internetowych. I hurtownię. Guciovi chodziło o to, żeby jego samego nikt nie mógł namierzyć.

– Czego się bał?

– Podatki, prokuratura? – zasugerował Kaczmarek, a Matuszak tylko wzruszył ramionami.

– To był niezły oryginał, a z czasem mu się pogorszyło. Zachowywał się jak wariat. I chyba naprawdę nie był stabilny. Ale tutaj na Sołaczu był lubiany. Jak każdy charyzmatyczny facet, który może sobie pozwolić na ekscentryzm, póki jest zamożny. Kiedy zbankrutował, wszystko się zmieniło.

– Dziwaczna rodzina – zauważył Hubert.

Pozostali się z nim zgodzili.

– Wiele pamiętasz – pochwalił Grzegorza Matuszak.

– Wszystko pamiętam, szefie – zapewnił Kaczmarek. – Gucio to był bardziej kolega Anity. Mąż jej najlepszej przyjaciółki, bo mieszkala na Sołaczu od dziecka, ale ponieważ byliśmy razem, planowaliśmy zakładanie rodziny, naturalnie się zaangażowałem. Wtedy uważałem, że Gustaw w coś

się wplątał i trzeba go ratować. Nie dopuszczałem myśli, że mógłby kogokolwiek skrzywdzić. Miałem go za takiego tatę kwokę. Familia była dla niego wszystkim. Dla niej pracował, zarabiał. Żył dla tej ferajny. Gucio, Marysia i ich dzieciaki: Wika, Jurek, Brajan i Nela byli moim ideałem rodziny. Czasami zdawało mi się, że nie potrzebują nikogo z zewnątrz. Tak byli zgrani.

Meyer przyglądał się Kaczmarkowi i zrozumiał już, dlaczego chłopak spędził dzisiejszą noc na studiowaniu akt.

– Dlaczego to zrobił? Jak sądzisz?

– Myślę, że sobie nie poradził. Narobił długów, a lubił uchodzić za przywódcę stada. Przed sobą, rodziną i sąsiadami. Musiałby przyznać, że skrewił. Że trzeba będzie sprzedać dom, zamknąć firmy, pójść siedzieć albo uciekać. W sumie wszystko było w tych listach. I nie mieliśmy wtedy pojęcia, że dom nie był jego, tylko siostry. Wychodziło na to, że Gutek nie miał zupełnie nic. Żadnego kapitału.

– Co było w szafie pancерnej, której szukała siostra? – zainteresował się Meyer, ale nie otrzymał odpowiedzi, bo do Matuszaka podeszła funkcjonariuszka z ekipy kryminalistycznej.

Odeszli na bok, pomówili chwilę. Kiedy nadkomisarz wrócił, odstawił stoik z petami pod ogrodzenie, a potem przyłożył dłoń do czoła, by osłonić wzrok przed słońcem.

– Udało się wydostać ostatnie ciało – oświadczył. – To co, odwijamy ich?

– Chcecie tutaj do nich zaglądać? – zapytał zaskoczony Hubert. – Stan może być tragiczny. Siedem lat w fundamentach? W najlepszym razie są w postaci płynnej. Albo i strupieszczali, jeśli w betonie było wystarczająco sucho.

– Jakie siedem lat? – Matuszak zmarszczył się zniecierpliwiony. – Nikt wam nie powiedział?

Meyer z Kaczmarkiem spojrzeli po sobie.

– Te kokony to świeżynki – wyjaśnił. – Nawet koty nie leżały w ogródku dłużej niż tydzień. W jednej z kółder jest paragon. Sprawca robił zakupy w Meblach za Grosze i płacił kartą. Posłałem wywiadowców do sklepu. Płatność ustalamy. Jeśli to jest dzień zabójstwa, ci nieszczęśnicy zginęli dwudziestego września. Patolog określi to dokładniej. Zgodnie z życzeniem wezwałem waszego eksperta. Boziłow dojechał przed wami i czeka w instytutcie. Zanim przewiozą ciała, możecie zapoznać się ze starymi aktami.

\* \* \*

– Trucizna. Najprawdopodobniej worek foliowy. W żołądku matki znaczne ilości alkoholu. Nawet najmniejsza dziewczynka została upojona etanolem. Jedyna pociecha, że praktycznie nie cierpieli. Śmierć bolesna, lecz szybka – oświadczył Boziłow i urwał, jakby się zastanawiał. – Wygląda na to, że mamy do czynienia z czterema samobójstwami. Bardzo dziwnymi, przyznając, ale nie widzę tutaj udziału osób trzecich. Za parę godzin powiem więcej.

Zanim śledczy podeszli, by przyjrzeć się zwłokom, anatomopatolog dał znak trzem pomocnikom, którzy asystowali mu podczas wystąpienia. Przykryli ciała ofiar i błyskawicznie schowali je do lodówek.

– Trzeba je schłodzić. Potem obejrzyjecie sobie wszystko dokładniej – przeprosił zebranych. – Musimy się przygotować do właściwych oględzin.

– Po co trutka, skoro zamierzali się udusić? – Hubert spojrzął na Grzeška, a potem zawiesił wzrok na prowadzącym dochodzenie. – Coś tu nie gra. Czy tylko ja zgłupiałem?

– Nie jestem mądrzejszy od ciebie – zgodził się Matuszak. – Ale jak to nie ma udziału, szefie? – Spojrzął wyzywająco na anatomopatologa. – Znasz samobójcę, który po śmierci idzie do sklepu po kółderę, kupuje ją, owija się nią jak kokonem, a na to wszystko daje folię elastyczną? Dalej krzyżyki, różańce i chuj wie co! Na koniec zalewa się betonem i przysypuje ziemią. Samobójstwo, kurwa, doskonale.

– Zapominasz, że za towar na kokony zapłacono kartą – mruknął Meyer.

Boziłow zdjął rękawiczki, odłożył. Wskazał korytarzyk, który prowadził na taras.

Wszyscy bez słowa ruszyli w tamtym kierunku.

– Kto zadbał o ich pochówek, nie wiem – odezwał się lekarz, kiedy już palili. – Mówię wam tylko to, co zdołałem zauważyć po szybkim otwarciu i pod przymusem – podkreślił z wyrzutem. I jak dzieci przeganiał ich do wyjścia. – Nie noszę, Meyer, kiedy mnie popędzasz. Wiesz o tym. Dlatego muszę was chwilowo wyprosić. Wybaczcie.

Ale Hubert nie dał się zdominować. Zawrócił prosto do sali. Za nim podążyli Matuszak i Kaczmarek. Zrezygnowany Boziłow dreptał kilka kroków za nimi.

– Ten zwyrodnialec, autor poczwórnego samobójstwa swojej rodziny, jest na wolności. Czas nas goni, Mario! – Meyer podniósł głos. – Liczyłem na coś więcej, skoro wszyscy zadaliśmy sobie trud, by odwiedzić piękne miasto Poznań.

– Nie ma innych obrażeń – upierał się doktor. – Podbiegnięć, krwaków, postrzałów, zadzierzgnięć. Nic. Dlatego obstawiam, że uduszenie nastąpiło po założeniu worków foliowych na głowy. Stara, dobra technika. Niestety, skuteczna.

– Nela też sama to sobie zrobiła? – odezwał się pierwszy raz Kaczmarek. – Nie wierzę.

Kręcił głową i rozciągał sobie twarz, jakby chciał ją zedrzyć z czaszki.

– Byli ubrani odświętnie – przypomniał lekarz. – Zauważyliście? Jakby przygotowani do trumny. A te kokony w postaci kołder i folii były rodzajem całunu. Możesz sobie drwić, Meyer, ale wszystko wskazuje na to, że sprawca jakimś sposobem przekonał ich do wypicia trucizny i dobrowolnego założenia reklamówki. To mogę powiedzieć już teraz. Zrobili to sami.

– Ślady walki u dzieciaków? – dopytał z nadzieją Meyer.

Boziłow bezradnie kręcił głową.

– W połączeniu z alkoholem ten rodzaj trucizny działa zaskakująco szybko. Potwierdzę wam to po sekcji. Czekam tylko na prokuratora. A jeszcze muszę coś zjeść, bo potem nie będę w stanie. Zlituj się, człowieku, daj mi pracować – zakończył błagalnie.

Ale Meyer nie słuchał.

– Czym ich naszpikował?

– Na tę chwilę obstawiam toksynę botulinową – westchnął lekarz. – Dokładnie ta sama substancja, która wygładza zmarszczki. Przy podaniu dożylnym wystarczy około dwóch nanogramów na kilogram masy ciała. Przy inhalacji do śmierci doprowadzi trzynaście nanogramów, a przy podaniu doustnym – jeden mikrogram. Zatrucia botuliną są bardzo poważne. Objawy pojawiają się już w ciągu osiemnastu godzin od spożycia z jedzeniem. Do trzydziestu sześciu godzin następuje zgon. Ponieważ byli upojeni etanolem, mogli nie cierpieć tak bardzo. Jedyna nadzieja w tym, że w momencie śmierci byli nieprzytomni.

– Dobry Boże! – Matuszak zwiesił głowę i szybko się przeżegnał. – A więc pogrzebał ich żywcem! Potwór!

– Dla dzieci tego alkoholu nie potrzeba było wiele – zaproponował Boziłow. – Starczyło pół dużej szklanki. Kobieta oczywiście wypła więcej. Butelkę?

– Jakim cudem ktoś zdołał zmusić jedenastoletnie dziecko do wypicia czystego spirytusu? – drążył Kaczmarek.

– Jedenastoletnie? – zdziwił się Boziłow. – Zdaje mi się, że to czterolatka. Ciało najmłodszej ofiary mierzy w porównaniu do metra. Choćby miała jakiś defekt, orientacyjny wzrost jedenastolatki to sto trzydzieści centymetrów, a może i dochodzić do stu sześćdziesięciu.

Wyjął telefon. Pokazał zdjęcie.

Wpatrywali się w falbaniastą sukienkę dziewczynki, jej zielonkawą twarz i idealnie zamknięte oczy. Usta miała rozchylone, jakby się lekko uśmiechała. Rączki złożone w małyryk. Mocno zaciśnięte.

– Coś tu się nie zgadza – powtórzył Meyer. Rzucił niedopałek do popielniczki i ruszył z powrotem do łodówek, nie zważając, że Boziłow próbuje go zatrzymać.

– Otwieraj! – krzyknął do uwijającego się przy stołach preparatora. – Już! Po kolei.

Po chwili przy szufladach ze zwłokami stali już Matuszak z Boziłowem.

– Położył jej monety na powiekach – pokazał Hubert. – Zobaczcie na te kółka. To możliwe?

Odwrócił się do Bożiłowa. Lekarz niechętnie potwierdził skinieniem głowy.

– Sprawdzimy to – obiecał drżącym głosem. – Możecie już iść i nam nie przeszkadzać? Przysięgam, Meyer, nie wezmę więcej żadnego twojego zlecenia. Nie zmusisz mnie formalnie, a i Jadzia niewiele wskóra, bo nie dajesz mi pracować i się we wszystko wpięprasz.

– Przepraszam. – Hubert karnie pochylił głowę, ale zaraz dodał: – Masz rację, to nie jest jedenastolatka. Ona nie ma pięciu lat. Chodziła najwyżej do przedszkola.

W tym momencie do stołu podszedł milczący Kaczmarek. Odepchnął Matuszaka i Meyera, jak rozsuwa się zasłony w ciemnym pokoju po ciężkiej nocy. Jednym stanowczym ruchem.

– Ona nie ma jedenastu lat – powiedział dobitnie.

W pomieszczeniu na chwilę zapanowała grobowa cisza.

– A powinna tyle mieć – dorzucił Matuszak. – Skoro przez siedem lat żyła i została zabita dopiero przed tygodniem. Wszyscy powinni być starsi o te siedem lat, kiedy ich nie było.

– Nie – oświadczył Grzegorz, jakby wydawał wyrok. – Nie powinni. Bo to nie jest Nela Garbarczyk.

Rzucił się do pozostałych lodówek i rozsuwał zamki w workach, w których leżeli zmarli. Kiedy odsłonił ciało matki, wychrypiął:

– A to nie jest Marysia. Ci dwaj nieszczęśnicy nie są jej synami. W aktach macie ich zdjęcia z tamtego okresu. Nie są nawet podobni do Jurka i Brajana.

– No i brakuje jednego kota – zauważył Meyer. – Mówiłeś, że Garbarcykowie mieli trzy sfinksy. Wykopalście dwa.

Odpowiedziało mu milczenie zebranych.

– Więc kto to jest? – zapytał zszokowany Bożiłow.

– Nie mam zielonego pojęcia – wyszeptał Grzesiek.

\* \* \*

– Sprawca z jakiejś przyczyny pominął surogatów Gustawa i najstarszej córki – Wiktorii. Dlaczego? – zapytał Meyer, kiedy siedzieli już w komendzie i przeglądali zgromadzone do sprawy dokumenty.

– Ty mi powiedz – prychnął Matuszak.

Postawił papierowe kubki z kawą przed profilerami i zajął miejsce przy swoim biurku.

– Wiem jedno – podsumował. – Ten skurwysyn się z nami bawi.

– Z nami? Wątpię – odezwał się cicho Grzegorz. – Wykonał pochówek ofiar z pełnym ceremoniałem. Bożiłow ma rację: zadbał o każdy detal misterium śmierci. Gdyby nie wizyta siostry Gucia, nigdy byśmy ich nie znaleźli.

– Kiedyś zbrodnia wyszłaby na jaw – zaproponował Matuszak. – Dom został sprzedany. Zaczęłyby się remont. Ciała w końcu by wydobyto. – Zawahał się. – A może to nie przypadek, że Klara Haselhof akurat teraz pojawiła się na Solaczu? Chyba nikt w tym pokoju nie wierzy, że oni zrobili to sobie sami.

– Nie. Nie zrobili. – Hubert podniósł głowę. Przyjrzał się nadkomisarzowi. – Mówiłeś, że Klara nie przekroczyła progu rezydencji. Zadzwoiła na policję i zażądała asysty, by otworzyć kasę. Czego szukała? Znaleźliście ten sejf?

– Jeszcze nie. Ale powiem wam, że nie podoba mi się, jak zareagowała, gdy okazało się, że zamiast kasy jest dziura w ścianie, a my zaczęliśmy czynności przeszukania lokalu. Dziś rano dostałem raport z tej interwencji. Awanturowała się. Była agresywna werbalnie.

Podał Meyerowi zapisaną maszynowo kartkę. Hubert przeleciał ją wzrokiem, przekazał Kaczmarkowi.

– Ciekawa rodzinka – skwitował.

– Przeklinała brata, że całe życie jej utrudnia i nigdy nie sprzeda tej chałupy – ciągnął Matuszak. – Patrol gonił ją przez miasto z włączonym kogutem. Kiedy ją zatrzymali, pokazała wezwanie do sądu



w Berlinie. Spisaliśmy ją, ale musieliśmy puścić.

Meyer podniósł brew.

– Nie przesłuchaliście jej?

– Kiedy, człowieku? – wzburzył się Matuszak. – Zadzwoiła do mecenasa. Groził nam grzywną w euro i tak dalej. Sprawdziliśmy, czy wjechała na autostradę. Przekroczyła wszystkie bramki. Osobiście sprawdzałem.

– Jaką masz pewność, że dojechała do Berlina? I skąd wiesz, że stawi się na przesłuchanie? Ta kobieta to nasza główna podejrzana.

– Świadek – upierał się Matuszak.

– Który być może przygotowuje właśnie strategię ze swoim papugą, jak nim pozostać i storpedować śledztwo – wyburczał Hubert.

– Jej adwokat obiecał, że Klara się stawi – powtórzył Matuszak. Wydobył z kieszeni karteczkę, na której miał zanotowane nazwisko z numerem telefonu. – Mecenas Andreas Kluge. Kobieta walczy w sądzie z niemieckim mężem o dzieci. Za tydzień zjedzie na stałe do Poznania. Wygra czy nie, przyjedzie. Zresztą nie ma motywu. Od lat dziedziczy nieruchomość po rodzicach. Po Garbarczyku w spadku dostałaby jedynie dług. Ten facet długo przed śmiercią był niewypłacalny.

– I ty jej uwierzyłeś?

– Nie, ale dałem cynk Niemcom. Pilnują jej dyskretnie.

– No to pięknie! – Meyer klepnął się po udach. Wstał. Nerwowo maszerował od okna do drzwi. – Świetna robota, nadkomisarzu! Poczekamy, aż kobieta zdecyduje się współpracować, czy łaskawie wyślesz jej zaproszenie do kraju?

– Rozmawiałem z nią, kiedy była w trasie – wypalił nagle Matuszak. – Dwie godziny wisiałem na telefonie. Nie sądzę, by wiedziała o zwłokach w piwnicy.

W pokoju panowała cisza. Słyszać było jedynie, jak Grzesio siorbie gorącą kawę. Hubert zatrzymał się, włożył dłonie do kieszeni. Czekał.

– No i? – nie wytrzymał. – Czego się dowiedziałeś?

– Twierdzi, że od ślubu z Haselhofem była za granicą i nie utrzymywała kontaktów z Garbarczykami. Ostatni raz widzieli się na pogrzebie ojca. To było niedługo przed zaginięciem Garbarczyków. Zarzeka się, że nie zamieniła z bratem ani słowa – podkreślił. – Wtedy też dowiedziała się, że dziedziczy dom, ale nic z tym nie zrobiła. W jej małżeństwie było dobrze. Przed rozwodem nie miała potrzeby upłynniać niczego, by przetrwać.

– Umiera ojciec Klary i Gucia – wszedł mu w słowo Meyer. – Rodzeństwo spotyka się na pogrzebie. Nie rozmawiają. Klara dziedziczy cały majątek, choć to Gustaw jest w długach. Wkrótce Garbarczykowie znikają. Na razie jestem na bieżąco?

Matuszak potwierdził.

– Klara Haselhof zapewnia, że nie wiedziała o zaginięciu brata – powtórzył. – Od pogrzebu ojca nie wznowili kontaktu. Sprawdzaliśmy ją wtedy i uznaliśmy, że mówi prawdę. Nikt na Sołaczu nie widział polskiej Niemki ani szwagra. Była poza podejrzeniem. Jej nazwisko nie przewija się w aktach, sam widziałeś.

– Siedem lat ciszy? Dlaczego? – przerwał mu znów Meyer. – O co poszło?

Matuszak się wahał. Uparcie milczał, jakby nie znał odpowiedzi.

– O Izaaka Haselhofa. – Do rozmowy włączył się Grześ. – Rodzice i Gucio nigdy nie zaakceptowali wyboru Klary. Kiedy miała szesnaście lat, nawiązała relację erotyczną z przyjacielem domu i zaszła z nim ciążę. Haselhof jest starszy od niej o czterdzieści jeden lat. Klara uciekła z nim, podróżowali po świecie, ostatecznie zamieszkali w Berlinie. Mają siedem córek.

– Siedem? Dobry jest dziadek – mruknął Matuszak. – Jury.

– Bardzo interesująca rodzinka – powtórzył profiler. Spojrzał na Grześka. – Coś tak nagle umilkł?

Kaczmarek odchylił się na krześle.

– Tak sobie myślę, że jeśli Boziłow potwierdzi, że ci nieszczęśnicy, których znaleźliśmy pochowanych w podpiwniczeniu domu Garbarczyków, zginęli dwudziestego września, to byłaby prawie rocznica zaginięcia rodziny Gucia. Może data ma znaczenie?

– Mówiłeś, że Garbarczykowie zniknęli z pola widzenia pierwszego września dwa tysiące cztertnastego – zauważył profiler.

– To my nie widzieliśmy ich od tego dnia – sprostował Grzegorz. – Pierwszy list przyszedł dwudziestego września. A ostatni nie został dostarczony. Listonosz przyniósł go na komisariat i pamiętam, że się dziwiliśmy, bo nikt w Poznaniu nie znał adresata: Helmuta Kischkego.

Kaczmarek poszperał w papierach i wydobyl zapieczętowaną przez prokuratora kopertę. Wyglądała, jakby nigdy nie była otwierana, ale Grzesiek najwyraźniej wiedział, co zawiera. Z trudem ukrywał ekscytację. Spojrzał na Matuszaka, a ten zaważał się, a potem wyrwał z rąk młodego policjanta list i złamał pieczęć.

– To jakaś gazetka religijna? – zdziwił się, wyjmując laminowaną kilkustronicową książeczkę. Obejrzał z każdej strony. – Dwujęzyczna. Po polsku i niemiecku.

Podał kolegom. Z okładki spoglądał na śledczych rozczochrany starzec upozowany na Budę z mnóstwem koralików na przegubach i odziany w kolorowe fatalaszki.

– Zaproszenie – sprostował. – Żadnego adresu, strony internetowej?

Odczytał fragment:

WEZWANYCH JEST WIELU,

WYBRAŃCY – NIELICZNI.

Intensywny trening odnowy umysłu.

Reinkarnacja za życia.

Siła. Dostatek. Normalne działanie.

Sytuacja awaryjna. Niebezpieczeństwo. Nieistnienie. Wątpienie. Wrogość. Zdrada.

Dorientacja.

Przed początkiem była przyczyna,

cały zaś cel przyczyny stanowiło wywołanie skutku.

– To jakiś bełkot – zwrócił się do kolegów, ale czytał dalej: – „Każdy człowiek wyrządza sobie krzywdę, aby ukarać siebie za popełnione wcześniej zło. Sami na siebie to ściągamy. Zapanuj nad swoim życiem i uporaj się z przeszłością”.

Przewertował resztę, a potem pokazał faksymile podpisu na samym dole.

– Izaak Haselhof – odczytał Matuszak i spojrzął na Meyera. – To mąż Klary. Kobiety, która otworzyła tę puszkę Pandory. – Odwrócił okładkę. Wskazał starca. – Facet uważa się za jakiegoś guru.

– I był nim pełną gębą – potwierdził Kaczmarek. – To dlatego Klara nie kontaktowała się z rodziną. Mąż zrobił jej pranie mózgu. Nie tylko jej. Gucio uważał, że Haselhof miał wielu wyznawców, ale nie widzieliśmy, że prowadzi oficjalną sektę.

– Ta kobieta musi być jak najszybciej przesłuchana – oświadczył Meyer, lecz przerwał, bo rozległo się pukanie do drzwi.

Zajrzał sierżant, który wprowadzał profilerów na posesję Garbarczyków. W rękę trzymał pogiętą, gęsto opieczętowaną kartkę. Zwrócił się do Matuszaka:

– Nadkomisarzu, mamy dane właściciela karty, którą płacono za koldry w Meblach za Grosze. Nie zgłoszono kradzieży. Nikt do tej chwili jej nie zablokował.

– Dobra robota, Szałaj!

Szef kryminalnego już był przy drzwiach. Wyrwał dokument z rąk policjanta i bez porozumienia z profilerami przeczytał go pierwszy.

## ROZDZIAŁ 2

# DOSTATEK

**28 września (wtorek)**

**Berlin**

Klara Haselhof dokończyła tworzenie ogłoszenia. Dodała zdjęcia, które zrobiła pod nieobecność brata, kiedy wymknęła się ze stypy po pogrzebie ojca. Nie były aktualne od siedmiu lat, ale policja nie pozwoliła jej wejść do środka, a skoro Gustaw uciekł, nie sądziła, by cokolwiek przez ten czas zmieniło się w jej rodzinnym domu.

Nie wierzyła w zaginięcie rodziny Garbarczyków. Potakiwała, kiedy policjant z kucykiem straszył ją sprawą kryminalną. Chciała jak najszybciej znaleźć się u siebie. Teraz jej plan był klarowny. Sprzedać dom i ziemię na Sołacz, zabrać dziewczynki z Niemiec i wyjechać jak najdalej od Izaaka. Nigdy ich nie znajdzie. Wygląda na to, że tak bardzo się nie różnimy, braciszku – zwróciła się do Gustawa w myślach. – Oboje uciekamy. Kamma jest podstępna. Nigdy nie wiesz, kiedy cię dopadnie.

Po namyśle do ogłoszenia dołączyła zdjęcie pobliskich sołeckich willi, które zbudowano pod jej nieobecność w Poznaniu. Poprawiła opis i obniżyła cenę wywoławczą do pół miliona euro. Zanim zdecydowała się na zrobienie kawy, ktoś zaliczył ją. A potem co chwila rozlegały się powiadomienia o podbijaniu kwoty. Uśmiechnęła się, bo wyglądało na to, że jej rodzinna hacjenda miała szansę wreszcie się do czegoś przydać. Uratują się. Zaczną nowe życie. Klara o niczym innym teraz nie marzyła.

Wstała, otrzepała spódnice i ruszyła do kuchni, by przygotować obiad dla dziewczynek. Powinna go zacząć już godzinę temu, bo o trzynastej musiała być w sądzie. Kroiła tofu, gdy rozdzwoniła się jej komórka. Zerknęła na wyświetlacz. Znow ten policjant z poznańskiej komendy. Nic jej nie obchodziło śledztwo w sprawie poszukiwań Garbarczyków, a przed własną batalią sądową nie zamierzała się denerwować. Telefon wibrował jeszcze chwilę, aż wreszcie umilkł. Słyszała odgłos przychodzących wiadomości. Nadkomisarz Matuszak musiał się wielokrotnie nagrać, a potem słał jej wiadomości tekstowe. Wycierała ręce w ścierkę i zdecydowała się wyłączyć komórkę. W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu stacjonarnego. Znało go niewiele osób. Izaak oczywiście, ich wiekowa gosposia i mecenas, który reprezentował ją przed sądem. Podbiegła do aparatu, podniosła słuchawkę.

– Twój mąż dostarczył zwolnienie lekarskie – oznajmił bez wstępów adwokat. – Mimo to rozprawa nie została odroczone.

– Jestem za – odparła. – Rozumiem, że masz jakiś plan, Andreasie? Jak dobrze pójdzie, za tydzień wracam do kraju. Dziewczynkom odnowiłam paszporty. Walizki gotowe do zapakowania do auta.

– Wstrzymałbym się z tym ruchem – odparł ostrożnie adwokat. – To może być źle odebrane przed wyrokiem.

– Co radzisz?

– Powiem ci po dzisiejszej rozprawie. Będziesz?

– Szykuję się. Ma mnie nie być?

– Przeciwnie. Skorzystamy z nieobecności Haselhofa i zaoramy go. Jesteś przekonana, by nie wyciągać najcięższego oręża?

– Przywództwa sekty? – Zaniepokoila się. – To by oznaczało badania psychiatryczne dziewczynek, a i mnie zaczęliby dokładniej sprawdzać. Również finansowo. Trzy lata byłam skarbnikiem Reinkarnacji za Życia.

– Nie musiałybyście uciekać. Mamy listę świadków z Halnej w Poznaniu, którzy aż się palą, by świadczyć przeciwko Izaakowi. Podpisał z nimi umowy pożyczek, których nigdy nie oddał.

– Dostali w rozliczeniu samochodu – weszła mu w słowo. – Faktem jest, że ich wartość przez te lata spadła, ale w dniu podpisywania umów była miarodajna. Zresztą proces musiałby odbywać się w Polsce. Nie zamierzam ciągnąć za sobą gówna Izaaka. Mam go dość tutaj. Chcę zamknąć ten rozdział.

– Przecież i tak wybierasz się do Poznania. – Mecenas próbował ją przekonać. – Odkąd macie rozdzielną majątkową, wszystko, co ugramy, należy do ciebie.

– Skórka niewarta wyprawki – prychnęła Klara. – Dom jest zadłużony. Moje maserati ma już osiem lat. Zabieram tylko meble, obrazy i trochę szmat. Głównie dziewczynki.

– Na kontaktach stowarzyszenia komornik wykrył kilka tysięcy euro.

– Nie starczy nawet na twoje honorarium – syknęła ze złością.

– To nie jest teraz najważniejsze. Jakby tak poszperać, odkryje się coś jeszcze. Znałem Izaaka dłużej niż ty. Znajdź się – podkreślił. – Wiemy oboje, że Wybrańcy przekazali mu swoje majątki. Trwają procesy, ale jestem dobrej myśli. Czas jest naszym sprzymierzeńcem.

– Nie jemu, lecz fundacji, która ratowała świat przed samozniszczeniem. Reinkarnacja za Życia. Nie czytasz naszych ulotek? – zadrwiła. – A poza tym nigdy ich nie znajdziemy. Nie staną przed sądem, by świadczyć za mną czy przeciwko Izaakowi. To lista samobójców.

– Wszystko jedno. – Mecenas zachował spokój. – Właścicielem kont był Haselhof, a po rozdzieleniu możesz nimi rozporządzać.

– Nie zamierzam. Najpierw musiałabym spłacić piramidalne wierzytelności. Zrzeknę się tego spadku.

– To tak nie działa – zaproponował. – Izaak wciąż żyje.

Klara nic nie powiedziała.

– Udało ci się otworzyć sejf brata? – dopytał. – Twój były mąż wspominał, że Gustaw go okradł. Może wśród dokumentów, które zrabował, są akty darowizny?

– Zapomnij o sejfie – ucięła Klara. – Mam inny pomysł na opłacenie twojego honorarium. Widzimy się w sądzie.

– Skoro tak – rzekł prawnik bez przekonania – to do zobaczenia. Tylko nie licz dzisiaj na pełen triumf. Haselhofa nie będzie. Odbiorą twoje oświadczenie i odroczą. Ale może uda nam się uzyskać pozwolenie na wywóz twoich dzieci z kraju.

– To wspaniała wiadomość. – Klara szczerze się ucieszyła. – Coś jeszcze? Bo nie zdązę zrobić curry. Najmłodsze dziewczynki wracają za godzinę. Chcę wyjść, nim wataha wilczyc zjedzie do domu. Na tostach i knoppersach długo nie pociągniemy.

Po drugiej stronie przez długą chwilę panowała cisza. Wreszcie adwokat rzekł:

– Oddzwoni do tego policjanta z Polski. Nagabuje mnie od rana.

– Tak zrobię – zbyła go Klara. – Jak tylko wyjdę z sądu, odezwę się do niego.

– Myślę, że powinnaś porozmawiać z nim od razu. – Andreas odchrząknął. – Ale wpierw obejrzyj polskie wiadomości. W naszym domu znaleziono ciała.

– Ciała? – powtórzyła jak echo. Nogi miała jak z waty. Była skołowana. Przed oczyma zrobiło jej się nagle ciemno. – W moim domu? Jesteś pewien? Wczoraj mówiłam z tym policjantem. Nic nie wspominał. Przecież ja dosłownie w tej chwili próbuję sprzedać ten lokal i ziemię! To był mój plan rezerwowo na twoją gaź. Zablokuj te informacje! Nikt nie może się dowiedzieć!

Wkurzyła się i zaczęła kląć po niemiecku.

– Nie mam jak! – Andreas nie pozostał jej dłużny. – Dopiero wydobyto je z podpiwniczki. Mówią, że twój brat pozabijał żonę i dzieci. Jest poszukiwany. Na głównych portalach wisi jego zdjęcie. Ludzie organizują składki na nagrodę za ujęcie brutalą.

– Muszę dokończyć ten obiad – przerwała Klara. – Widzimy się w sądzie.

Rozłączyła się.

\* \* \*

## POZNAŃ

– Nie odbiera. – Matuszak odłożył słuchawkę na widełki i spojrzał po zebranych. – Trudno mi w to uwierzyć, ale chyba zostałem wydymany przez matkę siódemki dzieci. Dzwonię do Niemców, żeby ją przejęli.

– To jeszcze nic nie znaczy – powstrzymał go Hubert. – Lepiej jej nie splotyć.

Odsunął się od komputera, na którym wyświetlało się dossier drobnego malwersanta, jakim okazał się Helmut Kischke. To na niego wystawiono kartę, której użyto do zakupu kółder w Meblach za Grosze. Kartoteka polskiego Niemca była wypełniona wyrokami w zawieszeniu. Odsiedział też osiem miesięcy w poznańskim więzieniu za niezapłacenie grzywny. Ostatni adres wskazywał na ulicę Limanowskiego. Matuszak od razu posłał tam patrol. Mieszkanie okazało się pustostanem. Lokatorzy nie znali nikogo o tym nazwisku.

– Dopóki nie przyjadą kompletne akta, nie mamy jego fotografii – narzekał Matuszak.

– Gdyby WERA została wdrożona, wrzuciłbyś nazwisko gościa w system i miałbyś go wraz z powiązaniem – oświadczył Meyer.

– Marzenie! – skwitował kpiąco Matuszak. – Ale jak na razie muszę czekać na listonosza. Daj Boże, żeby w rejestrze potraktowali mój monit jako pilny.

– Przynajmniej wiemy, kim jest adresat tego zaproszenia. – Kaczmarek podniósł biuletyn z wizerunkiem Izaaka Haselhofa stylizowanego na guru.

– I co nam to daje? – Matuszak zdjął gumkę z włosów, zebrał je na plecach i znów związał. Niewiele pomogło to wizerunkowi, ale trochę się uspokoił. – Klient jest nieuchwytny. Ostatni raz widziano go, kiedy opuszczał nasz areszt. To było trzy lata temu. Nawet jeśli przyślą mi zdjęcia sygnalityczne, mógł zmienić wygląd, przytyć, schudnąć, a nawet umrzeć.

– Ktoś zapłacił jego kartą za koldry do zawinięcia ciała – zauważył Kaczmarek.

– To oszust. Mógł wyrobić dziesiątki takich kart. Rozesłaliśmy zapytania i czekamy na dane z banków. RODO nam nie pomaga, a prokurator udaje Piłata.

Siedzieli jakiś czas w ciszy. Pierwszy odezwał się Meyer.

– Nie chciałbym ci się wpieprzać, ale powinniśmy podzielić się zadaniami. Mamy sprawę zaginięcia Garbarczyków sprzed lat, świeże cztery ciała N.N. i Helmuta oraz Klarę, którzy łączą obie te sprawy. Jeśli siostra poszukiwanego będzie unikała kontaktu, któryś z nas może pojechać do niej. Nie chciała góra do Mahometa... Grzesiu, wziąłbyś mój wóz. Autostradą do berlińskiego sądu dotrzesz w trzy godziny. Skoro jej wizyta na rozprawie jest obowiązkowa, przydobyjesz ją na gorącym. Zna cię, trudniej będzie jej zwiąć.

– Albo łatwiej. – Kaczmarek był sceptyczny. – Zawsze mogę wziąć ją na obiad i przesłuchać nieoficjalnie.

Matuszak wolno kiwał głową.

– Jedź od razu – zdecydował. – Nie będę czekał, aż matka siedmiorga dzieci łaskawie oddzwoni. Śmierdzi mi to na kilometr.

Hubert podał Grzegorzowi kluczyki.

– Dowiedz się, gdzie mieszka jej były małżonek. Z panem apostołem trzeba rozmówić się niezwłocznie.

– Najlepiej ściągnij go do nas. Jak nie będzie chciał po dobroci, weź go siłą – zastrzegł Matuszak. – Już składam wnioski o współpracę. Skoro Haselhof to niemiecki sekciarz, musi mieć u nich kartotekę. Nasza pęka w szwach i wystarczy na zatrzymanie na czterdzieści osiem.

– A wy? – zapytał Kaczmarek, wychodząc. – Rozumiem, że raportujemy na bieżąco?

– Na bieżąco. I melduj się jemu. – Matuszak wskazał Meyera. – Ja zajmę się czarną robotą. Monitoring, genetyka, przeszukiwanie listy zaginionych, przepytywanie mieszkańców Sołacza. Chcę jak najszybciej wiedzieć, kim są dzieciaki i kobieta pochowani w piwnicy Garbarczyków. Puszczam w miasto swoich najlepszych wywiadowców.

Hubert sięgnął po zaproszenie na spotkanie Reinkarnacji za Życia.

– To ja pójde się pomodlić.

– Dokąd? – zdziwił się Matuszak. – Przecież nie ma adresu.

\* \* \*

Meyer zaparkował przed kościołem Najświętszej Marii Panny na Ostrowie Tumskim i skierował się wprost do palatium. Łańcuch zagradzał mu drogę, więc ukląkł na schodkach i przeżegnał się, wpatrując się w kapiącą od złota komnatę, gdzie po jednej stronie leżał ponoć Mieszko I, a po drugiej Bolesław Chrobry.

Przymknął oczy. Wera pojawiła się od razu. Czuł ciepło bijące od jej rozgrzanego ciała. Wrażenie było tak sugestywne, że zapragnął jej dotknąć. Wyciągnął w myślach dłoń, ale zaraz ją cofnął, by Wera nagle nie zniknęła. Ostatnio przychodziła coraz rzadziej, a on straszliwie tęsknił. Zaciśnął mocniej powieki. Niemal słyszał, jak Weronika śmieje się beztrosko, i sam się uśmiechnął na widok jej zmarszczonych z politowaniem brwi. Ktoś zagrzeczołał kadzielnicą. Mara uleciała. Otworzył oczy.

Obok niego stał karzełkowaty zakonnik o rumianej twarzy. Nie zwracając uwagi na Meyera, zabierał się właśnie do czyszczenia furty.

– Szukam ojca Strusia – zagał Hubert, spoglądając wprost na wystrzyżone kółko na głowie mnicha. – Mam nadzieję, że go nie przenieśli. Nie byłem u was ze dwanaście lat.

Młody zakonnik zadarł głowę i spojrział na Huberta z wyższością.

– Nie przenieśli – odparł z flegmą. – Jest w psalterii.

Profiler zerwał się i ruszył w kierunku, w którym patrzył mnich.

– Ale tam nie można wchodzić! Ojciec Struś całą noc czytał psalmy, a teraz sprząta po mszy. Należy mu się odpoczynek. On ma prawie osiemdziesiąt lat!

Meyer go nie słuchał.

– Stój, bo zawołam policję! – Malutki mężczyzna zdecydował się na groźbę. – Ochrona! Pani Magdo, pani dzwoni! – krzyczał do kobiety sprzedającej dewocjonalia przy wejściu. A potem wyjął zza paska krótkofalówkę i powtarzał jak katarynka: – Intruz! Nawa boczna lewa. Uwaga, intruz! Proszę o wsparcie. Odbiór.

Wierni i turyści zgromadzeni w katedrze zatrzymywali się, przyglądając się komicznej scenie z zaciekawieniem. Hubert też stanął w miejscu, odetchnął głęboko. Wpatrywał się w karzełkowatego zakonnika z krótkofalówką w dłoni i z trudem powstrzymywał się, by nie wybuchnąć śmiechem. Wyjął odznakę, podsunął młodzieńcowi pod nos.

– Powiedz, że przyszedł inspektor Meyer z Komendy Głównej.

– W sprawie? – Zakonnik wziął się pod boki. – Ma pan broń? Muszę ją zarekwirować.

– Owszem, ale nie ze sobą. Kiedy indziej ci pokażę – wychrypiał profiler. Marszowym krokiem skierował się do wyjścia. – Czekam pod filarem z Matką Boską. Przekaż, że będę stał do skutku. Niech Struś zabierze swoją listę gjaurów. Pilnie potrzebujemy jego pomocy.

\* \* \*

Staruszka przywieziono na wózku. Na głowie miał tylko kilka sterczących białych kepek włosów, twarz w kolorze pszczelego wosku, oczy zmatowiałe. Zdawał się niewiele większy od karzełka, który narobił rabanu w katedrze, lecz powitał profilera szerokim bezzębny uśmiechem. Gdy tylko rosy zakonnik zablokował wózek i się oddalił, starzec dziarsko poderwał się do góry i uściskał Huberta, jakby witał wnuka niewidzianego od lat.

– Awansowałeś, Bercik – pochwalił Meyera świszczącym szeptem. – I paliłeś!

Pokiwał żartobliwie palcem. Hubert pochylił głowę.

– Tylko dwa, ojczu. Strasznie długo kazali mi na ciebie czekać.

– W ramach pokuty za popis w katedrze – roześmiał się mnich.

– Ale odszedłem pod ogrodzenie. I nic nie naśmiecilem. – Pokazał puste pudełko z niedopałkami w kieszeni.

Ojciec Struś uśmiechał się jeszcze chwilę, a potem nagle spowaźniał.

– Prowadzisz to śledztwo – odgadł. – Inaczej odwiedziłbyś mnie dopiero w więciem i zniczem „Odpoczywaj w spokoju”.

– Znasz tego heretyka? – Hubert wyciągnął zaproszenie na spotkanie Izaaka Haselhofa. – Słyszałeś o jego grupie?

Ojciec Struś długo wpatrywał się w wizerunek guru na laminowanej okładce.

– Nie przypominam sobie – oświadczył wreszcie. – To nie mogła być liczna sekta. Wiesz, że nie prowadzę już stowarzyszenia? Pięć lat temu przeor uznał, że trzeba je zamknąć. Miałem kilka udarów, zdrowie mi się posypało, ale to nie ze względu na PESEL zwinąłem manatki. Nie ma już w Polsce mody na sekty. Ludzie trenują jogę, segregują odpady, przechodzą na wegetarianizm. Są zbyt mądrzy i wygodni, żeby dać się ubezwłasnowolnić jednemu człowiekowi. No i od tego mamy teraz polityków. Ale moim zdaniem nikt tak naprawdę im nie ufa. Rozdają darmowe pieniądze, to ludzie siedzą cicho. Do kościoła przychodzi zastrasżająco mało wiernych. Większość odwiedzających katedrę to turyści. Jest kryzys wiary. – Urwał. – Światem rządzi pieniądź i cyfryzacja. Co zapowiadałem już dekadę temu. Nie sądziłem, że tego dożyję.

– Ta ulotka pochodzi z czasów sekciarskiego apogeum – wyjaśnił Hubert. – Ma siedem lat minimum. Ci ludzie mogli działać od lat dziewięćdziesiątych. A może to ślepy zaulek? Na tym etapie wszystko jest możliwe.

Struś obejrzał książeczkę dokładnie. Przeczytał kilka wersów, zamruczał coś pod nosem.

– Chodzi o przestępstwo przeciwko życiu?

– Cztery ciała znalezione w piwnicy na Sołaczcu. Były zawinięte jak poczwarki. Sprawca o zdobił je dewocjonaliami i bardzo się natrudził, byśmy ich nie odkryli za szybko. Niestety, zbieg okoliczności sprawił, że sprawa wyszła na jaw tydzień po zabójstwie. Trwa dochodzenie. Biorę w nim udział.

– Widziałem w telewizji. – Zakonnik pokiwał głową. – Modliliśmy się dziś za tych nieszczęśników. Znałem Gustawa Garbarczyka, jego ojca, a także dziada. Taki już jestem stary. Dziadek Gucia ma u nas tablicę intencyjną. Sporo przeznaczał na odpust win. Widać musiał mieć powód. – Struś uśmiechnął się słabo. – Ale miły był z niego człowiek. Dobry złotnik. Nie ma już takich rzemieślników. Zmarł we śnie, jak to się mówi. Życzyłbym sobie tak odejść. A dzieciaki Gucia chrzcili mój znajomy ksiądz z Sołacza. Chcesz, zadzwonię, żeby Jacek z tobą pomówił. On chował też ojca Gucia. I matkę. Tych dwojgu nie dane było odejść bez cierpienia. Tylko nie strasz go bronią jak naszego Marcinka. Brat najmniejszy z małych do śmierci tego nie zapomni. – Zakonnik uśmiechnął się z satysfakcją, a w oku błysnęła szelma. – Garbarczykowie byli ze sobą żyłci. Bardzo hermetyczna rodzina! Nie uwierzyłem, kiedy dziennikarze zaczęli mówić, że z Gucia taki grzesznik. Był tylko słaby. Narwany. Żarłoczny. Ale nawrócił się i pod koniec żył jak misjonarz. Świat duchowy nie miał przed nim tajemnic. Nie ma już takich ludzi. Wiesz, że przed ich zniknięciem pod furą klasztoru zostawiono intarsjowaną szkatułę z pieniędzmi? Rozpoznałem ją. Należała do ojca Garbarczyka. Trzymał w niej stary rewolwer. Ten, kto ją podrzucił, nie zostawił karteczki. Ofiarę uznano za anonimową, ale ja wiem, że to był Gucio. Jaki grzech chciał odkupić trzema tysiącami dolarów? Nie pytaj, miał ich wiele. Bardzo wiele.

To Huberta zainteresowało.

– Jawi mi się ten człowiek jako pełen sprzeczności – oświadczył. – Każdy ma na jego temat inną opinię. Są tak różne, że w głowie mi się miesza.

– I Gustaw taki był. Nieodgadniony. Jak każda wybitna jednostka, która kroczy własną ścieżką. Nie był zły. O nie! On wierzył. Czasami nawet to bardzo. Nie wszyscy są gotowi na iluminację. To prawda ludzi w osłupienie. A czasami budzi agresję.

Hubert wpatrywał się w łagodną twarz mnicha.

– Co zaszło na Halnej przed zniknięciem Garbarczyków?

– Przeniasz mnie. – Struś uśmiechnął się i odwrócił głowę. – Nie jestem Bogiem, a tylko Stwórca wie, co tam zaszło.

– Gucio ci się nie spowiadał?

– Przychodził rozmawiać, a jakże – potwierdził zakonnik. – Czasami kłął, krzyczał, bo był z tych porywczych, którzy pieniąż się, a potem żałują. Byliśmy bardzo blisko, ale nie tak jak przyjaciele. Różnica wieku, doświadczeń, sam rozumiesz. Traktował mnie jak ojca, wuja, coś w tym sensie. Może mentora. – Zatrzymał się. Zawahał. – Nie popierałem wielu jego praktyk, choćby w biznesie, i wcale tego nie ukrywałem. Łączyły nas ideały religijne, i o tym głównie perorowaliśmy. Czasami zostawał w odosobnieniu. Milczał całymi tygodniami. Nie wyznam ci nic, co miałoby związek z Marysią i dziećmi, bo rzadko się wywnętrzał na tematy rodzinne. A że na sumieniu miał wiele win i każdą starał się odpracować, to było jasne. Posłuchaj, co ludzie plotkują na Sołacz, prawie wszystko to prawda. Marysia nie była taka duchowa. Nie rozumiała jego uniesień, ale byli razem dla dzieci.

– Znałeś ich wszystkich?

– Nigdy nie byłem u nich w domu. Widywałem ich w katedrze, nigdy na mszach. Należeli do kółka odnowy i swego czasu przychodzili na wszystkie dyskusje. Jeździli na złoty, słuchali przemówień zapraszanych pastorów. Wtedy byliśmy bardziej otwarci, a ja prowadziłem swoje stowarzyszenie. Udzielali się w nim nadzwyczaj aktywnie. Także rodzice Gucia, kiedy jeszcze żyli. Obrona przed sektami to była sól ich życia. Bóg doświadczył ich w tej materii niczym Hioba.

– Ten facet na zdjęciu to szwagier Gucia – powiedział Meyer. – Nazywa się Izaak Haselhof. Ponoć uwiózł ich córkę, kiedy nie była jeszcze pełnoletnia, i wywiózł z kraju. Nie widywała się z rodzicami do ich śmierci. Zerwała całkiem kontakt. Jak to możliwe, że nigdy go nie widziałeś?

Profiler zmarszczył brwi, zacisnął szczęki, ale starzec tylko pokiwał głową w odpowiedzi, jakby w tej chwili odnalazł ostatni puzzel układanki.

– Teraz wszystko rozumiem – oświadczył. – Stare Garbarczyki opowiadali o nim jak o diable wcielonym. Nigdy nie poznali wnuków, a mieli ich po córce siedmioro. Moim zdaniem matka Gustawa i Klary zmarła na nowotwór właśnie z tej przyczyny. Obwiniała się. Nie potrafiła sama sobie wybaczyć. Ojciec najpierw walczył po męsku. Procesował się z zięciem, nasyłał na niego zbirów. Bezskutecznie. Klara nie wróciła. Nie odbierała listów, rodzinne pieniądze jej nie interesowały. Przekazy wracały, a ludzie na Sołacz plotkowali, że mąż Klary to bogacz. I że dorobił się nieuczciwie. Na czym, nie wiem. I czy to, co gadano, to prawda. – Struś uderzył się w wątlą pierś. – Haselhof nie był w Poznaniu. Tylko raz Klara przysłała kilka fotografii córek. Bóg nie poskąpił im urody. Starsza pani Garbarczyk życzyła sobie, by włożył je z jej ciałem do trumny. Z tego, co wiem, prośbę spełniono.

– A Helmut Kischke? – Hubert chwycił się ostatniej deski ratunku. – To nazwisko przewija się w sprawie.

Zakonnik zastanowił się chwilę.

– Coś mi to mówi.

Wyciągnął rulon grubego papieru poplamiony atramentem i zatłuszczony na bokach. Zwój był zawieszony na mosiężnej rolce, jakby pochodził ze średniowiecza. Hubert przytrzymał jeden z końców, a Struś długo wiodł palcem wzdłuż listy nazwisk.

– Jest – zameldował z triumfem w głosie. – Prowadził małą grupę politeistów z elementami pogańsko-kosmicznymi.

Hubert poprawił okulary spadające na czubek nosa.

– To znaczy?

– No wiesz, wiara w wiele bóstw typu Słońce, Duchy Rzek, różne nazewnictwa Wojowników Wiatru. Do tego energia kosmosu, planety, gwiazdy, komety uderzające w ziemię i zwiastowanie Apokalipsy. Święte zwierzęta. I reinkarnacja za życia oczywiście, bo po śmierci zostajesz kosmitą. – Struś brzydko się wykrzywił. – Mieli stronę internetową.



Hubert pochylił się do zapisków mnicha. Zrobił zdjęcie krótkiej notki.

– Mała grupa to znaczy ilu wyznawców?

– Kilkudziesięciu – odrzekł Struś. – Maksymalnie trzydziestu stałych członków. Powyżej tej liczby roztaczaliśmy parasol nad zgromadzeniem. Tutaj takiej adnotacji nie mam i też ich nie pamiętam. Żadnego zdarzenia z ich udziałem. Z tego wnoszę, że nie byli groźni. Nie zarejestrowaliśmy uprowadzenia, uwięzienia lub rabunku majątku, jak w przypadku innych zgrupowań. No wiesz, ich wykładnia kupy się nie trzymała. Nawet wtedy mało kto wierzył, że zostanie E.T. w raj. Zresztą oni nie wierzyli w raj.

– A w co? W piekło?

– Głównie gromadzili pieniądze.

– Ciekawe – mruknął Hubert. – Pod płaszczykiem organizacji parareligijnej działała piramida finansowa?

– O nie! – Staruszek się roześmiał. – Chcieli zbudować rakietę.

– Znaczy się to była kupa świrów? Fantaści science fiction? Kosmოდzy?

Struś wzruszył ramionami.

– Perpetum mobile odnowy duchowej. Czy coś takiego? Z tego, co wiem, nigdy nie powstała. Grupa się rozpadła w dwa tysiące czteremastym roku.

– Jesteś pewien? Jaki miesiąc? – ożywił się profiler.

– W sierpniu wyrejestrowali się z listy kościołów. Możesz to sprawdzić w urzędach. Ale jestem pewien. – Pokazał adnotację w swoim zwoju.

– Spotkałeś się z tym Kischkem?

Mnich pokręcił głową.

– Mówiłem ci, traktowaliśmy ich jako fantastów kosmosu. Interesowali się astronomią, fizyką kwantową, ogólnie naukami ścisłymi. Było wśród nich kilku inżynierów. Ot, spotykali się jak kółko zainteresowań i oglądali filmy.

– Gdzie?

– W różnych miejscach. Ogłaszali się przez stronę. Raczej nie mieli własnej siedziby.

Hubert westchnął ciężko. Wpisał w wyszukiwarkę nazwę strony z rulonu zakonnika, ale wyskoczyła mu informacja, że nie można jej otworzyć.

– Masz coś więcej? Może listę członków? Chociaż jedno nazwisko poza Kischkem? Z jakiej dziedziny inżynierowie do nich należeli?

– Niestety nie pamiętam. – Zakonnik rozłożył ręce. – Ale wiem, jak się rozpoznawali. Używali trzech czerwonych koralików, które nosili na szyi albo przegubie dłoni. Nic specjalnego. Zwykła ozdoba na złotym łańcuszku albo nitce.

Hubert wyszukał w telefonie zdjęcie, które Matuszak przekazał swoim analityczkom z wydziału. Było makabryczne i zawahał się, czy pokazywać je ojcu Strusiowi, ale nie miał wyjścia. Szyje dwóch pozbawionych sierści kotów spleciono naszyjnikiem z czerwonych koralu.

– Tak – odparł od razu mnich. – To było coś takiego. Ale te korale były trzy, nie cały sznur. – Zawahał się, odwrócił głowę ku figurze Matki Boskiej. A potem dodał: – Przypomniało mi się jeszcze, że jednym z bóstw, według ich wierzeń, były właśnie koty. Wyznawcy Kischkego uważali je za inkarnację Kosmicznej Mocy. Po śmierci ludzie mieli przyjąć taką właśnie strukturę, tyle że cyfrową, mechaniczną. Największą zbrodnią w ich świecie było zabicie kota. Tak jak w Indiach święte są krowy.

\* \* \*

## OKOLICE GÓRY MORASKIEJ

Kot przeszedł po klawiaturze i zatrzymał się, zasłaniając kobiecie monitor, ale ona nie zareagowała. Uśmiechała się tylko tajemniczo. Nawet się nie skrzywiła, kiedy pozbawiony sierści kocur kontynuował swoją przechadzkę w przeciwnym kierunku.

– A więc one nie wychodzą? – Matuszak stracił wreszcie cierpliwość.

Gdy Urszula Cania zadzwoniła, że zamordowane koty pochodzą z jej hodowli, zdecydował się przesłuchać ją osobiście, ale teraz żałował decyzji. Tracił czas.

– Sugeruje pani, że ktoś je wprowadził?

– Porwał, ukradł podstępnie i z rozmysłem – powtarzała. – To były nasze najstarsze okazy. Chłopiec miał ponad dwadzieścia lat. Dziewczynka – szesnaście, ale jeszcze rok temu miała młode. Lilia jest ich córką. Teraz to ona zmuszona będzie zostać przywódczynią stada. Nie jestem do końca pewna, czy jest na to gotowa.

Matuszak podniósł brew i zastanawiał się, czy kobieta jest w pełni władz umysłowych. Patrzył, jak bierze zwierzaka na kolana, gładzi jego bezwłosy tułów. Między nogami Matuszaka kręciło się stado zwyczajnych dachowców. Policjant nie mógł się doczekać, kiedy wydostanie się z progów tej ksantypy.

– Jakim sposobem?

– Nie mam pojęcia. – Hodowczynie wzruszyła ramionami. – Drzwi zawsze są otwarte. Żyjemy ekologicznie, nie krzywdzimy nikogo i wierzymy, że ta energia będzie nam oddana. Tak było przez całe lata. Nasze sfinksy nas chroniły.

– Czyli nie odkryła pani śladów włamania? – przerwał jej nadkomisarz. – I nie wie pani, kiedy dokładnie potencjalny sprawca wdarł się do waszego domu?

– Tego akurat jestem pewna – zaoponowała. – Dwa tygodnie temu zjawił się klient. Przyjechał, obejrzał gospodarstwo. Miał pieniądze na dwa okazy, ale nie chciał młodych. Był zainteresowany Dziewczyną i Chłopcem.

– Nie nadajecie im imion?

– Pozostałym tak, ale te pierwsze to początek naszej hodowli. Rodzice ich nie nazwali. Kontynuowałam tę tradycję.

– Jak wyglądał ten człowiek? – Matuszak wyjął notes i długopis. – Byłaby pani w stanie go rozpoznać?

Kobieta zawahała się.

– Średniego wzrostu, korpulentny – zaczęła. – Na nosie metalowe okulary w kształcie prostokątów. Włosy zgolone maszynką jak u kibola, ale i tak miał fizis księgowego. Czarny polar z kapturem i bojówki wcale do niego nie pasowały. Wyglądał jak przebieraniec. Kaptur zsunął, dopiero kiedy wszedł do mieszkania. Jakby obawiał się, że ktoś zobaczy go na podjeździe. Czułam niskie wibracje. Energia lęku biła od niego na kilometr. Już wtedy wiedziałam, że za żadne pieniądze nie dostanie żadnego z moich kotów. Zaczęły prychać, uciekać, syczeć. Wreszcie pochowały się po kątach. Nigdy się tak nie zachowują. Są oswojone z ludźmi. Z dobrymi ludźmi – podkreśliła. – Pan zobaczy, spacerują sobie po stole i łąszą się do pańskich łydek. Gdybym puściła Lilię, zaraz usiadłaby panu na kolanach. One mają radar ustawiony na porządnym ludzi. Złych unikają. To zwierzęta magiczne, są jak odbiorniki mocy.

– Aha – ziewnął Matuszak. – Odbiorniki. Jasne.

– A na widok tamtego faceta dostałam gęsiej skórki na całym ciele. Nosił buty identyczne jak pan.

Matuszak obejrzał swoje obuwie, jakby zobaczył je pierwszy raz w życiu. Na nogach miał buty szturmowe z przydziału brygady AT, które dostał od kumpla. Nie dało się ich kupić nawet na czarnym rynku. Każda para była rejestrowana i tworzyła komplet z jednostką broni. Matuszak posiadał takowy. Zastrzygł więc uszami i dopytał:

– Jest pani pewna?

– Mąż kupował mustangi w rozmiarze czterdzieści sześć od waszych policjantów – potwierdziła z zapalem i mocniej przytuliła swoją cenną kotkę.

– Nazwisko – mruknął. – Obiecuję, że nie będzie miał kłopotów. To ważny trop.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Niestety nie znam. A mąż nie jest już w stanie udzielić takiej informacji. – Urwała. – Rzadko kiedy mnie poznaje. Jest na silnych lekach przeciwbólowych.

Matuszak zmilczał jej odpowiedź. Zanotował sobie w notesie, by sprawdzić trop butów i małżonka Cani. Wpatrywał się w spacerującego kota i myślał tylko o tym, że jego żona nosiła to samo imię – Lilianna.

– Mawiał, że można je nosić zarówno latem, jak i zimą – kontynuowała. – Na gospodarce takiej jak nasza solidne obuwie się przydaje.

– Co hodujecie jeszcze poza kotami?

– Kangury – westchnęła. – Ale to już praktycznie przeszłość. Byliśmy jedynym schroniskiem dla tych zwierząt w Europie Środkowo-Wschodniej. Teraz zostały nam tylko rasowe koty. No i ratujemy dachowce. Szczepimy, sterylizujemy, odrobaczamy i czipujemy. Znajdujemy im nowe domy. Na zasadzie pogotowia dla zwierząt.

Matuszak wpatrywał się w kobietę oniemiały.

– Ma pani wszystkie pozwolenia do hodowli kangurów? One nie występują przecież w naszym klimacie.

– Mieliśmy. Wszystko było legalne. Pan sobie nie wyobraża, jak wielki popyt był na największych zwierzęcych bokserów. Nadal jest mnóstwo nielegalnych hodowli, bo kiedyś gangsterka potrzebowała ich ogromne ilości do walk.

– Nic nie słyszałem – parsknął Matuszak, ale przyjrzał się kobiecie z respektem.

Jeśli jest w pełni władz umysłowych, to ma osobliwe poczucie humoru, albo minęła się z powołaniem i powinna była zostać aktorką. Zdecydował, że pozwoli jej pleść, co tylko chce. Notatka z tego spotkania i tak będzie krótka, jeśli w ogóle powstanie.

– Ta tradycja pozostała – ciągnęła tymczasem Cania. – Ratowaliśmy je, przechowywaliśmy i, no cóż, rozmnażaliśmy na potrzeby ogrodów zoologicznych oraz innych instytucji. Także do badań farmakologicznych. Był z tego niezły pieniądź swego czasu. – Urwała. Milczała dłuższą chwilę. – Wie pan, kiedy ten facet przyszedł po moich patronów stada, sądziłam, że interesują go kangury do walk. Biła od niego niska energia. Ostatkiem sił postarałam się nie okazać strachu. Powiedziałam, że Dziewczyna i Chłopiec nie są do sprzedania, a on skłonił się i po prostu wyszedł. Obejrzał wszystko dokładnie i jestem pewna, że zauważył, że nie mam monitoringu, alarmu i tych wszystkich nowoczesnych zabezpieczeń. Dwa dni później moje koty zniknęły. Pojechałam do szpitala, do męża, a kiedy wróciłam, na spotkanie wyszła mi Lilia. Jakby zrozumiwała, że teraz ona stoi na szczycie rodu.

– Pani mąż jest chory?

– Białaczka. – Kobieta pochyliła głowę. – Ostatnie stadium. Bardzo szybko to poszło.

– Przykro mi.

Stał chwilę, nie mówiąc ani słowa. Podszedł do okna i przyjrzał się profesjonalnej zabudowie klatek. Siatka ciągnęła się jak okiem sięgnąć, aż do zagajnika.

– Dlaczego nie mieliście zabezpieczeń? Jeśli prowadzi się tego typu hodowlę, to wręcz nieodpowiedzialne.

– Kiedy były kangury, nikt nie miał odwagi wejść do nas bez pukania. Ludzie umawiali się z wyprzedzeniem. Koty sprzedawaliśmy raz na kilka lat, bo sfinksy są bardzo płodne, ale trudno utrzymać młode. To dar. – Urwała. – Jak jeszcze mąż był zdrowy, wszystko przebiegało inaczej. Dopiero trzy miesiące temu syn dał ogłoszenie o likwidacji pogotowia dla kangurów. Mieliśmy ich trzynaście. Znałam każdego od dzieciństwa. I trochę nam zajęło, żeby znaleźć im domy. Ostatni odszedł dwa tygodnie temu. Pilnował obejścia i chciałam nawet, żeby został, ale syn dużo pracuje i nie może mi pomagać. Zostałyśmy same: ja, ciotka, jej trójka dzieci. No i Lilia z młodymi. Nie poradziłybyśmy sobie. Choć wkładałam buty męża i się starałam. – Pokazała obuwie stojące przy progu.

Matuszak spojrzął w tamtym kierunku i dostrzegł identyczne mustangi jak własne. Faktycznie rozmiar był słuszny. Zerknął dyskretnie na nogi kobiety. Była otyła, ale stopy miała jak Calineczka.

– Podejrzewa pani, że ten niedoszły klient wiedział o likwidacji kangurzej fermy?

– To nie była ferma! – oburzyła się. – Warunki miały lepsze niż egzotyczne zwierzęta w zoo. Zapewnialiśmy im troskę, zabawy i godny byt materialny!

– Hodowli. – Matuszak odchrząknął. – Nie chciałem obrazić pani świętych stworzeń.  
– Pan mi nie wierzy! Pan ze mnie kpi!  
– Proszę odpowiedzieć na pytanie – uciął dyskusję nadkomisarz.  
– Tak myślę – potwierdziła, wciąż naburmuszona. – Od początku chciał je ukraść. To, że jest zainteresowany kupnem kociaków, było tylko legendą. Prosty sposób, by wedrzeć się do domu i zebrać dane.

Potała oczy, jakby powstrzymywała płacz, i wskazała na ogłoszenie, które wreszcie się załadowało, kiedy Lilia przestała chodzić po laptopie.

– Rozwiesiliśmy je także stacjonarnie. Drukowałam ulotki, jeździłyśmy po mieście i oklejałyśmy przystanki, drzewa w parkach, wejścia do klatek schodowych. Bez skutku. – Zawahała się. – W końcu w telewizji powiedzieli, że zabójca ukrył dwa koty pod drzewem jabłoni na posesji Garbarczyków. Pokazali też zdjęcie poszukiwanego. Ojca rodziny... – Umilkła.

Matuszak podniósł podbródek, wbił w nią spojrzenie. A potem sięgnął do kopii akt podręcznych, które zabrał ze sobą i cały czas miał pod pachą, nie licząc już, że mogą mu się przydać. Wybrał powiększone zdjęcie z listu gończego Gustawa Garbarczyka.

– To mógł być on?

Urszula przyglądała się fotografii bez słowa, jakby nie mogła się zdecydować. Wreszcie wolno pokiwała głową.

– Zmieniał się. Przytył i ściał włosy na zero, ale jestem pewna, że to był on – wychrypiała. – I wie pan, na biodrze miał takie jakby zgrubienie. – Wskazała kaburę z glockiem przytwierdzoną do pasa Matuszaka. – Coś takiego. Tyle że bez opakowania.

\* \* \*

## **POZNAŃ, SOŁACZ**

Na plebanii pachniało mirrą, palonym drewnem i świeżymi racuchami, a od tych woni Hubertowi aż zakręciło się w głowie. Ksiądz Jacek zsunął z patelni ostatni z trzydziestu placków. Racuchowa wieża straszyla gościa z centralnej części stołu. Gospodarz dołożył dżem, puszkę z tuńczykiem oraz pokrojone wałsy awokado. Obok dostawił gliniany dzbanek mleka i sok z kiszzonej kapusty.

– Często się – zachęcił gościa, po czym wyjął z lodówki lemoniadę z pigwy. Po drodze zdjął fartuch z tęczowym nadrukiem. W niebieskim blezerze i granatowych dzinsach prezentował się niczym model z żurnala. – Wyglądasz, jakbyś od roku nie jadł nic ciepłego – skwitował.

– Nie jestem głodny. – Hubert zmarszczył się i odruchowo sięgnął po paczkę z papierosami. Nie wyjął jej jednak. – Ty jedz, nie krępuj się. Doceniam, że spotkałeś się ze mną od razu po telefonie ojca Strusia.

Ksiądz Jacek był znacznie młodszy od Huberta, ale to on zaproponował przejście na ty.

– Przerazają cię moje smaki? – zaśmiał się. – Niepotrzebnie. – Wskazał swój talerz, na którym leżały już placki obsypane tuńczykiem i awokado. – Najpierw wytrawne plus sok z kapusty. Potem pigwa dla higieny kubków smakowych. Działa jak imbir i zwykle go stosuję, ale akurat się skończył. Na deser idą słodkie. Dżem popijasz mlekiem. Zachowasz właściwą kolejność, a zero rzygania.

Hubert jedynie z grzeczności sięgnął po racucha sauté. Po pierwszym kęsie pogratulował sobie odwagi, bo placki Jacka smakowały niebiańsko.

– Dobrze znałeś Gucia Garbarczyka?

– Lepiej niż ktokolwiek – odrzekł duchowny. – Był moim najlepszym kolegą.

– Był? – zainteresował się Hubert. – Już nie jest?

– Nie mam pojęcia, gdzie jest. Czy żyje – wyjaśnił Jacek. – Od szóstego roku życia mieszkaliśmy w internatach, a na wakacje przyjeżdżał do dworku moich rodziców. Potem rok pracy w Bretanii i pierwsze dziewczyny. Kiedy poznał Marysię, obaj czuliśmy powołanie. Ja zostałem w seminarium, Gucio odszedł, ale nawet to nas nie rozdzieliło. Chrzciłem jego dzieci, bywałem na uroczystościach.

Wszystkie święta razem. Jemu zawdzięczam probostwo w tym kościele. Wiem, że zapłacił komu trzeba, żeby nie przenosili mnie za daleko. Znałem go lepiej niż siebie samego – zakończył.

Hubert sięgnął po kolejnego racucha. Tym razem zaryzykował awokado.

– A więc Garbarczyk o mały włos zostałby księdzem, jak ty?

– Tylko przez krótką chwilę – zaśmiał się Jacek. – I zawsze powtarzał, że nie chce probostwa. Pociągał go zakon. Jest idealistą. Intelktualistą. Zadaje pytania, podważa dogmaty, dyskutuje. To przeskądza, kiedy musisz funkcjonować w hierarchii.

– W zakonie nie ma hierarchii? – zdziwił się Hubert. – No, chyba że myślisz wyłącznie o tym, by zostać przeorem. Ale to chyba błędne założenie, jeśli masz w sobie głęboką wiarę, która daje ci kaganiec moralny.

– Może dlatego zrobił coś odwrotnego? – Ksiądz wzruszył ramionami. – Założył własną rodzinę i szereg firm. Od zawsze miał zadatki na przywódcę. Czerwona energia, jak mówią w biznesie. W każdej pracy ludzie za nim idą. Był liderem swojego rodzinnego stada, potrafiłby porwać innych, by wyszli na ulicę. Agresywny misjonarz. To ten typ. Sam nie wiem, jak o nim mówić. W czasie przeszłym, terazniejszym? Myślisz, że wciąż żyje? Jego zwłok nie znaleziono w tej piwnicy.

– Nie – potwierdził Hubert. – Za to wysłano za nim list gończy. Czerwoną notę, jak mówią w policji.

– Uważacie więc, że on żyje?

Ksiądz zmierzył Huberta baczny spojrzeniem. Odłożył sztućce. Jakby dopiero teraz pojął właściwy cel wizyty profiler. Meyer nie dowierzał, że gospodarz nie wiedział o poszukiwaniu przyjaciela z dzieciństwa. Udawał jednak wzorowo.

– Pewnie chcesz wiedzieć, czy był u mnie – zaczął Jacek. – Czy prosił o pomoc w ucieczce, pieniądze...

– A był?

– Pomógłbym mu.

– Nawet, gdyby okazał się mordercą?

– To oznaczałoby, że trapi go wina. Wspowiadałbym go i oddał w wasze ręce – zapewnił ksiądz. – Ale wiem, że Guccio by nie przyszedł. Nieważne, czy jest winny, czy nie.

– Dlaczego?

– Bo gdyby naprawdę mi ufał, przyszedłby przed zniknięciem. Siedem lat temu. Nie teraz. – Przerwał, zamyślił się. – Wiele razy rozmyślałem, co tak naprawdę wydarzyło się w tym domu. Dlaczego zniknęli jak duchy? Rozpłynęli się w powietrzu. Czy uciekli? Przed czym?

– I?

– Naprawdę nigdy nie czułem, że umarli.

– Nie czuleś czy wiedziałeś, że żyją?

– Nie wierzyłem w to, że on zabił. Tam stało się coś innego.

– Co na przykład? Potencjał możliwości jest ograniczony.

– Siedem lat, bo tyle minęło, a ja ani razu nie zapłakałem. Modliłem się za nich, pytałem Boga, ale odpowiedzi nie uzyskałem.

– Jakie pytania zadawałeś?

– Czy Guccio poddał się władzy Szatana? Dlaczego się ze mną nie rozmówił? Napisał listy do wszystkich, a do mnie ani jednego. To mnie zabolalo. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Wiesz, że na drzwiach ich domu pojawiło się ogłoszenie, gdzie zostawiać prasę? Numer telefonu nie należał do żadnego z członków rodziny Garbarczyków. To był telefon na kartę. Nigdy nie ustalono abonenta. – Ksiądz zamilkł na chwilę. – Kto zajął się ich kotami? Zniknęły razem z nimi. Czy gdyby Gustaw zamierzał wyjechać, nie przyszedłby się pożegnać? Przyszedłby, jestem pewien. Zażądałby pożyczki i zostawił klucze. Poprosiłby, żebyśmy zajrzał raz na jakiś czas na Halną albo skosił trawnik. Nic takiego nie zrobił, ale może zrobił coś innego. Czy człowiek, którego znałem, był zdolny do zabójstwa?

– I jak uważasz? Mógł dokonać zbrodni?

– Gdyby taka była misja Gucia – odparł ksiądz – zrobiliby to bez wahania. Skutecznie. To najlepsze jego określenie: wysokowydajny. Jednak powtarzam ci, nie wierzę, że Gucio to morderca. Niedługo przed ich zniknięciem zmarł stary Garbarczyk. Pod koniec życia mieszkał w luksusowo wyposażonym pokoju w suterenie ich domu. Opiekowały się nim na zmianę trzy opiekunki, na które Gucio wciąż narzekał. Że ciągną forszę, nie dbają jak należy, a ojciec traci zmysły. Gucio do końca wierzył, że kiedy Garbarczyk odejdzie, w testamencie znajdzie się właściwy zapis.

– Cały majątek otrzyma Gustaw?

Ksiądz pokiwał głową.

– Stało się coś przeciwnego – kontynuował. – Dom, w którym od pokoleń żyła rodzina Gutka, rodzice zapisałi Klarze. Gutek był zbulwersowany i głośno to komunikował. Muszę przyznać, że to nie było fair. To on zajmował się obojgiem rodziców, a pod koniec w całości łożył na ich utrzymanie. Z Marysią i dziećmi bardzo dbali o dziadków. Ale to nie było wszystko. Na spotkaniu z ich rodzinnym prawnikiem okazało się, że nie ma żadnego kapitału, lokat, złota. Nic, zupełnie. Wydawało się to niewiarygodne, bo Garbarcykowie byli majątni od zawsze. Są typowymi poznaniakami: oszczędni, roztropni, przewidujący i przygotowani na czarną godzinę. Gdzie to wszystko jest? Na Sołaczu nikt nie wierzył, że stary Garbarczyk przejechał fortunę. O nie, raczej ukrył aktywa, schował fundusze, a przed śmiercią przekazał je komu chciał, by nie zapłacić ani grosza podatku. I by zasobność potomnych nie kłuła zadoła ludzi w oczy.

– A jednak Gustaw tak poprowadził swoje firmy, że zadłużył się i liczył na wsparcie z rodzinnego majątku – zauważył Hubert.

– Dostał tylko rachunki za leczenie i pielęgnację ojca do spłacenia, jego długi karciane i starego smith and wesson. Zawsze uważaliśmy, że rewolwer nie jest sprawny. Nie wiem, czy miał jakąś wartość kolekcjonerską.

– Skoro były tam tylko wiarygodności do uregulowania, mógł odmówić przyjęcia spadku.

– Przyjął go honorowo – zapewnił Jacek. – I nie spłacił z tego ani złotówki, ale to już wiecie. Na tej podstawie nie wszczęto dochodzenia. Długi były piramidalne i bez ojcowskich zobowiązań, więc policja uznała, że Garbarcykowie uciekli. Po czterdziestu dniach pojawiło się na drzwiach ogłoszenie i zaczęły przychodzić listy. Po czterdziestu dniach – powtórzył ksiądz. – Po tyłu, ile dusza człowieka tuła się po tym padole. Wiesz, byłem tam. Jak chyba każdy z mieszkańców Sołacza.

Na to Hubert podniósł brew.

– Dlatego nie wierz we wszystko, co mówią technicy. To się nazywa skażenie miejsca zbrodni, czyż nie?

– Dopiero teraz nim jest – uściślił Hubert. – Chyba że masz na to inny pogląd.

Ksiądz lekko się zarumienił.

– Chciałem powiedzieć coś innego – podkreślił dobitnie. – Rewolwer starego Garbarczyka znajdował się na szafie w największej sypialni. Oryginalny smith and wesson z tysięcy osiemset sześćdziesiątego dziewiątego roku był jedyną rzeczą, którą Gutek dziedziczył po rodzicach. Wartościową materialnie i emocjonalnie. Nie zabrał jej. Ciekawe, prawda? Tak sobie myślę, czy nadal tam leży. – Urwał. – I czy to nie był błąd z długami, biedą i opróżnionymi kontami. A może te pieniądze gdzieś są? Tego rodzaju zmyłka pasowałyby do dawnego Gucia, mojego przyjaciela. Lubię czasem się ludzić, że to wszystko skończyło się takim właśnie happy endem. Gustaw zabrał wszystkich i żyją sobie gdzieś w Ameryce Południowej albo Nowej Zelandii. – Jacek zamyślił się. – Zamiast tego macie zwłoki czterech osób złożone rytualnie do grobu w podpiwniczeniu domu Gucia. Groza!

Hubert odsunął od siebie talerz, wyjął paczkę papierosów. Ksiądz bez słowa postawił przed nim popielniczkę.

– Poczęstujesz mnie? – spytał.

Hubert zaważał się, ale podsunął otwartą paczkę. Jacek zaciągnął się z lubością, jakby nie palił od lat, i dorzucił:

– Pytaj, o co chcesz. Chciałbym, żebyście go znaleźli. A jeśli aresztujecie kogoś innego, pozwól mi z nim pomówić. Nie skłamię mi. Pomogę wam to rozwikłać – zapewnił.

Hubert spojrzął na księdza spod zmrużonych powiek. Przystojna twarz Jacka w kłębach dymu wyglądała jak z posteru filmu noir.

– Opowiedz mi o tej rodzinie – poprosił. – O małżeństwie Gutka i Marysi. O ich dzieciach. Znam kogoś, kto uważa ich za ideał rodziny. Wzór do naśladowania.

Ksiądz uśmiechnął się kpiąco.

– Wika nie była jego – zaczął nagle i urwał. – Ale Guccio wychowywał ją jak własną. Była jego ulubionym dzieckiem. To nieprawda, że kiedy się ma kilkoro, kochasz je tak samo. Wiktoria miała urodziny dwa dni po nim, pierwszego września. Rozumieli się bez słów.

– Pierwszego września? – upewnił się Hubert. – Czy nie tego dnia zniknęli?

– Tak, tego dnia były jej urodziny – potwierdził ksiądz. – Co roku Marysia urządzała z tej okazji fetę. Czasami dawała na mszę i składałem małej życzenia z ambony. To dlatego wiemy na pewno, że od pierwszego września nie było ich w domu. Wracając do tematu: Wika od zawsze wiedziała, że Guccio nie jest jej biologicznym ojcem, ale nikomu to nie przeszkadzało. Był dla niej najważniejszą osobą na świecie. To się czuło. Poszłyby za nim w ogień. Marysia była czasem zazdrosna o ich bliskość. Ale nie zrozum mnie źle. W dzisiejszych czasach mogłoby to zostać źle odczytane: tulili się do siebie, zwierzali z sekretów. Kochali się i mieli sztamę.

– Kto jest ojcem Wiki? Ty?

Ksiądz Jacek zareagował śmiechem.

– Marysia chodziła z Guciem, ale zerwali, kiedy pojechała na prace sezonowe do Norwegii. Zbierała truskawki czy inne tulipany. Zaciążyła z lokalnym farmerem. Nie zamierzała wychodzić za męża. To była piękna dziewczyna. Harda. Wielbiły ją nie tylko jej własne dzieciaki. Uczniowie ją pamiętają. W szkole, w której uczyła, do dziś jest kącik jej pamięci. Polecam ci się tam udać.

– Kochaliście się w niej obydwaj? – odgadł Hubert. – W Marysi.

Ksiądz wstał, sięgnął do szuflady. Wyciągnął starą fotografię. Byli na niej we czwórkę: Guccio, Jacek i Marysia z niemowlakiem na ręku.

– Nie – odparł po chwili zastanowienia. – Ale wszyscy tak myśleli. Ona chyba też.

Meyer milczał. Przyglądał się mężczyźnie. Starał się sobie wyobrazić przyjaciół przed laty i nie miał wątpliwości, że z tej dwójki to ksiądz Jacek był atrakcyjniejszy fizycznie dla kobiet. Maria wybrała jednak Gucia. A może nie dano jej wyboru?

– Gdyby nie Maria, z Gustawa byłby lepszy ksiądz niż ze mnie – oświadczył nagle duchowny. – Charyzmatyczny, poświęcający się. Ludzie za nim szli. Nawet kiedy pracował jako makler, miał stałe grono wyznawców. Tfu, klientów. Spotykali się u niego w biurze na Sołaczu i nie korzystali z usług innych finansistów. Ktoś mi mówił, że nie zna podobnego przypadku w tym kraju. Potem Gustaw zaczął zakładać te swoje spółki. Ostatecznie to one pogrążyły go w długach. Szarżował, grał ostro. I został pokonany przez własną brawurę.

– Dlaczego Gustaw zrezygnował z sutanny? – przerwał mu Hubert.

– Nie do końca jestem pewien – odparł Jacek po namyśle. – Uznał chyba, że więcej jest w stanie zrobić dla ludzi, tworząc własną strukturę. Nawet jego rodzina została w nią włączona.

– Strukturę? – Profiler zmarszczył brwi. – Masz na myśli rodzaj zgrupowania religijnego? Sektę?

Ksiądz nie od razu odpowiedział.

– Kiedy Garbarcykowie zaginęli, wiesz, co pomyślałem? Pierwsza myśl, najbardziej absurdalna. I wydaje mi się, że w jakimś stopniu mogłaby być prawdziwa.

– Zamieniam się w słuch.

– To Haselhof pomógł im zniknąć – oświadczył ksiądz. – Jego szwagier.

– Wiem, kto to jest. – Meyer pokiwał głową. – Ale z tego, co słyszałem, nie utrzymywali kontaktów. Byli skłóceni. Z siostrą Gustaw nie rozmawiał od lat.

– Z nią nie. – Jacek skwapliwie potwierdził. – Za to z Haselhofem Guccio miał zawsze dobry kontakt. Musisz wiedzieć, że zanim Izaak został jego szwagrem, był bliskim przyjacielem ich rodziców. To on

uczył Gucia prowadzenia biznesu. Lubili się. W kółko gadali o teoriach Haselhofa na oświecenie, uratowanie świata albo śmierci.

– Śmierci?

– Kiedy siostra wyjechała, Gucio miał do niej żal, że odcięła się od rodziny. Bardziej bolało go jednak, że Haselhof z rodzeństwa Garbarczyków wybrał ją. Dziewczynę. Małolatę.

– Chyba nie rozumiałem.

– No wiesz, dla niego Haselhof był rodzajem мастера. Idolem. A kiedy guru dokonuje wyboru sercem, czy raczej przyrodzeniem, a nie intelektem, zaczynasz go nienawidzić. Nie wiem, jak to ładnie nazwać.

– Wystarczy mi prawda. Może być brzydka – parsknął Hubert.

– Wybiera młodszą o osiem lat siostrę Gucia, z którą się żeni. Prawda jest taka, że ten cały konflikt między rodzicami a Haselhofem podsycił sam Gucio. Nie mógł znieść, że został odsunięty.

– Kim jest ten człowiek, skoro ma taką władzę nad innymi?

Ksiądz Jacek wzruszył ramionami.

– Mówią, że to zwykły oszust. Ale też, że wspaniały aktor. Psychopata. Narcyz – wymieniał. – Izaak Haselhof to pseudonim. Kochał kulturę żydowską i bardzo mu zależało, by wszyscy uważali go za Żyda. Niestety, jeśli doszukiwać się przodków, to raczej byli Niemcami. Przyszedł na świat we wsi Szczuczyn jako Henryk Kiszka, ale kiedy w latach dziewięćdziesiątych wyjechał pierwszy raz do Berlina, zmienił je na lepiej brzmiące Helmut Kischke. Tłumaczył, że wrócił do rodowego. Po pradziadku. Nie mam pojęcia, ile w tym prawdy. Może pasowało mu działać pod kilkoma personaliami w różnych krajach?

– Twierdzisz, że Izaak Haselhof to Helmut Kischke? – upewnił się Meyer i już brał telefon, by pisać do Matuszaka. Jednocześnie w głowie kołotało mu się pytanie, dlaczego ojciec Struś skłamał.

– Ja to wiem – podkreślił duchowny. – Moi dziadkowie zatrudniali matkę Kiszki do dojenia krów. Ojczym czyścił stajnie, kiedy dworek w Oporowie należał jeszcze do naszej rodziny. Oboje żyli i wciąż dla nas pracowali, kiedy Henio, bo tak go wtedy nazywali miejscowi i rodzice Garbarczyka, uwiódł szesnastoletnią Klarę i zrobił jej dziecko. Nie wiem, czy ci powiedzieli, ale siostra Gucia poznała Kiszkę przeze mnie. Odwiedziła mnie i brata na wakacjach. Ich matka do końca życia miała do mnie o to żal. Wypomniała mi to nawet na łożu śmierci. To dlatego byłem osobiście zaangażowany w sprawy tej rodziny i ze wszystkich sił starałem się pomagać. Z poczucia winy.

Ksiądz zatrzymał się. Wpatrywał się w Huberta w napięciu, jakby sprawdzał efekt, jaki osiąga, przekazując profilerowi tę informację, a potem kontynuował monotonicznie:

– Moje nazwisko z cywila to Morawski. Zostałem księdzem, a kilka lat później dowiedziałem się, że nasz rodowy dworek kupił jakiś Niemiec z Berlina. Na akcie notarialnym widniało nazwisko Izaaka Haselhofa, ale widać na tym suspensie zależało mu szczególnie, bo czekał, aż się zjawię, wiele godzin, by podpisać dokumenty osobiście. Myślę, że zakup tego dworku i patrzenie, jak się wyprowadzamy, to był jego osobisty triumf. Klara przyjechała wtedy razem z nim. Nic nie wskazywało, żeby się wstydziła, że pozbawia nas dachu nad głową. Była wręcz dumna z męża. Mieli już wtedy cztery córki, ale żadnej z nich nie przywoziła pokazać dziadkom.

\* \* \*

## **BERLIN**

Klara zobaczyła go jeszcze przed wyjściem z sądu. Stał oparty o srebrną limuzynę na polskich blachach, palił iqosa i z daleka widać było, że jest policjantem. Wysoki, szczupły, z zadbanym zarostem, który miał dodać powagi jego chłopcęj twarzy. Granatowa pikowana kurtka, ciemne dżinsy, wyszczotkowane sztyblety i kabura z bronią. Wydorosłał, zmężniał, ale poznała go bez trudu. Domyśliła się, że wysłali go do niej, by ją przesłuchał. Nie bez przyczyny złamał przepisy i zaparkował obok jej samochodu. Już miała zawrócić i szukać tylnego wyjścia z budynku, kiedy dogonił ją Andreas.

– Doskonale poszło – oświadczył, a ona już wiedziała, że fakturę ma na mejlu. – Kończymy to. Izaak się nie pobiera.



– Wspaniale mieć po swojej stronie takiego tygrysa jak ty. – Uśmiechnęła się przymilnie i wzięła go pod ramię. – Podwieziesz mnie?

Prawnik zdziwił się. Spojrzał na zegarek. Czowała, że wolałby usłyszeć coś innego. Nasunął na głowę tweedowy kaszkiet.

– Myślałam, że przyjechałaś samochodem. – Poglądził szpakowatą bródkę. – I śpieszysz się do dzieci.

Wyjęła z kieszeni komórkę.

– Kiedy ty walczyłeś, ja handlowałam – wyjaśniła. – Dom po rodzicach ma już nowego właściciela. To Polak z Amsterdamu. Przed chwilą kliknęłam potwierdzenie transakcji. Fajnie by było, żebyś sporządził nam akt.

– Kogoś ci polecę.

– Chcę notariusza z twojej kancelarii – upierała się. – Transakcja na milion dwieście.

Zawahał się, jakby liczył w myślach prowizję, a przecież wiedziała, że nie musiał. Znał cennik i nie pierwszy raz robili dokumenty sprzedaży nieruchomości na takie kwoty.

– Tam stoje. – Wskazał parking po przeciwnej stronie ulicy.

Klara rzuciła okiem na auto Kaczmarka. W tej chwili podszedł do niego policjant w pełnym umundurowaniu i z kaskiem motocyklowym pod pachą. Rozmawiali przyjaźnie. Zrozumiała, że nie uniknie tego spotkania. Polacy zwrócili się już o współpracę. Skrzywiła się, bo nie miała ochoty jeździć po komisariatach. Odwróciła się do Andreasa i stanęła za nim, choć wiedziała, że gdy tylko zjeździe ze schodów, będzie widoczna jak na dłoni. Tak też się stało.

– Klara! – krzyknął Grzegorz. – Pani Haselhof, proszę się zatrzymać!

Czowała raczej, niż widziała, że podąży za nimi. Chwyciła Andreasa pod ramię i zmusiła go do biegu.

– Co ty wyprawiasz? – zbiesił się adwokat. Już po kilku pokonanych metrach dopadła go zadyszka. – Kim jest ten Polak?

– Otwieraj wóz i spieprzamy stąd – zarządziła. – Wszystko ci wytłumaczę. Później.

Po chwili wokół nich zaroilo się od kogutów policyjnych.

– Oferma – sarknęła po polsku. – Ciaptak! Jak mnie zatrzymają, przysięgam, że nie zapłacę ci ani grosza.

\* \* \*

– Dlaczego uciekałaś? – spytał Kaczmarek z wyrzutem, kiedy stary, pijany w sztok Włoch wskazał im największy stolik pod oknem w Machiavellim. Knajpa była pusta, ale kelner zachowywał się tak, jakby przyłapał ich na nielegalnej schadzce. Uśmiechał się przy tym bajronicznie, z emfazą podawał karty z menu, a potem zbliżył do świeczki zapalniczkę. Był wyraźnie przekonany, że płomień się żarzy, choć tak się chwiał na nogach, że nie udało mu się go zapalić. Kiedy odszedł, Grzesiek naprawił jego błąd i wyczekująco wpatrywał się w twarz siedzącej przed nim kobiety.

– To prawda, że w moim domu znaleźliście zwłoki? – odparła pytaniem na pytanie.

Skinął głową.

– I nie wiecie, kim są ci ludzie? – Zawahała się. – Czytałam w internecie.

– A ty wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Tego właśnie chciałam uniknąć – burknęła zniecierpliwiona. – Za tydzień przyjeżdżam do Poznania i będziecie mnie mogli maglować od rana do wieczora. Przed wyjazdem z Niemiec muszę załatwić mnóstwo formalności. Jest ich naprawdę sporo. W kraju nie było mnie od lat.

– I dlatego nie miałaś czasu odebrać telefonu?

Nie odpowiedziała.

– Zobowiązałaś się do tego. Twój adwokat za ciebie poręczył. Odnoszę wrażenie, że więcej tego nie zrobi.

– Zrobi znacznie więcej – mruknęła. – Już robi.

Urwała. Patrzyła na Grzegorza i myślała, że z czasem robi się coraz bardziej rasowy. To typ męzczyzny, który pełnię urody zyska grubo po czterdziestce. Ona w tej materii będzie już na równi pochyłej. Westchnęła ciężko, upiła łyk wody.

– Musiałam kuć żelazo, póki gorące – zaczęła. – Nie chodzi tylko o sprzedaż domu na Sołacz. Także upoważnienia, sprawy bankowe, podatkowe i milion druków związanych z wyjazdem dziewczynek. Na szczęście po dzisiejszej rozprawie mam zgodę na ich wyjazd z Niemiec. To praktycznie cud. – Uśmiechnęła się. – Dobrze się ułożyło, bo teraz, kiedy oficjalnie Halna jest miejscem zdarzenia, a ta sprawa za chwilę się rozniesie, mogłoby mi to zaszkodzić. Żaden klient nie kupi posiadłości, w której popełniono zbrodnię.

– Nie sądzę, żebyś w ciągu miesiąca odzyskała dom, by przekazać go nowym właścicielom – parsknął Grzesiek. – Technicy wciąż pracują. Będziemy tam robić wizje lokalne, rekonstrukcje zdarzeń, a jak zaczną się aresztowania, to również konfrontacje. Przewinie się wielu śledczych. Sam też się tam wybieram. – Odłożył kartę. Splótł ręce. – Kiedy ostatni raz widziałaś brata?

Zaskoczył ją. Przez moment się zawahała.

– Po śmierci taty. Na stypie.

– Byłem tam. Widziałem, że się unikalicie.

– Dziwisz się? Tato zrobił Guciovi psikusa. Nie było mu w smak, że marnotrawna córka dziedziczy wszystko. A on tylko stary rewolwer, na dodatek do naprawy.

– Wszystko? Ojciec nie zostawił nic więcej? Gotówki, polis, funduszy, złota? Nie wierzę.

– Wszyscy nad tym bolejemy – zapewniła z uśmiechem. – Z tego, co wiem, Gucio korzystał z pieniędzy taty lekką ręką. Przeinwestował i stracił. To dla niego typowe. Potem miał pretensje, że musi płacić za opiekunki, łóżka rehabilitacyjne i medykamenty. Na tym wszystkim zarobiły tylko twoja Anita i jej ciotka Iryna. Miały pensję jak członkinie zarządu firmy jubilerskiej taty. Ale dobrze się nim opiekowały. Jestem wdzięczna.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Tatuś pisał mi w listach.

– Wiedziałaś o testamencie? – zgadywał Grzegorz. – Tylko dlatego przyjechałaś na pogrzeb?

Wpatrywała się w niego z kpiącym uśmiechem.

– Nie – odrzekła wreszcie. – Chciałam się pożegnać. Też byłam zaskoczona decyzją rodziców. Tato napisał w ostatniej woli, że mama była z nim zgodna. Bali się, że jeśli dom odziedziczy Gucio, przehula go, straci, zastawi pod niepewne biznesy i wnuki nie będą miały gdzie się podziać. Jeśli wziąć pod uwagę, co Gucio wyprawiał ze swoimi funduszami, było to realne, przynasz?

Kaczmarek pokiwał głową. Oboje to wiedzieli.

– A ja miałam wtedy z czego żyć – kontynuowała. – I żyłam jak królowa. Umówiłam się z Marysią, że będą mogli mieszkać tam do końca. Rozumiała intencje teściów i chyba jej nawet ulżyło. Gutek pod koniec był niestabilny, nie mogła na niego liczyć. Groził jej ucieczką z kraju przed wierzycielami, a ona się bała, że te groźby wypełni.

– Czego dokładnie się bała?

– Tułaczki? Nędzy? – parsknęła Klara, jakby odpowiedź była oczywista. – Miała na utrzymaniu czwórkę dzieci i zagonionego w kozi róg męża, który zamiast wziąć odpowiedzialność, chce od niej zwać i pociągnąć rodzinę za sobą. W szkole, w której uczyła Marysia, zarabiała w porywach dwa tysiące brutto. Gdyby się tułali, nie miałyby żadnej pracy. Czego nie rozumiesz? To była matnia. Współczułam jej. Sama zaproponowałam układ z domem.

– Podpisaliście jakieś papiery?

Klara gwałtownie pokręciła głową.

– Nie było potrzeby. Zresztą jak najszybciej chciałam wrócić do Niemiec. Izaak nie wiedział, że pojechałam na pogrzeb. Wolałam go nie denerwować. Dom na Halnej nie był mi wtedy potrzebny. Co najwyżej budziłby złe wspomnienia.

– Złe wspomnienia? – Grzegorz się skrzywił. – Niby jakie?

Klara wzruszyła ramionami. Nie uznała za stosowne się tłumaczyć.

– Moje małżeństwo zaczęło się sypać lata później – dodała. – Kiedy umierał tatuś, Haselhof był milionerem. Jeździł bentleym i miał biura na całym świecie. W garażu stało dziesięć innych samochodów. Letnie wczasy spędzałam w Kalifornii. Izaak wynajmował rezydencję i robił tam szkolenia. Nic nie przesadzam. Rodzice całe życie ubolewali, że wyszłam za starca, i tak było, zrozumiałam to później, ale kiedy kobieta wiąże się z mężczyzną dojrzałym, to pragnie nie tylko z nim sypiać, lecz być z nim. Fascynował mnie. Pragnęłam jego władzy, siły i wpływów. – Urwała. – To taka skrócona droga do sukcesu. I nie żałuję tej przygody. Ani urodzenia siódemki córek.

Kaczmarek przyjrzał się jej wnikliwie. Nic nie powiedział.

– Tak czy owak, nie potrzebowaliśmy niczego więcej, by się z Guciem bardziej skłócić.

– Mogłaś rzec się spadku. Wtedy Garbarczykowie dostaliby wszystko. Sprzedaliby nieruchomości, zapłacili długi. Gustaw uratowałby spółkę. Po prostu zacisnęliby pasa, przenieśli się na Jeżyce. Ucieczka nie byłaby konieczna. Dziś nie musielibyśmy ich szukać.

– Nic nie wiesz o Gutku – zachnęła się. – Dla niego to było poniżenie. Syn potentatów nie przeżyłby na pięćdziesięciu metrach w kamienicy.

– Wychowałem się na czterdziestu. Kocham to miejsce.

– Skąd wiesz, że uciekli?

– A co się z nimi stało?

– Nie moja sprawa – parsknęła i zaraz wsadziła nos w kartę, bo podszedł znów stary kelner. – Słuchaj, doceniam, że tutaj przyszliśmy, ale właściwie to nie jestem głodna. Co u Anity? – zmieniła nagle temat. – Tato pisał, że cię wtedy pierwszy raz rzuciła.

Grzegorz zmierzył ją czujnym spojrzeniem. Nie zamierzał odpowiadać.

– Widziałam ją kiedyś w Hamburgu. Towarzyszył jej jakiś cipcius w obcisłych getrach. Nie podeszła się przywitać. Od znajomych dowiedziałam się, że pracuje w ośrodku dla terminalnie chorych. Wyglądała jak zawsze atrakcyjnie.

– Przyjaźnimy się – skwitował.

Sięgnął po menu.

– Za to ja zjadłbym konia z kopytami – oświadczył i zamówił cannelloni z trufkami, bruschettę oraz panna cottę na deser. – A ty nie ruszysz się stąd, póki cię nie zwolnię.

– Co mi zrobisz? – Przekrzywiła głowę, uśmiechając się oczyma.

– Dla tej pani wino. Małą karafkę – zamówił po włosku, co tak uradowało kelnera, że aż wykrochmalona ścierka spadła na podłogę.

Grzesiek podniósł ją i dyskretnie dał znak, by już im nie przeszkadzano.

– A potem? Ile razy widziałaś się z bratem?

– Nie spotykaliśmy się – rzuciła oburzona. – Ile razy mam powtarzać?

– Więc twierdzisz, że nie mieliście kontaktu?

– Nie – zapewniła skwapliwie. – Poza listami od taty nie miałam wieści od rodziny. I wcale mnie to nie interesowało.

– Dlaczego przyjechałaś? – Grzegorz nie odpuszczał.

Milczała, a on jej nie pośpieszał.

Kelner przyniósł już wino i przystawki. Nalał do kieliszka Klary, ale ta go zignorowała, więc odszedł z lekka naburmuszony.

– Co się wydarzyło? Nikt nie widywał cię na Sołaczcu. Aż tu nagle niespodzianka: przyjeżdżasz i mamy ciała. Co robiłaś tydzień wcześniej? Byłaś w Polsce czy w Berlinie? Sprawdźmy to, więc zastanów się dobrze nad odpowiedzią.

– To przesłuchanie? – Roześmiała się. – Mówiłeś, że idziemy na obiad do najlepszej trattorii w Berlinie.

– Jedno nie wyklucza drugiego. W pracy też muszę coś jeść – odparł. – Nie myśl, że będziesz miała taryfę ulgową ze względu na naszą dawną przyjaźń.

– Przyjaźń? – Zmarszczyła się. – Można i tak to nazwać, choć rozmów nie pamiętam. Tylko zapluskwione łóżka hotelowe i butelki po tanim winie musującym. Ale wszystko rekompensowały te kaskadowe orgazmy. Z nikim takich nie miałam.

Kaczmarek zaczerwienił się aż po czubki uszu.

– Jeśli wziąć pod uwagę, że w całym swoim życiu poza tobą byłam tylko z mężem i rodziłam kolejne dzieci, to i tak duży fart, że przez trzy miesiące mogłam doświadczyć seksualnego raję. Dziękuję ci, aspirancie Kaczmarek. Powinieneś być z siebie dumny.

– Jestem – zapewnił z poważną miną. – Choć zrujnowałaś mi życie. To dlatego Anita mnie rzuciła. I dobrze o tym wiesz. Tak że, jeśli pozwolisz, nie będę rozwijał tego wątku. Dla mnie on jest zamknięty.

– Szkoda.

Sięgnęła po tosta z pomidorami. Ugryzła, popiła winem, jakby to była woda mineralna, i z pełnymi ustami wyrzucała z siebie słowa jak automat:

– Wiesz, Izaak postanowił mnie zniszczyć. Chce odebrać mi dzieci. Zakazuje dziewczynkom mówić po polsku. Procesujemy się od trzech lat, odkąd ośmieliłam się złożyć podanie o rozwód. W to zaangażowani są niemieccy urzędnicy. Pisał o tym „Newsweek”, a „New York Times” przedrukował ten artykuł. Musiałeś o tym słyszeć. Problem, którego doświadczam, dotyczy nie tylko naszej rodziny, lecz wielu małżeństw mieszanych. W sprawę włączyli się politycy. To może być zarzewie konfliktu w randze dyplomatycznej.

– Izaak nie jest Niemcem. Dlaczego chce, by jego dzieci mówiły z nim w tym języku?

– Jest socjopatą. Lubi się tak bawić. – Przełknęła. – Należy teraz do drezdeńskiego stowarzyszenia obrony ojców. Ale pokonam go. Dziś wygrałam pierwszą bitwę. Mogę wywieźć dzieci do Polski.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Gratulacje. Wciąż jednak nie odpowiedziałas na żadne z moich pytań.

Spojrzała na niego zniesmaczona.

– Potrzebuję pieniędzy – oświadczyła. – Na prawników, życie, wyjazd stąd i na wychowanie dzieci. Tata kiedyś pisał, że w starym sejfie trzyma trochę złota w monetach, drobne fundusze złożone w banku szwajcarskim i biżuterię mamy. Nie łudziłam się, że jest tego dużo, ale kiedy moja sytuacja się pogorszyła, postanowiłam wszystko zabrać. Nie wiedziałam, czy Gucio już tego nie przejął. Po prostu chciałam sprawdzić.

– Mogłaś to zabrać po pogrzebie ojca.

– Wtedy byłam w innej sytuacji – zaoponowała. – A kod tato podał mi w liście razem z testamentem. Mogliśmy otworzyć go z Guciem tylko we dwoje. Każde z nas miało własną kombinację. Dopiero wspólnie można było otworzyć kasę. Mówiłam ci prawdę. Nie miałam pojęcia, że po śmierci taty Maria z Gustawem zniknęły. Skąd niby miałam to wiedzieć? Milczenie uznałam za dobrą wiadomość. Jedynym moim źródłem danych były listy od taty. Kiedy zmarł, straciłam całkiem kontakt z Polską. Przyjechałam, bo po rozwodzie z Izaakiem moja sytuacja z królewskiej stała się tragiczna. Oto twoja odpowiedź.

– Wiele razy rozmawiałem z twoim ojcem. Był bardzo chory, cierpiał. Pomagałem Anicie go kąpać, ubierać. Same z Iryną nie dawały sobie rady. Stary Garbarczyk to był kawał chłopca. Bardzo często u niego bywałem. Wtedy dużo gadał, skarżył się. I narzekał, że nie odbierasz korespondencji. Nawet przekazów pieniężnych na wnuczki. To go bolało.

– Kłamał.

– A Anita?

– Co z nią?

– Odzywała się do niej.

Kręcenie głową.

– Kłamiesz! – Podniósł głos. – Po waszej rozmowie Anita ostatecznie ze mną zerwała. Powiedziała jej o nas. Inaczej się umawialiśmy. A to nic nie znaczyło.

– Nic? – wyszeptała zdumiona. – Dla ciebie to był tylko seks?

– Byłem w tobie zakochany, przyznaję. Ale cię nie kochałem – odpowiedział. – Sama mówiłaś, że trzeba cieszyć się chwilą. Co się zmieniło, że tak bardzo zależało ci, żeby zniszczyć mi życie? No to musisz wiedzieć, że ci się nie udało. Jestem z kimś. I jesteśmy szczęśliwi. Zadowolona?

– Z nikim się nie kontaktowałam – powtórzyła twardo. – A towarzyszem się cieszę. Ja miałam go mniej. Wracając do przesłuchania: interesowało mnie tylko to, co można spieniężyć. Nadal tak jest. Dom na Sołaczu już sprzedałam.

– A więc wróciłaś dla pieniędzy – podsumował Grzegorz.

– Dokładnie tak było.

– Ile tych euro potrzebujesz?

– A ile masz na zbyciu? – Uśmiechnęła się do kelnera, który właśnie przyniósł danie Grzeška.

Młody policjant nie zareagował. Nie udało jej się go rozbawić. Jadł powoli, metodycznie porządkując swój talerz.

– Ustalimy, kim są zamordowani ludzie – rzekł. – Znajdziemy twojego brata. Znajdziemy pozostałych. Chcę, żebyś dobrze się zastanowiła, co powiesz, bo zadam ci teraz te wszystkie pytania oficjalnie.

Wyjął swój mały notes w czarnych okładkach i naostrzony ołówek. Klara zastanawiała się, jak to możliwe, że ostrze nie zламаło się w jego kieszeni. Grzegorz zdjął plastikową zatyczkę. Odłożył ją na bok. A potem z torby zawieszanej na krześle wydobyl zdjęcia.

– Zostali zmuszeni do zażycia trucizny i popicia jej etanolem. Następnie założyli sobie worki foliowe na głowy. Uduśli się. Zostali opakowani i zakopani w twojej piwnicy. Koty też.

Pokazywał kolejno fotografie i obserwował grymas obrzydzenia na jej twarzy, kiedy przyglądała się ofiarom.

– Poznajesz tych ludzi?

Zaprzeczyła.

– Przychodzi ci coś do głowy, jeśli chodzi o ten typ złożenia do grobu? Czy twój były mąż, Izaak, nakłaniał kogoś do samobójstwa?

– To on jest głównym podejrzanym w sprawie?

– Gucio i Haselhof byli wrogami – kontynuował Grzesiek. – Nienawidzili się. Ale wcześniej Gucio wielbił go jak swojego mistrza. Chyba czas, żebyś opowiedziała o sekcji i swojej w niej roli. Byłaś skarbnikiem Reinkarnacji za Życia. Ta informacja jest dostępna w sieci. Twoje nazwisko widnieje na stronie fundacji charytatywnej, którą prowadziliście z byłym mężem. Kto należał do waszego zgrupowania? – Wyrwał z notesu kartkę i przesunął w jej kierunku. – Tutaj zapiszesz nazwiska, adresy, numery telefonów i mejle.

– Nie pamiętam wszystkich – wzbraniała się. – Staram się unikać tych ludzi.

Grzegorz spojrział na nią gniewnie.

– W tej chwili oferujemy ci pomoc. Kiedy sprawa się rozwinie, a rozwinie się na pewno, będziesz mogła liczyć na łagodniejsze traktowanie podczas procesu.

– Nic nie zrobiłam! – Klara poderwała się. Chwyciła marynarkę, zaczęła wiązać apaszkę na szyi. – I nie potrzebuję waszej pomocy.

Grzegorz Kaczmarek westchnął ciężko.

– Usiądź – poprosił i przepraszająco spojrzął na kelnera, który udawał, że wbija coś na kasę, ale nie spuszczał z nich spojrzenia. – Jeśli wyjdiesz beze mnie, zostaniesz zatrzymana. Zakują cię w kajdanki i odwiozą na dołek. Stamtąd zabiorę cię ja, na zasadzie współpracy międzynarodowej, i sam nie wiem, kiedy dopniesz sprawy emigracyjne. Nie mówiąc już o widzeniu się z dziećmi.

– To jest groźba. Nic przeciwko mnie nie masz.

– Co robiłaś dwa tygodnie przed odkryciem ciał tych nieszczęśników? Poproszę o alibi na każdy dzień, godzina po godzinie.

Klara sarknęła, ale usiadła. Torebkę położyła sobie na kolanach.

– Czy jest ci wiadome, gdzie przebywa Izaak Haselhof?

– Nie! – zakrzyknęła. – I wcale nie chcę tego wiedzieć. Chyba jest chory, bo nie dotarł dziś na własne przesłuchanie. A jeśli chcesz wiedzieć, to nie zasmuciłabym się, gdyby gwałtownie umarł. Uwolniłby mnie od wielu niepotrzebnych kłopotów. Naprawdę żałuję, że to nie jego znaleźliście w tym zbiorowym grobie pod jabłką.

Grzegorz przyjrzał się jej. Zapisał kilka słów w miniaturowym notesie.

– Skąd wiesz o jabłonce?

\* \* \*

Klara podniosła dłoń do ust. Z nerwów zaczęła szarpać łańcuszek na szyi. Grzesiek spostrzegł trzy czerwone koraliki.

– Co one znaczą? To jakiś amulet?

Nieznacznie pokręciła głową, a potem szybko schowała łańcuszek pod bluzkę.

– Zwykła błyskotka – mruknęła. – Prezent od męża. Byłgo męża – poprawiła się.

– Dlaczego uciekałaś? – powtórzył z naciskiem. – Nie odbierałaś telefonów Matuszaka. Nie chcesz współpracować. Co ukrywasz? Dowiem się i tym razem tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Stoi za mną cała struktura. Przegonisz mnie, przyjdą inni. Może ze względu na naszą dawną relację lepiej mi zaufać? Mogę pomóc. Oni nie będą już tacy chętni. Choć mnie zraniłaś i właściwie nie powinienem nic dla ciebie robić. A jednak zabiegałem, by do Berlina wysłali właśnie mnie. Wykorzystaj to.

Milczeli oboje.

– I kłamałem – odezwał się Grzegorz. – Cztery lata żyłem z koleżanką z wydziału. Rozstaliśmy się pokojowo. Praca, stres, inne priorytety. Jestem sam.

Klara westchnęła ciężko, jakby podjęcie tej decyzji przyszło jej z trudem.

– Izaak gwarantował Wybrańcom pochówki rodzinne – powiedziała. – Organizował je i przejmował ich majątki.

Grzesiek zamrugnął gwałtownie. Ręka mu zadrżała, kiedy zapisywał nową informację.

– Ile ich było?

– Wiem o trzech przypadkach, ale podejrzewam, że to nie wszystko. Odkąd się dowiedziałam, starałam się odejść, izolować dzieci. Nie zgadzałam się na to, ale nie mogłam przecież iść na policję i donieść na własnego męża. Sama poszłabym siedzieć. Kto zająłby się dziewczynkami? W sejfie u Gucia miała być dokumentacja notarialna. Tyle, ile jest aktów, tyle było wybranych rodzin.

– Kto to są Wybrańcy?

– Ludzie, którzy wierzyli, że przeżyją reinkarnację za życia – wytłumaczyła. – To oczywista bzdura. Samobójcy. Ludzie chorzy. Nie wiem, jak to inaczej wyjaśnić.

Starła się chwycić Grzegorza za rękę, ale się odsunął.

– Nie zawiadamiając organów ścigania, brałaś na siebie współodpowiedzialność. To jest współsprawstwo podżegania do odebrania życia. Jeśli nie rodzaj wyrafinowanego zabójstwa. Za to grozi dożywocie.

Przesunął kartkę w jej kierunku.

– Nazwiska.

Klara nie zareagowała.

– Dlaczego twój były mąż trzymał te akty w sejfie Gustawa?

– Gucio je ukradł. Izaak o tym nie wiedział. Do czasu.

– Ale ty wiedziałaś?

Powoli pokiwała głową.

– Tych papierów szukałaś na Sołaczu. Nie pieniędzy.

– Przepraszam, że skłamałam. – Pochyliła głowę. – Wtedy dowiedziałam się, że Gucio z rodziną zaginęli. Bałam się, że będziemy następne. Tam, w naszej piwnicy, to mogłyśmy być ja i moje dziewczynki. Izaak zawsze mi groził, że jeśli ośmielę się odejść, zaaranżuje to tak, jakbyśmy same się zabiły. Dlatego uciekałam. Nie chciałam rozmawiać z twoim kolegą ani z tobą – wyrzuciła na jednym oddechu. – Nie wierzysz mi?

– Nazwiska – powtórzył. – Dowody.

– Powiem wszystko, co wiem – zarzekła się. – I będę współpracowała. Chcę, żebyś to zakończył. Nie mam już sił uciekać.

– Sam nie wiem, co jest prawdą, a co fikcją. – Grzesiek się wahał. Przyglądał się jej spod oka.

– Nie rozmawiałam z Gutkiem od pogrzebu taty – zapewniła. – Nie wiedziałam, że Marysia z dziećmi zniknęli i gdzie są. Kiedy pojechałam na Halną i na własne oczy przekonałam się, że ktoś wyrwał ze ściany naszą kasę pancerną, w której mój brat trzymał polisę na życie, uciekałam. Bóg mi świadkiem, że nie miałam pojęcia, gdzie mogą się ukryć. A jak oni też nie żyją? – Rozplakała się. – A może Gutek, Marysia i dzieciaki są zakopani w jakiejś piwnicy, z kotami pod jabłonką, żeby tułali się wiecznie?

– O co chodzi z tymi jabłonkami?

– Drzewo mądrości. Złego i dobrego. To na niej mieszkają węże – wyrecytowała. – Koty zabito, by umożliwić im wybranie nowego ciała. Reinkarnacja za życia. Ale każdej jabłonki strzeże wąż. Dlatego dusze tych ludzi będą się błąkać w kosmicznych przestworzach i straszyć tych, którzy ich skrzywdzili. To rodzaj klątwy. Ten, kto to zrobił, mści się. Wymierzył im najgorszą karę z możliwych. Piekło.

– Dlaczego? Co musieli zrobić?

Wzruszyła ramionami.

– Byli złymi ludźmi. Złamali zasady.

– Aniołów nie ma – stwierdził Kaczmarek. – Jaki grzech musiały popełnić dzieci, żeby je tak potraktowano? Najmłodsza ofiara nie miała pięciu lat. Czy według ciebie zasługiwała na śmierć? Jaki śmiertelny grzech mogło popełnić takie małe dziecko?

Klara z trudem zachowała spokój.

– Dzieci są niewinne – odparła. – Chodzi o ich matki. I podejrzewam, że one same mogły to zrobić. Albo się na to zgodziły. Pewnie osobiście je pochowały. Z uśmiechem na ustach, bo przecież to powód do radości. Transformacja, zmiana, zmartwychwstanie. – Podniosła głos i zaśmiała się z goryczą. – Wiem, że to totalna abstrakcja, ale był czas, że i ja w to wierzyłam.

Kaczmarek zmarszczył czoło.

– Nic nie rozumiem. Matki zabiły własne dzieci? Mamy szukać czterech dzieciobójczyń?

Klara długo milczała.

– Izaak namawiał ludzi do samodzielnych decyzji. Żadnych skrupułów, poczucia winy, wyrzutów sumienia. Wykładał: gromadź bogactwa, kochaj, rozmnażaj się, czerp garściami z tego, co daje los, póki masz ciało. Dziel się, uczaj, pomagaj. Jesteś osią wszystkiego.

– Brzmi jak ulotka promocyjna hedonistów.

– Najpierw zadbaj o siebie i swoją rodzinę – kontynuowała. – Bo jak umrzesz, nie wiesz, dokąd trafisz. Pewne jest to, że im więcej razy umrzesz, tym wyżej w hierarchii się odrodzisz. Dlatego

wyznawcy Reinkarnacji za Życia wierzą, że opłaca się umierać. Nie boją się śmierci. Straszniejsza jest starość w bólu i cierpieniu.

– Jednak gadanie wariata.

– Owsem – zgodziła się z Grzegorzem. – A do tego tylko psychopatom udaje się żyć bez poczucia winy i wstydu. Zdrowi ludzie mają dylematy natury moralnej. Jest też rewers tej ideologii.

– Zamieniam się w słuch – mruknął. – Choć nie wiem, ile jeszcze bzdur jestem w stanie znieść.

– Jeśli mimo to wciąż jesteś chory, nieszczęśliwy, biedny albo cierpisz, możesz błyskawicznie odmienić swój los, rezygnując z doczesnego ciała, i wybrać sobie nowe. Umrzeć. Wystarczy tylko trochę odwagi.

– O jakiej odwadze mówisz? Kto pierwszy popełni samobójstwo?

Klara powoli kiwała głową.

– Była w naszej organizacji usługa, której nie znajdziesz na stronie. Rytuał przejścia – wyznała. – Niektórzy wierzyli, że jeśli pozbędą się opakowania, wybiorą sobie nowe miejsce do życia. Nowe ciało. Narodzą się ponownie.

– I do tego potrzebne są koty?

Wyjęła spod bluzki łańcuszek z czerwonymi kamykami.

– Karneol – powiedziała. – Oplatasz nim kota, podajesz mu do wypicia truciznę i dokonujesz pochówku w ciepłym kokonie. Jeśli przeżyje, twoje życie się odmieni. To nagroda za odwagę.

– Taaa, a potem przyjdzie dobra wróżka i machnie różdżką. Chore! – żachnął się. – Trzeba postradać rozum, by wierzyć w coś takiego.

– Mylisz się – wyszeptała. – Koty to magiczne stworzenia. Silne. Wiele sztuk przeżywało. A ludzie, którzy mocno wierzyli, naprawdę odmieniali swój los. Zdrowieli, robili fortuny, naprawiali więzi rodzinne. Poczytaj o karneolu. To kamień półszlachetny. Posiada moc.

– Jeśli już, to placebo.

– Przecież świętujesz Wielkanoc – odcięła się. – To pokonanie miłością śmierci. Kot umierał, zmartwychwstawał, ale emocje były tak silne, że proces dawał efekt odmiany.

– Musieliście potrzebować wielu kotów.

– To prawda. Najcenniejsze były sfinksy i main coony, takie ogromne, wielkości żbika. Nie pytaj, nie wiem, dlaczego akurat te. Może są odporne na toksyczne substancje?

– A jeśli kot nie przeżył?

– Trzeba było to samo zrobić z własnym ciałem. Uczestnicy rytuału dokonywali pochówku.

– Widziałaś to na własne oczy?

– Nie – zapewniła dobitnie. – Ale wiem, że się odbywały. Po wszystkich bliscy Wybranych dostawali wsparcie finansowe i nowego kota, który symbolizował osobę zmarłą. Wyjątkiem był pochówek pod jabłonką. W takiej sytuacji zmarły nie miał szansy wrócić. To było jak areszt, rodzaj więzienia.

– Ten urok z jabłonką można odczytać?

Skinęła głową.

– Wykopać spod jabłonki, pogrzebać w innym miejscu. Rozsypać chleb.

– Chleb? Te zasady wymyślał chyba wariata.

– Od rozwodu twierdzę, że żyłam z człowiekiem chorym – skwitowała. – Ale nikt mi nie wierzył.

Grzesiek myślał chwilę, w końcu zdecydował się zapytać.

– A jeśli to koty były pochowane pod jabłonią, a nie ludzie?

Podniosła głowę.

– Ile sztuk?

– Dwa. Były oplecione mnóstwem koralików. I zawinięte w koce.



– Możesz szukać dwóch ludzkich ciał w innym miejscu – odpowiedziała. – Nie zasługiwali na rytuał przejścia, bo byli tchórzami. Poznasz ich po odciętych dłoniach. Takich odszczepieńców nazywaliśmy Złodziejami Dusz. Odcięcie rąk jest karą za sprzeniewierzenie się zasadom. Rodzaj czyścica. Czy ofiary z Sołacza zostały okaleczone?

Zaskoczony Grzegorz przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Te dane są tajne – wydusił wreszcie. – Ale dopuszczam możliwość, że morderca wierzył w te brednie.

Odetchnął głęboko. Potarł oczy, jakby go zapiekły.

– W taki sposób Haselhof zarabiał pieniądze? – zmienił temat. – Rabując samobójców, ludzi terminalnie chorych? A ty mu pomagają!

– Dowiedziałam się o tym i natychmiast się z nim rozwiodłam – oburzyła się. – Nie było to dla mnie łatwe, uwierz.

– Fakt, teraz masz poważne problemy z forszą – mruknął. – Nie przyszło ci do głowy, by nagłośnić sprawę? Uratować chociaż kilka osób? O zakazie mówienia po polsku udzielaś wywiadów do gazet! – Kipiał gniewem.

Klara zapatrzyła się w okno. Mówiła cicho, z odrazą.

– Oni i tak są straceni. Wierzą w te bajdy. Izaak nikogo nie zmuszał. Zawsze powtarzał, że odchodzili szczęśliwi. Na taki rytuał decydowali się ludzie naprawdę zbolali, dla których nie było nadziei. Desperaci.

Grzegorz pozbierał zdjęcia pogładowe.

– Złożysz oficjalne zeznanie.

– O nie! – zaprotestowała. – Rozmawialiśmy nieoficjalnie. Nie mam dowodów, znam sprawę wyłącznie teoretycznie. Nie wiem, jaka była skala i czy w ogóle się to odbywało. Ja przyjmowałam tylko składki. Izaak to fantasta, bajkopisarz. Może tak tylko gadał, żeby mnie nastraszyć?

Policjant postukał w swoją teczkę, w której trzymał wydruki zdjęć zmarłych oraz wymyki z podręcznych akt.

– Tych ludzi zmuszono do odebrania sobie życia i pochowano w twoim domu. Uważasz, że to bajka? Pochyliła głowę, płakała.

– Tak mi przykro. Nie mam z tym nic wspólnego.

– Owszem, masz. I bądź pewna, że nawet przed naszą rozmową byłaś główną podejrzaną.

Nic nie odpowiedziała. Chwyciła serwetę, głośno wydmuchała nos, zanosząc się łkaniem.

Kaczmarek miał dość.

– Twierdzisz, że nie znasz ofiar – podsumował. – Nie należeli do zgrupowania twojego byłego męża i nie jesteś w stanie ich rozpoznać.

Klara kiwała głową jak maskotka, a potem znów ukryła twarz w dłoniach. Kiedy tłumaczyła się przez łzy, trudno było ją zrozumieć.

– Nie znam wszystkich dokładnie, ale podam ci nazwiska płatników. Mam gdzieś w komputerze listę członków stowarzyszenia. Tyle że to ci nic nie da. Oni nie brali udziału w rytuałach. Po prostu przychodzili na pogadanki motywacyjne. Jak ludzie jeżdżą do buddyjskich klasztorów. Poza zarejestrowanymi jest jednak wielu anonimowych sympatyków, którzy umawiali się osobiście z Izaakiem, bo byli znani, wpływowi, chcieli się kogoś pozbyć, sama już nie wiem. Haselhof był ostrożny. Nie przyjmował wszystkich. Chronił personalia Wybrańców nawet przede mną. Na taką właśnie okoliczność.

– Nie znaliście się osobiście? Nie widywaliście w kościele? – Grzesiek nie dowierzał.

– Nie było żadnego kościoła! Izaak spotykał się z nimi na łonie natury albo w ich domach. To w większości byli zamożni ludzie, którzy zrobili pieniądze dzięki niemu. Rodzaj piramidy finansowej.

– Piramidy? To jeszcze inny wątek?

– Wszystko było powiązane – zapewniła. – Ginęli ci usytuowani najniżej, świeżo zwerbowani. Żeby była jasność – oni po prostu któregoś dnia znikali. Nie odnajdywano ciał. Ale jest jeden trop, którego możesz się chwycić. Domy Wybrańców z Sołacza wciąż należą do Izaaka. Możecie to łatwo sprawdzić. W Niemczech jest bardzo precyzyjna struktura podatkowa. Moim zdaniem wystarczy nakaz przeszukania terenu. Notariusz, który sporządzał akty dla Izaaka, pracuje w kancelarii mojego adwokata. Numer do niego znasz. To Polak. Andreas Kluge. Nie uprzedzę go, bo z nikim o tym nie mówiłam i nie zamierzam poza tobą jeszcze komuś się spowiadać. Pomyślą, że oszalałam. Sama tak myślę. Nie wiem, jak mogłam tyle lat trwać w chorym związku! A najbardziej żałuję, że nie spotkałam się z rodzicami przed ich śmiercią! Dlatego teraz zrobię wszystko, żebyś to rozwikłała – obiecała. – Możesz jeszcze dziś spotkać się z Andreasem i na miejscu uzyskać spis. Ja nie zniknę. Będę współpracowała. Tylko wyciągnij mnie z tego. Proszę!

Chwyciła go błagalnie za ręce. Wyrwał się. Odsunął daleko na oparcie fotela, jakby cierpiała na trąd i mogła go zarazić.

– Brzydzisz się mnie – jęczała.

Siedział sztywno, zaciskając usta.

– Tak – potwierdził. – Właśnie dotarło do mnie, że to wszystko działo się w czasie, kiedy się spotykaliśmy.

Nic nie odpowiedziała. Otarła łzy, sięgnęła do torebki po puderniczkę. Kiedy poprawiła makijaż, wyciągnęła grzebień.

Grzegorz był wstrząśnięty, że w takiej chwili Klarę obchodzi tylko, jak wygląda.

– Dom na Sołaczu należał do ciebie – burknął. – Nie do twojego byłego męża.

Wyrwał jej grzebień z dłoni. Poleciał po podłodze aż pod okna.

– Kto mógł tam wejść? Kto miał klucze?

Skuliła się. Patrzyła za swoją własnością. W jej oczach lśnił gniew.

– To był odosobniony przypadek – oświadczyła z naciskiem. – Jedyna posiadłość, na której Haselhof nie mógł położyć swojej łapy. I wiesz, on przewidział, że któregoś dnia zechcę go sprzedać. Może nawet licytować w mojej aukcji, podbiłby stawkę? – Zawahała się.

Otworzyła aplikację w telefonie, sprawdziła nazwisko kupującego.

– Nie, na szczęście ponosi mnie już fantazja. Nie kupił go.

Odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Gdzie on jest? – warknął Grzegorz. – Chcę pogadać z twoim byłym.

– Pewnie w którymś z majątków. – Wzruszyła ramionami. – Wciąż jest tego sporo na całym świecie.

Znów spojrzała za okno. Nie zauważyli, kiedy zapadł zmrok, a przed knajpą utworzyła się kolejka.

– Puścisz mnie? – poprosiła. – Muszę jechać do dzieci. Powiedziałam ci wszystko, co wiem, a Machiavelli chciałby zacząć wydawać posiłki.

Grzesiek wstał, rzucił na stolik pieniądze i skłonił się kelnerowi.

– Nie jadłem lepszego cannelloni od wizyty w Piombino – oświadczył po włosku. – Dziękuję, Piero. Zapominamy o sprawie twojego wnuka w Warszawie. Przyślę protokół umorzenia. Przekaż go Niemcom. Jesteśmy kwita.

\* \* \*

## **OKOLICE SZCZUCZYNA**

– Tam mieszkały Kiszki. – Rolnik wskazał Hubertowi polną ścieżkę, która kończyła się zagajnikiem.

Spoglądali teraz na młodniak z kabiny nowoczesnego traktora. By przekrzyknąć pracujący silnik, męczyzna całą drogę mówił podniesionym głosem i nabawił się już chrypką.

– Żadnych zabudowań? Chata, stodoła, obora? Szopa jakaś? Płot? – dopytywał Hubert. – Wyłącz pan ten motor.

Zapadła upragniona cisza. Słysząc było krakanie wron z oddali. Drzewa szumiały niepokojąco. Zbierało się na burzę.

– Teraz to państwowa ziemia. Jak ostatni z Kiszek oddał gospodarzkę ojczyźnie, gmina zasadziła las. Nic po nich nie zostało – wyjaśnił młody rolnik. – Gdyby mój tato nie miał z Kiszkami konfliktu o miedzę, i ja bym już o nich nie pamiętał. Teraz na tym terenie tylko czterech nas jest. Poskupowali my ziemię, bierzemy dotacje i robimy swoje. Kukurydza, słonecznik, ziemniaki i kapusta. Mamy jeszcze jabłonie.

– Jabłonie? – zainteresował się Hubert.

– Siedemnaście hektarów – pochwalił się gospodarz. – Część starych drzew my wycięli i zasadzili winogrono. Rozwijamy winnicę.

– Starczy słońca?

– Zobaczymy. Na razie to tylko hobby.

Hubert poklepał sprzęt młodego rolnika.

– W twoim wieku dałbym się pokroić za jeżdżenie takim sprzętem. Popieram twoje zainteresowania. Bardziej od traktorów lubię tylko czołgi.

Młodzieniec zarechotał i aż pokraśniał z zadowolenia.

– To co, przesiadasz się do swojego radiowozu czy zawieźć cię do Oporowa? Będzie dłużej i trochę potrząsie, ale zaoszczędzimy z godzinę na zawracanki.

– Żadnych zawracanek – zdecydował Hubert, ale dał znak, by chłopak jeszcze nie włączał silnika. – Ojciec mówił ci, że Niemiec z Berlina chciał was wykupić. Pamiętasz, kiedy to było?

– Z parę lat będzie. Nie daliśmy dobrej ceny. Zostajemy tutaj, bo to nasz heimat. – Uderzył się w pierś i przeżegnał się tak szybko, jakby ganiał muchy. – A tamten mówił to samo. Ale popełnił błąd. Kupił Oporowo i fama się rozeszła, że puścił Morawskich z torbami. Tyle że to szlachcice, do roboty dwie lewe ręce. Starzy już byli, woleli do miasta. Córka wyemigrowała. Druga siedzi w Poznaniu, w jakiejś agencji reklamowej, a najmłodszy, jedyny, który miał głowę na karku, Jacek mu było, poszedł na księdza. Na dworki tak łatwo dofinansowania nie dają. Nie to co na kukurydź bez GMO i kurze fermy w otwartych klatkach. Remont trzeba robić pod konserwatorem. Same kłopoty. Jak będę miał na zbyciu dwie bańki, to sobie z pocałowaniem rączki kupię jaki pałacyk i będę patrzył, jak forsa przecieka mi między palcami. – Zaśmiał się.

– Znałeś Gustawa Garbarczyka? Bywał tutaj?

Młodzieniec skrzywił się, jakby myślenie zaczęło go boleć.

– Coś kojarzę nazwisko, ale chyba ino z telewizji. To nie ten gość, co go szukają za zabójstwo rodziny? Ponoć jest uzbrojony. Prawda to?

Meyer skinął głową.

– Pewnie za młody jesteś – dorzucił, zrezygnowany. – Facet ma ze czterdzieści lat.

– Jego nie bardzo – zgodził się rolnik. – Ale na weselu brata była kiedyś jego siostra, całkiem niczego sobie importowana Niemka. Szwargotała po szwabsku jak rodzona. Towarzyszył jej dziad z brodą Tołstoja i kupa dzieci odpicowanych w falbanki niby na festyn.

– Kiedy?

– Ze sześć lat będzie.

– I ten dziad bywał tutaj jeszcze?

– Nie inaczej. – Rolnik puścił oko do Meyera. – Z innymi kobitami, ale zawsze ze stadem dziatwy. Każda jego lala taka ładna jak z obrazka, choć on sam próchno okrutne. Gdyby nie tatuaże na ciałach tych dziewczyn, byłoby na czym oko zawiesić. To i wydedukowali my: przekręciarz jak nic. A furą zawsze podjeżdżał, że oko bielalo. Ostatnio maserati ghibli nówka sztuka na niemieckich blachach. Ludzie szeptali, że pewnie po naszym weselisku powziął decyzję, by przejechać Oporowo, bo okrutnie się o nie rozpytywał. To mu rzekli my, że Morawscy toną w długach, starzy są i dadzą dobrą cenę. I dali.

– Jedźmy tam więc – zarządził profiler.

Ryknął silnik traktora.

\* \* \*

## OKOLICE OPOROWA

W trakcie przejażdżki praktycznie nie rozmawiali. Hubert myślał, jak ułożyć w spójną całość informacje, które na bieżąco otrzymywał od Matuszaka i Kaczmarka. Wiedzieli już, że Izaak Haselhof to Helmut Kischke i że według zeznania siostry Gustawa Garbarczyka stał na szczycie organizacji, która pod przykrywką działalności duchowej miała na celu przejmowanie majątków. Wszystko to wydawało się nieprawdopodobne, a danych do sprawdzenia nieustannie przybywało. Choć Hubert ufał Grzegorzowi, nie był pewien, czy można ufać Klarze. Żona Haselhofa była skonfliktowana z małżonkiem i opłacałoby się jej wmanewrować Izaaka w sprawę kryminalną, by odebrać mu prawa rodzicielskie i wrócić do kraju. Matuszak intensywnie pracował nad ustaleniem personaliów zabitych na Sołaczu, ale jak na razie analizy DNA niczego nie wniosły. Trzy osoby zostały oddelegowane do przeszukiwania list zaginionych. Jedna sprawdzała gabinety dentystyczne. Nowych tropów w tej materii nie było. Nie było także pewne, czy hodowczynie kotów nie pomyliła Garbarczyka z kimś innym, bo podczas okazania fotografii poglądowych wskazała figuranta. Tłumaczyła, że zapomniała okularów do czytania, ale wartość jej zeznania spadła do zera. Do tego Huberta zaczęła atakować migrena.

Dojechali do parterowego dworu. Budynek był imponujący, dwuskrzydłowy, z dachem pokrytym oryginalną dachówką z osiemnastego wieku. Elewacja szcerniała ze starości, ale cały teren ponad pięćdziesięciu tysięcy metrów kwadratowych był szczelnie ogrodzony nowiutką siatką. Z tego, co opowiedział Hubertowi rolnik, i co sam widział, sporo już weń włożono. Na terenie była własna studnia, szambo oraz ogrzewanie. Doprowadzono też gaz i wstawiono plastikowe okna, co raziło Huberta, a nie uważał się za znawcę zabytków.

– Jakby się uprzeć, dałoby się tu mieszkać – skomentował znieścaczony przewodnik Meyera. – Ale kto by chciał? – Rozejrzaj się. – Do drogi, sklepu, kościoła daleko. Psy dupami szczekają. Zresztą – pokazał – furta zamknięta na cztery spusty. Nie pojedziemy dalej. Chyba że masz nakaz czy coś?

Hubert pokręcił głową.

– Miałem tylko ochotę zobaczyć, na co wydaje się dwie bańki papieru.

– No, ja bym wiedział, co z nimi zrobić – zapewnił ze śmiechem rolnik. – Nowy park maszyn. I wypasiony czołg bojowy. Pobierałbym opłaty za przejażdżki. Jeszcze bym na tym utułukł dobry wró kapuchy.

Meyer już go nie słuchał. Zeskoczył z traktora i podszedł do ogrodzenia. Przyjrzał się plastikowym pojemnikom stojącym przed wejściem. Przypominały pudełka, jakie wystawiał przed swoim biurem dla bezpiecznych kotów. Szarpnął za siatkę, potrząsnął barierkami. Była stabilna. Wspiął się i w dwóch ruchach był już za ogrodzeniem.

– Hej, oficerze! – krzyczał rolnik. – Tak chyba nie wolno!

Hubert podniósł dłoń w przeproszającym geście.

– Zapal sobie. Opróżnij dwojaki albo pęcherz. Poesemesuj z kobietą, sprawdź Instagram.

– Tu nie ma zasięgu, człowieku!

– Czekaj na mnie – polecił profiler. – To tylko chwila.

Zdążył się zbliżyć, a z krzaków zaczęły wyłaniać się wąsate łebki. Hubert nie był w stanie ich wszystkich policzyć. Oszacował stado terytorialnie. Było nadzwyczaj liczne: trzydzieści, może czterdzieści osobników. Jak tylko koty spostrzegły, że to jakiś obcy, rozpierzchyły się i pochowaly w załomach, na drzewach, a niektóre błyskawicznie wdrapały się na balkon. Hubert zadarł głowę i przyglądał się siedzącemu najwyżej. Była to krzyżówka bezwłosego kota z dachowcem, nie czystej krwi Sfinks. Zamarł w bezruchu, ale nie bał się. Patrzył na Meyera z wyższością, jakby wyczekiwał wpraw jego reakcji.

– Kto je dokarmia? – zakrzyknął Hubert do swojego przewodnika.

– A kto je tam wie. – Zniecierpliwiony rolnik machnął ręką. Był zawiedziony, że policjant, którego przywiózł na miejsce, zamiast zbierać ślady, zajmuje się obserwacją stada bezpiecznych kotów. –

Jedziemy?

– Chwila!

Obszedł dokładnie cały budynek. Naciskał klamki, próbował pchnąć okna. W większości zawieszono bogato złożone zastawy. Hubert odeżył wzrok i zajrzał do środka między szczelinami. Wyglądało na to, że wewnątrz nie ma sprzętów. Pokoje, do których udało mu się zerknąć, były opustoszałe, ale nie puste. Przywodziły na myśl sale wykładowe. Idealne miejsce na zgromadzenia.

Teren był zbyt rozległy, by eksplorować go w tej chwili, więc wdrapał się na balkon i chwilę podziwiał widok. Wtedy spostrzegł, że trawa została wystrzyżona w ogromny okrąg. Na niektórych drzewach wisały pojedyncze wstążki. Przymknął oczy, bez trudu wyobraził sobie przemawiającego z tego miejsca Izaaka Haselhofa. Kiedy je ponownie otworzył, na balustradzie obok niego siedział ten sam kot – przywódca. Meyer wyciągnął dłoń, by go pogłaskać, ale zwierzak syknął, uskokzył. Zbiegł w dół po gzymsie, jakby maszerował po płaskim, i ukrył się w krzakach.

Hubert ruszył w tamtym kierunku. Chwilę mu zajęło, by okrążyć dwór. Kiedy znalazł kryjówkę kocura, rozchylił listowie i zobaczył potężną klatkę z zadaszaniem, której podłogę umoszczono licznymi poduchami. Pojął, że to legowisko stada. W głębi, na zbutwiałej od brudu i wilgoci koldrze, leżała wychudzona kotka z młodymi. Poderwała się na jego widok i zaczęła syczeć, ale nie trwało to długo. Staniała się na nogach, aż wreszcie padła i trzęsąc się cała, zwinęła się w kłębek. Zaczęła nosem zagarniać kociaki, które odlepiły się od jej sutków i piszczały przerażone. Hubert jak oniemiały wpatrywał się w jej obrozę z łańcuszka z trzema koralikami w kolorze czerwieni.

– Hej, przełaź przez siatkę! – krzyknął do rolnika. – Weź jakiś koc albo worek.

Sam ściągnął kaszmirowy płaszcz z grzbietu i przykrył nim przemarznięte zwierzę.

– Myślałem, że jesteś słynnym profilerem, a nie hyclem – bronił się słabo farmer.

– Zabieramy je, bo wyzdychają tu bez żarcia – odrzyknął Hubert. – A poza tym to dowód rzeczowy.

\* \* \*

## POZNAŃ

– Sam będziesz się nimi zajmował – fuknął Matuszak, zamykając drzwi do kuchni. – Odstawił butelkę z mlekiem i wziął się do siekania mięsa, nie przestając narzekać. – A to wszystko w powodu pierdolonych koralików!

Hubert nie odzywał się. Wystawiał właśnie głowę za okno i wydymował dym. Kiedy puścił ostatnie kółko, Matuszak zajął jego miejsce, a do rąk Meyera włożył mały tasak.

– Używasz tego na co dzień? – Hubert obejrzał narzędzie z uwagą. – Czy tylko kiedy zapraszasz gości?

– Kupiłem specjalnie na twój przyjazd. Jakoś przewidywałem, że może się nadać – burknął nadkomisarz. Wyjął komórkę, odebrał wiadomości.

– Mają coś? – zapytał z nadzieją profiler.

– Ni chuja. Żadnych trupów, koldr, worków foliowych. Nawet dewocjonaliów. Jak na razie teren jest czysty. Poza skrojonym chlebem, którym zasypano wykładziny w tym dworku. Pewnie też ma jakieś magiczne moce – prychnął. – Módl się, żeby Haselhof znienacka się nie odnalazł i nie podał nas o odszkodowanie za tę hucpę na jego posiadłości.

– Kopia, gdzie powiedziałem?

– Prokurator zgodził się na sześć lokalizacji pod jabłkami. A ja, idiota, położyłem za to swoją głowę. Nie wspominając o honorze.

– Trzeba było położyć moją.

– Kładłem. Nie chcieli.

– Więc się pomyliłem – przyznał Hubert i w akompaniamencie kociej kapeli dobiegającej zza drzwi dokończył porcjowanie jagnięciny. – Wyglądało mi to na idealne miejsce kultu. Gdybym był przywódcą duchowym i posiadał taki teren, z pewnością bym je wykorzystał na spotkania z wiernymi.

– Jak wspaniale, że minąłeś się z powołaniem, inspektorze – zakpił Matuszak. – Kiedy wraca twój człowiek?

– Mój człowiek? – Hubert podniósł brew. – Grzesiek Kaczmarek to twój fan. Chyba nie będziemy się o niego okładać po twarzach?

– Raz mnie zdradzisz, a powrotu nie ma – rzucił lekko nadkomisarz, ale zabrzmiało to jak miękka groźba.

Hubert przyjrzał mu się zaniepokojony. Czyżby Matuszak był zazdrosny o młodego profilerą?

– Zdobył zaufanie Klary i pracuje nad jej rewelacjami o Wybrańcach. Tak jak ustaliliśmy, nakazalem mu zostać, szukać Haselhofa. Dobrze by było pogadać z apostołem wpierw nieoficjalnie. Masz coś do niego? Zadzwoń. Chcesz, żeby wracał? Wal bez ogródek.

Matuszak prychnął zniecierpliwiony.

– Nie mam tylu radiowozów, żeby cię wozili po mieście jak jakąś cizję. A kotów, których nazbierałeś, starczy mi do śmierci. Capi tu mięsem jak w rzeźni. Zaraz oszaleję od tego miauczenia! Kiedy przyjadą ludzie z fundacji? Dzwoni do Cani, niech ta wariatka je zabiera! Nie daruję jej. Położyła mi okazanie dokumentnie.

– Gdybyś pokazał jej żywego człowieka, a nie tysiąc zdjęć poglądowych, nie byłoby wtopy – oświadczył Hubert grobowym tonem. Nie podobała mu się ta przemowa.

– Znajdę Garbarczyka, bądź pewien, że jej go pokażę – fukał dalej Matuszak. – I nie było ich tysięcy, bo w katalogu mieści się po trzysta sześćdziesiąt. A zdążyłem pokazać dwa, zanim wskazała człowieka z mojego wydziału.

– Mówiłem, żeby się wstrzymać, ale uznałeś, że konferencja prasowa jest ważniejsza – odparował psycholog. – Poza tym mam fundusz na taksówki. Nie musisz mnie holować. Nawet wolę.

– To was rozpieszczą w tej Warszawie.

– Własny fundusz – doprecyzował Meyer. – Na coś muszę przeznaczać te bajońskie sumy, które płaci mi Czajkowski. Dzieciom wszystkiego nie oddam. Mają własną forszę.

Nadkomisarz nieznacznie się wykrzywił, co – jak już Meyer wiedział – w jego przypadku było uśmiechem.

– Prawdą jest, że specjalnie dla was zmieniono ustawę?

– Podobno. – Hubert potwierdził, a w tym momencie nóż mu się omsknął i omal nie odciął sobie palca.

Przeklął. Sięgnął po papierowy ręcznik, by zatamować krew.

Matuszak bez słowa wy dobył z szafki apteczkę i długim posuwistym ruchem puścił ją po blacie w kierunku Meyera. Kiedy Hubert zabawiał się z plastrami, Matuszak kontynuował:

– Co wy w ogóle robicie w tym tajnym wydziale, o którym plotkuje cała policja?

– A co gadają?

– Że zakładasz rodzaj federalnego biura śledczego. Polskie Quantico. Oficerowie się boją.

– Niby czego?

– Że będziecie się nam wbijać w teren. Torpedować dochodzenia. Słowem: wpierdalać się tam, gdzie nie powinniście. Centralizacja to zło. Sam wiesz najlepiej.

Meyer zamknął apteczkę. Dokroił ostatni kawałek mięsa, poporcjował i spakował do plastikowych pojemników. Otworzył zamrażarkę, zaczął je układać.

– Koty nie lubią mrożonek. Tylko świeże mięso się liczy. To smakosze – burczał Matuszak, ale zaraz się roześmiał. – Chyba jesteś psiarzem.

Meyer pozostał poważny.

– W moim wydziale najważniejsi są ludzie. Rzecz w tym, że się jeszcze nie wykluli.

– Nie brzmi to dobrze.

– Wyjąłem z jednostek najlepszych detektywów w tym kraju.

– Co racja, to racja. Kaczmarek aż piszczał, kiedy dostał powołanie.

– Na siłę nikogo nie brałem – zaproponował Hubert. – Sami aplikowali. A chciałem tylko takich, którzy mają zaplecze w regionie, kilka kursów taktycznych i łeb na karku. Nie plecaków, nie gładko awansujących, chociaż są wśród nich popisowacze i to jest okay, bo bycie profilerem wymaga własnej inwencji. Wszyscy są niesubordynowani, o czym mam się okazać przekonywać każdego dnia od miesięcy. – Zawiesił głos. – Ale sam wiesz, że rasowym śledczym czynią cię prowadzone dochodzenia, przeszkody i porażki. Nie ambicja. Nie wiedza. Praca. Codziennie, każdego dnia zmagasz się z czymś, a tworzysz ramy rutyny. Dałem im teraz zadanie na wytrzymałość. Tworzą specjalny system, który przyda się każdej z komend. Bo nasz wydział nazywa się Wsparcie Dochodzeń, co znaczy, że mamy pomagać. Nie wpięrać się w nie swoje sprawy ani tym bardziej torpedować śledztw. Budujemy coś takiego jak Krajowy Rejestr Informacji i AFIS w jednym. Tyle że poza danymi personalnymi, odciskami paluchów, uszu, DNA i historii kryminalnej będzie tam także modus operandi.

– Przecież on się zmienia.

– Ewoluuje – skorygował Hubert. – Trzon zachowań pozostaje tożsamy, jeśli prześledzisz historię każdego sprawcy. I nieważne, czy będzie to człowiek, który popełnił zabójstwo, kradzież, gwałt czy malwersację finansową. Mam gościa, który napisał program komputerowy, ale to nic trudnego. Chińczycy podobne sprzedają za niewielkie pieniądze i nawet drobnymi ciałacz mógłby sobie pozwolić na podobny system. Sztuczka polega na takim czytaniu akt, by wprowadzić dane poprawnie. WERA będzie miała też coś, czego nie mają Amerykanie: analizę obrażeń pod kątem behawioralnym i prognozę rozwoju seryjnych. Nie tylko idzie o zabójców, ale złodziei, gwałtcieli i oszustów. W większości to oni działają w recydywie. Na tej podstawie będziesz mógł wyszukiwać podejrzanych. Tak, nie tylko skazanych, ale klientów, którzy choć raz, kiedykolwiek, byli w naszych kartotekach. W takiej sprawie jak nasza wpisalibyśmy kokony, paciorki, koty i jabłonki. Miałbyś listę delikwentów do sprawdzenia. I powiązanych z nimi ludzi.

– Wygląda mi to na syzyfową robotę. – Matuszak był sceptyczny. – Trzeba lat, żeby zbudować bank danych, coby dzisiaj wyskoczyły mi tropy do koralików.

– Żeby system był w pełni skuteczny, potrzeba czasu – zgodził się z nadkomisarzem Hubert. – Ale ktoś musi zacząć. Przynajmniej próbujemy.

– Nadal jestem ciemny jak tabaka w rogu – parsknął Matuszak. – Mówiłem ci, że nie przemawia do mnie ta behawiorystyka? Był u nas jeden taki. Lisek się nazywał. Przystojny jak pieron. Programy jakieś prowadzi w płatnych kanałach.

– Znam Liska. Od lat po nim sprzątam.

Matuszak się nie roześmiał. Przeciwnie, zagotował się ze złości.

– Tak mi rozpiardolił śledztwo na tysiąc małych kawałków, że zabójcy nie wykryliśmy. Biegaliśmy po lasach, kopaliśmy dołki nad Wartą, a sprawa się zakończyła, bo klient przestał zabijać. Przeniósł się, poszedł siedzieć za coś innego albo już nie żyje. Lisek do dziś wymądrza się w tej sprawie przed telewizorami. Krew mnie zalewa, jak widzę jego piękną głowę na ekranie.

– To wtedy zginęła twoja żona? – odważył się spytać Meyer.

Matuszak sięgnął po swoje papierosy. Wystawił głowę za okno, jakby nie chciał kontynuować tematu. Odezwwał się dopiero po dłuższej pauzie.

– Nie, to była całkiem inna sprawa. Pracowaliśmy z Lilką nad dzieciobójczynią. Okazała się wariatką i nawet nie poszła siedzieć. A jak to było z twoją?

– Jestem rozwiedziony – odparł Hubert. – Ale rozumiem, że pytasz o strzelaninę w Narwi i śmierć Weroniki Rudy? O tym też plotkujecie?

– Dziwisz się? Nie każdemu udaje się narazić życie zaprzyjaźnionej prokuratorce i po popisowo wykrytej sprawie dać ją zastrzelić jakiemuś łachmycie. Na dodatek całkiem gołą. Sławomir Sroka mu było? Z tego, co wiem, nie znalazłeś go. Ani nie ubiłeś. Gościu nie jest nawet poszukiwany. O co tu biega? Co z ciebie za profiler, skoro nie potrafisz wykryć sprawy, w którą sam jesteś zamieszany?

– Miałem pomysł, żeby zostać mścicielem – przyznał Meyer. – I powiem ci, że nie do końca go porzuciłem.

Podszedł do okna, wcisnął się obok Matuszaka. Palili w ciszy, gapiąc się na gołębie skupione wokół kopczyka krojonego chleba.

– Co robisz w tej sprawie?

– Czekam.

– Na co?

Hubert westchnął.

– To skomplikowane.

Milczeli obaj. Wreszcie Matuszak odsunął się od okna. Sięgnął do lodówki wyładowanej po brzegi kocim żarciem, mlekiem i odżywkami dla kociąt. Wyjął zmrożoną butelkę wódki. Dostawił dwa kieliszki.

– Ja nie piję – zastrzegł Hubert.

– Zaszłyś się czy religia ci nie pozwala?

– Po prostu chcę być trzeźwy. Pamiętać każdy szczegół – podkreślił. – Ból musi boleć. Choćby spalił do kości i zmiotł mnie donikąd. Pragnę tego, uwierz. Bardziej niż tego twojego znieczulenia. – Wskazał wódkę. – Ale ty się nie krępuj.

Zdjął okulary, potarł powieki. Matuszak w tym czasie odbił butelkę i nalał sobie po brzeg. Wypił, uzupełnił. Czynność powtórzył. Dopiero wtedy spojrzał na Huberta łaskawiej. Bursztynowe oczy miał zamglone, jakby dopiero co płakał. Nic się nie odezwał. Zacisnął tylko mocniej szczękę i wpatrywał się w Huberta w oczekiwaniu.

– Budzę się czasami w nocy i czuję, że ona jest obok – wyznał nagle Meyer i pojął, że mówi to po raz pierwszy od śmierci Werki. Nawet na przymusowej terapii nie przyznał się, że rozmawia z duchem zabitej prokuratorce. – Ale ostatnio ona przychodzi coraz rzadziej. Właściwie to już tylko flesze. Wiem, że jest gdzieś blisko, że nie odeszła. Ale wiesz, wcale tego nie chcę. Im większy gniew czuję do nich, bo nie chodzi tylko o Srokę, lecz o strukturę, w której działał, tym większą bliskość czuję z nią. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

– Staram się – odparł Matuszak. – I cholernie ci zazdroszczę. Moja nie przyszła ani razu. Nigdy mi się nie przyśniła. Byłem na hipnozie, u różnych magików, szamanów, oszukańców. Gotów jestem zapłacić każde pieniądze, a swego czasu byłem gotów umrzeć. Byle wróciła. Tam ją spotkać. Do piekła bym poszedł, zawiął się, kurwa, w kokon. – Urwał. – Nic nie działało. Nigdy się nie pojawiła. Napierdalałem w klubach, kopałem podejrzanych, piłem na umór. Próbowałem z prochami. Zero efektu. Gdyby nie fotografie, nie pamiętałbym twarzy mojej Lilianny. Boję się, że całkiem zniknie. – Zawahał się. Spojrzał na Meyera. – Wiesz co? Kiedy tak siedziałem dzisiaj u tej wariatki od kotów i jeszcze nie spodziewałem się, że za chwilę sam zostanę takim wariatem, będę miał zamrażalnik pełen kociego żarcia i te pe, patrzyłem na tego łysego kota i zdawało mi się, że to ona. Pojebane, nie?

– Raczej.

– A mnie to ucieszyło – uśmiechnął się Matuszak. – Ucieszyło mnie, bo coś poczułem.

Hubert w tym momencie poczuł do nadkomisarza szczerą sympatię. Byli z jednej gliny. Werka od razu by go polubiła. Nie miał co do tego wątpliwości. Pomyślał o Domanie. Jego żona też miała na imię Lila.

– Nie było już znieczulenia, o którym gadasz – ciągnął tymczasem Matuszak. – A to był tylko łysy kocur. Piękny zresztą, muszę stwierdzić, w swojej brzydocie. Łysy jak ja i o ironicznym usposobieniu.

Potarł oczy, jakby do pokoju nagle wpuszczono gaz łzawiący. Sekundę później po jego policzkach płynęły łzy. Matuszak płakał.

\* \* \*

Hubert nie wiedział jak się zachować. Nie miał pojęcia, czego oczekuje od niego nadkomisarz. Stał znieruchomiał i wpatrywał się w pijanego faceta, odczuwając zawiść, że Matuszak jest w stanie pozwolić sobie na słabość. Rozpacz Meyera była zimna niczym zlodowaciała rzeka. Milcząca, sroga



i nieprzystępna. A pod lodem płynęła śmiertelnie zimna woda. Wiedział, że kiedy Sroka do niej wpadnie, to spotkanie zmieni jego życie. Hubert nie mógł doczekać się tej chwili.

– Nigdy nie miałem żadnych zwierząt w domu – kontynuował Matuszak, czkając z lekka. – Żona była alergiczka. A ten kot miał na imię Lilia. Wiesz, że tak mówilem do ślubnej w łóżku? Tylko my o tym wiedzieliśmy. Co za koincydencja! – Sięgnął po ścierkę do rąk i przetarł zroszone potem czoło.

– Chyba żałoba ci się kończy. – Hubert zdecydował się odezwać. – Podjąłeś decyzję, by odstawić rozpacz. Nie dźwigać jej. To dobrze. Zaczyna się etap ostatni: akceptacja. Ja wciąż jestem w gniewie.

– Spierdajal z tą psychologiczną tanizną – obruszył się Matuszak i nalał sobie następnego. – To moja wina, że Lilię uprowadzono. Zamiast przytulić, pocieszyć po ciężkiej bitwie, opierdoliłem ją służbowo, że puściła luzem współnika podejrzaney. Jakby żona była moim podwładnym, a mieliśmy wtedy taki sam stopień. I choć widziałem w jej oczach łzy, twarżo ruszyłem na przesłuchanie tamtej suki. Trwało całą noc i pół dnia następnego. Kiedy wróciłem, powiedzieli, że Lilia nie wróciła z akcji poszukiwawczej. Ostatni raz widziano ją nad Wartą, gdzie rzucił się konkubent dzieciobójczyni i skąd go wyłowili. Wspólnik siedzi, tamta jest u czubków, a moja małżonka do dziś pozostaje zaginiona. Nie daruję sobie, że byłem takim chujem, kiedy rozmawialiśmy ostatni raz.

– Przystopuj – poprosił Meyer, wskazując opróżnioną w trzech czwartych butelkę. – Bo jak coś znają, nie będzie komu robić. Sam jestem bezużyteczny. Ty dowodzisz.

– Masz przecież WERĘ i swoich niewyklutych profilerów. Na co ci w ogóle taki zgorzkniały gliniarz jak ja? – zaśmiał się przez łzy, a Hubert już wiedział, że nadkomisarz upija się na smutno.

Wyjął flaszkę z rąk policjanta. Zakręcił, odstawił na półkę. Matuszak nie zaprotestował. Jakby mu ulżyło. Wzrok miał zmętniały, ramiona opuszczone. Łysina na czubku głowy znów błyszczała w świetle jarzeniówek.

– Czas pogadać poważnie – rzekł Meyer. – Podsumujmy, co mamy.

– Nic nie mamy – burknął zniechęcony nadkomisarz. – Sprawdziliśmy wszystko. Ludzie znaleźieni na Sołaczu są wciąż N.N. Skoro Helmut vel Izaak działał głównie w Berlinie, może to nie Polacy? Igła w stogu siana.

– Też o tym myślałem – przyznał profiler. – Pójdziemy tropem apostoła i Garbarczyków, ale ustalenie personaliów zmarłych torpeduje śledztwo dowodowo.

– Jakiś pomysł czy tylko lubisz wykładać?

– Mam jeden. – Hubert się zawahał. – Słyszałeś o pośmiertnym selfie?

– Człowieku, to nie ta kategoria wiekowa. Z pośmiertnych znam się jedynie na plamach opadowych.

– Przed publikacją zamaskujemy je Photoshopem.

– Chcesz robić zdjęcia ofiarom? – Matuszak się skrzywił.

– I je upublicznic – potwierdził Hubert. – W telewizji, mediach społecznościowych. Niech prasa je opublikuje. Ktoś ich rozpozna. W Zachodniopomorskim jest muzeum poświęcone tej dziedzinie sztuki. Ludzie kiedyś wieszali zdjęcia zmarłych na ich grobach.

– Żeby bliscy pamiętali o śmierci czy to klub regionalnego nekrofila?

Hubert zamyślił się, zapatrzył w okno.

– Wiesz, że ty możesz mieć rację? – powiedział.

– Wątpię. Bożiłow nie stwierdził, że zostali wykorzystani po śmierci – zauważył zaskakująco trzeźwo Matuszak. – Ani kobieta, ani dzieciaki. Dzięki Bogu, przynajmniej w zboczeniach nie trzeba będzie się babrać. To nie jest seksualny. Tego mi nie wmówisz.

– Daj dokończyć – uciszył go Meyer. – Bożiłow zwrócił uwagę na nadzwyczajną pieczołowitość w zapakowaniu ciała przed pochówkiem. To kosztowało wiele trudu, pracy, a zapewne i nakładów finansowych. Dodatkowo monitoring nie wykazał nic podejrzanego.

– Wciąż pracujemy. Nie kładź na nas laski.

– A może on właśnie na to liczy?

– Na co, człowieku? Konklużja!

– Że zostanie zauważony – odparł Meyer. – Sprawca przypomina nam o śmierci. Jak koronawirus. Że umrzemy. I nie działa sam.

– Uważasz, że to grupa? Któryś z bliskich Wybrańców, którzy spełniają swój święty obowiązek pochowania tych, którzy mają pójść gdzieś dalej? Zaopekować się ich duszą? Czy coś koło tego?

– Możliwe, że stoi za nim grupa – potwierdził Meyer. – Tak jak my nie potrafimy oddalić się od naszych kobiet, on robi to dla nich. Lub przeciwko nim. Odprowadza ich za Styks. Bierze na siebie ten ciężar.

– To z mitologii? Chyba nie ten skrypt religijny. Tam były katolickie dewocjonalia. Jezuski, Maryjki, czerwone koraliki upozowane na różańce. I kupa obrazków komunijnych.

– Chodziło mi raczej o skrót myślowy. Elipsa, by wyjaśnić pieczętowość pochówku. Kokony symbolizują rytuał odejścia. Ważny dla żywych, nie dla zmarłych. Bo im jest wszystko jedno. Tak myślę. Jeśli zaś chodzi o sprawy doczesne, to skłaniam się do hipotezy, że robi to jednak sam.

– Dlaczego?

– Jest zbyt nieuchwytny.

– Skoro tak, koleś musi być silny jak Herkules – skwitował Matuszak. – Pogrzebać cztery trupy i dwa kocury to kawał ciężkiej harówki. Może po robocie padł ze zmęczenia i jeszcze nie wytrzeźwiał?

– Duży, silny – zgodził się Meyer. – Raczej facet w kwiecie wieku niż młodzian. Przyzwyczajony do fizycznej pracy. Nie intelektualista, ale myśliciel. Możliwe, że odtwarza czyjąś wizję. Kopiuje ją krok po kroku, systematycznie. Metodyczny z natury. Nawykły do wykonywania swojej pracy w pojedynkę. Samowystarczalny. Ma kilkuletni samochód w stonowanych barwach. Możliwe, że SUV-a albo małą furgonetkę.

– Oho, chyba trochę cię poniosło – mruknął Matuszak. – A kiedy go znajdziemy, będzie miał kopyto w rozmiarze czterdzieści sześć. Czy słyszę aplauz, inspektorze? – Uśmiechnął się kąpiako.

Hubert się zawahał.

– Nie jestem pewien, czy trop obuwia nie wrzuca nas przypadkiem w ślepy zaułek. Odciski są wyraźnie jedynie częściowo. Chyba że facet ma płafusa, szpotawą nogę albo jest lekki jak piórko, co już wykluczaliśmy.

– Z jakiejś przyczyny mustangi się pojawiły.

– Nie uważam, by nasz skrupulatny i nieuchwytny klient pozwolił sobie na tak oczywisty błąd, jak zostawienie śladów arcyraadkiej podeszwy. Jeśli to zrobił, wrabia kogoś albo udziela nam lekcji.

– To wskazówka?

Matuszak przyglądał się Hubertowi z uwagą.

– Trop prowadzi do kangurzej fermy. Tej wariatki od kotów. Jaki ona może mieć z tym związek? Z pewnością nie należy do osób skrupulatnych. I nie przypuszczam, by w swoim życiu wykopała chociaż jeden dołek.

– Sam wiesz, że pozory myślą.

– Może? – Matuszak się łamał. – Kobieta zgłosiła się sama i cztery godziny pierdoliła mi o kociej mocy. Może chciała się dowiedzieć, co mamy? Wybadać nas, na jakim etapie jest śledztwo? Przyjrzyć się jej. Idź dalej w tych swoich rozmyślaniach. Może jeszcze do czegoś się przydasz.

Hubert zdjął okulary, włożył je pod kran i puścił gorącą wodę. Nabrał kroplę płynu do naczyń. Mył szklą długo, gorliwie.

– Tę folię na kokony założono fachowo. Nie wiem, czy kiedykolwiek pakowałeś paczki do wystania. Ani jednego zagięcia. Proste, stanowcze ruchy. Koldry, ubrania zmarłych i dewocjonalia były nowe. Ani jednego włókna. Jakby pracował w kombiniezone technika kryminalistyki. Dziś to nie problem, jest pandemia. Kupisz taki sprzęt przez internet i nie budzi podejrzeń. Słowem, szukamy gościa, który wykonuje prostą pracę, głównie fizyczną, ale robi to sumiennie. To nie jest bezrobotny lamus. Jest też zorganizowany. Zadbał o odejście z miejsca zdarzenia. Oddalił się, nie wzbudzając podejrzeń. Kurier, listonosz, pracownik gazowni, śmieciarz, pielęgniarz, hydraulik albo ksiądz – wymieniał.

– Ksiądz? – wszedł mu w słowo Matuszak. – Masz na myśli konkretnego księdza? I na jakiej podstawie tak uważasz?

– Jeszcze nie pomawiam Morawskiego – zastrzegł Hubert. – Chodziło mi o kogoś, kto na co dzień nosi mundur. Rodzaj uniformu służbowego. Na kogo nie zwracamy uwagi, bo wpisuje się w scenografię miejsca. Obcy na Sołaczu zaraz byłby zauważony. Tylko ktoś, kto ma dobrą legendę, mógł przemknąć jak w czapce niewidce. Założy się, że gość wcale się nie ukrywał. Szedł z otwartą przyłbicą. A jak go złapiemy, sąsiedzi go rozpoznają. Znajdziesz nie jednego świadka, lecz wielu.

– Oby – mruknął Matuszak. – Możliwe też, że to nie było przebranie i ów człowiek faktycznie pełni na Sołaczu jakąś funkcję. Co w związku z tym? Mam przesłuchać wszystkich hydraulików, kurierów i kierowców karetke covidowych, którzy kręcili się w ciągu ostatniego tygodnia przed ujawnieniem zwłok? A może od razu brać na dołek księdza Jacka?

Hubert podszedł do okna, wpatrywał się w gołębie. Milczał.

– Nie wszystkich – rzekł wreszcie. – I nie płoszyłbym Morawskiego. Co najwyżej ja się nim zajmę. Skorzystajmy z mojej bytności i złej sławy. Stara dobra gra w dwóch gliniarzy powinna przynieść efekt. Ty zostaniesz tym dobrym. I nie będziesz miał problemów proceduralnych.

– Więc co proponujesz? – zniecierpliwiał się Matuszak. – Od razu mówię, że wszystkich sprawdzić nie sposób. Komendant prędzej jaja mi urwie, niż przydzieli do tej sprawy kolejnych ludzi. Już i tak ciągniemy bokami. Pod sobą mam teraz de facto ponad setkę funkcjonariuszy. To największe śledztwo w karierze Pierwszego. Trzęsie dupą jak galareta. Dlatego wciąż zwołuje konferencje prasowe.

– Coś czuję, że sobie z nim poradzisz. – Hubert uśmiechnął się. Podziękował Matuszakowi spojrzaniem i wrócił do tematu. – Jest idea, która przyświeca sprawcy, a która wyklucza prymitywnych robotników z motywem ekonomicznym. Klara mówiła o zemście, kłótnie. Bożiłow zwrócił uwagę na celebrycę pochówku. Ty sam zaoponowałaś, kiedy wspomniałem o buddystach. Dewocjonalia były katolickie, a nasz apostoł ze zdjęcia wyznawał zasady holistyczne. Jakby poczytał o słynnych przewodnikach duchowych i przebrał się za nich. Od każdego wziął charakterystyczny element. Nie bagatelizowałbym symboli. One mają znaczenie w tej sprawie.

– W tym konkretnym przypadku zauważam jedynie totalny chaos.

– Pełna zgoda – przyznał Meyer. – Za dużo tych rekwizytów. Forma dominuje nad treścią. I to jest ciekawe.

– Myślisz, że to jakiś wariat?

– O nie – zaprzeczył szybko Hubert. – W jego działaniu jest zimna kalkulacja. Zamysł jest konsekwentny. Niespójności dotyczą użycia symboli w przekazie. Jakby on sam nie do końca w to wierzył, a jednak dokonuje dzieła. Opcja dwa: naśladowca. W każdym razie zrobił to ktoś, kto zna te brednie o Złodziejach Dusz. I tutaj ma nad nami przewagę.

– Jaśniej, mocium panie – przerwał Matuszak. – Jakieś porady praktyczne? Motyw?

Hubert odwrócił się. W dłoni miał telefon. Podświetlił jedną z fotografii.

– Dziewczynka, którą wybrał na dublerkę Neli, ubrana jest w przedpotopową sukienkę. Domek na pretri, mormoni, amisz. Ten typ. Ręce ma złożone jak na romańskich obrazach. A więc bezdyskusyjnie niewinność. – Wykonał zbliżenie. – Na oczy sprawca położył jej monety. Jak za dawnych czasów. Ludzie kiedyś wierzyli, że gdyby dusza zmieniła zdanie, zmarły się przebudzi. Nie zechce odejść, choć termin ważności ciała minął. Przymykano im więc oczy, by nie zawracali. Oczy zwierciadłem duszy i tak dalej. W przeciwnym razie istniało zagrożenie, że duch przemieni się w upiora. Czyli nasz człowiek się tego lęka. To oczywiście zabobon. Stosowany jedynie u chrześcijan. Tylko my boimy się śmierci. Wybrańcy Haselhofa ponoć się na nią cieszą.

– Jeśli wierzyć Klarze – wtrącił Matuszak.

– Jakaś część jej bajek jest prawdziwa – oświadczył Meyer. – Odsiejemy z czasem te plewy. Pytanie, o co ona gra.

Wyszukał kolejne zdjęcie.

– Spójrz, to jest pochówek członka dawnej grupy Osho. Paleta umajona stertą kwiatów, opleciona kolorowymi wstążkami wotywnymi. Za chwilę ta konstrukcja zmieni się w popiół, który wrzucą do

rzeki. Ciało zniknie, rozpuści się. Nie będzie nawet grobu. A ci ludzie się cieszą, obejmują. Nikt nie płacze.

– Czego to ma dowodzić?

– Nasz sprawca jest chrześcijaninem. Odtworzył rytuał zgodnie z naukami Haselhofa, ale nie podziela ich wiary.

Matuszak wpatrywał się w Huberta bez słowa.

– To już coś – rzekł. – Kontynuuj.

– Monety położono tylko na powiekach odtwórczyni Neli. Żadna z pozostałych ofiar nie ma takich kótek. Poszukiwanego obchodziła tylko ta dziewczynka.

– Była najmłodsza. Może jej pożałował?

– Prędzej bał się, że ona jedna zawróci i będzie straszyć go po nocach. Bachanalia wymyślone przez Haselhofa były wynaturzeniem, lecz miały wymiar radosny. W założeniu ofiarowały ludzi nadzieję. I wyzwolenie.

– Błędnie – ryknął Matuszak, ale Hubert nie słuchał. Kontynuował:

– Nasz człowiek ustanawia swoją prywatną Wielkanoc.

– Co ty pierdolisz?

– Okrucieństwo uważa za coś koniecznego, by udowodnić swoją wiarę. Sam chce się oczyścić. Ukrzyżowanie Baranka, śmierć, a potem zmartwychwstanie. Zaaranżował miejsce zbrodni w domu Garbarczyków z tylko sobie wiadomej przyczyny. Mógł to zrobić wszędzie. W każdym z opuszczonych domów, w lesie, pustostanie, na terenie pofabrycznym czy choćby wrzucić ciała do Warty. Tymczasem wybrał miejsce, do którego chwilę później przyjeżdża Klara.

– Może ona to zrobiła?

– Wątpię. Taka praca wymaga krzepy – zaprotestował Meyer. – Chociaż zgadzam się, że jest powiązana ze sprawą. Kluczem jest dom Garbarczyków. Bo zabójca wiedział, że Niemka przyjedzie. Z jakiej innej przyczyny trudziłby się tak bardzo, skoro nie chciał, byśmy ich znaleźli?

Matuszak długo milczał.

– Opcje są dwie – odezwał się po namyśle. – Albo wiedział, że Klara doprowadzi do ich znalezienia, albo zna tajemnicę zaginięcia Garbarczyków. Może to tak naprawdę tylko jedna opcja?

– Tak – zgodził się z nim Hubert. – Główni aktorzy tego spektaklu są wciąż poszukiwani. Mamy prawo uważać, że znajdziemy ich żywych. Czy nie taki komunikat idzie w telewizji i prasie?

– To nadużycie, ale faktycznie tak trąbią media. Wszyscy liczą na szczęśliwe zakończenie. Ja jestem innego zdania. A ty?

– Mam nadzieję, że się mylimy – zgodził się Hubert. – Jeśli ich znajdziemy żywych, doznamy Wielkanocy, którą nam przygotował. To, co zmarło, ożyło. Po oplakaniu przyjdzie radość, euforia. I wygra jego wiara. A nie Reinkarnacja za Życia. Sądzę, że o to mu chodzi. To pojedynek. Nasz sprawca przypomina nam o śmierci – powtórzył. – O zimnej sprawie, której przed laty nie rozwiązałeś.

– A jeśli odnajdziemy ciała?

– To będzie znaczyło, że personalia ofiar w piwnicy nie mają znaczenia. Ci zmarli byli rodzajem preludeum, ostrzeżenia. Groźbą. Pytanie dlaczego? Bo w każdej z opcji rodzina Garbarczyków jest dla niego ważna. – Zamyślił się.

– Wiara? Wielkanoc? Reinkarnacja? – Matuszak rozplątał swój lichey kucyk i szarpał go z nerwów, jakby chciał wyrwać ostatnie włosy z głowy. – Zapominasz o jednym. Garbarczyk z najstarszą córką nie zostali zastąpieni dublerami. Moim zdaniem to nadal ojciec z córką są pierwszymi podejrzany. I nie zmienię zdania, póki nie zobaczę go martwego.

– Nie sądzą, byś go prędko zobaczył.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Gdyby był Wybrańcem, zasłużyłby na świeży kokon w swoim własnym domu. Jeśli już, to bardziej podejrzana jest córka. Wika wie, co zaszło na Sołaczcu przed siedmiu laty, a co za tym idzie – kim są

bezimienni. Na niej bym się skupił. Jej szukał. Nie ojca. Bo moim zdaniem ciało Gustawa leży gdzieś ukryte w upokarzającej pozycji albo gnije w ciemnym, gęstym lesie. Przypominam ci, że wrzesień dwa tysiące czternastego był wyjątkowo upalny. Warunki rozkładu zwłok wprost idealne do mordu.

– Teraz to pojechałeś. – Matuszak wykrzywił twarz z gniewu. – Strzelasz ślepakami, szyjesz literaturę pociągową. Może tym lepiej się zajmij, bo pomysłów ci nie brakuje? Nawet dziecko wie, że po to, by postawić hipotezę, musisz mieć argumenty. Dowody! Działa i amunicję. Wprawdzie dzieciaki latają teraz po szkołach z bronią, ale w Stanach albo w Skandynawii, a i te sprawy są wyłącznie sposobem na zwrócenie na siebie uwagi. Nie ukrywają się, nie giną bez śladu. Nie przeczę, że to możliwe. Byłbyś łaskaw wyjaśnić, na jakiej podstawie sądzisz, że szesnastolatka dokonała samodzielnie masakry, a potem po sobie posprzątała?

– Nigdy nie twierdziłem, że dokonała tego sama – zaproponował Hubert. – Niektóre listy nasuwały podejrzenie, że pisała je osoba niezrównoważona. Warto by było sprawdzić, czy nie wyszukała tego w sieci i nie skompilowała z dostępnych na zasadzie „wytnij-wklej”. Młodzież plagiatuje dziś eseje z historii. Nikt nie widział podejrzanych osób, ale w przeciwieństwie do ojca dziecko rośnie i w ciągu siedmiu lat bardzo się zmienia. Dziś miałaby lat dwadzieścia trzy, a nie szesnaście. Zna teren Sołacza jak własną kieszeń. Mieszkała tam od małego. A o ile Garbarczykowie byli skonfliktowani z Haselhofami, o tyle ich dzieci mogły zyskać sympatię wujostwa. Jeśli było tak, jak lobbowałeś od początku, że Gustaw siedem lat temu uciekł z powodu długów, zabrał rodzinę, zaszyli się w Niemczech i przetrwali, to znaczy, że coś krytycznego wydarzyło się niedawno. Coś, o czym wiedzą Klara i Izaak, a może i ludzie, którzy sympatyzowali z jego grupą wyznaniową. Trzeba tam dotrzeć. Znaleźć członków Reinkarnacji za Życia i pogadać z nimi. Przesłuchać ich oficjalnie.

– Nie puszcza pary z ust – zachnął się Matuszak. – A twoja teoria oparta jest na słowach siostry Gustawa, których nadal w pełni nie potwierdziliśmy. Nie mamy dowodów, że Izaak wyłudzał pieniądze od potencjalnych samobójców. Brzmi to jak bajeczka grozy dla dorosłych. Na dodatek spreparowana przez rozwścieczoną małżonkę, która ma interes pomawiać męża, by odejść, zabrać mu dzieci. Wymyśli wszystko, oskarż go o każdy rodzaj zbrodni. Przecież ona walczy o pieniądze. Duże pieniądze. Jej się opłaca, by Haselhof poszedł siedzieć, zginął, a najlepiej rozpynął się w powietrzu.

– Wszystko prawda – zgodził się Hubert. – Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego opierasz się, by wszczęć oficjalne poszukiwania Wiktorii. Ona może znać naszego sprawcę. I jest z nim w jakikolwiek sposób powiązana.

– Uwielbiam to pierdnięcie z waszych opinii – zakpił Matuszak. – W jakikolwiek sposób. W jaki, kurwa? To jego kochanka, żona, córka? Konkrety!

Hubert nabrał więcej powietrza. Zniżył głos.

– Może to Wiki jest inicjatorką tej zemsty.

– Taki jest motyw Pana Kokona? – zachnął się Matuszak. – Czy tak ci tylko wyskoczyło? Z nerwów.

– Nie znam jeszcze motywu potencjalnego sprawcy – westchnął Hubert. – I nie namawiam cię, żebyś zrezygnować z dotychczasowych strategii. Co ci zależy puścić w obieg postarzone zdjęcie dziewczyny? Nie musisz przecież ogłaszać, że jest podejrzana do sprawy.

Matuszak zastanawiał się. Wstał, nastawił czajnik. Do kubka wysypał kopiastrą łyżkę kawy.

– Muszę to przetrwać – rzekł. – A córki Garbarczyka szukam. Operacyjnie.

– Ja się przyjrę Wiktorii – zaproponował Hubert. – Zrobimy profil wiktyologiczny i odtworzymy ostatnią linię jej życia. Na tyle, na ile to możliwe po latach. Grzesiek mi pomoże. Ty możesz iść własnym torem. Obiecuję, że póki nie znaję niczego na twardo, nie wspomnę więcej o zmartwychwstaniu. A tak swoją drogą, dobra ksywa. Pan Kokon odziera sprawę z makabry. Gratuluje. Tylko nie wysyp się przy dziennikarzach.

Zaświecił się telefon Matuszaka. Kiedy wybrzmiał dzwonek, policjanci zamarli na krótką chwilę. Nadkomisarz otarł usta dłonią, nim odebrał.

– Macie coś?

Słuchał w milczeniu.

Hubertowi zdawało się, że z każdą sekundą policjant trzeźwieje. Był coraz bledszy i bardziej skupiony. Wreszcie zakrył słuchawkę dłonią.

– Mają ciało.

– Haselhof? – strzelił Meyer. – Pod którą jabłonką go znaleźli?

Matuszak pokręcił przecząco głową.

– Struś. W swojej celi. Proszą o dyskrecję, bo wygląda to na samobójstwo.

\* \* \*

## **OSTRÓW TUMSKI, POZNAŃ**

– To on! – krzyknął młody zakonnik na widok Huberta wysiadającego z radiowozu. Rzucił się w kierunku profilera i dosłownie w ostatniej chwili został obezwładniony przez mundurowych. – Przez niego zginął ojciec Struś!

Teren klasztorny otoczono taśmami policyjnymi. Po alejkach wędrowali technicy ze sprzętem i funkcjonariusze pod bronią.

Przed samą psalterią zaparkowano czarnego jaguara na dyplomatycznych numerach. Okno było uchylone. Wydobywał się z niego dym cygara i widać było głowy dwóch mężczyzn zajętych rozmową. Jeden z nich miał pieczołowicie ułożoną fryzurę, drugi nosił czapkę komendanta.

– Doigrałeś się. Będzie zjebka – mruknął współczująco Matuszak. – Mam nadzieję, że cię karnie nie wycofają i nie zostawisz mnie samego z tym zmartwychwstaniem. Jakby się tak stało, przysięgam, że zakaładę ci do pociągu całą kociarnię razem z moją zamrażarką.

Hubert wpatrywał się w czubek głowy ministra Czajkowskiego, który przerwał rozmowę tylko na chwilę, by odwrócić się w jego kierunku. Oczy przystojnego polityka zionęły pustką, jakby profilera nie poznawał. Meyer był gotów do tej konfrontacji, odkąd wyjechał z Warszawy. Doskonale wiedział, że najpierw powinien umotywić nagle opuszczenie posterunku, ale wyglądało na to, że minister nie był zainteresowany rozmową z protegowanym. Strzepnął popiół z cygara, mruknął coś do komendanta policji i odwrócił głowę. Czarna lustrzana szyba zaczęła sunąć w górę. Okno się zamknęło.

Wtedy z przedniego siedzenia limuzyny wysiadła kobieta. Rozciągnięty bury sweter, czarne getry i wysokie buty sportowe nie licowały z luksusowym autem. Sięgnęła po wypchaną torbę, zarzuciła ją sobie na ramię niedbałym gestem. Jasne włosy przykryła bejsbolówką. Trzasnęła drzwiami. Ruszyła do budynku ciasno otoczonego przez mundurowych. Hubert widział, jak sprawnie pokonuje zasięki, posługując się odznaką lub legitymacją, jakby to była karta magnetyczna. Z tej odległości nie był w stanie stwierdzić, jakiego oręża używała, lecz policjanci po prostu się przed nią rozstępowali.

– Co to za blondą? – Matuszak pochylił się do profilera. – Znasz?

Hubert lekceważąco pokręcił głową. Wcale go to nie obchodziło. Zwrócił się do karzełkowatego zakonnika.

– Masz chwilę, bracie?

A potem poprosił policjantów, którzy trzymali wijącego się Marcinka jak w kleszczach, by go puścili.

– Ma prawo być wściekły – wyjaśnił. – To potrwa tylko chwilę.

Kiedy odeszli kilka kroków na bok, mały mężczyzna zadarł głowę.

– To przez ciebie – syknął. – Jesteś jak czarny anioł. Zwiastujesz śmierć. I nie jestem twoim bratem!

Splunął mu w twarz. O dziwo trafił. Hubert sięgnął po chusteczkę, wytarł dokładnie twarz.

– Przykro mi – odparł najspokojniej. – Ojciec Struś i dla mnie był kimś wyjątkowym.

– Znajdź jego mordercę! Jesteś mu to winien – burzył się dalej zakonnik, ale już mniej wojowniczo. Po rumianej twarzy płynęły teraz łzy. – Nikt z nas nie wierzy, że Struś zrobił to sobie sam! Oni się mylą!

– Byłem u was dziesięć godzin temu – zaczął Hubert. – Co się wydarzyło w tym czasie? Ojciec gdzieś wychodził? Z kimś się spotykał?

Młody mnich opuścił głowę.

– Poszedł odpocząć. Przez całe popołudnie był u siebie – wymruczał, a potem nagle wyznał: – Tak myśleliśmy i taką wersję zna przeor. Wiem jednak, że po twoim wyjściu ojciec dzwonił w kilka miejsc. Jego współlokator z celi słyszał, jak prosił różne osoby o informacje na temat sekciarza, o którego pytałeś. Strasznie się tym podniecił. Co mu nagadałeś?

– Szpiegowałeś nas? – zachnął się Hubert. – A potem inwigilowałeś też jego! Jak rozumiem, w dobrej wierze. Z troski? – drwił.

Zakonnik skrzywił się z pogardą.

– Od początku mi się nie podobałeś. Tylko cię zobaczyłem, a już wiedziałem, że będą kłopoty.

– Skoro tak, wiesz najlepiej, co ojciec Struś robił po moim wyjściu. Szukał informacji o Helmutcie Kischkem? Jesteś pewien? To ważne – podkreślił.

– Mówiłem przecież, że był u siebie i zbierał dane u swoich dawnych współpracowników – obruszył się zakonnik. – Odbił tyle rozmów, że jego telefon jest nieczynny. Padła bateria. Pewnie dlatego nie wezwał pomocy. Bo on został zaatakowany! Ktoś wdarł się tutaj i go zastrzelił! Jakiś intruz. Taki sam jak ty! – Nagle się rozplakał.

Hubert powstrzymał się przed wzięciem chłopaka w ramiona. Sięgnął po paczkę chusteczek i podał chlapiącemu Marcinkowi.

– Opuszczał klasztor?

– Struś od dawna nie był w stanie wyjeżdżać ze swojej celi bez pomocy – padło w odpowiedzi. – A jego wózek stoi przy schodach. O tam!

Obrócił się wokół własnej osi, pokazał. Nawet z tej odległości Hubert widział transporter, którym przywiózł go na rozmowę z nim wielki jak góra zakonnik.

– Gdzie jest brat, który zwykle eskortował Strusia?

Na to pytanie Marcinek nie znał odpowiedzi. Wzruszył ramionami, rozejrzał się.

– Pewnie na dywaniku u przeora – wyszeptał. – Ustalają, co ma mówić prokuratorze. Wiesz, Wielki Bern jest trochę opóźniony. Wolniej myśli, ale to dobry chłop. Wyobrażam sobie, że bardzo się zdenerwował. W tej wielkiej piersi bije gołębie serce. Współdzielili celę ze Strusiem od trzech lat i to on znalazł ciało, kiedy jak zwykle przyjechał zawieźć ojca na wieczorną mszę.

– Chyba wiem, który to Wielki Bern. Widziałem go dziś rano. Porozmawiam z nim, jak się uspokoi – zapewnił Meyer. Wskazał wieżę, w której mieszkał zmarły zakonnik. – Do celi ojca Strusia prowadzą schody. Nie ma zamków, zabezpieczeń. Każdy może wejść?

– To nie takie proste – zaprzeczył Marcinek. – Nie mamy monitoringu, ale w obejściu zawsze jest jakiś brat. O tej godzinie nie ma już turystów. Staramy się mieć oko na wszystko. Prawie każdy z dyżurnych nosi ze sobą krótkofalówkę.

Hubert pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Ilu jest dyżurnych?

– Czterech. Po jednym na każde skrzydło.

– Czyli bezpieczeństwa Strusia strzegł dzisiaj tylko jeden człowiek. Kto?

Marcinek pochylił głowę.

– Miałem być ja, ale przeor zlecił mi pilną sprawę. Oddaliłem się tylko na chwilę.

Otarł rękawem twarz. Znów płakał.

– Kto jeszcze odwiedzał dziś Strusia? – powtórzył pytanie Meyer. – Byłeś świadkiem czegoś podejrzanego? Niecodziennego? Poza mną był jakiś intruz?

– Intruza nie było – zapewnił solennie Marcinek. – Ale przyjechał ksiądz Jacek Morawski. Było już całkiem ciemno, jak zajął do krypty. Miałem wrażenie, że spodziewał się tam zastać kogoś innego niż ja. Czyściłem lichterze i musiałem wspiąć się na kryptę Mieszka, bo inaczej nie dosięgam. Kiedy się wychyliłem, zaczął uciekać. Poznałem go, zawołałem po imieniu. Sięgnął do portfela i wręczył mi plik

banknotów. Powiedział, że jego wierni nazbierali na renowację świeczników, a przecież wiadomo, że Jacek od stycznia nie służy już w parafii.

– Jak to nie służy? – Hubert się zdziwił. – Coś przeszkrobał?

– Nie, nie. To jego decyzja. Wraca do cywila. – Marcinek uśmiechnął się wszystkimowiedząco. – Wierni go lubią i nawet protestowali. Wymusili na kurii, żeby do listopada Jacek został na plebanii. Liczą, że przemyśli sprawę, ale on się uparł. Zgodził się tylko, by przetrwać na Sołaczcu, zanim znajdzie sobie mieszkanie. Wiem, że jest zdecydowany nie tylko odejść ze służby, ale i z Kościoła. Kuria trzyma to w najgłębszej tajemnicy.

Hubert zastanawiał się.

– I wszyscy o tym wiedzą? Mieszkańcy Sołacza też?

Marcinek wzruszył ramionami.

– Jacek z pewnością tego nie rozgłasza – skwitował. – Ale to nie jest sekret. Może liczy, że będą go prosić, chce większą plebanię, inną lokalizację albo awans? Kto go tam wie? Od pół roku ludzie z Sołacza zbierają podpisy, bo nie chcą innego proboszcza. To jest duchowny z powołania i ja to potwierdzam. Strateg i polityk w kurii, a dla ludzkości przewodnik duchowy. Zawsze robił więcej, niż trzeba. Wierni to widzą, doceniają. Jacek nigdy nie był bohaterem obyczajowego skandalu, żadnych romansów, malwersacji. To wzór do naśladowania. I do tego jeszcze taki przystojny jak Tommy Shelby. – Marcinek wzniosł oczy, uśmiechnął się lekko. – Dla wszystkich to dosyć szokujące, bo nie chodzi o sutannę. Nie pytaj, dlaczego stracił wiarę. Nie wiem.

– Jestem zaskoczony – przyznał Meyer. – Widziałem się z nim po południu. Nie wspominał o apostazji. To rzecz poważna. Jak przebiegało wasze spotkanie?

– Pomodliliśmy się wspólnie i pojechał. Wydało mi się to dziwne, bo nigdy nie przywoził ofiary osobiście. A jeśli już, to w kopercie, odpowiednio opisanej. – Zawahał się. Umilkł. – Miałem wrażenie, że daje mi pieniądze, żebym nikomu nie gadał, że go widziałem. Ale teraz, kiedy to się stało, nie mogę milczeć. Może to jego wina, że ojciec Struś nie żyje? Jak myślisz?

Hubert nie odpowiedział.

– Czy ksiądz Jacek widział się ze Strusiem?

– Sam musisz go o to zapytać. – Marcinek uśmiechnął się tajemniczo. – Kiedy padł strzał i odkryliśmy zwłoki, policja zatrzymała Jacka na drodze wyjazdowej. Wszystkich rutynowo zawracali i przesłuchiwali. Zaprzeczył, że tu był. Może wstydził się motocykla, na którym przyjechał? A musisz wiedzieć, że to wypasiony intruder. Swoją drogą, ciekawe, skąd Jacek miał na niego pieniądze, bo przecież nie ma na nowe mieszkanie.

\* \* \*

– Ledwie od ciebie wyszedłem, a znowu się spotykamy.

Hubert podszedł do radiowozu, w którym siedział ksiądz Jacek. W dłoniach miętosił koloratkę. Zamiast sutanny miał na sobie kombinezon motocyklowy. Wyglądał w nim tylko odrobinę mniej przystojnie niż w stroju duchownego. Meyer spostrzegł, że założono mu kajdanki, a na przednim siedzeniu radiowozu leżała podkładka z wypisanym dokumentem, uprawniającym funkcjonariuszy do odtransportowania podejrzanego do właściwego aresztu. Zastanawiał się, kto wydał rozkaz, skoro z Matuszakiem dopiero co przyjechali.

– Ja nic nie zrobiłem. Przysięgam – zapewnił ksiądz. Zniżył głos. – Jestem niewinny. To jakaś pomyłka. Wierzysz mi, prawda?

Hubert zapatrzył się na księżyc w kształcie rogalika. Wisiał między wieżą, w której znaleziono Strusia, a figurą Matki Boskiej, obok której profiler rozmawiał ostatni raz z byłym szefem stowarzyszenia obrony przed sektami. Pod bramą stał ścigacz suzuki. Faktycznie wyglądał, jakby dopiero zjechał z salonu.

– Po co przyszedłeś do Strusia? Wezwał cię?



Jacek bezradnie kręcił głową, jakby nie czuł się na siłach wypowiedzieć na głos tego, co ciążyło mu na duszy.

Hubert czekał, ale książd więcej się nie odezwał. Pochylił głowę, a wreszcie schował ją w ramionach, jakby dobrowolnie kładł ją pod topór kata.

– Jeszcze pogadamy. – Profiler uprzedził Jacka i odszedł na kilka kroków, bo u wejścia do celi zmarłego zageściło się nagle od funkcjonariuszy.

Widział wysoką kobietę w burym swetrze i grupę techników. Po chwili na noszach wyniesiono ciało w czarnym worku. Rzucił się w tamtym kierunku, ale obok niego wyrósł Matuszak. Chwyił psychologa za ramię, mocno przytrzymał.

– Odbierają nam dochodzenie – syknął.

Meyer spojrział na niego zdziwiony.

– Kuria chce po cichu zamknąć sprawę jako nieszczęśliwy wypadek i nie mieszać jej z morderstwem na Sołaczu – kontynuował nadkomisarz. – Pierdoleni czarni. Myślą tylko o tym, żeby uniknąć skandalu. Czują fetor nepotyzmu. To jest właśnie to, czego wszyscy się bali.

Policjant chciał dodać coś jeszcze, ale zawahał się. Wyciągnął papierosa. Zapalił z lubością i nie spuszczał wzroku z wejścia do więzy. Zniknęła w nim kobieta w swetrze, która przejęła jego rolę w śledztwie. Był wściekły, a Hubertowi udzielał się jego nastrój. Zaciskał pięści i je rozwijał, jakby szykował się do bójk.

– Zdążyliście zebrać ślady?

– Kiedy, człowieku? – Nadkomisarz machnął ręką. – Ledwie technicy weszli, pojawiła się żyrafa w swetrze i rozgoniła moich. Oględziny uznano za wykonane, ale z braku czasu są pobieżne. Jeśli nie bezużyteczne.

– Kim ona jest?

– Ty mi powiedz – warknął Matuszak. – Powiedziała prokuratorce, że należy do twojej drużyny i na czas nieobecności inspektora Meyera rządzi tajną grupą profilerów. Przejęła sprawę z ramienia ministra. To wszystko, co wiem.

Hubert przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

– Ona mnie zastępuje? Jakim prawem? – wzburzył się. – Na pierwszego p.o. delegowałem Szczecinka! Co się tutaj odstawa? To jawna kontaminacja miejsca zbrodni i groźba zacierania śladów!

– Witaj w moim świecie!

Matuszak go nie słuchał. Nakręcał się w gniewie, spluwał pod nogi i klął podniesionym głosem.

– Taki miałeś plan z tym swoim wydziałem? – perorował. – Wjeżdża jakieś babsko i torpeduje mi dochodzenie. Ja, na swoim własnym terenie, nie mogę wejść na oględziny i mam wierzyć na słowo, że to przypadkowy postrzał z antycznego rewolweru? Narzędzie w prawej dłoni i to im starczy. Ponoć mnich był praworęczny. GRS-y są na palcu wskazującym prawej, kciuku, ale też w zagłębieniu palczków lewej dłoni.

– Może się bronił? – zastanawiał się Meyer. – A po wszystkim ktoś włożył mu broń do ręki. Trzeba to jak najszybciej wykluczyć!

– Zabrali już ciało – odrzekł grobowym tonem Matuszak. – Obawiam się, że nigdy tego nie ustalimy. Moi technicy pracowali pod presją czasu. Wiadomo, że oględziny rzecz niepowtarzalna. Czarni też to wiedzą, więc cisną do nieszczęśliwego wypadku. Choćbyśmy wykazali udział osób trzecich, z tym, co mamy, nie pójdziemy do sądu nawet poszlakowo. Musiałby się zdarzyć jakiś cud, żeby to od nich przejąć. Co się dzieje w tym kraju? Wszędzie polityka!

– Rewolwer? – przerwał mu Hubert. – Po co niedołącznialemu mnichowi archiwalna broń w celi?

– I to całkiem poważny sprzęt. Łamany smith and wesson z tysiąc osiemset sześćdziesiątego dziewiątego. Wystrzelono tylko jeden nabój. Drugi wciąż siedzi w bębenku.

Matuszak pokazał Hubertowi zdjęcie broni z tabliczką sygnalicyczną.

– Książd Jacek zeznał, że Gustaw odziedziczył stary rewolwer po ojcu – przypomniał profiler. – Miał leżeć na szafie w domu przy Halnej, ale z tego, co wiem, nie zabezpieczyliście rewolweru ani siedem lat temu, ani teraz, po ujawnieniu bezimiennych kokonów. Wyjmujemy zwłoki z piwnicy, a wieczorem z takiego samego modelu ginie zakonnik. Nie wierzę w takie przypadki.

– Ani ja – zgodził się Matuszak. – To może być sprzęt Garbarczyka. Skompletuję ludzi na okazanie. Znajdę notariusza, który robił tamten akt. Odwiedzimy wszystkich rusznikarzy w promieniu stu kilometrów. Jeśli rewolwer był remontowany, dowiemy się, kto oddawał go do renowacji. Gdyby nasze założenie się potwierdziło, moglibyśmy powiązać obie sprawy. – Zniżył głos i zerknął na Jacka, który cały czas przyglądał im się z oddali. – Choć byłoby szybciej, gdyby księżulo rozpoznał broń, którą jego przyjaciel dostał w spadku. Ale wątpię, czy nas do niego dopuszczą. Za chwilę transportują go poza Poznań. Kierowca czeka jedynie na rozkaz twojej ustosunkowanej koleżanki. Te kajdanki i pisemko o aresztowaniu to bluff. Nie pomówimy z nim wcale.

– Nic z tego nie rozumiem. – Hubert zmarszczył brwi.

– Za to dla mnie wszystko jest klarowne – parsknął Matuszak. – Chcą zamknąć sprawę klauzulą „bez cech przestępstwa”.

– Może więc sami go sobie weźmiemy? – Meyer mrugnął porozumiewawczo.

Pierwszy raz dzisiajszego dnia Matuszak uśmiechnął się z satysfakcją.

– To jeszcze nie wszystko, jeśli chodzi o nieprawidłowości, które widzę gołym okiem – zaznaczył. – Na stoliku nocnym zakonnika znaleziono puste pudełko po amunicji. Na podłodze, łożku i w szufladach ani jednej kuli. Albo Struś miał tylko jedną i jej użył, albo po postrzale ktoś wszystko wyzbierał.

– Po co w takim razie zostawiały opakowanie? Z pośpiechu? Działania pozorowane?

– Opakowanie było zamknięte. Mógł pomyśleć, że coś w nim jest. Może nie chciał zostawiać śladów? – zastanawiał się na głos Matuszak. – Mam *déjà vu*, to wygląda jak na oględzinach samobójców przy Halnej.

Hubert skinął głową na znak zgody.

– Nie zapomnę im tego – oświadczył Matuszak z zimną satysfakcją. – Wkurwili mnie. Bądź pewien, że nie odpuszczę tego śledztwa.

– Liczę na to – szepnął profiler. – I masz we mnie każdy rodzaj wsparcia.

– Mam nadzieję, że moi zdążyli zebrać ślady ze szklanek, które stały na stoliku – dorzucił. – To nie była wódka, ale alkohol etylowy. Taki z naklejką z apteki. Pamiętasz, co Boziłow mówił o kokonach? O dzieciakach pijących truciznę i matce, która wydoiła flaszkę etanolu z toksyną botulinową? Jeśli to nie ma związku z Halną, czas składać raport o zwolnieniu.

Hubert skinął głową.

– Nadażam za tobą – zapewnił. Wskazał trzy czarne limuzyny z dostojnikami kościelnymi, wokół których spacerowali tajniacy w garniturach. – Ale oni niestety też. To, że kuria przysłała swoje psy tropiące, dobitnie o tym świadczy. Nie bez przyczyny odgradzają nas od świadków i przeora.

– Kim jest ta kobita w swetrze? – Matuszak zmienił nagle temat.

– Pierwszy raz ją widzę – odparł Hubert. – Ale się dowiem. Do trzeciego pokolenia.

– Inaczej nie masz czego szukać u mnie na terenie – syknął nadkomisarz. – Żeby była chociaż sympatyczna. I jeszcze ten sweter...

– Seksista.

– Co ci poradzę? – Wzruszył ramionami. – Człowieku, od lat nikt mnie tak nie poniżył. I to przed moimi ludźmi! Odsunęła mnie pod furtkę jak ratlerka. Nie potrzebuję więcej danych, by wiedzieć, że przyjechała tutaj sprzątać. A sprawa rewolweru śmierdzi na kilometr.

Hubert nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać. Przewidywał, że upokorzenie, które było udziałem Matuszaka, to dopiero początek ich problemów. Jego czekało poniżenie poniżeń. Zastanawiał się, jak Czajkowski to rozwiąże, bo że kara będzie, wiedział już, jak ruszał z Warszawy. Nie spodziewał się jednak tak ewidentnego torpedowania sprawy.

– Nie jest taka okropna – rzekł łagodząco, by Matuszak się nie nakręcał. – Rysy twarzy i nogi ma całkiem, całkiem. A że jest twarda... Lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą.

– Daj spokój, to żyrafa! Mierzy chyba tyle co ja. Tylko sierżant Szałaj jest od niej wyższy! I może Wielki Bern, ale to przygłup.

Hubert omal nie ryknął śmiechem. Naprawdę lubił tego prostaka.

– Ja zawsze wolałem wysokie panny – oświadczył, czym tylko rozłożył nadkomisarza.

– To ją sobie zabieraj do Warszawy! – burknął. – Nam ona niepotrzebna.

Meyer odetchnął głęboko, bo był tego samego zdania. Oszukiwał się, że skoro dołączyła do jego zespołu jako ósma, chodzi o parytet albo inne polityczne brednie. Powiedział jednak coś innego, by uciąć ten wątek.

– Skoro sprawa śmierci ojca Strusia to „becep”, co robią obrączki na przegubach naszego przyjaciela? – Wskazał oszołomionego księdza wciąż czekającego w radiowozie. – I kto wydał taki rozkaz?

– Nie ja! – zaprotestował Matuszak.

– Z tego, co wiem, oficjalnie wciąż dowodzisz tym bajzlem – judził Hubert. – To co? Bierzymy go na gorąco czy liczymy, że pozwolą nam go przesłuchać na komendzie? Pytanie jakiej, bo jak odstawią go do Warszawy albo innego Białegostoku, sprawa znacząco się skomplikuje. Chyba o to im chodzi. Mogą to zrobić w świetle nowych przepisów o przejrzystości.

– Nawet mnie nie wnerwiał – warknął nadkomisarz, ale zaraz dodał: – Po tej hucpie nic mnie już nie zdziwi.

– To co? Chyba nie mamy wyjścia, nadinspektorze. – Hubert się uśmiechnął. – W sumie jestem wolny i w przeciwieństwie do ciebie, trzeźwy – zaznaczył. – A nadal brakuje mi danych do opinii wiktymologicznej zbrodni na Sołaczu.

Porozumieli się wzrokiem.

Matuszak wyjął z kieszeni kluczyki do swojego auta. Zaczął się nimi bawić.

– Rozkuj go – zwrócił się władczo do funkcjonariusza, który pilnował księdza i czekał na rozkaz eskorty do aresztu.

Hubert poznał w nim sierżanta Szałaję, który prowadził ich pierwszego dnia, kiedy przyjechali z Kaczmarkiem do Poznania. Wtedy jego zatwardziałą postawę służbisty uznał za atut. Dziś był pewien, że nakręci to spiralę kłopotów.

– Nie było rozkazu – padło w odpowiedzi.

– Rozkujcie go, Szałaj – polecił znudzony Matuszak. – Bo nie dostaniecie rozgrzeszenia.

– Nie wolno mi, nadkomisarzu. Minister kazał izolować świadka.

– Od kogo? – Do wymiany zdań nagle włączył się ksiądz Jacek. – Nawet nie przekroczyłem prędkości. Dokumenty motocykla są w porządku.

– A więc szykuj się na ognie piekielne, Szałaj! – Matuszak wznosił oczy do nieba. – I jak tylko przydzielą cię znów do mnie, to jeszcze za życia.

– Sorry, szefie. Zna szef procedurę – wił się młody sierżant. – Odpowiadam za świadka.

– Świadców nie zakuwa się w dyby! Bądź pewien, że to twoje ostatnie zadanie w poznańskiej komendzie. Załatwię ci jakiś posterunek w Swarzędzu albo Koziegłowach. Będzie pan zadowolony – zagadywał go, jednocześnie popychając Huberta za siebie.

Meyer wyminął sierżanta, zajął miejsce kierowcy w radiowozie. Przekręcił kluczyk w stacyjce, zablokował drzwi i ruszył z piskiem opon.

– Przejmę za ciebie ten obowiązek – krzyknął do biegnącego za samochodem policjanta. A potem dorzucił w kierunku ubawionego Matuszaka: – Widzimy się w kociarni, Bodzio! Pozbieraj ludzi. Dziś raczej nie pośpią.

Zamknął wszystkie szyby, włączył koguta.

Jechał bez słowa, aż znaleźli się na działkach przy Warcie.

## POZNAŃ, DZIAŁKI NAD WARTĄ

Jakaś kobieta właśnie zamykała bramę wjazdową i gasiła latarnie, więc pomachał jej odznaką. Odsunęła się, przerażona.

– Wróć za godzinę – rzucił do niej. – I ewakuuj wszystkich w promieniu kilometra. Niech nikt nam nie przeszkadza.

Kiedy okolica się wyludniła, wyciągnął Jacka z auta i pchnął go w kierunku dzikiej plaży.

– A teraz mów, po co tak naprawdę przyjechałeś do Strusia – zakomenderował. – Bo nie z ofiarą i bynajmniej nie po to, by pomóc Marcinkowi czyścić lichterze. Jesteś na wylocie.

Jacek wahał się chwilę, wreszcie skapitulował.

– Ojciec sam mnie wezwał – oświadczył. – Błagał, żebym trzymał język za zębami. Był żywy, kiedy wyszedłem. Nie minął kwadrans, jak mnie zgarnęli i posadzili na miejsce aresztanta.

– Dlaczego? Zabiłeś go? Chcą to wyczyścić?

Jacek gwałtownie zaprzeczył.

– Nie przyłożyłem palca do jego śmierci.

– O czym więc masz nie mówić?

– Tajemnica spowiedzi. – Pochylił głowę. – Możesz mnie zamknąć. Odmówię wyjaśnień.

– Chronisz mordercę.

– Ja nie wiem, czy to było zabójstwo – odparł Jacek. – Tyle mogę ci powiedzieć. On chciał to zrobić.

– Ojciec Struś?! Nie wierzę.

– Ja też nie wierzyłem, że jest w stanie to zrobić – zapewnił Jacek. – Jak zginęli tamci? Trucizna, prawda?

Hubert milczał. Nie spuszczał spojrzenia ze świadka.

– Wypił przy mnie ze dwie szklanki wódki. – Ksiądz urwał, zawahał się. – Ja nie piłem. Przyjechałem na motocyklu. Teraz się zastanawiam, czy w tym alkoholu nie było czegoś jeszcze.

– Struś zginął od kuli w głowę – przerwał mu Hubert. – Z rewolweru Garbarczyka. I dobrze o tym wiesz. Nie udawaj.

Jacek wyglądał na zaskoczonego. Przyłożył dłoń do twarzy, jakby zamierzał zwymiotować. Pochylił się wpół, zacharczał, ale z jego ust popłynęła tylko gęsta plwocina.

– Miłosierny Boże! – Przeżegnał się, zamruczał pod nosem modlitwę i dopiero się wyprostował. – Panie, świeć nad jego duszą. Wybacz mu, bo zbłądził.

Hubert miał dosyć tej farsy.

– Strzelano ze smith and wessona – oświadczył. – Tego, o którym mi opowiadałeś. Którego nie znaleziono na Solaczu. Ty mu go przywiozłeś? Po to przyjechałeś do klasztoru i czałeś się w krypcie, gdzie spotkałeś Marcinka?

Jacek kręcił głową jak oszalały.

– Nie, nie, to nieprawda! – powtarzał.

– Dlaczego nie powiadomiłeś władz? Swoich zwierzchników... Dlaczego zwiewałeś na tym swoim nowiutkim suzuki jak winowajca? – Meyer zarzucił duchownego gradem pytań.

Na żadne nie uzyskał odpowiedzi. Ksiądz milczał, a po chwili był już spokojny, jakby na twarz przywdział woskową maskę.

– To nie był pierwszy raz – wyszeptał. – Struś już wcześniej o tym mówił. I nigdy się nie zdecydował. Dopiero po twoim przyjeździe, kiedy zaczęłeś pytać o Kischkego i Garbarczyków, to wróciło. Przeżywał kryzys wiary już od dawna. To dlatego przeor zabrał mu stowarzyszenie. Nie ze względu na emeryturę. Ojciec Struś za bardzo się angażował.

– W co?! – ryknął zniecierpliwiony Hubert.

– Garbarczykowie uciekli dzięki niemu. Pomagał im. Przez jakiś czas ukrywał całą rodzinę w jednym z klasztornych lokali, a potem znalazł im inną kryjówkę. Bo nie jest tak, jak pisał Tolstoj, że każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój własny sposób. Zawsze chodzi o jedno i to samo. Brak miłości. Nadużywanie władzy. Żłudzenia i chciwość.

– Twoje kazania musiały być poetyckie, Jacku – westchnął Hubert. Był spokojny, skupiony. – Ale może umówimy się, że dosyć już tajemnic? Jak widać, utrzymanie ich w ukryciu kosztowało życie kolejną osobę. Ja tylko chcę zrozumieć. Sam widzisz, że to nawet nie jest przesłuchanie. Nie ma mocy prawnej. Ot, stoimy sobie nad rzeczką i rozmawiamy jak ksiądz z grzesznikiem. Oferuję ci konfesjonał ze wszystkimi konsekwencjami. Kiedy ostatnio byłeś u spowiedzi?

– A ty? – butnie odpowiedział duchowny.

– Innego dnia, w innym miejscu chętnie bym ci zaufał – odparł Meyer. – Mimo że już nie chcesz nosić tej czarnej sukienki, ale o tym pogadamy później. Właśnie tobie bym zaufał, bo ojca Strusia już nie ma. Jestem pewien, że nas widzi i uśmiecha się z góry, gdziekolwiek jego dusza fruwa. A może jest tutaj z nami? Nie boisz się? On rozumiałby, że nie mam teraz czasu na rozpacz. Śledztwo na moich oczach drze się jak stara szmata. Pomożesz? Czy wolisz dalej strugać świętoszka? To był rewolwer ojca Garbarczyka, prawda?

Ksiądz pochylił głowę, jakby się wahał albo ważył słowa, które musiały paść, choć w tej chwili nie był pewien, czy nie przyniosą mu więcej złego niż dobrego.

– Kiedy u niego byłem, nie widziałem broni – zaczął. – A nie każda sekta to zło. Po latach pomagania ludziom z wypranymi mózganiami ojciec Struś to pojął. Niektórzy z nich potrzebują wspólnoty, by uwierzyć. Szczęśliwej rodziny, bombardowania miłością, nawet struktury i dyscypliny. Wielu już wcześniej cierpiało na zaburzenia psychiczne. – Zawahał się. – Tak naprawdę niewiele wiem. Wystarczająco jednak, by się bać.

– Oho – zakpił Meyer. – Kogoś konkretnego czy gniewu bożego?

– Gucia – wyszeptał Jacek. – I tego, co po sobie zostawił. Grubo przed zniknięciem miał poważne problemy ze sobą. To zaczęło się, kiedy stracił firmę i za wszelką cenę starał się ją odzyskać. Był agresywny, nieobliczalny. Trząsał się, nie jadł, nie spał. Regularnie lądował w szpitalu. Leki powinien brać cały czas, ale tego nie robił. Marysia ukrywała jego stan i to, co działo się w rodzinie, a Gustaw nigdy nie był na tyle chory, żeby go ubezwłasnowolnić czy na stałe odizolować od bliskich. Wracał po hospitalizacji i na nowo zadłużał się, rujnował ich spokój. Dzieci z przestachem czekały na powrót ojca. To było życie w koszmarze, uwierz. Zresztą prędzej zabiły wszystkich, niż ich opuścił. Żądał, by z nim uciekli.

– Uważasz, że to zrobił?

– Nie zdążył – zapewnił Jacek. – Ojciec Struś ukrył Marysię i dziewczynki w sekcie Kischkego. Traktował tę wspólnotę jak kółko miłośników fantastyki. Nie uważał, że byli groźni. Chcieli tylko uwolnić świat od cierpienia.

– Budując rakiety? – drwił Meyer.

– I sadząc ekologiczną pietruszkę, wielbiąc koty, nizając karneol na nitki. To naprawdę była interesująca organizacja. Nie byli źli.

– Ale Gucio ich znalazł? – przerwał mu Hubert. – Znalazł żonę i dzieci. Dowiedział się, gdzie Struś ich ukrywał?

– Tego nie wiem. – Ksiądz westchnął ciężko, nim odpowiedział. – To, co wiem na pewno, to to, że Wika uciekła. Jako jedyna wyłamała się ze zgrupowania Kischkego i pojechała szukać ojca.

– Kiedy? – przerwał mu Hubert.

Wiedział, że ma mało czasu. Matuszak nie zdoła zatrzymać pogoni w nieskończoność, a po przejęciu Jacka kuria roztoczy nad byłym księdzem pełną kontrolę. Będą asekurowali go przez najlepszych adwokatów. Jacek nabierze wody w usta i nie upuści nawet kropelki. Nie dowiedzą się niczego więcej poza tym, co ksiądz teraz wyzna Hubertowi.

– Kiedy Wiktoria uciekła i skąd? – powtórzył. – Gdzie jest kryjówka Marii Garbarczyk? Gdzie jest Gustaw? Kontaktowaliście się przez te lata?

– Wiki odcięła się od matki w styczniu tego roku – odparł ksiądz i umilkł.

Na żadne z pozostałych pytań Meyera nie odpowiedział.

– Dokładnie w tym czasie, kiedy zrzuciłeś sutannę? – dopytał Hubert. – Te zdarzenia mają ze sobą jakiś związek? Poza tym nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Znałeś Kischkego i wiedziałeś, że on i Haselhof to ta sama osoba. Kiedy szukano adresata jednego z listów, nie zająknałeś się Matuszakowi! Przed czym go chroniłeś? A może nie chodziło o niego, lecz o ciebie?

Hubert sięgnął po komórkę i trzymał ją w dłoni niczym broń wymierzoną w księdza. Miał nadzieję, że mikrofon dyktafonu prawidłowo ściąga ich głosy.

– Gdzie są teraz Marysia i jej dzieci? – powtarzał. – Czy żyją?

– Tylko Struś znał adres ich pobytu. Przemieszczali się przez te wszystkie lata i żyli w zgodzie z naturą. Zrozum, myśleliśmy, że to jedyna droga, by ochronić tę rodzinę przed toksyczną miłością ojca. A raczej jego pragnieniem władzy.

– A Gucio? Nie szukał ich, nie nachodził ciebie?

– Powiedziałem prawdę – zapewnił Jacek. – Nie kontaktował się ze mną. I nie sądzę, by wcześniej podejrzewał, że brałem udział w spisku. Ale teraz, kiedy ojciec Struś odszedł, uważam, że to się zmieniło. Przysięgam, że nie zrobiłem Strusiowi krzywdy. Jestem niewinny.

Hubert zmrzążył oczy, zdjął okulary i schował je do kieszeni, jakby szykował się do bójki.

– Te listy pisałeś sam czy w porozumieniu ze Strusiem? A może zrobiła to żona Garbarczyka z dziećmi? – zgadywał. – Kischke wam pomagał? To był jego pomysł? Jesteście sojusznikami? Co łączy księdza, mnicha i sekciarza? Jakie interesy robiliście?

Wydawało się, że Jacek nie odpowie, obrazi się, ale tak nie było. Odetchnął głęboko i zaczął mówić:

– Gucio sam je preparował. Zaczął je pisać długo przed zniknięciem. Wierzył, że w ten sposób odsunie od siebie wierzycieli. I o dziwo, działało. Kilku biznesmenów machnęło ręką na swoje wiarygodności. Nie chcieli zadzierać z mafią i urzędem skarbowym. Marysia o tym wiedziała. Po prostu przed wyjazdem zabrała ostatnie pisma z biurka męża i słałiśmy je sukcesywnie po sfingowanym zaginięciu. Nakleiliśmy plakat na drzwiach, posprzątałiśmy mieszkanie. Nie zrobiliśmy nic złego. To były działania prewencyjne. Trzeba było ich ratować!

– Gratulacje! Korespondencję przeczytała cała okolica. Fragmenty opublikowano w prasie. O Garbarczykach powstał film dokumentalny. Uważałeś, że Gustaw się nie domyśli? Gdzie on się ukrywa? A może od siedmiu lat spoczywa pod jakąś jabłonką? Bądź pewien, że zadbam, by przekopano teren twojej byłej plebanii.

– Kop, gdzie chcesz. – Jacek uśmiechnął się kąpiąco. – Jestem pewien, że gdybyśmy ich nie uratowali, Gutek zabiłby ich, tak jak tamtych biedaków w zastępstwie. Albo zabrał rodzinę na tułaczkę i wcześniej czy później doszłoby do tragedii. A jeśli mnie pytasz, kto odpowiada za śmierć na Sołaczu, to jest to mój były przyjaciel. Zapoczątkował zło, które zatacza kręgi tak szeroko, że ktoś postanowił mordować niewinnych. Nie powiedziałem ci wcześniej prawdy, bo bałem się, że kiedy ujawnicie miejsce pobytu Marysi i jej dzieci, sprawca ich zaatakuje. To jest zemsta Gustawa, więc proszę, pomóż im. Odkryj ich kryjówkę pierwszy.

Hubert zmarszczył brwi, spojrział na kajdanki na dłoniach Jacka i spytał, siłąc się na spokój:

– Gdzie mam ich szukać? Pierdolisz te kocopoły i wcale nam nie pomagasz.

– Tylko ojciec Struś znał adres ich pobytu – powtórzył Jacek. – No i Helmut Kischke. Na tym to polegało. Nie wiesz, nie możesz ich wydać. Nie możesz skłamać. Tak było bezpieczniej dla wszystkich.

– A może jest zgola inaczej? – Hubert rozgniewał się. – Zabiłeś Gucia, swojego przyjaciela i rywala. Odebrałeś mu jego rodzinę. Pewnie w dobrej wierze, by już nie zagroził twojej kochance.

– Z Marysią nic mnie nie łączyło! – zachnął się Jacek, ale Meyer kontynuował:

– To był wariat, uważałeś. Człowiek nieobliczalny. Wmanewrowałeś w sfingowane porwanie ojca Strusia, bo wiedziałeś, że stowarzyszenie to cel jego życia, pasja. Żył, by pomagać innym. Był najszlachetniejszym, najbardziej honorowym człowiekiem, jakiego znałem. Kiedy Struś się o tym dowiedział, załamał się. Nie mógł znieść, że uczestniczy w tak brudnym spisku. Groziłeś mu,

szantażowałeś. A kiedy on chciał opowiedzieć o wszystkim mnie, nie było wyjścia. Trzeba było usunąć i tę przeszkodę. Powiedz lepiej, gdzie ukryłeś ciało Gustawa, gdzie jest zawartość sejfu, który znajdował się w mieszkaniu Garbarczyków, bo to dla tej forsy uknułeś intrygę. Wiemy, że Gustaw ukradł akty notarialne darowizn przekazanych mu przez członków grupy Haselhofa. Po latach w strukturze Kościoła nie masz nic, nawet emerytury. Mieszkanie kończy ci się w listopadzie. Nie masz ładu, Jacku, i prawie by ci się udało ta zbrodnia, gdyby Struś nie okazał się słaby.

– Jesteś szalony! – Jacek wybałuszył na Meyera oczy. Otwierał usta i zamykał, jakby zbrakło mu powietrza. – Nie jestem mordercą, a za swoje grzechy płacę srogą cenę. Dlatego zdecydowałem się odejść. Już dłużej nie wytrzymam życia w kłamstwie, ale uwierz, że moją jedyną winą jest chęć pomocy niewinnym.

– Tych niewinnych w piwnicy Garbarczyków masz na myśli?

Jacek nie zdążył odpowiedzieć.

Na działki wjechało kilka czarnych limuzyn z sygnalizacją alarmową w monstualnych grillach zderzaków. Konwój zamykał jaguar Czajkowskiego. Minister wysiadł, a chwilę potem dołączyła do niego blondynka w swetrze, którą Hubert widział pod wieżą klasztoru.

– Do wozu. W tej chwili. – Minister zwrócił się do profilera jak do przedszkolaka. – Chcę, żebyś kogoś poznał.

– Prowadzę czynności – odpysknął Meyer i cofnął się dwa kroki.

Za plecami miał rzekę. Dwaj barczyści borowcy dopadli go w kilka sekund. Wykręcili mu ręce, zaprowadzili do auta zwierznika. Nie opierał się. We wrogim milczeniu poddał się procedurze. Wysilił się na resztkę godności, by nie walczyć i nie przeklinać na głos. W myślach jednak słał ministrowi najcięższe gromy.

– Całe życie na krawędzi. – Czajkowski narzekał jak zniecierpliwiony ojciec. – Wiedziałem, że lubisz dokazywać, ale takiej bezczelności się nie spodziewałem. Samowolne opuszczenie biura, zmanipulowanie sekretarki, narażenie ojczyzny na szkody delegacją niedoświadczonego profilera za granice państwa. Niesubordynacja, brak raportów. A do tego wszystkiego – wprowadzenie świadka służbowym radiowozem! Gdzie jest, kurwa, Kaczmarek? Wiesz, że nie odbiera telefonu? Namierzamy go teraz przez Interpol. Będzie miał sprawę, jak tego nie wyprostujesz! – Odwrócił się do oszołomionego i wciąż skutego księdza. – Ciebie nie znam i nie widziałeś akcji. Żegnaj. Radź sobie sam.

– To podejrzany w sprawie – syknął Meyer, ale nikt go nie słuchał. – Znajdę cię! To jeszcze nie koniec! – krzyknął do Jacka, wiedząc, że brzmi jak pomylenie.

Zdołał napisać wiadomość do Matuszaka.

„Jacek Morawski. Były ksiądz. Słuchaj”.

Próbował kilkakrotnie przesłać nagranie, ale było za ciężkie. Udało mu się tylko umieścić je w chmurze. Nie zdołał jednak podać danych dostępowych Matuszakowi, bo pilnujący aresztowali mu komórkę.

– Dokąd mnie wieziecie?

– Do więzienia – padło w odpowiedzi. Czajkowski odwrócił głowę do okna, kiedy zwracał się do profilera. Na jego twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu. – Twoi ludzie stęsknili się za szefem. Ucieszą się, gdyż otwieramy was z samego rana. Tę noc spędzisz w biurze, pracując nad WERA. A od jutra masz być pełen wigoru, bo dziennikarze chcą prawdziwej korrady. Dostaną ją. Inaczej osobiście utnę ci głowę i zatknę na pal przed urzędem.

Rozległ się śmiech z przedniego siedzenia.

– Agnieszka Olton. – Kobieta w swetrze wychyliła się i wyciągnęła do profilera smukłą dłoń. Na palcu miała pierścionek wielkości klatki na ptaki. – Twoja nowa zastępczyni. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach. Przekaż nadkomisarzowi Matuszakowi, że bardzo go szanuję. Niech nie chowa urazy. Taki był rozkaz.

Hubert zmełł w ustach najbrzydlwsze wulgaryzmy.

– Sama go przepaszaj – wyburczał. – Choć wątpię, żeby chciał cię słuchać. Są rzeki, których przekraczać nie należy.

Odwrócił głowę do okna. Zacisnął szczęki.

– Od tej chwili WERA jest bezpieczna – oświadczył Czajkowski, sięgając po cygaro. – Podkomisarz Olton od dziś pełni funkcję twojego rzecznika i będzie w przyszłości dbała, żebyś nie zniknął z pola widzenia. Dla ciebie żółta kartka, ale Kaczmarek wylatuje natychmiast.

– Nie ma mowy! – wzburzył się Hubert. – Zablokuję dostęp do systemu. Nigdy nie uruchomicie WERY.

Czajkowski spojrzał wilkiem na swoją protegowaną.

– Nadal chcesz to stanowisko?

\* \* \*

## **BERLIN**

– To wszystko? – Kaczmarek podniósł głowę znad dokumentów i przyjrzał się mecenasowi.

Andreas Kluge nie był zadowolony, że musiał zostać po godzinach, i tego nie ukrywał. Kwadrans temu zwolnił do domu sekretarkę. Siedzieli teraz w świetle lampki biurkowej przy pustych filiżankach po kawie.

– Uważa pan, że to mało?

– Klara mówiła, że reprezentował pan interesy Haselhofa i jego fundacji. Teraz jest pan pełnomocnikiem żony. Co się stało?

– No cóż. – Adwokat odchrząknął. – Dostałem wypowiedzenie. Płatności uregulowano. Nie ma obecnie konfliktu, by prowadzić sprawy byłej małżonki.

Grzegorz wykonał skany pięciu dokumentów, które pokazał mu adwokat. Były to darowizny majątków oraz jeden testament.

– Robię to tylko i wyłącznie ze względu na polecenie Klary – zastrzegł Kluge. – W przeciwnym razie nie miałby pan prawa tego czytać.

– Mam świadomość i doceniam – zapewnił policjant. – Jednak nie robisz mi pan łaski. Reprezentuję polskie organy ścigania. Prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa. Poczwórnego zabójstwa – zaznaczył.

– Nie sądzę, by moja klientka miała związek ze zbrodnią na Sołaczcu.

– Również mam taką nadzieję – przyznał Grzegorz. – Wiem o Wybrańcach. Klara powiedziała mi wszystko. Ci ludzie zaginęli? Czy nie żyją? – Postukał w skopiowane dokumenty.

– Nic mi o tym nie wiadomo – rzekł oględnie Kluge. – Notariusz zrzeszony w mojej kancelarii spotkał się z nimi i panem Haselhofem. Zgodzono się na te zapisy. Wszystko jest zarejestrowane. Na tym kończy się moja wiedza.

– Darczyńcy są Polakami – zauważył Kaczmarek. – Dlaczego akty sporządzono w Berlinie?

– Ze względu na wygodę pana Haselhofa. Klara i Izaak mieszkają w tym mieście od lat. W przypadku sporu sądowego nie chcieli podróżować do Polski.

– Pan też jest Polakiem?

– Mieszkam od dwudziestu dwóch lat w Berlinie. Studiowałem w Heidelbergu. Ale owszem, urodziłem się w Polsce. W Poznaniu.

– Znał pan rodziców Klary?

– Niestety, nie miałem przyjemności.

– Jednym z darczyńców jest ojciec Klary, Stanisław Garbarczyk.

– Owszem – zgodził się adwokat. – Powtarzam panu, że nie ja sporządzałem akty.

– Każdy z tych majątków wart był kawał grosza – zauważył Grzegorz. – Sporo pan na tym zarobił.

– Nie zaprzeczę.



– W tym roku minęła kwartanna gwarantowana prawowitym spadkobiercom. Czy ma pan wiedzę, czy te nieruchomości sprzedano?

– Z tego, co wiem, Izaak był do nich niezwykle przywiązany. – Odchrząknął. – Ponadto każda z darowizn została zaskarżona. Toczą się procesy, ponieważ okazało się, że przed wykonaniem aktów zostały obciążone hipoteką. Właściciele wprowadzili nas w błąd. Mieli piramidalne długi.

Kaczmarek podniósł głowę.

– Wszystkie nieruchomości są zadłużone?

Adwokat potwierdził.

– Kredyty nie zostały spłacone. Można powiedzieć, że to patowa sytuacja.

– Od siedmiu lat? – upewnił się Grzegorz.

– I jeszcze potrwają.

– Dlaczego?

– Prawowici właściciele nie stawiają się na wezwania. Bez ich udziału nie można podjąć decyzji. I to oni, a nie pan Haselhof, są kredytobiorcami. Zrobili to nielegalnie. Można powiedzieć, że oszukali go. Podarowali mu majątek, który jest długiem.

– Szukaliście ich? Nie zależało wam, by potwierdzili tę wątpliwą darowiznę?

Mecenas długo się zastanawiał.

– Nie udało się z nimi skontaktować. Mamy tylko ich oświadczenia z czynnym żalem. Zostały złożone w sądzie. Może pan wniesić o wgląd do akt, żeby je przeczytać. Niestety nie posiadam kopii.

– Czyżby? – Grzegorz przekrzywił głowę. – Jakim sposobem zdobyliście ich oświadczenia?

– Pan Haselhof uzyskał je od darczyńców osobiście. Przez dwa lata biegli pisma analizowali prawdziwość sygnatur. Sprawy są w toku, jak mówiłem.

– Dlaczego darczyńcy nie stawiają się w sądzie?

– Naprawdę nie wiem. – Kluge był już zniecierpliwiony. – Może dlatego, że banki natychmiast domagałyby się spłaty wiarytelności? Wszystkie odpowiedzi ma pan w dokumentach. Czy coś jeszcze? Bo mam sporo pracy.

– Podobnie jak ja – odrzekł młody profiler. – I chętnie się oddalę, jeśli otrzymam adres pobytu pana byłego klienta.

– Mówiłem już, że dysponuję jedynie małżeńskim adresem państwa Haselhofów, ale ten pan już posiada. Osobiście odwoził pan Klarę – dodał, a Grzegorz wyczuł w jego głosie wyrzut.

Rozsiadł się na krześle.

– Gdzie znajdę Izaaka?

– Przykro mi. – Adwokat wzruszył ramionami.

– Prowadzicie z nim batalię sądową o opiekę nad dziećmi. Dokąd dostarczacie mu wezwania?

– Robi to sąd. Nie jestem upoważniony. – Kluge był nieustępliwy. – Proszę skierować oficjalne zapytanie. Jeśli uznają, że sprawa tego wymaga, odtajnią adres. Pan wybaczy, ale w Niemczech ochrony danych osobowych pilnuje się jeszcze restrykcyjniej niż w Polsce.

– Muszę się z nim rozmówić – oświadczył Grzegorz. – Albo mi pan pomoże, albo ja pogrążę Klarę. Z pewnością nie chciałaby być powiązana ze sprawą mordu na Sołaczcu. Chyba wie pan, jak zależy jej na powrocie do kraju?

– Udam, że nie słyszałem tej groźby.

– To rada. – Grzegorz się uśmiechnął. – Darmowa.

Chwycił dokumenty leżące przed adwokatem.

– Nie powie mi pan, że to przypadek, że pięć domów wokół nieruchomości rodzinnej Klary, przejętych przez jej męża w nielegalny sposób, zostało obciążone hipoteką? Halna pięć, sześć, siedem, siedemnaście, jedenaście i testamentem dwadzieścia dwa. Haselhof planował przejęcie całej ulicy. I plan by się powiódł, gdyby nie został przechytrzony przez tych ludzi.

– Nie moim zadaniem jest interpretowanie planów klientów. Ja tylko pilnuję, by dokumenty były konstruowane zgodnie z literą prawa.

Grzegorz się nie odzywał. Wpatrywał się w Klugego, a potem nagle wstał, podszedł do okna. Otworzył je, wyjął z kieszeni iqosa.

– Wie pan, co mi przyszło do głowy, mecenasie? – zaczął z cieniem satysfakcji na twarzy. – To by wyjaśniło, dlaczego nikt na Halnej nic nie widział, kiedy morderca kopał doły w podpiwniczeniu u Garbarczyków. Kiedy woził cement, owijał zwłoki w kołdry, a potem foliował ciała na wzór poczwarek. Kojarzy pan ten etap rozwoju motyla? Poczwarka – powtórzył.

Adwokat milczał. Nie protestował, że w kancelarii panuje całkowity zakaz palenia. Zamarł w bezruchu. Zdawało się, że nawet nie mrugnął powieką.

– Pojadę tam teraz – kontynuował Grzegorz. – Wejdę i obejrzę każdy centymetr tych posesji. Jak będzie trzeba, przekopiami ogródki. Gdyby się okazało, że znajdziemy coś nielegalnego, cokolwiek, wrócę i zadbam, by postawić pana przed polskim sądem za współudział.

– W jakiej sprawie? – Mecenas uśmiechnął się półgębkiem. – Bo nie jestem chyba w kursie.

– Jeszcze nie zdecydowałem. Ale kiedy chce się uderzyć psa, kij się znajdzie. Jest pan pełnomocnikiem Klary, a ona znajduje się w gronie podejrzanych.

– Pan błądzi – zachnął się Kluge, lecz po namyśle skapitulował. – Izaak podawał jako adresy korespondencyjne te właśnie nieruchomości. Jeśli chce go pan szukać, znajdzie pan go w którymś z tych domów. W Polsce. Zresztą zwolnienie lekarskie, które przysłał, pochodzi od poznańskiego lekarza. Jednego z darczyńców. Tego z Halnej siedemnaście, ale mówię to nieoficjalnie. I niech pan nie szuka ciał. Ci ludzie żyją i są szczęśliwi.

– To członkowie sekty Haselhofa?

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Adwokat wybuchnął ochryplym nerwowym śmiechem. Wstał. – A teraz proszę opuścić mój lokal. Naprawdę się śpieszę.

\* \* \*

Meyer nie odbierał. Matuszak nie odbierał. Na ekranie komórki Grzegorza wyświetlało się kilkanaście nieodebranych połączeń. Kierunkowy wskazywał na Warszawę. Miał złe przeczucia, ale nie odważył się skontaktować ze Szczecinkiem. Najpierw chciał ustalić wersję z Meyerem. Dopóki nie dowie się, jaki złożyć raport, nie wolno mu było odebrać żadnego telefonu. A one nie ustawały. Z każdą chwilą czuł coraz większy niepokój.

Odłożył komórkę i sporządził notatkę, by nie zapomnieć żadnego szczegółu z rozmowy z prawnikiem Haselhofów. Miał mętlik w głowie. Wciąż niewiele rozumiał. Włączył ponownie silnik, choć wiedział, że tym sposobem naraża się na ujawnienie, że wystaje przed domem Klary, ale przed powrotem do Polski chciał jeszcze raz z nią pomówić. Zdawało mu się, że spotkanie z adwokatem jeszcze bardziej zaciemniło obraz sprawy. Sam już nie wiedział, z czym tak naprawdę mają do czynienia. Czyżby ofiary w podpiwniczeniu Garbarczyków to członkowie rodzin darczyńców Haselhofa? Jak to możliwe, że nikt nie szuka kobiety i czwórki małych dzieci?

Wydobył z teczki swój notes, by doprecyzować pytania do Klary. Zapisywał trzecią stronę, kiedy rozległ się dziecięcy pisk, a przed wejściem na posesję zaczął gromadzić się tłum sąsiadów. Podniósł głowę, wydzielił wzrok.

Po trawniku Haselhofów biegł spasiony labrador. Podrzucił i szarpał jakiś przedmiot. Grzegorz zgasił silnik, biegiem dołączył do gapiów. Obserwował kilka podobnych do siebie dziewcząt. Stały w rzędzie, wpatrzone w brązowego psa podrzucającego kawał mięsa. Drzwi wejściowe do domu otwały się. Wyszła Klara z wyższą od niej córką, której włosy miały wściekły błękitny kolor.

– Pomóc, pani Haselhof? – krzyknął do niej po polsku sąsiad.

Kobieta za nim komentowała widowisko po niemiecku. Ktoś z tyłu krzyknął przerażony:

– To ludzka ręka!

– Wiadomo było, że to się skończy zbrodnią – dodał ktoś inny.

A po chwili na podjazd wjechał radiowóz.

Grzegorz rzucił się do wejścia, by rozmówić się z Klarą, która stała plecami do mundurowych, osłaniając swoje dzieci.

– Zaopiekuj się nimi, jeśli mnie zabiorą – poprosiła ze łzami w oczach, ale na twarzy miała uśmiech.

Grzegorz nic nie rozumiał.

– To ręce mojego męża – wyszeptala po polsku. – W gabinecie jest druga.

– Izaak nie żyje?

Pokiwała głową. I nadal się uśmiechała.

– Nie pozwól, by dziewczynki trafiły do domu opieki. Walcz o nie.

– Ty to zrobisz? – wychrypiął.

– Zadzwoń do mojego adwokata – odrzekła. – Ja wszystko podpiszę. Obiecuj, że ich nie zostawisz. Poza tobą nie mam nikogo, komu mogłabym ufać.

## ROZDZIAŁ 3

# NORMALNE DZIAŁANIE

**29 września (środa)**

**Wydział Wsparcia Dochodzeń, WARSZAWA**

Dziennikarze nie zmieścili się w salce konferencyjnej, którą im tymczasowo przydzielono, więc cały korytarz od rana nabity był ludźmi aż do wind. Kiedy Meyer przepychał się między nimi, omijał statywy kamer i co chwila przymykał oczy od błysku fleszy, nie czuł dumy ani ekscytacji z powodu totalnego sukcesu, na jaki skazany był dzisiejszego dnia Wydział Wsparcia Dochodzeń. Przeciwnie. Jego myśli wędrowały do Poznania, bo tam Matuszak walczył z procedurami, by wejść do lokali przejętych przez Izaaka Haselhofa. Albo do Berlina, gdzie Kaczmarek został niańką dzieci ich głównej podejrzanej i analizował materiał związany z aresztowaniem Klary. Słowem Meyer nie miał dziś wcale głowy do bankietów, wywiadów, popisywania się i uśmiechania do zdjęć. A tego od niego wymagał Czajkowski.

– Mogłeś włożyć marynarkę – obsztorcowała go podkomisarz Agnieszka Olton, która dziś wystroiła się w czerwony sweter ledwie zasłaniający pódupki. Meyer ocenił jej długie nogi w getrach i tylko westchnął.

– Ile to będzie jeszcze trwało?

– Nawet nie zaczęliśmy.

Ustawili się przy tablicy elektronicznej, na której od godziny wyświetlały się slajdy wyjaśniające działanie systemu WERA. Każdy z dziennikarzy dostał specjalnie przygotowaną książkę w postaci papierowej i elektronicznej na dysku z logotypem nowego wydziału, ale Hubert był pewien, że to ich znudzi. Na szczęście dzięki pomocy podkomisarz Olton sporządzono kilka marketingowych haseł, które z pewnością zostaną podane w dzisiejszych wiadomościach. Pracowali nad nimi całą noc. Nikt nie zmużył oka, ale tylko po Agnieszcze nie było tego widać.

Rzecznik powitała zebranych, skłoniła się ministrowi oraz komendantowi głównemu, a potem w burzy oklasków wywołała Huberta i oddała mu mikrofon.

– Na początek przedstawię siedmiu wspaniałych WWD – zaczął Meyer i kolejno wywoływał swoich ludzi na środek. Wychodzili, przęcał się jak pawie w Łazienkach. Siódmą osobą była Agnieszka Olton, co wzbudziło największy aplauz.

Hubert widział, że wiwatują nawet jego ludzie. W ciągu jednej nocy tej kobiecie udało się to, co jemu nie wychodziło przez ostatnich siedem miesięcy. Polubili ją od razu. Była wesoła, cierpliwa i merytoryczna. A do tego pracowita jak mrówka. Dostała ksywę Lublin, bo stamtąd pochodziła. Gdzieś o czwartej nad ranem Meyer złapał się na wrażeniu, że darzy Olton sympatią oraz autentycznym szacunkiem, choć nie honor mu było się do tego przyznać. Wciąż pamiętał, jak bezceremonialnie potraktowała Matuszaka, i wiedział, że jeśli Agnieszka otrzyma podobny rozkaz przeciwko niemu, nie będzie miała skrupułów, by wbić ostrze jak najgłębiej. Jako oficera cechowały ją nieustępliwość i skuteczność, a Hubertowi się to podobało. Przed szóstą, kiedy prawie kończyli prezentację, napisał Czajkowskiemu wiadomość, że dziękuje za ten niechciany dar, bo odkąd wrócili, nie rozmawiali o tym, co wydarzyło się w poznańskim klasztorze. Profiler odstawił żal i niesnaski na inną okazję, wszedł do pudełka „praca” i nie zamierzał go na razie opuszczać. Wiedział, że i dla niego, i dla ministra przyjdzie stosowna pora na sparing. Może w tym zespole potrzebna była kobieca energia? – myślał.

Agnieszka w mig złagodziła obyczaje. Wprowadzała lekkość, humor i jedenała ważniejszych. Wera zawsze powtarzała, że Czajkowski to mistrz zarządzania ludźmi. Wiedział, co robi, dołączając do zespołu rzutką blondynkę. Hubert potrafił pracować i najlepiej czuł się w terenie. Na gorąco. Nie

zamierzał z tego zrezygnować. Uznał więc, że dołączenie podkomisarz Olton do drużyny weźmie za dobrą monetę i zostawi ją za własnym biurkiem. A mimo że Czajkowski ostrzegał go, by trzymał się scenariusza, zamierzał zagrać dziś va banque. Właściwie nie mógł się doczekać miny ministra.

– Brakuje jednego człowieka na dzisiejszej gali – dodał i zatrzymał się dla większego efektu. – Starszy aspirant Grzegorz Kaczmarek jest w tej chwili w Berlinie. Nie byłibyśmy zespołem żywego wsparcia, gdybyśmy nie wzięli się od razu do pracy.

W sali zapadła cisza. Dziennikarze w mig wyczuli, że oficjalka się skończyła. Czajkowski rzucił Meyerowi gromy, komendant główny zmarszczył się brzydko i szeptał coś nerwowo do ministra. Agnieszka biegła już po mikrofon, ale Hubert nie dał go sobie zabrać.

– WERA to system, który będzie działał skutecznie za kilka lat. Warunkiem jest dostarczenie doń takiej masy danych, która pozwoli na mieszanie ich jak w wielkim młynie. Porównałbym to do ciasteczek, które zbierają od lat nasze dane z sieci. Musimy wykonać herkulesową pracę. Zapewniam was, że nie jesteśmy tylko urzędnikami, którzy kolekcjonują akta, lecz pracujemy na żywcu, w gorących sprawach. Jedną z nich jest makabryczne zabójstwo na Sołacz. Pewnie o tym słyszeliście. – Umilkł.

Powietrze zdawało się ciężkie. Słysząc było tylko ludzkie oddechy i pracę kamer. Meyer wiedział już, że reporterzy nie pozwolą go uciszyć.

– Zdecydowałem, po porozumieniu z naszym zwierzchnikiem... – skłamał i zatrzymał spojrzenie na Czajkowskim, a obiektywy natychmiast powędrowały w stronę pierwszego rzędu oficjalnych gości. Minister szybko się odnalazł i skinął nieznacznie głową na znak potwierdzenia. Meyer wiedział, że cena za ten błąd będzie słona, ale miał to gdzieś. Dokończył: – Że pierwszą sprawą, w jakiej udzielimy wsparcia, będzie ta okrutna zbrodnia.

– Macie już profil? Kto za tym stoi? – padły pierwsze pytania.

– Śledztwo jest międzynarodowe.

W sali zawrzało.

– Jesteśmy w trakcie analizy. Przygotujemy profil i musimy to zrobić jeszcze dziś, bo sprawa jest rozwojowa.

Odchrząknął. Sięgnął po przygotowaną mu w nocy przez Agnieszkę kartkę. Odczytał:

– W Polsce rocznie popełnia się około tysiąca zabójstw. Niemal trzynaście procent nigdy nie zostaje wyjaśnione. Nazywamy je zimnymi sprawami. Od cold case, z angielskiego „zimny” i „przypadek”. W takiej sytuacji w aktach sprawy pojawia się adnotacja: sprawa niewyjaśniona-zakończona. Część osób zaginionych to w rzeczywistości ofiary morderstwa. Śledztwo czasami trwa rok, rzadko dłużej. W tym czasie może być ponownie wszczynane lub przedłużane, lecz po trzydziestu pięciu latach obowiązek ścigania sprawcy wygasa. Sprawa się przedawnia. Nie mamy ogólnopolskiego systemu komputerowego, który umożliwiałby przechowywanie i analizowanie danych na temat wszystkich niewyjaśnionych morderstw popełnionych na terenie całego kraju, a tym samym skojarzenie ze sobą przypadków popełnionych w różnych częściach Polski. W systemie, który wprowadzamy, będzie taka możliwość. Od dziś informacje na temat zimnych spraw znajdują się nie tylko w lokalnych archiwach. WERA będzie rodzajem AFIS-u, lecz z dodatkiem śladów behawioralnych i kopalnią danych w sprawach nigdy niewyjaśnionych.

Dziennikarze nie chcieli urzędowego bełkotu z komunikatu prasowego. Zaczęli gwizdać, narzekać. Ktoś krzyknął:

– Czy Gustaw Garbarczyk został wykluczony z grona podejrzanych?

– Osoba, o którą pan pyta, jest w dalszym ciągu poszukiwana, jak komunikuje komenda w Poznaniu.

– Jakie są hipotezy? Czy to zabójstwo rytualne?

– Rytualny z pewnością jest sposób pozostawienia ciał – odparł Hubert, uciszając nieznacznie rwetes w sali. – Czy motyw obejmuje elementy religijne? Nie wiemy. To może być inscenizacja. Ale nie musi. Co wam będę kłamał? Nie możemy w tej chwili podać nic więcej. Podkomisarz Agnieszka Olton będzie was informować na bieżąco. Możecie nam jednak pomóc. – Zatrzymał się. Głęboko spojrzął w oczy dziennikarzom z pierwszego rzędu. – Jedną z technik proaktywnych, które planujemy stosować, jest współpraca z wami. Sprawca lub sprawcy pozostają na wolności i z pewnością śledzą postępy

dochodzenia w mediach. Wyjdźmy im naprzeciw. Niech to będzie początek wspaniałej współpracy. Naszej wspólnej misji anty-zbój.

Ludzie ryknęli śmiechem.

Podszedł do komputera Agnieszki i podłączył dysk, który wyjął z kieszeni. Prezentacja systemu WERA zniknęła. Pojawiły się wyretuszowane zdjęcia ofiar odkrytych na Sołaczcu. Migają naprzemiennie niczym w kalejdoskopie.

Ryk przerażenia, ściszone potępiające komentarze. Ktoś z tyłu dyscyplinował gadające reporterki.

– Musimy zidentyfikować te osoby – kontynuował Meyer.

Kliknął w kolejny folder. Na fotografiach pojawiły się detale: koraliki na szyjach martwych kotów, oświetlone ubranie zmarłych dzieci. Kokon z czarnej folii przed rozpakowaniem.

– Pytaliście o symbole rytualne w sprawie. Oto i one. Odważycie się je opublikować? Liczymy, że ktoś z waszych widzów, słuchaczy, czytelników podsunie lub wyjaśni, z jakim rodzajem ceremonii mamy do czynienia. Uruchomimy specjalną linię. Prosimy, by każda informacja, która do was spłynie, dotarła także do nas, czyli do podkomisarz Olton – podkreślił.

– To zbyt drastyczne – skomentował dziennikarz z tylnego rzędu. – Moja redakcja nie zgodzi się na publikację tych zdjęć. Jesteśmy portalem informacyjnym. Możemy o tym napisać, zdjęcia zablokują.

– Zbyt drastyczne? – Meyer sięgnął po najcięższą artylerię. – Więc opublikujcie to.

Na ekranie pojawiła się twarz Izaaka Haselhofa upozowanego na guru. Była to pierwsza strona ulotki, którą Meyer skopiował z akt sprawy zaginięcia Garbarczyków. A potem przewinęła kolejno postarzone zdjęcia całej rodziny.

– Tak mogą dziś wyglądać Gustaw, Marysia i ich dzieciaki: Wika, Jurek, Brajan i Nela – wyjaśnił. – Ich również poszukujemy. Zależy nam, by te materiały dotarły do jak najszerzego grona odbiorców. W Polsce i za granicą. Zróbcie ferment. Zalejcie ludzi tymi wizerunkami. Niech świecą w mediach społecznościowych, potrzebujemy dyskusji na Twitterze. Zależy nam, by wykurzyć drapieżnika z nory. Popelni błąd. Tylko na to czekamy. Wiecie już, co zrobić?

W sali panowała cisza. Wreszcie dziennikarze ryknęli jeden przez drugiego:

– Dlaczego dostajemy te dane od was, a nie z komendy w Poznaniu? Przejmujecie regionalne śledztwa? To ograniczanie wolności komend! Czy tak właśnie ma działać WWD? Jako jednostka nadrzędna, nawet poza kontrolą Komendy Głównej?

Meyer podniósł dłonie i uciszył salę.

– Informujemy o tym my, ponieważ taka jest decyzja nadkomisarza Matuszaka prowadzącego dochodzenie w tej sprawie – wyjaśnił. – Jesteśmy dla nich wsparciem. My i wy. Pracujemy teraz nad tym śledztwem razem. Jeśli pan nam nie wierzy, polecam kontakt z rzecznikiem poznańskiej komendy. Każda jednostka w tym kraju zachowuje suwerenność. My tylko pomagamy.

Został zakrzyczany. Pytań było tak wiele, że Hubert nie był w stanie zrozumieć poszczególnych zdań, ale się tym nie przejmował.

– Szczegółowych odpowiedzi na wasze pytania udzieli podkomisarz Olton – rzekł i ruszył do wyjścia. Spojrzał znacząco na swoich ludzi. Szczecinek i sześciu jego podwładnych podążyło za nim. – Kiedy wy będziecie uzupełniali wiedzę, my zabierzemy się do realnej roboty. Profilu nie dostaniecie, ale nazwiska podejrzanych owszem. Na tę chwilę jest ich pięcioro. Wraz z opinią typologiczną każdego z nich. Wtedy będziecie się mogli do nich zabrać. Liczę na waszą wnikliwość i reporterskie nosy.

Znów rozległy się ściszone śmiechy i tym razem błysnęło tylko kilka fleszy. Kiedy wychodzili z sali, dziennikarze rozstępowali się przed nimi, ale w ich oczach widział szacunek oraz ciekawość. Meyerowi przemknęło przez głowę, że tak mógł się czuć Mojżesz, gdy prowadził swoich ludzi przez Morze Czerwone. Szkoda tylko, że poza przedstawieniem Hubert nie miał w sobie tak wielkiej wiary. Mimo to pierwszy raz od miesiąca znajdował przyjemność w tym, że nieoczekiwanie został szefem.

\* \* \*

– Łącz z Matuszakiem – polecił Szczecinkowi, kiedy zamknęły się drzwi salki, do której jeszcze niedawno żaden z jego ludzi nie chciał wejść na odprawę. – Zajmijcie swoje miejsca i skupcie się, bo nadkomisarz cierpi na chroniczny brak czasu. Musimy z niego wycisnąć, ile się da. Liczę na waszą błyskotliwość. Podstawowe dane znacie? Pamiętajcie, że nie ma głupich pytań. Połączeniu przerwa na papierosa i robimy naradę.

Profilerzy niemrawo kiwali głowami. Zajęli swoje miejsca jak w szkolnych ławkach.

– Cześć, ekipo. – Na monitorze pojawiła się nieogolona kanciasta szczeka na tle kuchennych szafek obstawionych workami z kocią karmą.

– Witamy – rzekł Hubert. – Jesteśmy w komplecie. Gotowi do pracy. Wyżej monitor!

Obraz zamrugał. Zbliżenie ręki i nareszcie zobaczyli oczy policjanta oraz jego zakola w pełnej okazałości.

– Ja widzę was doskonale. – Matuszak skrzywił się na znak największej sympatii.

– Podsumujesz? – zaproponował Hubert. – Szczecinek będzie notował.

– Włączyłem nagrywanie, szefie – zapewnił skwapliwie młody profiler. – Zbiorę wszystko do kupy i roześlę połączeniu.

– Gra – odparł Matuszak. – I ja też poproszę.

– Dostaniesz wszystko. Jesteśmy tutaj dla ciebie.

Matuszak sięgnął po papierosa i go zapalił.

– Sorry, że kuszę, ale tylko chwilę mogę być w domu – wytłumaczył się. – Miejsce zdarzenia: Halna trzy. Tydzień temu do rodzinnego domu przybywa Klara Haselhof. Szuka dokumentów. Twierdzi, że nie miała kontaktu z rodziną od siedmiu lat, kiedy to zmarł jej ojciec. Nie rozmawiała wtedy z bratem. To jej zapisano majątek. Brat odziedziczył antyczny rewolwer, z którego – jak zakładamy – wczoraj zginął zakonnik, były założyciel stowarzyszenia obrony przed sektami. Ten wątek jest istotny, ale jeszcze do niego wrócę. Klara opuszcza Polskę, nim wykopiami ciała. Nie wie, że jej dom jest miejscem ukrycia zwłok. Tak w każdym razie utrzymuje.

– Czy pewne jest, że wyjechała? – padło pierwsze pytanie.

Hubert pochwalił spojzeniem Andrzeja, od strajku przezwanego Krakowem.

– Przekroczyła wszystkie bramki na autostradzie. Ma paragony. Czy wróciła pociągiem, autobusem, innym wozem do kraju – nie wiemy. Jesteśmy na etapie potwierdzania. Na tę chwilę zakładamy, że była w Niemczech.

– Halna trzy jest miejscem ukrycia ciał czy też miejscem zbrodni?

– Doskonałe pytanie – przyznał Matuszak. – Skłaniamy się do tego pierwszego. Świeciliśmy cały dom na niebiesko i nie znaleźliśmy śladów krwi. Nie mamy włókien, wydzielin. Nic, zupełnie. Podejrzanie czysto. Wygląda na to, że część mieszkalną profesjonalnie wysprzątało.

– W analizie anatomopatologa stoi, że wypili truciznę, lecz bezpośrednią przyczyną zgonu jest uduszenie – zauważył Białystok. – W tej sytuacji krwi by nie było.

– Nie było też szklanek z odciskami palców, czerwieni wargowej. Pozostałości trucizny, naczyń do jej wymieszania. Alkoholu etylowego ani worków. W ogóle w całym domu nie było ani jednego worka na śmieci. Usunięto nawet te z odkurzacza – streszczał Matuszak.

– Możemy więc założyć, że jeśli zrobili to samodzielnie w tym domu, ktoś po nich posprzątał? – wtrącił się Hubert.

– Tak właśnie uważam – potwierdził Matuszak. – I ta osoba lub te osoby, bo na razie nie wykluczamy niczego, zajęły się pochówkiem. Musicie wiedzieć, że ofiary złożono w kokony żywe. Wykrzywione dłonie, próba ratowania się i stęzenie pośmiertne wskazują, że nie wszyscy skutecznie się udusili.

– Nie wierzę, że dzieci uczyniły to sobie same – mruknął Kraków. – Może matka otruła maluchy, a potem zabiła siebie?

– Bożiłow się przy tym upiera i tymczasem się z nim zgadzamy, choć niechętnie – odrzekł Matuszak.  
– Interesuje nas to, co działo się potem. Pochówek, ceremonia misterium śmierci i pogrzebanie w podpiwniczeniu. Zacieranie śladów, odejście z miejsca zdarzenia.

Żaden z profilerów się nie odzywał. Słuchali relacji Matuszaka z uwagą.

– Kołdry zakupiono w dyskoncie meblowym. Sprzedawczyni nie pamięta człowieka, który je odebrał, bo zamówił z transportem do domu, pod pretekstem pandemii. Zapłacono kartą. Właściciel karty to Helmut Kischke, a już teraz wiemy na dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent, że to druga tożsamość Izaaka Haselhofa. Mężczyzna zarówno w Polsce, jak i w Niemczech prowadził pogadanki pseudoreligijne oraz dokonywał oszustw, malwersacji. Dogmaty jego organizacji macie w materiałach. Jest tam też szczegółowo opisany wątek przejścia pięciu nieruchomości na Sołacz. Nie będę was zanudzał. Konkluzja: facet przed laty nosił nazwisko Henryk Kiszka i był wielokrotnie notowany za drobne przekręty. Odsiedział pięć miesięcy w areszcie za długi. Jego kółka religijne zniknęły z rejestru mniejszości wyznaniowych miesiąc przed zaginięciem rodziny Garbarczyków. Nadal jednak działał. Fundacja nazywała się Reinkarnacja za Życia i oficjalnie była kółkiem zainteresowań fantastów kosmosu i odnowy duchowej. Wiem, że to pokręcone.

– Skoro kołdry przywieziono na Halną, jak to możliwe, że nikt nie widział, kto je odbiera? Ponoć dom był pusty od siedmiu lat. To musiało zwrócić uwagę.

– I tutaj dochodzimy do nowej informacji znalezionej przez Grzeška Kaczmarka.

– To Poznań – zaśmiał się Szczecinek.

– Bardzo mi miło – burknął Matuszak. – Mianowicie Haselhof przejął okoliczne domy. Moi ludzie obeszlę je dzisiaj. Nikogo nie zastali.

– To możliwe? – włączył się Hubert. – Kiedy byłem na tej ulicy, gwar był jak w ulu.

– Byłem tam z tobą i pamiętam – potwierdził Matuszak. – Zastanawiamy się, o co chodzi. Pogadaliśmy z sąsiadami. Domy są zamieszkałe. Odkąd posiadliśmy stosowne dane od adwokata Klary Haselhof, tych ludzi jakby wymiotło. Zniknęli. Czekamy na pozwolenie prokuratury na otwarcie ich pod eskortą.

– Spodziewacie się nowych trupów?

– Mam nadzieję, że nie. To jednak wyjaśnia, dlaczego nikt nic nie widział, nie słyszał, kiedy mordowano tamtych – odrzekł Matuszak i podniósł komórkę. Wyciszył ją, znów zadzwoniła. – Aha, jeszcze jedno z dziś – dorzucił. – Zidentyfikowaliśmy odcisk buta typu mustang rozmiar czterdzieści sześć na drodze wejściowej i fragment tegoż na cencie, gdzie schowano ciała. Kiedy rozmawiałem z kobietą, której koty ukradziono i złożono w ofierze razem z ludźmi na Sołacz, mówiła, że poszukiwany Gustaw Garbarczyk nosił takie właśnie obuwie. Niestety podczas okazania materiałów poglądowych wskazała innego człowieka. Dokładnie mojego wywiadowcę. Nie wiemy, czy Urszula Cania mataczy, czy po prostu się pomyliła. – Podniósł zdjęcie z oględzin. – Dołączam je do akt i muszę już kończyć. Chyba jest zgoda prokuratora na wejście do posesji Haselhofa. Meyer, kiedy do nas wracasz? Bo chyba nie przyjedziecie wszyscy?

– Nie wcześniej niż jutro przed południem – odparł psycholog. – Siądziemy teraz nad profilem. Daj znać, jak wyjdzie co nowego.

– Pewnie – rzucił Matuszak i rozłączył się bez pożegnania.

Hubert zgasił ekran. Wziął krzesło i usiadł na nim okrakiem. Zdjął okulary, wycyścił je brzegiem golfa.

– Pamiętajcie: dlaczego, jak, kto. W tej kolejności. Przerwa na kawę albo bankiet z ministrem. Dla chętnych analizy typologiczne Klary Haselhof, Jacka Morawskiego i Henryka Kiszki vel Izaaka Haselhofa. Przyjmuję też koncepcje zniknięcia rodziny Garbarczyków. Za trzy godziny zbiórka.

Spojrzeni na niego niepewni. Uśmiechnął się.

– Ja w każdym razie tu będę.

\* \* \*



## BERLIN

– Jesteś? – Klara rzuciła się w objęcia Grzegorza. – Dziękuję za pomoc.

Kaczmarek nad jej ramieniem spotkał się wzrokiem z Andreasem Kluge, który znieruchomiał przy drzwicach, jakby nie mógł się zdecydować: odejść bez słowa czy zrobić awanturę.

– Rozumiem, że sobie już poradzisz? – zwrócił się po niemiecku do klientki.

Klara pokiwała głową, ale po namyśle wypłatała się z objęć policjanta i podeszła do adwokata. Pogrzebała w torebce. Wydostała kilka banknotów.

– Na razie mam tylko tyle, ale wkrótce oddam ci wszystko. Obiecuję.

– To nie jest najważniejsze. – Andreas machnął ręką i zbliżył się, by ją przytulić.

Rzut oka na Grześka starczył jednak, by zrezygnować z postanowienia. Wyciągnął dłoń. Klara uściśliła ją zamaszycie, a potem cmoknęła go w policzek.

Kaczmarek przyglądał się tej scenie z oddali. Andreas Kluge był w wieku męża Klary i od lat znali się z Haselhofem. Może spędzali razem młodość w Poznaniu? To łączy ludzi na zawsze. Mają wspólne wspomnienia i sekrety. Czy Kluge zna Klarę od początku jej związku z Izaakiem? Ile wie o działalności sekty? Skoro pracuje dla tej rodziny od lat, został dopuszczony do wielu wstydliwych tajemnic. Czy tej jednej, która łączy Klarę z Grzegorzem, również? Chociaż siostra Gustawa wyszła za mąż za mężczyzną starszego o czterdzieści jeden lat, wiekowym prawnikiem nie była zainteresowana. Korzystała z jego uwagi, by jej pomagał. Ciekawe, pomyślał, czy ich relacja to tylko interesy. A w ich przypadku? Zajmowania się jej dziećmi, kiedy przebywała w areszcie, nie należy zaliczyć do bezinteresownej pomocy. Wiedział, że oszukuje sam siebie.

Drzwi trzasnęły. Kluge opuścił dom Haselhofów. Klara zawiesiła płaszcz na wieszaku, ściągnęła buty. Podeszła do Grześka z winem i kieliszkami w dłoni. Zdziwił się. Kiedy zdążyła wejść do kuchni? Czyżby się przygotowała?

Zaświeciła światło. Ich oczom ukazał się skomplikowany diagram.

– Co to takiego? – spytała, nie kryjąc zaskoczenia. A potem jakby sobie przypomniała: – Jak sprawowały się dziewczynki?

– Są na górze – odparł. – Małe śpią, a starsze siedzą przy komputerach. Dałem im jeść i się nudiłem. Zorganizowane stado. – Odchrząknął. – Nie masz tablicy magnetycznej ani nawet korkowej, więc skorzystałem z szyby. – Wskazał diagram. – To się da łatwo zmyć płynem do naczyń.

Przyglądała mu się chwilę, a potem rozsiadła się w fotelu, uśmiechając się figlarnie.

– To twoje śledztwo, tak? Jesteś teraz detektywem? Przed tobą sława i wielka kariera? – Otwarcie mu schlebiała.

– Jeśli imponuje ci stopień starszego aspiranta, owszem – mruknął z niechęcią. – Słynnym? Wcale. I nie zamierzam tego zmieniać. Popularność przeszkadza w prowadzeniu śledztw. Za to dostałem się do elitarniej jednostki wsparcia dochodzeń. Sami profilerzy – dodał z dumą. – Wiele sobie obiecuję po pracy w tej jednostce.

– Tym bardziej gratuluje.

Nalała do kieliszków. Podała mu jeden z nich.

– Nie wolno mi. – Grzegorz wziął kieliszek i zaraz odstawił na stolik. – Skoro już tu jesteś, wracam do kraju. Jak wiesz, przyjechałem samochodem.

– Nie bądź taki służbista. Możesz przecież przemocować. – Zaśmiała się i aż mu w gardle zaschło, kiedy patrzył, jak podsuwa wąską spódnicę, by umościć się na sofie. – Opowiedz mi lepiej, co tam wymyśliłeś. – Wskazała schemat na szybie okiennej. – Kto zabił tych ludzi?

Grzegorz przyjrzał się jej zaskoczony.

– Nie cierpisz zbytnio z powodu Izaaka – zauważył.

– Nie – potwierdziła z powagą. Upiła łyk. – Doskonałe. Spróbuj. – Ponieważ się nie odzywał i nie podnosił kieliszka, dodała: – Jeśli szczerze, cieszę się. Należało się krętać. Izaak kradł całe życie i ktoś nareszcie odrąbał mu dłonie. Jakie życie, taka śmierć. I tak za długo czekałam na ten wyrok.

Grzesiek spojrział na swój diagram. Pstryknął zdjęcie, sięgnął po papierowy ręcznik i wytarł dokładnie szybę. Zgasił światło. Zostały tylko nastrojowe kinkiety i świece na stoliku. Grzegorz nie zauważył, kiedy Klara je zapaliła.

– Rozumiem, tajemnica służbowa – zapewniła z uśmiechem. – Nie martw się, i tak nic bym z tego nie zroszczyła.

Odwrociła głowę. Za wszelką cenę unikał jej napastliwego spojrzenia.

– Tylko głośno myślałem – wykiwał się. – Kiedy rysuję, łatwiej mi ogarnąć całość. Poza tym lubię tabelki. Dobrze porządkują dane. Kiedy jest ich dużo, czasami meritum znika z oczu, a rozwiązanie zagadki znajduje się zwykle na wyciągnięcie ręki. Analityka kryminalna przypomina fotografię. Oczywiście nie mówię o dzióbkach z instagrama, choć i z nich wiele jesteśmy w stanie wyłuskać, ale o iście reporterskim zatrzymywaniu obrazów w kadrze. Zawsze jest punkt centralny, kilka planów, tło i kontekst. Sprawca znajduje się na tym obrazku. Bardziej lub mniej ukryty.

– Uwielbiam, kiedy o tym opowiadasz – zaszczębiotała. – Zawsze to lubiłam. Kochasz swoją pracę?

– Staram się być dobry w tym, co robię – odparł onieśmielony. – Inaczej to nie miałyby sensu. Ale nie przesadzajmy, nie jestem jakimś cholernym pasjonatem.

– Doprawdy? – zachichotała. Poklepała miejsce obok siebie. – Chodź do mnie.

Grzesiek zamarł w bezruchu. Zastanawiał się, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. Klara musiała zeskanować jego myśli z twarzy, bo wyprostowała się, obciągnęła niżej spódnicę. Kiedy się pochylała, zobaczył, że cały tors pod bluzką ma wytatuowany. Szybko zapięła guziki.

– Chyba się mnie nie boisz? – Pokryła zdenerwowanie śmiechem. – A może wciąż gniewasz się za tamto? Naprawdę nie rozmawiałam z Anitą. Musiała dowiedzieć się od kogoś innego. Gdybyś mnie nie unikał, wyjaśniłabym to od razu. Nie dostałam takiej szansy, bo przestałeś się odzywać. Nie tęskniłeś?

– Za twoim ciałem bardzo długo – wyznał nagle. Postąpił krok naprzód i zajął miejsce naprzeciwko niej. – Sądziłem, że jesteś w nim szalenie zakochana. Twierdziłaś, że Izaak to miłość twojego życia, mistrz, przewodnik. – Przedrzeźniał ją. – Prędzej umrę, niż odejść. Bez niego jestem pusta w środku.

– Miałam budyń zamiast mózgu.

Przysunęła się bliżej. Ich kolana niemal się stykały.

Grzeszkowi żołądek podchodził do gardła na samą myśl, jak mogłoby się to potoczyć, gdyby byli sami. Na szczęście na górze były jej córki, a na podjeździe znaleziono odcięte dłonie ich taty. To wszystko skutecznie go chłodziło. Klara dla odmiany zdawała się odprężona, wręcz wesoła. Jakby nie wróciła z aresztu, lecz z luksusowego spa. I tak też wyglądała. Nadzwyczaj atrakcyjnie.

– Nie będę ci kłamała. Całe lata tkwiłam w sekcji – kontynuowała z niewinną miną. – Jedyne, czego żałuję, to tego, że nie obudziłam się na czas, żeby pojednać się z rodzicami. I że straciłam z tym fałszywym staruchem swoje najlepsze lata! Wiesz, wiele razy mogłam odejść. Z tobą albo z kimś innym.

Grzegorz poczuł się tak, jakby uderzyła go znienacka w brzuch. Ona jednak wciąż uśmiechała się promiennie. Nie dostrzegła, że go zraniła. Klasnęła w dłonie.

– Szczęście, że już po wszystkim.

– Skąd pewność, że to jego dłonie?

– Udało się pobrać odciski. – Wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste. – Izaak kiedyś siedział. Nie skazali go, ale jego linie papilarne były w bazie. W mig mieli porównanie. Okazało się, że te same ślady daktyloskopijne mają Polacy w swoich aktach. Mówił mi, że wyjeżdżał w interesach. Tak naprawdę odsiadywał wyroki. Pod innym nazwiskiem. – Zatrzymała się. Posmutniała teatralnie.

– Helmut Kischke? – podpowiedział Kaczmarek. – Nie mów, że o tym nie wiedziałaś.

Wzruszyła ramionami, odwróciła głowę, jakby udało mu się ją zawstydzić.

– Sygnet należał do Morawskiego – mówiła dalej. – Pamiętasz tego przystojniaka z Oporowa? Został księdzem. Ponoć do końca utrzymywał kontakty z moimi rodzicami. Chrzcił dzieci Gutka, przyjaźnili się.

Kaczmarek poczuł dziwne ukłucie intuicji.

– Rozmawialiśmy z nim. Zrzucił sutannę.

– Naprawdę? – Klara uśmiechnęła się szeroko. – To wspaniale, bo tak się składa, że ja wracam do kraju i zamierzam z impetem wejść na rynek wtórny. Może się z nim umówię? Skoro znaleźli dłonie Izaaka, to znaczy, że on nie żyje, prawda? Tym samym wszystkie moje problemy znikają. Jestem wolna!

– Wyrzuciła ręce w górę, manifestując bezgraniczną radość.

– Przerażasz mnie – wyszeptał Kaczmarek.

– Słuchaj, nie będę zgrywała cierpiącej! – oburzyła się. – Rozwiedliśmy się trzy lata temu i od tej chwili Izaak zamieniał moje życie w piekło. Nienawidzę go. Nienawidzę! – powtórzyła. – Gdybym miała odwagę, sama bym go zabiła. Ale nie miałam. Chociaż powiem ci, że rozmyślałam, skąd by tu znaleźć pomocnika, zapłacić mu za usługę i zamknąć ten temat. Jak widać, marzenia się spełniają.

Zawahała się, dołała sobie wina.

– Jeśli chcesz spytać, czy mam coś wspólnego z odciętymi rękoma byłego męża, to nie mam. Dzieci to wiedzą i Andreas to wie. Był dzisiaj ze mną na komisariacie. Walczył o mnie jak lew. Mam alibi na czas zabójstwa, bo dłonie odcięto dwa dni temu, a jak wiesz, ja w tym czasie byłam w Polsce. W Poznaniu. Mam kupę świadków. Dowiadywałam się, jak przeprowadzić technicznie swój powrót z emigracji.

– To żadne alibi, jeśli zbrodni dokonano w kraju – przerwał jej Grzegorz. – Nie boisz się?

– Niby czego? – Wydęła wargi. – Mój największy wróg zniknął z pola widzenia. Kocham ludzi! Poradzę sobie. Sprzedam ten dom, samochód i resztę dobytku. Andreas przeprowadzi sprawę spadkową. Dziś dowiedziałam się, że jest sporo nieruchomości na Sołaczu, które Izaak przejął. Nawet jeśli nie uda się odzyskać wszystkich, będę zadowolona chociaż z jednego małego mieszkania. W sumie tak źle na tym małżeństwie nie wyszłam.

– Nie ma ciała twojego męża – tonował ją Grzegorz. – To potrwa, zanim zostaniesz uznana za wdowę. Jeszcze więcej czasu zajmie porządkowanie majątku. Na razie są tylko ręce twojego małżonka, sygnet rodowy księdza Morawskiego i kilka toczących się śledztw. Nie jestem pewien, czy w tej sytuacji Niemcy wypuszczą was z kraju. Sprawdź to lepiej, bo gdy okaże się, że opuścisz Berlin nielegalnie, możesz mieć kłopot. Kto zajmie się twoimi córkami? Adwokat?

– Dzisiaj załatwiłam. – Klara tryskała optymizmem. – Nie widzą przeszkód. W razie wezwania wsiadam do auta i jestem w Berlinie w ciągu kilku godzin.

Grzesiek zastanawiał się. Chciałby wiedzieć, jakim sposobem Klarze udało się to tak ustawić. Najchętniej zanotowałby tę myśl w swoim kajecie, ale bał się kompromitacji. Zachował ten detal w pamięci i dopytał:

– Dlaczego na dłoń Haselhofa włożono sygnet rodowy Morawskich? Co to może znaczyć, twoim zdaniem? Czy ksiądz Jacek ma z tym coś wspólnego? Oni się znali?

– Po prostu zwykły zbieg okoliczności. – Klara najpierw wzruszyła ramionami, a potem zachichotała drwiąco. – Izaak kupił kiedyś ich dworek w Oporowie. Może wraz z herbem i biżuterią? Miał zresztą różne herby. Lubił mieć wybór.

Grzegorz nie podzielał jej wesołości.

– Jesteś w gronie podejrzanych – powiedział. – Masz tego świadomość?

Klara wpatrywała się w Grzeska szeroko otwartymi oczyma, jakby oświadczał jej, że Ziemia kręci się wokół Słońca, tymczasem ona wciąż woli wierzyć, że jest płaska.

– Ktoś te ręce wykopał i dostarczył do twojego domu – kontynuował Kaczmarek. – To cię nie niepokoi? Ktoś wie, gdzie mieszkasz. Wiedział, kiedy cię nie będzie, i wszedł pod twoją nieobecność, by cię zaskoczyć. Podrzucił je jak makabryczną wiadomość. Jaką? Kto i co chce ci w ten sposób powiedzieć?

– Nie przesadzałabym z tą interpretacją! Naprawdę nie mam pojęcia, o co tutaj chodzi. Ale to pewnie mój brat.

– Twój brat? – powtórzył jak echo skołowany Kaczmarek.

Wzruszyła ramionami.

– Od siedmiu lat jest na mnie zły, że tata zapisał mi dom przy Halnej, chociaż ja niczego od rodziców nie chciałam. Gdyby nie moje obecne problemy, oddałabym Sołacz jemu i Marysi. W sumie mogę to jeszcze zrobić. Jak ich wreszcie znajdziecie, zaproponuję im darowiznę.

Grzegorz przyglądał się jej oniemiały.

– Uwważasz, że Gucio podrzucił ci ręce byłego męża – podsumował. – Dlaczego? Na jakiej podstawie sądzisz, że twój brat tutaj był? Twierdziłaś, że się nie kontaktowaliście. I jak może cię cieszyć cudza krzywda? Okay, Haselhof nie był ideałem, ale żyłaś z nim kilkanaście lat i korzystałaś z jego fortuny. To ojciec twoich dzieci. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby nie uszanować śmierci?

– Bo to jest zemsta. Gucio stanął w mojej obronie. Któż inny mógłby to zrobić? – Zerwała się i pobiegła do drzwi. – Sam zobacz.

\* \* \*

Grzegorz podążył za nią. Pośpiesznie przewinęła nagranie z kamer. Na ekraniku zobaczył korpulentnego mężczyznę w prostokątnych okularach. Był ubrany jak włamywacz: czarna rolowana czapka, rękawiczki, dresy i bomberka w tym samym kolorze. Na nogach miał ciężkie wojskowe kamasze. Facet wbił kod do domu i wchodził głównym wejściem. Chociaż Kaczmarek nie widział kolegi od lat, musiał przyznać, że podobieństwo było uderzające.

– I co? – Klara przekrzywiła głowę. – Masz wątpliwości?

– Nie widać twarzy. – Kaczmarek się wahał. – A więc on żyje?

– Dlaczego miałby nie żyć! Od początku mówiłam, że ukrył się przed wierzycielami. Pewnie Maryśka i dzieci też nieźle się mają.

Grzegorz był oszołomiony.

– Możesz powiększyć datę nagrania?

Klara spełniła jego prośbę.

Kaczmarek wyjął telefon i zrobił zdjęcie nad jej głową. Gdy tylko kobieta usłyszała trzask migawki, natychmiast nacisnęła czerwony przycisk „Delete”.

– Dlaczego to zrobiłaś? – oburzył się. – To ważny dowód w sprawie. Do tej chwili szukaliśmy ich ciała. To zmienia wszystko!

– Nie chcesz chyba zrobić mojego brata w zbrodnię! – wzburzyła się.

– A niby skąd miałby dłonie Haselhofa?

– Wykopał je. To nie znaczy, że zabił!

– Skąd wykopał?

– A bo ja wiem?

– Chyba wiesz znacznie więcej, niż mi płakałaś!

Sięgnął do kieszeni, wyjął kajdanki. Patrzyła na niego z ironicznym uśmiechem.

– Zamierzasz mnie aresztować? Co za idiota!

Kiedy spróbował założyć bransoletki na przeguby kobiety, umknęła mu.

– I pomyśleć, że ja z kimś takim się kładłam!

Milczał. Stał w progu, wpatrując się w nią, jakby oszalała. Wreszcie sięgnął po telefon, wykręcił numer. Czekał na połączenie.

– Powiem, że mnie zgwałciłeś – zagroziła. – Wylecisz ze swojej jednostki.

– Powodzenia – wyburczał. – Gwałt nie tak łatwo udowodnić.

Prychnęła tylko kpiąco i spokojnie ruszyła schodami na górę. Grzegorz wahał się, czy ją gonić, ale w tym momencie w słuchawce usłyszał głos Meyera.

– Kogo zamierzasz zgwałcić?

\* \* \*

– Garbarczyk był tydzień temu u siostry. Puszczam ci fotę z nagrania. I jeden rysunek – zameldował Grzegorz. – Jak załatwić nakaz aresztowania obywatelki Niemiec do naszej sprawy?

– Niewykonalne o tej godzinie – odparł Hubert. – Będę jutro w Poznaniu. Pogadam z prokuratorem. Dowiedz się jak najwięcej o Garbarczyku. Postaramy się z Matuszakiem o czerwoną notę dla Klary, ale to potrwa. – Wypluwał z siebie słowa jak pociski. Wyraźnie się śpieszył. – Masz teraz chwilę? Jesteśmy w trakcie narady. Pojawiły się nowe okoliczności. Odcisk obuwia rozmiar czterdzieści sześć może należeć do Garbarczyka. Skoro jest dowód, że facet żyje i był wczoraj w Berlinie, to może być nasz klient.

– Nie jestem na stówę pewien, że to był Gucio. Klara skasowała nagranie, dlatego tak ważne jest, by je odtworzyć. Bez nakazu nic nie wskóram. Wypięła się na mnie i z pewnością cygani – przerwał mu Kaczmarek. Zawahał się, czy opowiadać o zajęciu z kajdankami oraz groźbą gwałtu, jednak zmilczał. – Ale Gucio ma karykaturalnie małe stopy. Ledwie czterdzieści, jak duża kobieta.

– Dzięki za cenną informację. Weźmiemy to pod uwagę.

– Jest jeszcze jeden gość uwikłany w tę sprawę – dorzucił Grzesiek.

– Tak? – Hubert jednocześnie witał się z wchodzącymi. – Dasz radę się z nami połączyć? Przydałbyś się.

– To Andreas Kluge. Adwokat i wieloletni zausznik Haselhofa.

– Zanotowałem. Będziemy mieli na niego oko – obiecał Hubert.

– Udało się wam wejść do posesji darowanych Reinkarnacji za Życia?

– Matuszak nad tym pracuje. Na rano obiecałem mu profil.

– Moim zdaniem ta sekta to blaga – oświadczył Kaczmarek. – Lewy trop. Zasłona dymna. Zabójstwa mają podłoże uraz rodzinnych. To rozgrywa się kameralnie w kręgu Gustawa Garbarczyka. On jest kluczem.

– Walkujemy tę hipotezę od początku – westchnął Hubert. – Motyw?

– Ekonomiczny, a potem utrzymanie status quo. Rodziny Garbarczyk-Haselhof pilnują, by tajemnica nie wyszła na jaw. Jak sam zawsze powtarzasz, najpierw jest chciwość, potem dbałość o złudzenia, a na koniec zemsta. Moim zdaniem mamy do czynienia z książkowym skryptem.

– A książdź Struś?

– To rykoszet. Eliminacja kluczowego świadka. Książdź Morawski jest powiązany. Jego sygnet sprawca zostawił na dłoni Haselhofa. Klara jest pewna. Nie mam pojęcia, jakim cudem znalazł się na palcu odciętej ręki Haselhofa i kto go tam włożył, ale to jest przekaz. I nie jestem przekonany, ale książdź Morawski to kawał chłopca. Może te mustangi pasowałyby na niego?

– Zgadzam się. Wracaj – zdecydował Hubert. – Na miejscu bardziej się przydasz. Pracuję do rana, zdrzemnę się chwilę i złapię pendolino. Spotkamy się u Matuszaka. Może już załatwi wejście do opuszczonych willi na Halnej?

– Będę – zapewnił Kaczmarek.

Odwrócił się, słysząc podejrzany szmer. Klara stała tuż za nim z wielkim wazonem w dłoniach. Nie miał złudzeń, co zamierzała zrobić.

– To nie jest śmieszne – oświadczył z najwyższym spokojem. – Bądź pewna, że przyświeca mi osobisty imperatyw, by sprawę rozwikłać. Nie uciekniesz.

– Imperatyw? – zadrwiła, odstawiając wazon. – Próbuje. Kto ci broni? Dzięki za pomoc. Była nieoceniona. A uciekać nie zamierzam. Nie widzisz, że walczę z całych sił, by wrócić na Słońce?

Nie słuchał jej. Sięgnął po kurtkę i wymaszerował z jej domu.

Kiedy trzasnęła bramka, a Grzesiek zmierzał do samochodu, firanka w oknie po drugiej stronie ulicy się poruszyła. Pamiętał, że kiedy Bora, pies Klary, bawiła się dłonią Haselhofa, na pomoc jako pierwszy wybiegł sąsiad o polskim nazwisku – Jakubik. To jego Klara poprosiła o wezwanie mundurowych.

Kaczmarek, niewiele myśląc, ruszył w tamtym kierunku. Zanotował numer posesji i zrobił zdjęcie. Zastukał kołatką. Wcisnął kilka razy dzwonek.

– Policja, proszę otworzyć – komunikował po polsku, niemiecku i angielsku.  
Odpowiedziała mu cisza. Zgasło też światło, które wcześniej migotało w salonie.

\* \* \*

### **30 września (czwartek)** **POZNAŃ, OKOLICE SOŁACZA**

Hubert znów wjeżdżał na Halną. Tym razem na szlaku nie było żadnego wozu transmisyjnego i ani jednego przechodnia. Matuszak zadbał, by na czas przeszukań ewakuowano wszystkich mieszkańców Sołacza.

Profiler kazał taksówkarzowi przejechać blokadę i zaparkować pod trójką. Podał kierowcy banknot i nie odebrał reszty. Kiedy szofer wyciągał z bagażnika walizkę pasażera, Hubert przyjrzał się wysokiemu ogrodzeniu obejścia Garbarczyków, dodatkowo obsadzonemu jodłami syberyjskimi. Tak gęsto, że musiał wspiąć się na palce, by cokolwiek dostrzec na podjeździe.

Teren wciąż był rozkopany, tak jak go zostawili. Miał ochotę przyjrzeć się jeszcze raz miejscu odkrycia ciała, ale wiedział, że najpierw powinien odmeldować się u Matuszaka. Jego ludzie pracowali na Sołaczu od rana i Hubert był bardzo ciekaw, co nowego odkryli.

Dziennikarze spisali się znakomicie. Sieć huczała od komunikatów, które WWD przekazał im wczoraj. Czajkowski nie mógł mieć lepszej reklamy swojego nowego zbrojnego dziecka. I był zadowolony. Tak bardzo, że chwilowo zapomniał o niesubordynacji Huberta oraz cofnął decyzję o przeniesieniu Kaczmarka. Meyer planował taką właśnie wiadomość przekazać protegowanemu, kiedy już porównają notatki.

Grzegorz machał do niego z oddali. Otoczony wianuszkami mundurowych odbierał gratulacje, bo nagle każdy detektyw marzył o współpracy ze Wsparciem Dochodzeń.

– Jak droga?

– Po taniości i pracowicie – mruknął Hubert. – Jak miewa się moja landara?

– Kociak pierwsza klasa.

Hubert uśmiechnął się mile polecthany, jakby komplement dotyczył jego osobiście. Przeszli się kawałek, by zapakować rzeczy Huberta do auta.

– Widziałeś mój diagram? – Grzesiek gładko przeszedł do konkretów. – Uaktualniłem go o nazwisko Klary.

– Jak tylko wrócimy do komendy, pogadamy, bo jest o czym – uciął Meyer. – My też całą noc nie zmużyliśmy oka. Pracowaliśmy grupowo nad motywem i analizą śladów. Mamy pierwszy draft profilu, choć obawiam się, że nie spodoba się Matuszakowi. Uwzględniłem w nich twoją znajomą. Dobra robota.

– Chciała mnie ogłuszyć wazonem. Uwierzysz?

Kaczmarek szczegółowo opowiedział przebieg scysji z byłą żoną Haselhofa.

– Coś między wami było? – skrzywił się Hubert.

Grzegorz wzruszył ramionami. Odwrócił głowę. Zmilczał.

– Dawno?

– Tak dawno, że nie pamiętam dlaczego. Niczego sobie nie obiecywaaliśmy. Byłem młody, głupi. Nie miałem nawet kaprała. Ona za to miała za męża starca, który sporo zarabiał i wciąż był w podróży. Jak teraz wiemy, wczasował się po aresztach w Polsce i Niemczech. Starczyło za motyw dla obojga.

Hubert poprawił okulary.

– A ja cię miałem za prymusa bez nałogów. – Uśmiechnął się. – Więc te twoje moleskiny, podkładki, neonowe fiszki oraz nieskazitelna grzywka to bujda?

– Nad grzywką codziennie rano ciężko się pracuje – mruknął Grzesiek. – Myślałeś o tym, co ci przesłałem?

– Całą noc. Sprawdź skrzynkę.

Podszedł do nich Matuszak.

– Widzę z Facebooka, że beczelna blond syrenka w swetrze to wasza gwiazda – mruknął, ale nie czekał na odpowiedź, a Hubert też nie kwapił się do przeprosin, więc dodał: – Trzepiemy trzecią wilę.

– Mieszkańców wciąż brak? – upewnił się Kaczmarek. – Wyparowali?

– Mam przykre *déjà vu*, to jak siedem lat temu u Garbarczyków – odparł Matuszak. – Kiedy skończymy, będziecie mogli wejść i obejrzyć teren. Ciekaw jestem, jaką tym razem historyjkę spreparujecie, żeby zamydlić mi oczy.

– A więc zapoznałeś się z proponowanym przez nas scenariuszem wydarzeń? – Hubert zaczął łagodnie, ale Matuszak nie dał mu skończyć.

– Intryga rodzinna? – Skrzywił się. – Motyw ekonomiczny? Proszę cię...

– Spodziewałem się, że będziesz sceptyczny – przyznał Meyer. – Hipoteza wywraca do góry nogami dotychczasowe myślenie o motywie sprawcy, jednak moim zdaniem jest spójna. Kluczowym świadkiem może okazać się ksiądz Morawski. On jeden łączy wszystkie sprawy. I jest dostępny.

– Podobnie jak Klara – prychnął Matuszak. – Bo to zła kobieta była. Szkoda tylko, że ma tak małe stopy.

– Nie żartuj – obruszył się Hubert. – Ksiądz bezpodstawnie zasłonił się tajemnicą spowiedzi. Przyjaźnił się ze wszystkimi. Był ostatnią osobą, która rozmawiała ze Strusiem. Jego pierścień zabezpieczono na odciętej dłoni Izaaka, nosi rozmiar czterdzieści sześć. On wie, co tu się wyprawia! I najprawdopodobniej brał czynny udział w zbrodni. Przygotujemy ci taktykę. Jeśli podsuniesz mu właściwą kotwicę, by wyszedł z tego z twarzą, ujawni mechanizm. Milczy strategicznie. Kogoś chroni. Należy go jak najszybciej złamać. Reszta puzzli ułoży się sama.

– Wasza teoria może i jest spójna, ale nierealistyczna! – burzył się Matuszak. – Powiem szczerze, że wywaliła mnie z kapci, ale i tak mnie nie przekonałeś! – Zmierzył profilerów pogardliwym spojrzeniem. – Poza tym to nie jest portret psychologiczny nieznanego sprawcy, tylko garść bezpodstawnych sugestii przeciwko jednej osobie. Pobożne życzenia. Gównu nie opinia!

– Opinia typologiczna – bronił swoich racji Meyer. – Rodzaj wizualizacji kryminalistycznej. Profil się pisze.

– Nie wiem, czy jestem zainteresowany.

Kaczmarek przerzucał wzrok z jednego na drugiego policjanta. Wreszcie wyjął telefon i otworzył wiadomości, by jak najszybciej zapoznać się z materiałem przesłanym przez Meyera.

– Nie szukaj komplikacji tam, gdzie najprostsze wytłumaczenie tajemnicy nasuwa się samo. – Meyer nie odpuszczał. – Powiedz mi, co to za sekta, o której nikt nigdy nie słyszał? Media rozpisują się o scjentologach, grupach Moona, Osho czy bractwie Himavanti. Przywódcom alternatywnych kultów zależy na dotarciu do jak najszerzego grona odbiorców. Walczą o uwagę! Mają produkt do sprzedania, a werbunek nowych członków to ich priorytet. Słyszałeś o Reinkarnacji za Życia? Miałeś takie sprawy na biurku? Czy choć jeden twój wywiadowca zająknął się na temat apostoła Haselhofa? Ta sekta nie istnieje! To raczej pobożne życzenia polskiego Niemca lub co najwyżej błaga, by przykryć jego malwersacje finansowe, bo że to oszust finansowy – dowody mamy! Plus kilka świadectw osób, z którymi zadarł Haselhof, i mimo zdwojonych wysiłków nie jesteśmy w stanie znaleźć ani jednego wyznawcy poza małżonką Klarą. Która ma zresztą z nim na pieńku i za wszelką cenę stara się odzyskać niezależność. Mówi o sekcje, ciśnie w tym kierunku, a wiemy, że żaden guru nie nazwie tak swojej organizacji. Wręcz się oburzy! A wracając do motywu, naszym zdaniem nie jest ekonomiczny. To nie rabunek, lecz chciwość, a co za tym idzie, emocje. Przeczytaj przesłany tekst do końca!

– Czytałem te bzdury nie raz, ale trzy razy! I nie wiedziałem: śmiać się czy płakać! Gdybym chciał się doksztalić z Junga, odpalę sobie net po robocie.

– Pisałem o procesie polimotywacyjnym, w którym majątek odgrywa znaczącą rolę, ale katalizatorem agresji jest zadawniona krzywda i uraza. Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest kryzys rodziny Garbarczyków sprzed siedmiu lat. Nie zaś ozdobniki w postaci całunów i koralików. To odwracanie uwagi! Maskarada. Ozdobne opakowanie!

– A zaginieni ludzie: Garbarczykowie, Haselhof, mieszkańcy pięciu willi na Halnej? Dziwaczne samobójstwo ojca Strusia? – bulwersował się Matuszak. – Na jakiej podstawie proponujecie wyłączenie tego dochodzenia? Kuria was przekonała czy może Żyrafa z ministerstwa? Myślałem, że walczymy po tej samej stronie!

– Nie proponujemy wyłączenia – zaproponował Hubert. – Chcemy je potraktować jak oddzielny przypadek. Odprysk. Coś, co wydarzyło się w związku ze sprawą, i wyjaśni się po zatrzymaniu kluczowych podejrzanych.

– Podejrzanych? – zachnął się Matuszak. – Masz na myśli Garbarczyka, jego córkę, siostrę czy dawnego przyjaciela? Przykro mi, Meyer, ale się na tobie zawiodłem. Nie dałeś mi nic nowego, a rozgrzebujesz mi śledztwo jak ten cały Lisek. Niewiele się różnicie, jak teraz widzę. Tyle, co mam na mejslu, sam już wiedziałem. Garbarczyków szukam jak opętany. Mam aresztować duchy? Znajdą się, bądź pewien, że nie wypuszczę ich z rąk bez gruntownego przesłuchania!

– Więc dlaczego nie zatrzymasz Klary i księdza Morawskiego? Są przecież pod ręką. A to oni mają kluczową wiedzę!

– Wiedzę o czym? I na jakiej podstawie mam ich wzywać? – Matuszak zdenerwował się nie na żarty. – Uważasz, że twoje kilka zdań w mejlu starczy, by przekonać prokuratora? Klara jest obywatelką Niemiec, a ksiądz oficjalnie wciąż jest księdzem. Nie mogę ot tak, szafować ich zatrzymaniem, bo tobie się tak wydaje! Żadnych twardych dowodów nie mamy i wiesz o tym. Już prędzej miałbym niebieski papier na Haselhofa. Tak się jednak składa, że apostoł również jest niedostępny. Mam już dość tych znikających ludzi. To nie Harry Potter. Ci ludzie nie mają peleryny niewidki! A z jakiejś przyczyny wszyscy zaszyli się i nie wyłażą z nory. Rozwiązałeś ten problem? Nie! Skupiasz się na intrydze rodzinnej. W dupie mam taką wiktymologię! Typologię, behawiorystykę, tfu, całą tę psychologię śledczą. Szczerze? Zgłupiałem. Przyznajcie lepiej, że się pomyliliście. Dzięki Bogu nie przekazałem tego dokumentu do realizacji. – Przerwał. – Muszę wiedzieć, kim są ofiary z kokonów, dlaczego i jakim cudem znalazły się w podpisniczeniu Garbarczyków oraz – może przede wszystkim – gdzie jest Haselhof. Odbitka podeszwy mustanga nie pasuje do żadnego z twoich faworytów, a Garbarczyka z rodziną szukam od lat. Próbuję teraz ustalić tożsamość ofiar z Halnej. Analizuję całuny... Masz coś jeszcze? Bo przeszkadzasz mi w pracy.

Odwrocił się, zdecydowany odejść.

– Wszystkie zabiegi sprawcy mające wrzucić nas w myślenie o morderczych sekciarzach to zasłona dymna. – Do dyskusji włączył się Kaczmarek.

Nie przeczytał całości dokumentu, ale wystarczająco, by wspomóc szefa. Matuszak spojrział na niego, z trudem hamując irytację. Milczał.

– Niepotrzebnie skupiamy się na kokonach, kotach czy koralikach – przekonywał Grzesiek, z każdym słowem coraz mniej pewny siebie. – Odrzućmy rekwizyty i zobaczmy tę zbrodnię gołą. Bez ozdobników.

– I co tam widzisz? – fuknął Matuszak.

– Rodzinny sekret.

Nadkomisarz wybuchnął śmiechem, ale Grzegorz się nie zrażał.

– Coś zaszło między Garbarczykami. Tam jest początek. W zimnej sprawie, którą trzeba rozwikłać najpierw.

– Więc go znajdź – ryknął Matuszak. – Nie widzę przeszkód. Idźcie i szukajcie.

– Tak zrobimy – zapewnił Kaczmarek, patrząc z przestrachem na Meyera, że wyszedł przed szereg.

Nie zdążyli ustalić tej wersji z Hubertem, ale o dziwo profiler nie zaprotestował. Przeciwnie, patrzył na ucznia z uznaniem. Czyżby się z nim zgadzał? Grzesiek był skołowany.

– A jednak te elementy mają charakter symboliczny. – Matuszak wskazał karton z posegregowanymi i opisanymi fragmentami opakowań ofiar sprzed tygodnia, które jeździły w bagażniku na okoliczność analizy porównawczej w razie ujawnienia podobnych podczas tej akcji. – Dewocjonalia i niebudzący wątpliwości foliowy całun. To nie przypadek, że pochówek wykonano w taki, a nie inny sposób.



– Zgadza się, ale to nie znaczy, że w zabójstwach biorą udział członkowie sekty. Inscenizacja jest najczęstszym z elementów teatrum zbrodni, odkąd ludzie siedzą w sieci. Internet bezpowrotnie zmienił postrzeganie kryminalistyki przez laików – włączył się wojowniczo Hubert. – W historii bywali sprawcy, którym przyświecał rodzaj misji. Wypaczonej, fakt. Po zatrzymaniu okazywało się, że przestępca cierpiał na zaburzenia psychiczne. Natomiast w jego mniemaniu działalność była spójna i uzasadniona. Garbarczyk miał problemy z głową i był hospitalizowany. Może to u nich rodzinne? A jeśli sprawa jest prostsza, niż nam się wydaje?

– Za dużo tych „może”. – Matuszak uciął dyskusję i odszedł na odległość kilku kroków, by rozmówić się z szefem techników. Krzyknął do profilerów lekceważąco, jakby się z nimi żegnał: – Dokończymy dzisiejszą jałową robotę i przegadamy to na komendzie. My trzymamy się starych tropów, a wy możecie szukać początku. Droga wolna.

\* \* \*

– Wyłączył nas? – szepnęło do Huberta zszokowany Kaczmarek, kiedy zostali sami. – To moja wina. Wróciłem z Niemiec olśniony. Nagle zrozumiałem, że to wszystko nie zaczyna się od zaginięcia Garbarczyków, ale znacznie wcześniej. – Spojrzał na zwierzchnika, by potwierdził jego słowa lub go zrugał.

Meyer milczał.

– Wątpliwości to fundament naszej pracy – odezwał się po namyśle. – Każde „może” w analizie podlega weryfikacji, dlatego nie bój się iść po bandzie. Żeby ocenić to, co jest prawdopodobne, musisz najpierw wiedzieć, co jest prawdą. Innej drogi nie ma. Stawiasz hipotezę, sprawdzasz przesłanki i wyklucasz. Eliminujesz. Wyrzucasz. To, co zostanie, zwykle okazuje się prawdą. Najczęściej nie jest ona tak spektakularna, jak wydaje się na pierwszy rzut oka. Trudno to pojąć detektywom nawykłym do pościgu. Zrozum ich, akceptuj błuzgi, plwociny i poniżenia. WERA, rozumiesz? Weryfikacja Eliminacja Rozkład Analiza. Jestem z siebie dumny, że próbujesz. Nie nauczysz się profilowania zza biurka.

Wyciągnął ramię i poklepał chłopaka po ojcowsku. Kaczmarek oniemiał. Nie spodziewał się takiego uznania ze strony burkliwego szefa.

– Oto stajesz się prawdziwym ekspertem, Grzesiu – kontynuował Meyer. – Takich kozich rogów w zawodzie będziesz miał jeszcze tryliard. Łykać upokorzenia, bo to twój chleb powszedni. Nikt nam nie wierzy, kiedy wywalamy ich z kapci, ale tego właśnie potrzebują. – Zawahał się, dorzucił: – A czasami musisz schować honor do kieszeni i udać, że zgadzasz się z ich takim myśleniem. Oni prowadzą śledztwa, my tylko służymy. To kurewsko trudne dla takich niezależnych typów jak my. Ale kiedy rozwiążesz problem, doznasz tak zajebistej satysfakcji, że będziesz chciał jeszcze. To uzależnia. Dlatego wybac, odrobina lodów i wazeliny nie zawadzi. Stawka jest zbyt duża, żeby ją przegrać. Potrzebujemy zaufania Matuszaka. A on potrzebuje sprawdzonych tropów. Czasami musimy być jak żona, która kręci głową. Przykro mi.

Puścił oko i ruszył do Matuszaka. Pacnął go w ramię z szerokim jak banan uśmiechem. Grzesiek jeszcze nigdy nie widział Meyera w takiej formie.

– Mój najlepszy uczeń. – Wskazał młodego profilera. – Od początku ci mówię, że czai się na mój stół.

– Jak anihilujesz Żyrafę, będę na ciebie głosował, młody – odparł już spokojniej Matuszak.

Kaczmarek zmarszczył się. Z trudem adaptował się do nowych zasad gry.

– Mamy kobietę w zespole – wyjaśnił Meyer. – Zakończyła strajk, udobruchała ministra, uwiodła dziennikarzystę. Dobra jest. Pewnie dlatego irytuje Bodzia.

Grzegorz z trudem powstrzymywał uśmiech. Pojął jednak, że Hubert stara się rozbić atmosferę żartem.

– Podkomisarz Agnieszka Olton – dodał Meyer. – Żeby tylko wkładała dłuższe swetry, bo przez te jej legginsy Szczecinek ma trudności z koncentracją. A jeśli chodzi o dłonie Izaaka, Niemcy wysłąkta

do końca dnia. Uzupełnimy opinię i weźmiemy pod uwagę twoje wątpliwości, nadkomisarzu. Ty jesteś tu szefem.

Matuszak wrzucił papierosa do kratki kanalizacyjnej. Dał znak profilerom.

– Coś mają – mruknął.

Uznali to za przełamanie lodów. Ruszyli.

– Szefie! – Podbiegł do nich rozdygotany sierżant Szałaj.

– Widzę, że i u ciebie nastąpiło ocieplenie stosunków – burknął Meyer, ale Matuszak był skupiony. Nie szarpał nawet kuczka.

– Jest kokon – wydukał sierżant. – Folia, kołdra, koraliki. I łysy kot do kompletu. Pełen zestaw! – Pokazał w komórce wizerunek Izaaka Haselhofa. – To poszukiwany ze zdjęcia.

Meyer wymienił spojrzenia z Kaczmakiem.

– Skazaliście miejsce zbrodni! – wściekł się Matuszak. – Ściągajcie Bożyłowa. Czeka na sygnał. Będzie w dziesięć minut.

– Musieliśmy otworzyć opakowanie. – Sierżant Szałaj tłumaczył szybko, rwanymi zdaniem. Ledwie łapał dech. – Kiedy go odkopaliśmy, ruszył się. Zaczął jęczeć. Ma odrąbane w przegubach dłonie, ale wciąż żyje.

\* \* \*

– Kiedy będziemy mogli go przesłuchać?

Matuszak zerwał się z krzeselka na widok lekarza, który wyszedł z sali operacyjnej. Wciąż miał na sobie fartuch, czepkę i maskę na twarzy. Dwie pielęgniarki pomagały mu się rozbierać. Dopiero kiedy odsłoniły twarz doktora, widać było, jaki jest zmęczony. Mimo tego zatrzymał się, by pomówić z policjantami.

Kiedy Matuszak się anonsował, doktor przyglądał się drugiemu ze śledczych, który wciąż siedział na krzeselku dla oczekujących z telefonem w dłoni. Na ekranie jego komórki wyświetlał się jakiś film bez dźwięku.

– Inspektor Hubert Meyer, Komenda Główna – przedstawił się ubrany na czarno mężczyzna w jego wieku, w czarnych okularach i ze szpakowatym zarostem. – To bardzo ważne, doktorze. Jeśli jest jakakolwiek szansa, będziemy czekali.

– Pacjent jest w śpiączce farmakologicznej – zaczął lekarz. – Rokowania są niepewne.

– Przeżyje?

Nieznaczne wzruszenie ramionami, a potem kręcenie głową.

– Jak już zapewne wiecie, zażył sporą dawkę botuliny. I bez etanolu jej działanie jest śmiertelne. Ma popalone narządy wewnętrzne. Po siedmiu godzinach pracy nie znaleźliśmy metra jelita cienkiego w całości. Szybcie przypominało sztywnienie. Zrobiliśmy, co w naszej mocy. – Zawahał się. – Jeśli chodzi o płuca, to cud, że pacjent wciąż sam oddycha. Zaawansowany nowotwór. Ostatnie stadium. Właściwie nie wiem, jak to się stało, że przetrwał w tym kokonie. Izolacja, że tak to roboczo nazwę, została wykonana precyzyjnie. Może to sprawiło, że powstał substytut respiratora? Pierwszy raz spotykam się z takim przypadkiem. Ten człowiek zawdzięcza wam życie. Jeszcze godzina, dwie w tej folii, a potrzebny byłby anatomopatolog, nie chirurg. Ale i tak nie wiemy, jak będzie dalej. Choć cuda się zdarzają, tutaj bym na nie nie liczył.

– Dziękujemy, doktorze – wychrypiął Meyer.

– Pozwól pan, że postawimy człowieka przy wejściu do sali i będziemy obserwowali oddział? – zapytał szef dochodzenia, choć było to raczej informacją dla ordynatora. – W razie gdyby sytuacja się zmieniła, chcemy zadać mu kilka pytań. Z pewnością jedno kluczowe. – Urwał.

Lekarz zgodził się w milczeniu. Widzieli, że jedyne, o czym marzy, to odejść do swojego gabinetu i zdrzemnąć się choć godzinę. Albo wrócić do domu. Do rodziny, dzieci. Dla nich nie istniało nic takiego jak dom. Obaj zamierzali wziąć się do jeszcze cięższej roboty.

– Dłonie odcięto mu nie później niż tydzień temu – rzekł na odchodne doktor. – Domyślam się, że to panów zainteresuje.

Matuszak z Meyerem wymienili spojrzenia.

– Ten, kto mu to zrobił, posługiwał się maczetą, tasakiem. Narzędziem tego rodzaju. Jedno cięcie. Klinga była dobrze naostrzona i zdezynfekowana. Opatrunki zmieniano codziennie. Nie ma zakażenia, ropni, gangreny. Nic z tych rzeczy. Po amputacji opalono kikuty żywym ogniem. Mam nadzieję, że te informacje do czegoś się przydadzą.

– Czy pacjent mógł wykonać sobie ten zabieg samodzielnie? – spytał Matuszak.

Lekarz spojrział na niego jak na wariata.

– Wykluczone. Cięcie jest precyzyjne, po ścięgnach. Osoba, która to robiła, znała się na rzeczy. Śmiem twierdzić, że to nie był jej pierwszy raz. Widziałem coś takiego kiedyś, bardzo dawno temu, na stażu wojskowym. Byliśmy w Iraku. Zmuszony byłem wykonać kilka takich amputacji. To było jedyne wyjście, żeby uratować życie pacjenta. I wiem, że to nie jest łatwe. Z przyczyn emocjonalnych też, ale przede wszystkim technicznych. Taki cios wymaga siły, pewności i precyzji. Mówiąc kolokwialnie, im więcej ucinają panowie kończyn, tym mniej bólu zadaje się pacjentom.

– Uważa pan, że zrobiono to bez znieczulenia?

– Tego nie wiem. My stosowaliśmy środki przeciwbólowe, alkohol, a kiedy ich brakło, drewnianka wsuwane między zęby. Trzymało się delikwenta w kilka osób, a człowiek z maczetą ciął. Sprawdzimy, co wasz pacjent miał we krwi, ale nie sądzę, by wynik był miarodajny. Chyba że dłonie odcięto mu zaraz po tym, jak upojono go skażonym trucizną etanolem. W co wątpię, bo nie dożyłby dzisiejszego dnia.

– Ile kończyn w życiu pan odciął? – zainteresował się Hubert.

– Cztery – odparł doktor. – Dwie nogi i dwie ręce. O cztery za dużo. Za żadne pieniądze nie wrócę na tamto stanowisko. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę musiał to jeszcze oglądać.

– Więc możemy postawić naszego człowieka? – upewnił się Matuszak i skinął na sierżanta Szałaja, który czekał za drzwiami OIOM-u.

– Niech ma na sobie wyjąłową odzież, w rękę coś do pisania i będzie anielsko cierpliwy – polecił doktor. – Wiara w cuda nie zaszkodzi. Nie zostawiam wam złudzeń. Jeśli w tej chwili wyprowadzilibyśmy pacjenta ze śpiączki, zgon nastąpiłby w straszliwych cierpieniach. Gdyby obudził się naturalnie, spotka go ten sam los. Nie wiemy, w jakim stanie będzie jego psychika, ale za jakiś czas, może kiedyś, gdy stan ogólny się unormuje i nie przyjdzie sepsa, może być w stanie mówić. Szansa, że poda nazwisko dręczyciela, jest kilkuprocentowa. – Zawahał się. – Bo takie pytanie chcecie mu zadać? Kto go tak urządził?

– Nie inaczej – potwierdził Matuszak.

– Więc dowiedzcie się tego szybko – oświadczył chirurg. – Interesuje mnie to osobiście. Mieszkałem kiedyś na Sołaczu. To była miła okolica.

– Przy jakiej ulicy? – wtrącił się Meyer.

– Hałna siedemnaście.

Odszedł bez pożegnania, a za nim podreptały pielęgniarki.

\* \* \*

Czarna folia rozchyła się niczym poły grubego płaszcza z podpinką. Nożyce idą równo. Obraz drży. Kiedy ostrze napotyka powłoczkę w różowe kwiatki, następuje eksplozja puchu. Małe, delikatne piórka wydostają się na wolność i całkowicie wypełniają ekran. Z tego kłębowiska wynurzają się dwie pary rąk w lateksowych rękawicach, jakby szły im na pomoc. Rozdzierają kokon. Rozgarniają warstwy puchu, folii, fizeliny i tkanin na boki. Na wyświetlaczu widać woskową twarz brodatego starca. Zarost jest szpakowaty. Więcej w nim białego niż szarego. Tylko gdzieś czarne włosy, jakby pedantyczny barber godzinami trefił owłosienie mężczyzny i dopasowywał je do tego, które spływało długimi pasmami z czubka głowy. Brwi i rzęsy zapakowanego w kokon człowieka również są podkolorowane.

Jego policzki muśnięto różem. Usta pociągnięto karminową szminką. Z szyi zwisa mu kilka rzędów czerwonych paciorków.

Koszula bardziej przypomina galabiję niż zachodnie ubranie do trumny. Biała, lecz bogato haftowana, upinana złotymi sprzączkami. Długie rękawy zasłaniają kikuty rąk. Na filmie nie widać, że Izaak Haselhof ma ucięte dłonie. Gdyby odszedł, jego pośmiertna maska przywodziłaby na myśl egipskich włodarzy, faraonów, wodzów indiańskich, których składano do kopców, piramid i grobowców z największymi honorami.

Spomiędzy warstw kołdry i folii wyziera ją kosztowności założone na przedramiona. Złota i srebrna biżuteria. Paciorki. Wstążki z przymocowanymi do nich małymi karteczkami. To wszystko wysypuje się z kokonu, kiedy ratownicy starają się robić mężczyźnie sztuczne oddychanie, wydostać go z opakowania i ułożyć na boku, by oddychał samodzielnie. Ich działania długo pozostają nieskuteczne. Ofiara jest nieruchoma. Zdaje się martwa. Nagle mężczyzna krzywi się, jęczy rozdzierająco. Kikuty rąk wynurzają się z kokonu, jakby pochowany człowiek pragnął wydostać się z grobu na powierzchnię.

Dalej widać jedynie plecy, ramiona, dłonie i spadającą czapkę od munduru policjanta, który stara się powstrzymać niedoszłą ofiarę, by nie uczyniła sobie sama większej krzywdy.

Obraz się oddala.

Widać, jak mundurowi kładą człowieka na nosze. Ktoś wraca, dorzuca kokon. Razem z folią, kołdrą, piórami i całym tym opakowaniem. Kiedy go niosą, wszystkie niepotrzebne drobiazgi, śmieci – spadają na chodnik. Rozsypują się po ścieżce, po trawniku, zostają na noszach.

Ekran jest już całkiem czarny, jakby komórkę schowano do kieszeni, ale jej nie wyłączono. Słychać, jak Matuszak krzyczy: „Nie opierdajaj się, Szalaj! Później będziesz ryzygał! Kurwa, skaziłeś mi miejsce zdarzenia. No już, za kółko! Jak pogotowie zaraz nie dojedzie, zawiozę go osobiście”.

Syrena policyjna, dźwięk nadjeżdżającej karetki.

A potem nagle wszystko cichnie. Na tym film się kończy.

\* \* \*

Hubert z Matuszakiem i Kaczmakiem odtwarzali nagranie w nieskończoność. To było wszystko, co zostało im z oględzin. Ponieważ priorytetem było ratowanie życia ofiary, nastąpiła kontaminacja. Horror dla techników. Wyłuskanie z tego bajzla śladów sprawcy zdawało się niemożliwe. W miejscu odkrycia ciała byli ratownicy medyczni, kilkunastu funkcjonariuszy, a do prowadzących dochodzenie dojechali zwierzchnicy z komendy wojewódzkiej. Zabezpieczone dowody nie miały wartości procesowej. Mimo to Matuszak nakazał technikom wybieranie każdego elementu futerału pośmiertnego Haselhofa.

– Jak to się ma do waszej opinii? – odezwał się po długiej pauzie.

Zgarbił się i zerkał nieufnie na zamknięty pokój, z którego dobiegał jazgot teleturnieju. Babcia Kaczmarek była przygłucha, ale robiła wyśmienity keks, którym ich uraczyła, jak tylko młody profiler pojawił się z gośćmi. Grzesiek z oszczędności nie wziął hotelu razem z Meyerem. Twierdził, że w swoim kawalerskim pokoju na Jeźcach lepiej mu się pracuje. Do Ilonn Boutique Limanowskiego, gdzie zakwaterował się Hubert, miał kilka minut drogi na piechotę.

– Nadal podtrzymujecie, że mamy do czynienia z intrygą Klary Haselhof i księdza Morawskiego?

Profilerzy milczeli. Kaczmarek wpatrywał się w tablicę, na której odtworzył swój diagram opracowany w Berlinie. Zamiast nazwisk przymocował doń zdjęcia podejrzanych. Wątki i połączenia oznaczył kolorowymi nitkami. W centralnym punkcie znajdował się wizerunek Haselhofa, obok jego była żona Klara z siódmką córek. Czerwona nitka prowadziła od niej prosto do brata, Gustawa Garbarczyka, i jego przyjaciela Jacka Morawskiego. Ksiądz Grzesiek połączył bezpośrednio z ojcem Strusiem. Klara dodatkowo została powiązana z domem Garbarczyka, czterema ofiarami zakopanymi w piwnicy i pięcioma pustymi domami na Sołaczcu. Kolejna nitka, w kolorze zielonym, wiodła od Klary wprost do adwokata Andreasa Klugego. On też miał liczne wspólne nitki z Haselhofem i jedną z Gustawem Garbarczykiem.

– A gdybyśmy na chwilę zajęli się tym, czego nie widać? – zaproponował Meyer.

– Ja w tych waszych nitkach i zapiskach nie widzę niczego pożytecznego – warknął Matuszak. – Mam jeszcze tylko godzinę, więc pośpieszcie się, bo muszę rozdzielić zadania. Czekam na sprawdzanie kart kredytowych, lotnisk, przejść granicznych, bramek na autostradach i monitoringu miejskiego na okoliczność zaginionych czterdziestu osób na Sołaczcu. Angażuję do tej roboty cały wydział i będziemy działać po mojemu: rozpoznawanie operacyjne i wywiadowcze. Nie zmarnuję już ani minuty na dedukcyjne zabawy. Chcę mieć jak najwięcej danych przed przesłuchaniem niedosłej wdowy, bo znalezienie kokonu Haselhofa daje mi podstawę do jej wezwania i zatrzymania. Powinniście być dumni, chociaż to nie wasza zasługa. Sprawca w dalszym ciągu jest o kilka kroków przed nami. I bynajmniej nie chcę słuchać waszych opinii w sprawach taktyk – zastrzegł. – Sam to załatwię. Nie ważcie się zbliżać do księdza Morawskiego!

Spojrzał znacząco na Huberta, który mówił dalej zrelaksowany, jakby ostre słowa nie padły.

– Nie ma Marysi, żony Gustawa, jego dzieci. Nie ma mieszkańców pięciu willi. Gdzie są ci ludzie?

– Gdybym wiedział, nie siedziałbym tu z założonymi rękoma.

– Do dzisiejszego ranka nie było też Izaaka – zauważył Hubert. – Ale się znalazł. Jego kokon ujawniono na działce graniczącej z domem Garbarczyków. Z tego domu siedem lat temu zniknęli wszyscy mieszkańcy. Klara nie pojawiała się tutaj dokładnie siedem lat. Kiedy wróciła, znaleźliśmy ciała. Wiemy, że ojciec Struś brał podobno udział w ukrywaniu Marii i jej dzieci.

– Nie wiemy tego na pewno i nie znamy lokalizacji ich kryjówki. Nie wiemy, czy żyją! – zirytował się Matuszak. – I nie powtarzaj mi tego samego w kółko, bo nie jestem głuchoniemy! Słyszę i rozumiem wszystko! Wnioski!

Hubert odwrócił się do tablicy. Zaczął pisać, jednocześnie tłumaczyć:

– Scenariusz pierwszy. Garbarczyk jest bankrutem. Zwraca się do szwagra Haselhofa vel Kischkego o pożyczkę i dostaje ją. Liczy, że odda pieniądze po śmierci ojca, ale ku jego zdziwieniu dom i majątek dziedziczy siostra. On dostaje rewolwer. Dom rodziców to jedyny majątek, który należy tylko do Klary. Kobieta zachowuje tę wiedzę dla siebie. Nie informuje męża. Być może przewiduje, że to jej polisa na gorsze czasy. Nadchodzą już po kilku latach. Gustaw nie może oddać pożyczki szwagrowi, więc zgadza się na współpracę z jego niby-sektą. Ta organizacja to rodzaj zakamuflowanej piramidy finansowej. Przejmują majątki wiernych w zamian za „nowe, wspaniałe życie”.

– I uważasz, że Gustaw nie podzieliłby się ze szwagrem swoim żalem, że Klara dostała dom, a on nic? – zaoponował Matuszak. – To się kupy nie trzyma. Od razu by to wyciągnął, żeby nie oddawać pożyczki. Jeśli w ogóle takowa była.

– Nie. – Meyer pokręcił głową. – Nie powiedziała by nic wierzycielowi, gdyby Klara obiecała, że Garbarczykowie mogą tam mieszkać, ile chcą. Zataiły to. To byłaby jego pierwsza unia z siostrą. A mamy podstawę przypuszczać, że Klara tak właśnie zrobiła.

– Przecież nie rozmawiali.

– Zapytaj ją o to. Kaczmarkowi przypuściła, że złożyła taką obietnicę Marii.

– Nie omieszkać tego sprawdzić – burknął Matuszak, ale w dalszym ciągu był zainteresowany wywoływaniem jedynie minimalnie. – Co dalej?

Hubert nie dał się zignorować.

– Już raz skłamała, że nie widziała brata przez siedem lat. Masz nagranie Grzeška. Jest skasowane z systemu, ale jeśli ta kobieta dostanie zarzuty, może to być okoliczność obciążająca. Kryje brata. Kogo jeszcze kryje? Dlaczego? Co z tego ma?

– Nie ucz mnie, jak prowadzić przesłuchanie – obruszył się Matuszak. – Do rzeczy!

Hubert westchnął, ale ze spokojem kontynuował przerwany wątek.

– Gustaw werbuje sąsiadów do piramidy. Obiecuje im zysk, jeśli przepiszą na Haselhofa swoje domy. Wszyscy już wcześniej mieli gargantuiczne długi. Na domach im nie zależy, bo wzięli kasę z banków. Nie są w stanie jej oddać, a nadal mogą mieszkać u siebie. Haselhof jest w Berlinie, piramidą zarządza Gustaw. Trzeba wziąć pod uwagę, że żona o wszystkim wiedziała. Pytanie, czy wiedziała Klara. Uważam, że tak. Tutaj warto ją przycisnąć.

– Przecież to miała być sekta. Skąd nagle wzięłeś piramidę? – wzburzył się znów Matuszak.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Może używali odnowy duchowej jako legendy do namówienia dłużników, by weszli w ten szemrany biznes – stwierdził Hubert. – Ci wszyscy ludzie, jak i Gucio, pozostają w swoich posiadłościach. To rodzaj pożyczki. Haselhof, mając akty własności, bierze w niemieckich bankach kolejne kredyty, a za zgromadzoną gotówkę kupuje kolejne nieruchomości i samochody dla uczestników piramidy. Sprawa się komplikuje, kiedy żona Garbarczyka orientuje się, w co wpakował się jej mąż, i tym razem ma dosyć.

– To tylko założenie – uściślił Matuszak. – Materiał tego nie potwierdza.

– Tak jest. To hipoteza. – Meyer skinął głową. – W każdym razie Maria udaje się do księdza Morawskiego, a ten odsyła ją do ojca Strusia, by pomógł jej sfingować ucieczkę. Zakonnik w dobrej wierze ukrywa rodzinę w najmniej, jego zdaniem, niebezpiecznej sekcje, nad którą ma kontrolę. Nie wie jednak, że Helmut Kischke to Izaak Haselhof. Kółko się zamyka.

Meyer zatrzymał się. Przyjrzał się temu, co napisał. W pokoju jakiś czas panowała cisza. Przerwał ją gromki śmiech Matuszaka.

– No, niezłe tę bajeczkę obmyśliłeś. Tylko że ona nie ma sensu. Jakim sposobem Struś miałby nie wiedzieć o drugiej tożsamości Haselhofa?

– Mnie mówił, że Kischkego nigdy nie spotkał – zapewnił Meyer.

– Mógł skłamać.

– Owszem – zgodził się Hubert. – Ale po co? To by oznaczało, że sam jest głęboko umoczony.

– Tego już nie sprawdzimy. Gość nie żyje.

– Bardzo bym się zawiódł. Znałem Strusia od lat. To był szczególnie oddany misjonarz. A przed laty w jego stowarzyszeniu pracowało minimum dziesięciu wolontariuszy. Sam Struś wszystkiego osobiście nie sprawdzał. Reinkarnacja za Życia to była malutka, nic nieznacząca sekta. Nie żadne Niebo czy inne Wrota Nadziei, o których było głośno.

– To nadal nie wyjaśnia, skąd tyle trupów na Sołaczu – powiedział Matuszak. – Jeśli to Haselhof zamordował kobietę i czwórkę dzieci, kto niby zajął się nim samym?

Na to Hubert nie miał odpowiedzi.

– Ksiądz Morawski? – strzelił nadkomisarz. – Z powodów religijnych? Żona oszusta, by się od niego uwolnić?

– Nie sądzę. – Meyer kręcił głową. – Klara była w tym czasie w Berlinie. Ma twarde alibi.

– Może ma współnika? Na przykład księdza – zasugerował Matuszak. – Jego sygnet znajdował się na dłoni Haselhofa. Zresztą, co ja w ogóle gadam? Nawet nie mamy pewności, że tych dwoje się znało. Dość mam tych kalamburów!

– Klara i Jacek znali się z pewnością – wtrącił się Kaczmarek. – To on zapoznał młodszą siostrę przyjaciela z przyszłym mężem, wtedy jeszcze Kiszka. Pytanie, czy przez te wszystkie lata Klara i Jacek utrzymywali kontakt. Morawski przewija się w sprawie od początku. Dlaczego pojawił się w klasztorze? Skąd miał forsę na taki motocykl? Co robił w noc zabójstwa na Sołacz? Nigdy nie został oficjalnie przesłuchany.

Matuszak rozciągał sobie skórę na twarzy.

– To był błąd – przyznał. – Teraz to się zmieni. Dajcie mi coś nowego. Coś, czego jeszcze nie wiem. Nowe otwarcie. Bo głowa mi paruje od tego kręcenia się w kółko.

– Doktor z oddziału, na którym leży Izaak – wyszeptał nagle Hubert.

– Że niby ordynator morduje? – Matuszak był już zniechęcony. – Porąbało cię.

– Nie mówię, że to morderca – zastrzegł Hubert. – Ale facet mieszkał na Halnej siedemnaście. Zna ludzi z opuszczonych domów. Weź go na warsztat. Niech powie, skąd sąsiedzi mieli takie długi i dlaczego stracił swoją posiadłość.

– Zgodnie z twoją radą pokazałem całej Polsce zdjęcia kobiety i dzieci zawiniętych w kokony i pochowanych w piwnicy Garbarczyków – przypomniał z wyrzutem Matuszak. – Nikt ich nie

rozpoznał. Setki ślepych tropów. Teraz chcesz, żebym deprecjonował szanowanego lekarza? Puknij się w głowę albo upij wreszcie porządnie. Może system ci się zresetuje – kwękał.

– Ten człowiek cały czas siedzi w szpitalu – nie odpuszczał Meyer. – Może nie widział komunikatów?

– Mieszkając kiedyś na Halnej? Nie sądzę, by to mu umknęło.

– Porozmawiajmy z nim – upierał się Hubert.

– A rozmawiajcie. – Matuszak machnął ręką. – Bawcie się, skoro macie środki i czas. Dopóki nie traficie na coś sensownego, nie zavrcajcie mi dupy.

Wyszedł, po drodze zrywając z tablicy wszystkie kolorowe nitki.

\* \* \*

Hubert spojrział na Kaczmarka.

– A ty co o tym myślisz?

Młody profiler wzruszył ramionami.

– Sam już nie wiem – zaczął, zawahał się, a potem dokończył z animuszem: – Kiedy rozmawiałem z adwokatem Klary, powiedział, że zwolnienie z sądu dla Haselhofa wystawiał polski lekarz. Mieszkaniec Halnej. Ich człowiek. Też darował Izaakowi swój dom.

Hubert zdjął okulary, przyjrzał się Grzegorzowi.

– Możesz zdobyć jego nazwisko, numer pieczętki, nazwę kliniki, w której pracuje? Najlepiej na już?

– Bez nakazu? – Grzesiek spojrział spod oka. – Wątpię. Sąd nie wyda nam tego dokumentu.

– Może Kluge coś wskóra?

– Nienawidzi mnie szczególnie. Jest zazdrosny o Klarę.

– Może powinniśmy to wykorzystać?

– Niby jak?

– Kobieta za kilka godzin przyjeżdża na przesłuchanie do Matuszaka.

– Nie wolno nam się zbliżać do lustra weneckiego. Bodzio jest cięty za tę opinię typologiczną. W jakimś stopniu go rozumiem. Gada, że spowolniliśmy dochodzenie, ale tak naprawdę boi się, że nigdy tego nie wykryje.

– Może mieć rację – przyznał Hubert. – Za dużo czasu minęło, a sprawca jest przebiegły. Sam jestem w kropce. Pełnimy jakiś oczywisty błąd. Kręcimy się w kółko. Czuję się tak, jakbym wciąż był na zewnątrz. Trzeba pójść pod prąd. Zmienić radykalnie kierunek.

– To twój drugi scenariusz? – dopytał Grzegorz. – Bodzio nie dał ci dokończyć.

– Mój błąd, że włączyłem go w naszą burzę mózgów. Detektyw powinien dostać konkluzję. I tutaj Matuszak ma rację. Może błędzimy, ale ja cały czas nie kupuję tej sekty. Niepotrzebnie też wspominałem o lekarzu. To był przebłysk intuicji. Nie przemyślałem tego. Starzeję się.

– Uważasz, że to jedna osoba?

Hubert z wahaniem pokiwał głową.

– To był mój trzeci scenariusz. Motyw: spektakularna zemsta.

Kaczmarek gładko wszedł w temat.

– Lekarz wie, jak działają trucizny. Ile czasu trzeba, żeby udusić ofiarę. Jak odciąć dłonie w przegubach.

– Ten konkretny lekarz? Z pewnością – potwierdził z przekąsem Meyer.

– Mieszkał na Halnej – powtórzył Grzegorz. – I już nie mieszka. Zna teren, jego mieszkańców, a oni kochają jego. Może stracił ten dom przez Haselhofa? Nie ma mowy, żeby nie wiedział o zniknięciu Garbarczyków. A jeśli sam złożył do grobu bezimienną kobietę i dzieci, nigdy nie przyzna, że ich rozpoznaje.

Hubert długo zastanawiał się nad słowami Kaczmarka.

– Nie możemy wysunąć takiej hipotezy, dopóki nie zdobędziesz tej pieczętki na zwolnieniu – skwitował. – Przydałoby się też coś ekstra. Jakiś nokautujący trop, za którym Matuszak będzie mógł pójść.

– Myślisz, że to jest możliwe? – przeraził się Grzesiek. – To szanowany lekarz. Ordynator szpitala. Człowiek ratujący na co dzień życie.

– Nie wiemy, co było tym ludziami. Może ratował ich przed cierpieniem? Są różne zaburzenia. Matki cierpią na zastępczy syndrom barona Münchhausena, a lekarze z misją, a zwłaszcza po misjach, mogą mieć swoje nieprzepracowane wizje. Sprawca jest zorganizowany, przebiegły i jak widać, efektywnie przeprowadza swój plan.

– Jaki to plan?

Hubert wzruszył ramionami.

– Popisówka. Kiedy występuje taki natłok symboli, misja zmienia się w obsesję. On gra. Sprawca jest powiązany z ofiarami w jakikolwiek sposób. Stara sprawa Garbarczyków to jedno i trzeba nad nią pracować, ale ten, kto pakuje ludzi w kokony, to misjonarz.

– Czego tak naprawdę chce?

– Sprawiedliwości.

– Za co ukarał kobiety i dzieci?

– Rzecz w tym, że nie rozumiemy jego języka. Myślimy naszymi skryptami, jak w naszej kulturze interpretowane są rytuały pochówku, a te koty i koraliki to rodzaj metafory. Co w jego mapie mentalnej symbolizują? Nie wiemy. Trzeba zrobić wszystko, by założyć jego okulary, wejść w jego buty. Dopiero wtedy odczytamy prawidłowo przekaz i być może zaczniemy się z nim porozumiewać. A przynajmniej ujawnimy motyw.

– Uważasz, że to wariat? – Grzesiek nie miał śmiałości dokończyć. – Anioł śmierci?

– Gdzieś już to słyszałem. – Hubert spojrział na młodego profilerka zaskoczony. – Marcinek, ten mały mnich, zwrócił się tak do mnie, kiedy zginął Struś. To ciekawe, bo zawsze uważałem, że ta persona przynależy raczej do wierzeń pogańskich. Oczywiście inaczej się nazywa.

– Anioł śmierci często występuje w Starym Testamencie i nie chodzi o Lucyfera. To zbrojne ramię Boga. Pełni funkcję posłańca – odpowiedział Grzesiek. – I co w związku z tym? Podejrzewasz małego zakonnik? On nawet własnego kokonu by nie dźwignął. A co dopiero wielkiego Haselhofa. Żeby wyczyścić lichtarz, wspina się na kryptę.

– Właśnie – podjął tajemniczo Hubert. – To, że ksiądz Morawski pojawił się w katedrze, budziło nasze wątpliwości. Ale dlaczego był tam mały zakonnik?

– To przecież tamtejszy szpicel – prychnął Grzegorz. – W każdej zamkniętej społeczności znajdzie się ktoś, kto zbiera wszystkie plotki.

– Może więc wiedział, że do tego spotkania dojdzie, i nie powiedział nam jeszcze wszystkiego.

– Chcesz, spotkam się z Marcinkiem – zaproponował Kaczmarek. – Odnoszę wrażenie, że ciebie się trochę boi.

– Nie. – Meyer pokręcił głową. – On jest waleczny jak małe lwiątko. Lęka się jedynie, że na jaw wyjdzie coś, czego wiedzieć nie powinien. Zdobył te dane nielegalnie. Szpiegując, podsłuchując, kłamiąc. I głowi się teraz, co z tą wiedzą zrobić. – Zawahał się. Milczał dłuższą chwilę. – Zdobądź nazwisko lekarza, który wystawił zwolnienie dla Haselhofa, a ja zaatakuję Boziłowa. Dowiem się, czy matka z dziećmi była zdrowa. Muszę teraz zostać sam.

Grzesiek wstał. W kilku ruchach naprawił mapę, którą zniszczył Matuszak. Skierował się do wyjścia.

– Jak będziesz miał tę informację – zatrzymał go w drzwiach Hubert – włącz do mojego pokoju w każdej chwili. Uprowadzę kobietę z recepcji. Cokolwiek ustalisz, trzeba z tym doktorem pogadać. Zrobimy to sami.



Bożiłow nie odbierał, więc Hubert zostawił mu wiadomość na skrzynce, a sam usiadł przed laptopem. Otworzył czysty plik i wpatrywał się weń przez dobry kwadrans. Po kompromitacji z intrygą rodzinną nie miał odwagi napisać ani słowa. Wreszcie wszedł do WERY, zalogował się i wpisał w wyszukiwarkę „kokon”, „koraliki”, „trucizna”, „uduszenie”. Nie znalazł ani jednego przypadku. Zaklął pod nosem, bo to znaczyło, że system nie działał tak, jak powinien. Zdecydował się zawęzić poszukiwania. Na hasło „trucizna” wyskoczyło mu siedem tysięcy wyników. „Uduszenie” było jeszcze szersze. Zastanowił się i dodał: „rozszerzone samobójstwo”, „dewocjonalia”, „trucizna”. Czterdzieści zdarzeń. Spoczął wyrzut adrenaliny i wchodził kolejno w dane każdego z nich. Po przejrzaniu podstawowych akt pierwszych trzech wiedział już, że wyszukiwanie jest nieprecyzyjne. Dodał: „ukrywanie zwłok”. Trzy wyniki. Druga sprawa pochodziła z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Nigdy nie została rozwiązana.

Ciała sześciuosobowej rodziny z Gorlic znalazł w podpiwniczeniu domu. Były opakowane w kołdry i szczelnie owinięte wojskowym brezentem. Całość zamocowano kablami telekomunikacyjnymi. Kokony na zdjęciach były mało wyraźne. Przypominały wielkie wrzeciona. Nic więcej nie dało się odcyfrować z kiepskiej jakości skanu starej gazety. Musi obsztorcować swoich ludzi, by lepiej dobierali obrazki. Z dokumentów dostępnych do sprawy wynikało, że między warstwy puchowych kołder i brezentu włożono krzyżyki i różańce. Za przyczynę zgonu uznano samobójstwo. Ojciec rodziny podał dzieciom i żonie ług sodowy, który popito alkoholem. O pochówek ciał zmarłych podejrzewano brata głowy rodziny, który przez ponad sześć miesięcy pobierał emeryturę brata i bratowej, a kiedy milicja zaczęła się nim interesować, zniknął bez śladu. Nie został postawiony w stan oskarżenia. Nigdy też nie znaleziono jego ciała. Nie ustalono, czy rozszerzone samobójstwo było inscenizacją, czy doszło do zbrodni. Sprawa przedawniła się dwadzieścia jeden lat temu.

Hubert czekał, aż załaduje się zdjęcie podejrzanego, ale system działał powoli i nieustannie się wieszał. Profiler klął i parsknął. Natychmiast napisał wiadomość do informatyka w wydziale, by sprawdził przyczynę problemów technicznych. Kiedy czekał na poprawkę, spalił na balkonie pół paczki papierosów i intensywnie wyobrażał sobie, jak mogły wyglądać kokony w ubiegłym stuleciu i o ile trudniej było je wykonać niż dziś. Czuję, że włoski na karku stają mu dęba. Podobieństwo modus operandi w obu zbrodniach było uderzające.

Papierosy się skończyły. Wszedł do pomieszczenia po nową paczkę. Na ekranie wyświetlił się już wizerunek łysiejącego grubaska w mundurze. Musiał zostać zeskanowany z książeczki wojskowej, bo w lewym dolnym rogu był fragment pieczęci urzędowej.

Hubert odchylił się na krześle. Zastanawiał się. Poza MO sprawcy nie było żadnych stycznych z Sołaczem. Do zdarzenia doszło zbyt dawno, by mogły istnieć połączenia emocjonalne. Terytorialnie to zupełnie inny rejon. Sposób opakowania i ukrycia zwłok był jednak identyczny. Być może ten, kto zabijał w Poznaniu, wzorował się na tamtym? I jak dotąd, w równym stopniu, pozostawał bezkarny.

Wylogował się z WERY, sięgnął po płaszcz. Narzucił go na plecy, a potem jeszcze raz siadł do komputera. Wyszukał stronę Instytutu Religioznawstwa w Poznaniu i przeleciał szybko wzrokiem listę nazwisk w każdej z katedr. Wreszcie trafił na to, którego szukał. Wykreślał numer, kiedy rozległo się rozpaczliwe walenie do drzwi. Zerwał się, by otworzyć.

– To on – wydyszał Grzesiek Kaczmarek. – Jest zgodność.

Młody profiler musiał biec całą drogę, bo aż zgiął się wpół, łapiąc dech.

– Nazywa się Zygmunt Cania. Jest ordynatorem tutejszego oddziału chirurgii. Ma też specjalizację z onkologii. Na pieczęcie zwolnienia Haselhofa wszystko jest.

Podsunał Meyerowi pod nos kartkę z zanotowanym nazwiskiem. A potem dołożył drugą. Była to notatka z rozmowy Matuszaka z kobietą, która zgłosiła wprowadzenie dwóch kotów. Jej nazwisko podkreślono markerem: Urszula Cania.

– Może są spokrewnieni? – emocjonował się Kaczmarek. – Kobieta ma w domu obuwie męża w dużym rozmiarze. Pomówiła Garbarczyka, ale czy nie za dużo tych zbiegów okoliczności?

Hubert zmarszczył brwi.

– Zostań tu, odpocznij. Pomyśl nad sprawą i ustaw przebieg wydarzeń. Ja zaraz wracam.

– Nie idziemy po niego? – zdziwił się młody profiler. – O tym tropie jak najszybciej powinien dowiedzieć się Matuszak!

– To jeszcze nie jest trop – tonował Grzegorza Meyer. Oddał kartkę z nazwiskiem lekarza. – Może nitka, która do niego prowadzi, albo i nie. Tym razem nie zrobimy z siebie durniów. Zanim wytoczymy arterię, przygotujmy się na konsekwencje.

\* \* \*

– Ciało nie jest materią wieczną i jeśli nadawanie imienia ma w założeniu powitanie Thetana, to pochówek odgrywa dokładnie odwrotną rolę. Duch jest nieśmiertelny, więc pogrzeb umożliwił Thetanowi wyzwolenie się od przywiązania do materii, energii, przestrzeni i czasu. Kończy cykl życiowy i przygotowuje się do ewentualnego kolejnego wcielenia.

Profesor Maksymilian Moss odwrócił się od tablicy i zmierzył zgromadzonych w sali bacznym spojrzeniem. W uchylonych drzwiach stał wysoki, chudy mężczyzna ubrany jak na pogrzeb. Kto ośmielił się hałasować podczas mojego wykładu? – mówiły zmużone z irytacji oczy profesora. Facet jest za stary na wiecznego studenta i zbyt buńczuczny jak na byłego księdza.

– Wykład właśnie się kończy, eminencjo – zgromił gościa profesor. – Chcesz dostać zaliczenie? Zapraszam do mojego gabinetu w soboty przed dziesiątą.

Sala ryknęła śmiechem. Facet w czerni również się uśmiechnął.

– O śmierci myślę ostatnimi czasy nazbyt często – rzekł niskim wibrującym głosem z przepony. – Zajrzałem na wykład, ponieważ zaprzęta mi głowę zagadka pewnego pochówku. Byłbym zaszczycony, gdyby pan profesor pozwolił mi zostać.

Moss zmarszczył krzaczaste brwi, ale łaskawie skinął głową. Stanął ponownie za katedrą i ryknął, jakby pouczał grzeszników z ambony:

– Śmierć sama w sobie jest ustaniem tworzenia. Jest ostatnim działaniem życia. Pozbywa się przestarzałych i niepożądanych organizmów, aby mogły narodzić się nowe. Jednak do czasu inkarnacji Thetan tak przyzwyczajają się do ciała, że proces eksterioryzacji staje się epizodem uciążliwym i męczącym. Co więcej: po oddzieleniu od ciała Thetan nie pamięta już przeżytego życia. Krótki czas między wcieleniami jest kluczowy dla otrzymania implantu zapomnienia, aby usunąć wszelkie powiązania z jego umarłym ciałem. Sama ceremonia pożegnania jest krótka, a zarazem wzniosła. Każdy może być jej kapłanem. Ryt funeralny zawiera proces zadbania o ciało w taki sposób, żeby kiedy koło jego byłego życia ponownie się obróci, Thetan w przyspieszonym tempie zobaczył obrazki: wspomnienia. A kiedy koło rozpocznie kolejny obrót – nic więcej już tam nie będzie. To idealne, bezbolesne przejście do kolejnego wcielenia.

Profesor zatrzymał się, by ostatnie słowa wybrzmiały właściwie. W sali panowała idealna cisza.

– Wszyscy zapewne byśmy chcieli, by śmierć była takim właśnie uwolnieniem. Większość z nas umieranie przeraża i myślimy tylko o sobie, dlatego przepelnia nas rozpacz. Zostawiam was z tą refleksją. Na egzaminie, jak wspominałem na początku wykładu, tego tematu nie będzie. Bibliografia dla zainteresowanych pisaniem eseju do pobrania w systemie uczelni. Do wtorku.

Rozległ się rwetes. Studenci wstawali z krzeseł, pakowali swoje rzeczy do toreb i tłumnie zmiierzali do drzwi. Profesor Moss wpatrywał się w gościa, który wciąż nie ruszał się ze swojego miejsca. Dopiero kiedy sala opustoszała, chwycił płaszcz z oparcia i podszedł do Mossa.

– Wspaniała mowa – rzekł, pokazując odznakę. – Nazywam się Hubert Meyer. Jestem profilerem w stopniu inspektora. Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci kilku osób. Pojawiają się elementy rytualne w pochówku ofiar. Czy profesor zgodziłby się rzucić okiem? Zastanawiam się, jaki motyw mógł przyświecać osobie, która w taki, a nie inny sposób ukrywała ciała. Nie mamy wątpliwości, że to rodzaj pogrzebu. Dlatego tu jestem. Po pańską wiedzę.

W oczach profesora rozblęśtała ekscytacja. Spojrzyał na zamkniętą teczkę, którą Meyer trzymał pod pachą, lecz nadal milczał.

– Oczywiście zwrócimy się o oficjalną opinię religioznawcy ze stawką biegłego, ale czas ma ogromne znaczenie – dorzucił Hubert. – Są podejrzenia, pojawiły się nowe okoliczności, a sprawca jest

bezkarny. Błądzimy po omacku.

– Jedno mogę panu powiedzieć od razu, bez honorarium – odezwał się wreszcie profesor Moss. – Jeśli chodzi o ofiary z Sołacza, w działaniach sprawcy jest troska. To nie bestialstwo nakazało mu chronić ich ciała. Ten człowiek uważa się za kapłana, ale nie zbawcę. Jest kimś w rodzaju Charona, przewoźnika dusz zmarłych przez Acheront do Hadesu, czyli świata podziemnego.

Hubert otworzył teczkę, wyjął fotografię najmniejszej dziewczynki.

– Zanim ją owinął w kołdrę, folię i zakleił taśmą, upozował ciało jak do trumny. Na powiekach położył jej monety. Wiemy, że były to pięćdziesięciogroszówki. – Pokazał. – Czy przychodzi profesorowi do głowy jakaś grupa religijna, która chowa swoich wiernych w podobny sposób?

Moss obejrzał fotografię, a potem gestem poprosił o kolejne.

– Wszystkie ofiary miały na sobie pomarańczową odzież?

Hubert skinął głową, a po namyśle zaprzeczył.

– Ostatnia, niedoszła ofiara, była w bieli. No i mamy jeszcze zakonnika. W momencie śmierci miał na sobie czarny habit. Jeszcze nie wiemy, jak te sprawy się łączą.

– W chrześcijańskiej kulturze biel symbolizuje czystość i niewinność, ale w Chinach i wielu innych krajach azjatyckich jest kojarzona ze śmiercią. Ludzie wkładają białe ubrania na znak żałoby. Biały kolor symbolizuje również proces uczenia się i edukację. Wiąże się z uczuciem wyobcowania, osamotnienia i zimna. To barwa wyjątkowa także z tej przyczyny, że w kontakcie z wodą staje się przezroczysta. Znika. – Profesor urwał. Przyjrzał się Hubertowi. – Kiedy media zaczęły rozpisywać się o tej sprawie, wykonałem pewną analizę. Posiadłem jednak tylko tyle danych, ile udało się ujawnić mediom. Wiem o kotach, sznurze czerwonych koralu i drzewie wiadomości. Karneol to nie tylko kamień odwagi, ale również szczęścia. Według starożytnych koił lęk przed śmiercią, łagodził negatywne emocje, jak gniew, zapalczywość, okrucieństwo, a także nienawiść. Pozwalał otworzyć się na zmysłowość. Wspomagał leczenie bezpłodności, zwiększał popęd seksualny. Jego kolor to pomarańczowa czerwień. Pomarańczowy to kolor radości, słońca, odrodzenia. Przez niektórych uznawany za infantylny, przynależny dzieciom, ludziom młodym. Sprawca pomagał im odejść, by nie błakali się między światami. Mnisi buddyjscy noszą pomarańczowe szaty. Na pomarańczowo ubierali się wyznawcy Bhagwana Shree Rajneesha, bardziej znanego jako Osho. Muszę jednak pana uprzedzić, że wskazane przez pana elementy nie wyczerpują żadnej ze znanych mi doktryn religijnych. Ktoś wybrał z różnych wierzeń to, co mu się podoba lub jego zdaniem ma walor użytkowy. Szokuje, wstrząsa, z pewnością budzi emocje w mediach. Nie można wykluczyć, że idzie mu o efekt. Każdemu przywódcy religijnemu zawsze o to chodzi. – Zawahał się. – W związku z tym interpretacja tych elementów będzie trudna lub wręcz myląca, gdyż nie znam kontekstu.

– Materiał tej sprawy jest naprawdę rozległy – powiedział Hubert. – I nie sądzę, by na tym etapie prowadzący dochodzenie zgodził się na dostarczenie panu całości akt. Mogę jednak odpowiedzieć na pytania. Podejrzewaliśmy, że ma związek z jednym z niszowych kultów, ale sami nie wiemy, czy wspomniana sekta w ogóle działała. Teraz pojawił się nowy wątek i dlatego zdecydowałem się wprowadzić do sprawy profesora. Nieoficjalnie – zaznaczył. – Warunkiem jest zachowanie tajemnicy.

– Ma pan to gwarantowane, inspektorze – zapewnił służbowo Moss. Podniósł zdjęcia przyniesione przez Meyera. – Mogę to zatrzymać?

Hubert zawahał się.

– Wolabym, żeby po naszej rozmowie profesor mi je zwrócił.

– Oczywiście. – Moss natychmiast oddał materiały poglądowe. – W prasie czytałem, że zastanawiacie się, czy poszukiwany Charon to nie grupa.

– Nie wykluczamy tej hipotezy.

– Moim zdaniem to błąd – oświadczył stanowczo Moss. – Ktoś pozbierał symbole śmierci i stworzył niby skomplikowany skrypt mający wyrzucić was z torów.

– Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

– Ponieważ koty, koraliki, kokony i białe oraz pomarańczowe stroje opisano w książce *Strażnik Dusz*.

– *Strażnik Dusz*? – Meyer podniósł brew. – Dokładnie tak brzmi tytuł? Profesor jest pewien, że to nie skandynawski kryminal?

– Na froncie okładki przedstawia się to jako powieść paranaukową i w mojej opinii osoba, która podjęła z wami tę grę, musiała ją czytać. Występuje tam postać przewoźnika zmarłych wzorowana na autentycznej zbrodni z Gorlitz. Autor analizuje ten przypadek pod kątem wiary i tworzy własne teorie.

Hubert przełknął ślinę z wrażenia. Nic jednak nie powiedział. Wpatrywał się w religioznawcę z uznaniem.

– Zadaniem tytułowego Strażnika jest chronić Wybrańców – ciągnął Moss. – Karą za utrudnianie tej roli jest odcięcie dłoni. Tak jak złodziejom drzewiej cięto przeguby, tak samo we wspomnianej książce główny bohater szlachtuje w przegubach odszczepieńców za ich nieczne uczynki i zdradę. Wiem z dzisiejszej prasy, że motywy okaleczenia pojawił się już w pana dochodzeniu, dlatego pozwalam sobie na sugestię, by zapoznał się pan z tą pozycją.

Moss zatrzymał się, by wstrząśnięty jego interpretacją profiler zdążył wyszukać w internecie publikację, o której mowa.

– Autorem jest Gracjan Grabiec – odczytał. – Dziennikarz i powieściopisarz. – Spojrzał pytająco na profesora. – Ale nic więcej nie opublikował.

– Książka wyszła drukiem przeszło dekadę temu – wyjaśnił religioznawca. – Nakład opłacił sam autor. Wiem z pewnego źródła, że na rynku jest nie więcej niż trzysta sztuk. Teraz każdy egzemplarz osiąga na licytacjach oszałamiające kwoty. Ludzie w mediach społecznościowych doszukują się powiązań z tą pozycją. Swój egzemplarz miałem całe lata w piwnicy. Pożyczyłem go jednemu z moich doktorantów, a on wystawił *Strażnika* na aukcję, zarobił właśnie dwa tysiące złotych i jedzie na wakacje.

– Dwa tysiące za książkę? – zdziwił się Hubert. – Dlaczego autor szybko jej nie wznowi? Zbiłby fortunę.

– To niemożliwe – uciął profesor.

Hubert zarejestrował szybkość odpowiedzi.

– Pan ją napisał? – odważył się spytać, czym szczerze rozbawił Mossa.

Śmiech profesora niósł się echem po wielkiej sali.

– Bynajmniej. To gniot – wyjaśnił naukowiec, kiedy się uspokoił. – Wybaczam panu tę uwagę tylko dlatego, że jest pan przed lekturą *Strażnika*. Mimo to książka powoli staje się kultowa, a cena za egzemplarz z każdym dniem idzie w górę. Gdyby pan rozwiązał to śledztwo, proszę dać nam znać. Po znalezieniu sprawcy z pewnością zacznie spadać. Trzeba jakoś dorobić do pensji.

Hubert z zażenowaniem przyglądał się religioznawcy, który zdawał się przemawiać całkiem serio.

– Skąd pan wie, że inspiracją dla sprawcy jest ta pozycja? Zna pan autora?

– Owszem, znam. I wiem to na pewno, gdyż opiniowałem ten materiał, kiedy Grabiec pracował nad swoim dyplomem. – Moss wzruszył ramionami. – To mój były student. Nigdy się nie obronił. Uznałem jego rojenia za stek populistycznych bzdur. Zebrane dane mają zerową wartość naukową, a dodałbym, że są wręcz szkodliwe. To bełkot wariata, pan wybaczy kolokwializm. W pisemnej recenzji nie chciałem być okrutny, więc zasugerowałem, by autor wykorzystał te dane do napisania powieści fantastycznej lub, jak kto woli, czegoś w rodzaju fikcji new age. O zgrozo, ten pomysł się spodobał. Powieść powstała kilka lat później i miała być przeznaczona dla szerokiego grona odbiorców. – Moss zaśmiał się gromko. – Jeśli szuka pan kontekstu tych danych, powinien pan pomówić z moim byłym studentem i autorem *Strażnika Dusz*. Będę z panem szczerzy: kiedy usłyszałem o tym, co zdarzyło się na Sołaczu, zmroziło mnie i jednocześnie zafascynowało, jak można tak skończyć. Od razu pomyślałem, że ktoś wprowadza w życie te chore idee. Czyżby jeden z nielicznych czytelników tej powieści krał koncepcje w niej zawarte? – Zawiesił głos. – A może prawda jest jeszcze straszniejsza?

– Uważa pan, że autor powieści może być w to zamieszany?

– W żadnym razie tego nie sugeruję – zaprotestował Moss. – Poza tym to nie jest powieść. Raczej rozprawa religioznawczo-dokumentalna ubrana w formę fabuły. Dostatecznie obrazoburcza i niezgodna z tym, czego naucza Kościół katolicki. Z tej też przyczyny została wydana pod pseudonimem.

– Jak brzmi prawdziwe nazwisko autora?  
– Właściwie jest ich dwóch. Pierwszy to Jacek Morawski. Jest księdzem.  
Hubert z trudem ukrywał zaskoczenie. Profesor Moss od razu to dostrzegł.  
– Zna pan księdza Morawskiego? – zainteresował się.  
– Dwa razy miałem przyjemność się z nim spotkać – rzekł ogólnie Meyer. – A druga osoba?  
– To człowiek, który niedawno zmarł. Postrzelił się, choć podobno nie popełnił samobójstwa. Ojciec Struś.

## ROZDZIAŁ 4

# SYTUACJA AWARYJNA

– Musimy pogadać.

Hubert zaszedł Marcinka od tyłu, kiedy mnich porządkował książeczki do nabożeństwa. Aż podskoczył z wrażenia i już chwycił krótkofalówkę, ale Meyer go powstrzymał. Wyrwał mu urządzenie z dłoni i podniósł w taki sposób, że młody zakonnik musiałby podskoczyć, aby je dostać.

– Obaj nie wierzymy, że ojciec Struś postrzelił się sam – perswadował profiler. – To był pacyfista. Jak żyję, nie widziałem go z bronią. Skąd miał ten rewolwer?

Marcinek tęsknie spojrział na swój sprzęt w rękę wysokiego, szalonego mężczyzny i nagle się poddał.

– Nie należał do niego – rzekł, zniżając głos do szeptu. – Ksiądz Jacek mu go przyniósł, by w razie czego mógł się obronić.

– Przed czym?

Mnich wzruszył ramionami.

– Widziałeś, kiedy mu go przekazywał?

Marcinek zacisnął usta, jakby wahał się w myślach decyzję, ile ujawnić.

– Zaufaj mi. Nie wykorzystam tej wiedzy przeciwko tobie – obiecał Meyer.

– Nie wolno mi rozmawiać z mediami.

– Nie jestem dziennikarzem.

– Tym bardziej z policją.

– Jestem policją, ale taką jakby tajną.

– Hę? – Marcinek przekrzywił głowę. – Z nikim nie wolno mi rozmawiać o ojcu Strusiu.

Obejrzał się. Kobieta, którą wcześniej wołał o pomoc, przyglądała im się zaciekawiona.

– Lepiej już idź.

Cofnął się za filar. Meyer zrobił to samo.

– Jak myślisz, co zaszło tego wieczoru, kiedy ojciec Struś strzelił sobie w głowę?

– Nie zrobił tego – zaproponował Marcinek. – Strzelano dwa razy. Jedną kulę zabezpieczono w szafie na ubrania. Druga utkwiła w głowie mojego mentora. – Zamrugał nerwowo. – Kiedy Wielki Bern znalazł zwłoki, przeor kazał mi posprzątać. Dopiero potem wezwano karetkę. Przysięgam, że były dwie kule. I dwie szklanki z alkoholem. Wylałem zawartość, umyłem dokładnie. Podłogę przy bocznym wejściu wyczyściłem mopem i wyfroterowałem, bo cała była zabłocona. Takie wielkie ślady podeszwy. Ten, kto zasadził się na ojca, musiał być potężnym człowiekiem. Kimś takim jak ty. – Podniósł głowę. Przyjrzał się Hubertowi. – Tylko znacznie lepiej odżywnym.

– Zniszczyłeś kluczowe dowody – syknął Meyer. – Zdajesz sobie sprawę, że za to grozi kara?

Marcinek wzruszył tylko ramionami.

– Wykonywałem rozkazy. Co miałem zrobić? – zapytał płacząco. – Nie mogę wrócić do rodziców. To jest teraz mój dom. Przeor jest mi jak ojciec, a Struś od zawsze miał z nim na pieńku. Bronił mnie, pocieszał. Teraz nie mam już nikogo.

– Tylko nie becz – uprzedził go Hubert. – Mażesz się jak baba. Jesteś mężczyzną czy nie?

Marcinek od razu wziął się w garść.

– Mówiłeś, że rozmawiamy nieoficjalnie. – Podniósł wyżej podbródek. – Jeśli mnie nie wydasz, dam ci coś, co może się przydać.

Sięgnął po najnowszy iPhone'a Pro w kolorze stali. Szybko przejrzał zdjęcia. Pokazał.

– Zrobiłem zbliżenia tych śladów.

Hubert rzucił okiem. Włączył swój telefon.

– Prześlij mi to AirDropem. Teraz.

Marcinek wykonał polecenie.

– Wiedziałem, że wrócisz. Od razu wiedziałem – powtórzył. A potem uśmiechnął się lekko. – Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego kazałeś mi czekać tak długo.

Hubert przyjrzał mu się. Zdecydował się zaryzykować:

– Wiesz, że Struś z Jackiem Morawskim napisali książkę o symbolach śmierci? – spytał. – Głównie podejmują wątki funeralne w religii i kulturze. Bardzo ciekawa pozycja. Wydali ją pod pseudonimem.

Marcinek był zainteresowany. Hubert widział, że zakonnik słyszy o tym pierwszy raz w życiu. Minę miał jak kot, który opił się śmietany. Meyer był pewien, że ta plotka za chwilę obiegnie klasztor. Bardzo na to liczył.

– Wpuścisz mnie do celi ojca Strusia – rozkazał profiler.

Marcinek przeraził się. Wykonał krok w tył, plecami poruszył świecznik. Kobieta z butików z dewocjonaliami szła już w ich kierunku.

– Nie mogę – szeptał fałszem Marcinek, machając rękoma, jakby w kościele szalała burza. – Pokój jest zapieczętowany. Dopóki nie pochowamy Strusia, cela będzie pusta. Zwróć się oficjalnie do przeora. Albo i jeszcze wyżej.

– Żeby ją ostatecznie wylizali? – Hubert skrzywił się. – I chcę pogadać z Wielkim Bernem. Możesz przy tym być. Nawet lepiej. Pomożesz mi.

– Zwariowałeś? – oburzył się zakonnik.

– Przyjdę po północy – wycedził przez zęby Meyer, a Marcinek był już pewien, że ma do czynienia z szaleńcem. – Otworzysz mi bramę. Latarkę będę miał ze sobą, tylko załatw jakiś habit.

Krótkofalówkę zakonnika schował do kieszeni.

– Oddam po wykonanej misji – wyjaśnił. – Powinniśmy być w kontakcie.

Słyszeli już kroki kobiety, a po chwili dobiegł ich jej głos:

– Bracie Marcinie, czy wszystko w porządku? Potrzebna pomoc?

– Coś pani mówiła, pani Magdo? – Zakonnik wysunął się zza filara i uśmiechnął się sztucznie. – Czas na podwieczorek?

– Z kim pan rozmawiał? – Wciąż czujnie się rozglądała. – Wydawało mi się, że ktoś tutaj jest, a kościół przecież zamknięty.

Marcinek obrócił się wokół własnej osi. Policjant ulotnił się. Poza mnichem i Magdą w kościele nie było nikogo.

– Modliłem się – odparł bez wahania. Padł na kolana i uderzył głową o posadzkę, dodając z wyrzutem: – Przerwała mi pani.

Skonfudowana kobieta stała jeszcze chwilę, przyglądając się duchownemu, po czym przeżegnała się i odeszła, drobiąc kroki.

– I co o tym myślisz? – Hubert nie wytrzymał, bo Boziłow od kwadransa wpatrywał się w ekran komputera i uparcie milczał. – To może być naśladowca? Jak to się ma do obrażeń ofiar z Sołacza?

Lekarz wstał. Podszedł do okna. Na parapecie obok słoja z ludzkim mózgiem w formalinie oraz kolekcji profesjonalnie wysuszonych i zakonserwowanych palców stała bateria pudełek po jedzeniu. Z niektórych pleśń wyrastała już na boki. Hubert nie chciał wiedzieć, jakie życie toczy się w ich wnętrzu.

– Kiedy Jadwiga przyjedzie na weekendową inspekcję, da ci jobów – próbował żartować.

Boziłow nie roześmiał się, nie zmienił pozycji.

– To nie moje biuro – zaczął. – Kibluję w Poznaniu wyłącznie dzięki tobie. Moi ludzie ślą mi raporty, a nie wszystko mogę robić zdalnie. W Warszawie też mam kupę pilnych zadań. Za stary jestem na gościnne występy. – Spojrzył z wyrzutem. – Przyuczę ci jakiegoś studenta. Będziesz go sobie woził po kraju jak maskotkę. Młody patolog z ochotą przetrwa na każdym biwaku. Pokroi ci zwłoki, a potem się napijecie. A o Jadzi mi nie przypominaj. Zapomniałem już, jak wyglądała.

– Przeczytałeś dokładnie? – przerwał jego narzekania profiler. – Nasz klient odtworzył praktycznie wszystko, co do najmniejszego detalu. Koraliaki, brezent. Nawet kołdra się zgadza. Zamiast botuliny – ług. Ciała zacementowano. Sprawcy nie ujawniono. Ponoć zaginał bez śladu, ale wiemy, jakie były czasy...

– Chciałbyś, żeby to był copycat – westchnął zniechęcony lekarz. – Potwierdziłoby się, że twój system działa, a przy okazji miałbyś prostą receptę na profil.

– WERA działa – podkreślił Meyer. – I nie szukam potwierdzenia. Ono jest widoczne na pierwszy rzut oka.

– Za mało danych. To ogólniki.

– Do analizy behawioralnej wystarczy.

– Więc z nich skorzystaj – obruszył się anatomopatolog. – Nie rozumiem, dlaczego zaangażowałeś się w to śledztwo, skoro masz tyle pracy w nowym wydziale, a i problemów osobistych nie mniej. Myślisz, że same się rozwiążą?

– Sroka jest nie do złapania – wyburczał Meyer. – Gwarantuję ci, że jak tylko wysadzi nos z kryjówki, zostanie obłożony. Czajkowski tylko na to czeka. Załatwi to jednym guzikiem.

– Wera nie żyje, a ty się bawisz. Czajkowski to polityk. On może czekać. Ty jesteś śledczym! Może byś nie przedłużał tej sprawy i wziął się do roboty?

– Co mam niby zrobić? Plakałem przez pół roku. Teraz staram się pracować.

– Gównu, nie pracujesz! Od lat nie widziałem cię w tak kiepskiej formie. Wodzisz Matuszaka za nos, młodego Kaczmarka ciągniesz za sobą w dół, a obaj od początku stali za tobą murem. I wciąż jeszcze stoją. Przejrzyj na oczy. Honor możesz uratować tylko w jeden sposób.

– Tego nie mogę zrobić – prychnął Meyer. – Choć byłem bliski. Zimą.

– Nie mówię o zemście.

Hubert podniósł głowę.

– To byłaby sprawiedliwość.

– Sprawiedliwie nie znaczy, że po równo. A zemstą się nie nakarmisz.

– Będę więc głodny.

– No to bądź – rozjuszył się Boziłow. – Przypomnij sobie, co powiedziała Wera.

– Co by powiedziała? – Hubert nie rozumiał. – Mam wracać do Warszawy? Pozwolić, by śledztwo Matuszaka pozostało niewykręte? A może zająć się tabelami i nie ruszać z za biurka? Co by powiedziała, twoim zdaniem? – Podniósł głos. – Mam żyć czy umrzeć? I wiem, co myślisz. To była moja wina. Nie mogę już tego słuchać.

– Rób swoje – powiedział z naciskiem doktor. – Cokolwiek się wydarzyło, rób swoje. Rozwiąż tę sprawę, wracaj do domu i spraw, by WERA przyniosła korzyść innym.

Hubert zwiesił głowę. Wiedziała, że Weronika tak właśnie by powiedziała. Boziłow miał rację: opieprzyłaby go za niesubordynację, uzalanie się i nieetyczne metody. Narzekałaby, że łązi swoimi drogami. I zaufała. Tak cholernie mu jej brakowało.

– Rzucasz się jak ryba na brzegu. – Boziłow złagodniał, ale wciąż brzmiało to jak reprimenda. – Opanuj się, zrób okrażenie, a jak trzeba, i kilka. Wróć z koncepcją. Wyznacz Matuszakowi trasę, którą pójdzie i zdobędzie dowody. O tym, co było po drodze, wszyscy szybko zapomną. To twoja szansa. Macie ten sam cel. Znaleźć skurwysyna.

– Chyba już nie umiem. Zapomniałem. Błądzą jak idiota.

– Totalny! – zachnął się Boziłow. – To może sobie przypomnij, kim byłeś i dlaczego cię pokochała.

Meyer podniósł głowę. Spojrzał z przestachem na Boziłowa. Oczy mu się zaszklily, ale się opanował.

– Pomóż mi – poprosił. – Pomóż mi wrócić. Dla niej. Bo oszaleję.

– Nie cofniesz tego, co się wydarzyło. Jej życia nie przywrócisz – oświadczył zimno Boziłow. – Ale możesz uratować następne. Wiemy obaj, że trop prowadzi daleko. To już szósta ofiara. Jeśli nie weźmiesz się w garść, tego gościa nigdy nie złapią. Już teraz czuje się bezkarny. I nie sądziłem, że to kiedykolwiek powiem, ale boję się, że on nie przestanie! A to znaczy dla mnie, że nigdy nie wrócę do domu. Zlituj się, człowieku!

Hubert wyprostował się. Wyciągnął papierosy. Boziłow spojrzał na czujnik na suficie, a potem wskazał Meyerowi krzesło. Ten wszedł na nie i odkręcił urządzenie. Lekarz w tym czasie otworzył okno. Sięgnął po papierosa z paczki Huberta i usiadł znów za biurkiem. Włączył program w laptopie Meyera. Kliknął w plik i po chwili drukarka wypuła kilka kartek.

– To jest interesujące, przyznaję, ale nie masz potwierdzenia, że wasz klient wzoruje się na nieuchwytnym zabójcy z lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. I nie dowiesz się tego, póki go nie przesłuchasz. – Podał Meyerowi kartki. – Lektura na dobry sen – mruknął. – Moja opinia na temat ofiar na Sołaczu. Plus to, co udało się wycisnąć z ciała ojca Strusia, nim go zabrali. Postrzał z bliskiej odległości. Trucizny nie stwierdziłem. Śladowe ilości alkoholu we krwi. Wiem, że balistyk bada w tej chwili rewolwer. Matuszak próbuje powiązać go z Garbarczykiem, ale to cholernie trudne, bo nikt poza nim samym nie jest w stanie potwierdzić własności, a jego, jak wiesz, wciąż bezskutecznie szukają. Wezwano za to właściciela strzelnicy, w której przed laty bywał poszukiwany. Liczą, że facet widział broń w rękach Garbarczyka i pozna model. Okazuje się, że rewolwer nie został opisany w testamencie. Nie załączono fotografii.

– Więc nie wiadomo, do kogo należała broń, z której zginął Struś?

– O to powinienś pytać prowadzącego dochodzenie, nie mnie – obruszył się Boziłow. – Mówię ci to wszystko tylko po to, by cię zmotywować. Dogadaj się z Matuszakiem albo wracaj do domu, przyznaj, że poległeś. A przy okazji i mnie zwolnij z przykrego obowiązku kiblowania w hotelu robotniczym. Mieszkasz w apartamentach. Ja kiszę się ze stojami formaliny i żrę z pudełka tajskie żarcie.

Hubert pochylił głowę. Chciałby zaproponować przyjacielowi pokrycie wydatków za porządny hotel, ale wiedział, że Boziłow odmówi i na dodatek poczuje się dotknięty. Milczał więc. Słuchał uważnie.

– Do tego kuria naciska, by sprawę prowadzić po cichu – ciągnął Boziłow. – Prokurator skłania się, by ją umorzyć, choć Matuszak walczy. W zaufaniu ci powiem, że zakonnik nie pożyłby dłużej niż kilka miesięcy. Nowotwór trzustki. Przerzuty na wątrobę i nerki. Mózgu nie byłem w stanie zbadać, bo głowa była w częściach. Ostatnio takie obrażenia widziałem w latach dziewięćdziesiątych, kiedy taśmowo robiło się mafijne egzekucje. – Zawiesił głos. – A ty co masz poza starą sprawą, sektą i symbolami religijnymi? Będę twoim lustrem.

Hubert podniósł głowę. Podziękował lekarzowi spojrzeniem.

– To może potrwać. Tylko Werka zносиła moje rozkminy. – Urwał. Zacisnął szczękę.

– Zamówię sushi. – Boziłow sięgnął po telefon. Kliknął w aplikację. – Dziś prawie jak dzień niepodległości. Jadwiga zrozumie, że naruszyłem budżet. Zestaw New York ci pasuje czy wolisz



Kalifornię? Surowe czy pieczone? I niech dołożą sałatkę wakame.

Hubert zerknął na styropian na parapecie.

– Pod warunkiem, że pozwolisz mi to wynieść.

Boziłow jakby dopiero w tej chwili spostrzegł swoją górę śmieci. Skinął głową na zgodę. Podał profilerowi czarny worek.

– Jak będziesz szedł, pomyśl, kto przewija się bokiem we wszystkich sprawach. I najwięcej korzysta na każdej z tych śmierci. Od tej osoby zaczniemy.

Meyer zatrzymał się przed doktorem z naręczem plastiku.

– Nie muszę się zastanawiać – powiedział. – Klara Haselhof. Jeśli się stawiła, Matuszak w tej chwili nad nią pracuje. No i oczywiście ksiądz Morawski, przyjaciel Gucia. Do żadnej z tych osób nie wolno mi się zbliżyć.

– Więc znajdź pośrednika. Kogoś, kto ma z nimi kontakt. I kto podrzuci jakiś hak do zaczepienia. To śledztwo niepokojąco zjeżdża na boczne tory medialne. Za chwilę obrośnie legendą i nigdy nie dojdziecie do prawdy.

– Każdy ma swoją prawdę. – Hubert podziękował przyjacielowi spojrzeniem. – Mnie interesuje jego punkt widzenia.

– Motyw? – upewnił się Boziłow. – Dlaczego zabija?

– Na początek starczy mi odpowiedź na pytanie: „po co”. – Meyer wrzucił kolejny plastik do worka. – Jaką ma z tego korzyść? Co mu daje największą satysfakcję? Czego tak naprawdę pragnie?

– Jesteś w stanie to ustalić? – Boziłow zmarszczył brwi. – To nie musi być jedna osoba. Przyczyna zgonu ludzi z Sołacza i obrażenia Haselhofa są zbieżne, ale ojciec Struś zginął od kuli.

Hubert znieruchomiał. Zawiesił spojrzenie gdzieś w oddali, jakby go oślnięło, lecz bał się powiedzieć to na głos.

– Martwy zakonnik łączy wszystkie sprawy – oświadczył w końcu. – On jest ogniwem spajającym całość. Garbarczyków, ludzi N.N., guru sekty. I żyjących.

– Od ojca Strusia nie dowiesz się już niczego.

Hubert z impetem pakował śmieci do worka, aż wypełnił go po brzegi. Kiedy wykonał zadanie, podniósł głowę i chrapliwym szeptem zwrócił się do lekarza:

– Możesz coś jeszcze dla mnie zrobić?

– Pomogę ci we wszystkim, byle nie było za późno. Ustaliłem z Matuszakiem, że jeśli nie będzie postępów, wracam do stolicy jutro wieczór.

– Czy oni byli zdrowi? – spytał Meyer.

– Zdrowi? Człowieku, trucizna spaliła im wnętrzności!

– Możesz pobrać wycinki i powiedzieć, czy nie toczyły ich jakiś rak?

Boziłow otworzył szeroko oczy.

– Potrzebuję papier prokuratora.

– Dostaniesz go. Jutro. – Meyer spojrzał błagalnie na anatomopatologa. – Oraz czy byli spokrewnieni. N.N. z Sołacza. Matka z dziećmi, Haselhof i ksiądz.

– Mówisz poważnie? – Lekarz nie dowierzał. – To trochę zwariowane.

– Możesz zabrać się do roboty już dziś?

– Teoretycznie. – Boziłow się zawahał. – Ciała ofiar z Sołacza są wciąż w instytucie. Mitochondrialny test DNA wykluczył, że kobieta była matką tych dzieci. Za to one były ze sobą spokrewnione. Miały tego samego ojca. Poza dziewczynką, której sprawca położył monety na powiekach. Dublerce Neli.

Zatrzymał się, urwał. Spojrzał na zaszokowanego Huberta. Dopiero po jego minie domyślił się, że Matuszak zataił tę informację przed profilerem.

– Nie ujawnię, że dostałem te dane od ciebie – zapewnił skwapliwie Hubert. – Zrobisz to, o co prosiłem?

Boziłow wahał się.

– Haselhof leży w szpitalu. Potrzebna mi jest próbka.

– Będziesz ją miał.

Lekarz patrzył na Meyera z lekkim przestraczeniem, ale i nadzieją, jakby obserwował zmartwychwstanie jego dawnej brawury.

– A ojciec Struś? – spytał. – Matuszak przebąkiwał, że pogrzeb planują zrobić po cichu. Kuria nie chce rozgłosu. Tuszują ten wypadek maksymalnie. Z tego, co wiem, Struś jeszcze dziś ma być pogrzebany. Wysłali posłańca po ciało i rzeczy osobiste. Właśnie go wydajemy. Gdybyś nie wparował tu bez uprzedzenia, asystowałbym w tej procedurze. Jutro odbędzie się tylko coś w rodzaju liturgii dla mediów.

– To nie był wypadek – powiedział z naciskiem Hubert. – Ale egzekucja, owszem.

Spojrzał na zegarek.

– Zorganizuję jakiś grzebień.

– O tej porze? – przeraził się Boziłow. – Jakim sposobem?

– Lepiej nie pytaj. – Hubert podniósł brew i uśmiechnął się oczyma. – W każdym razie się postaram. Odbieraj mój telefon. Mogę być bardzo późno albo wcale, ale chcę, żebyś był gotowy. I dziękuję. Jesteś prawdziwym przyjacielem. Nigdy ci tej rozmowy nie zapomnę.

– Stara piosenka – westchnął anatomopatolog i znów zaczął utyskiwania, ale Hubert wiedział, że może na Boziłowa liczyć.

Przeprósł lekarza, po drodze zajął do sali, gdzie zapłakany Wielki Bern asystował w pakowaniu zwłok mentora do jutowego worka, a potem pojechał prosto do swojego hotelu.

Grzegorza Kaczmarek zastał śpiącego nad aktami.

\* \* \*

– Dokąd chodziliście strzelać z Garbarczykiem? – Szarpnął młodego profilerą.

– Do ojca Anity – padło w odpowiedzi. – Prowadził strzelnicę z trzema współnikami. Z tego, co wiem, placówkę zniszczył covid. Właściciele nie podnieśli się po lockdownie. Budynek straszny pustkami.

– Pojedziesz do niedosłzłego teścia i sprawdzisz, czy Guccio przynosił na strzelnicę rewolwer. Może konserwowali mu sprzęt, załatwiali inne jednostki? Musimy wiedzieć, czy sprzęt był sprawny. Czy to naprawdę była broń Gutka.

– Wiesz, która godzina? – Grzegorz ziewnął. Podświetlił telefon. Dochodziła dwudziesta. – A w ogóle to gdzie byłeś? Nie to, że się migam, ale wątpię, by stary Anity wpuścił mnie o tej porze. Nigdy nie pałał do mnie miłością. Mam wrażenie, że odetchnął, kiedyśmy się rozstali. Nie chciał dla niej gołoduca.

– Jesteś policjantem. – Meyer wszedł mu w słowo. – Uczestniczysz w najgorętszym śledztwie w tym kraju i nie idziesz do teścia na ciastka albo ploteczki. Choć, jeśli by nimi sykali, nie gardź żadnym z okrucich. Ani słowa o tym, że Matuszak odsunął nas od sprawy.

Kaczmarek był sceptyczny.

– Z Anitą rozmawiałem tyle razy, że chyba nic więcej nie wycisnę.

– Rozmawialiście o kokonach, sekcje i zaginięciu Garbarczyka. Teraz interesuje nas wątek broni. Jeszcze coś. – Hubert się zawahał. – Tylko delikatnie. Pod żadnym pozorem nie sugeruj odpowiedzi.

– Doktor Cania? – zgadł Grzesiek. – Jeśli przychodził postrzelac, dowiem się tego. Sprawdzę go też na okoliczność kontaktów towarzyskich. Ojciec Anity swego czasu był skarbnicą lokalnej wiedzy. Wbrew pozorom faceci pytlują jęzarami nie mniej niż kobiety. Tyle że po dobrym strzeleniu lub przy alkoholu.

– Kup więc flachę i poświęć się dla sprawy – zaproponował Hubert. – Godzina na wódkę jest właściwa. Interesuje nas też, dlaczego Cania zrezygnował z onkologii i jak to się stało, że został ordynatorem.

Tym razem Grzegorz się zdziwił. Na jego twarzy nie było śladu senności.

– Jaki Cania miałby motyw, żeby zabijać zakonnika? Z tego, co wiem, nie znali się.

– Strusia toczył rak – odparł Hubert. Streścił pokrótce rozmowę z Boziłowem, omijając tematy prywatne. – Haselhof również był chory. Jeśli obaj byli pacjentami tutejszego oddziału, Cania mógłby mieć motyw. Na przykład usunięcie niewygodnego świadka.

Grzegorz otworzył szeroko usta. Dopiero po krótkiej chwili zdołał je przymknąć.

– Świadka czego?

– To tylko trop do sprawdzenia.

– A jeśli okaże się, że obaj byli na oddziale Cani?

– Wtedy zdobędziesz listę wszystkich jego pacjentów i ich odwiedzisz. Może ktoś się zagubił, zniknął, umarł? Może mieszkał na Solączu.

– Jego klienci zasadniczo umierają. – Grzesiek wciąż patrzył na Huberta spod oka. – Ale chyba rozumiem, do czego zmierzasz. Chciałbyś wiedzieć, czy wśród nich nie było matki z dziećmi?

– Ona nie była ich matką – zaprzeczył Hubert. – Opiekunką, znajomą albo nigdy wcześniej się nie spotkali. Ale trójka z tych dzieci mogła mieć ze sobą kontakt. Ciekawi mnie też, dlaczego biologiczne matki ich nie szukają. Nie zgłosiły się nawet po publikacji zdjęć. To podejrzane.

Sięgnął do walizki, wyjął kasetę z bronią. Otworzył ją, puścił w ruch komory. Załadował amunicję. Założył pas z kaburą.

– Sporo tego, jak na tak krótki wieczór – skwitował Kaczmarek, chwytając kurtkę. Wskazał nowiutkiego smith and wessona Meyera, ale nic nie powiedział, jakby na czas ugryzł się w język.

– Tym razem nie będzie strzelaniny – zapewnił Meyer. – Twoja babcia nie ma przypadkiem jakiejś mocnej latarki?

– Mogę wiedzieć, co zamierzasz robić?

– Zajmę się siłami nieczystymi. Diabeł kusi ludzi każdego dnia, a posłańców dobra jest niewielu. Poza tym obiecałem komuś, że pokażę mu swój rewolwer.

\* \* \*

Klara obejrzała się w lustrze. Poprawiła włosy. Wiedziała, że po drugiej stronie szyby znajduje się inne pomieszczenie, a w nim zażarcie dyskutują nadkomisarz Matuszak, prokurator nadzorujący śledztwo i jej adwokat. Wierzyła, że Andreas nie pozwoli zrobić jej krzywdy. Skoro uniknęła aresztowania w niemieckiej sprawie, Polacy tym bardziej nie zamkną matki siedmiorga dzieci, która praktycznie jest już wdową. Przyjechała przecież na przesłuchanie dobrowolnie i zgłosiła chęć współpracy.

Jej dziewczynki znajdowały się pod opieką Iryny, byłej gosposi Gucia, którą Klara pamiętała z pogrzebu ojca. Była to miła kobieta, starszawa już, lecz traktująca rodzinę Garbarczyków jak własną. Kiedy się spotkały, Klara dowiedziała się, że Iryna zajmowała się nią, kiedy była bardzo mała. Choć córki były w dobrych rękach, wolałyby spędzić dzisiejszą noc z nimi, a nie w celi zatrzymań.

– Długo jeszcze będziecie mnie trzymali? – krzyknęła po niemiecku. Liczyła, że Andreas wreszcie zainteresuje się. Była głodna, niewyspana, a nowe szpilki piły ją w palcach.

Odpowiedziała jej cisza. Podniosła do ust pusty kubek po kawie, znów spojrzała na zegar. Dwudziesta dwadzieścia. Odruchowo podniosła dłoń do szyi, ale nie miała za co schwytać, bo przed wejściem do komendy zdjęła swój amulet i włożyła go do torebki, która wisiała teraz na oparciu krzesła. Andreas uprzedził ją, że w razie zatrzymania zabierze ze sobą jej dokumenty, telefon, portfel i pieniądze oraz klucze do domu. Lepiej, by zostały w rękach mecenasa, niż leżały w szufladzie strażnika więziennego. Miała ochotę sięgnąć teraz po łańcuszek i powstrzymywała się tylko siłą woli. Pociesała się, że może, jakie jej daje poświęcony karneol, emanują także z wnętrza markowej torebki.

Trzasnęły drzwi. Wszedł łysy policjant z kucykiem. Koszulę miał zapoconą pod pachami, woniał tytoniem i kawą z automatu. Wdychanie tych zapachów sprawiało Klarze przyjemność. Nie musiała zmuszać się do uśmiechu.

– Dziękuję, że pani zaczęła – oświadczył i położył na stole swój plik obazgranych kartek. Tę procedurę powtarzali już trzeci raz, więc wzniosła jedynie oczy do sufitu.

– Nie zostawił mi pan wyboru. I co panowie ustalili?

– Mam jeszcze kilka pytań.

– Nowych czy wciąż będzie pan drążył to samo?

– Skoro pani odpowiesz mi nie satysfakcjonują – odparł bez uśmiechu. – Wciąż pewnych rzeczy nie rozumiem.

– Powtórzę jeszcze raz. Od siedmiu lat nie rozmawiałam z bratem – wypaliła na jednym oddechu, starając się nadać swojemu głosowi sympatyczny ton.

Andreas uprzedzał ją, by starała się być miła i unikała wrażeń kobiety fatalnej. Śledczy mają na to alergię, od razu chcą przybić takiej kobiecie całą winę. Nie do końca wiedziała, co to znaczy, więc kiedy nie знаła odpowiedzi, uśmiechała się i spuszczała wzrok. Tak też zrobiła w tej chwili.

– Musiał mieć klucz do mojego domu i wszedł pod moją nieobecność.

– Skąd?

– Nie wiem.

– Skąd miał klucz i skąd wiedział, że pani nie będzie?

– Może nas obserwował? – zasugerowała. – To ulica zamieszkała w głównej mierze przez Polaków. Same domki szeregowe. Nie jest trudno wykryć rytm dnia osoby takiej jak ja.

– Przecież pani nie pracuje.

– Wychowywanie siódemki dzieci uważa pan za zbijanie bąków?

Matuszak się zniecierpliwił. Przerabiali to godzinę temu. Widziała, że też jest zmęczony.

– Dokąd pani wychodziła?

– Już nie pamiętam. Może do sklepu po papier do drukarki? Zakupy?

– O tym, że brat był u pani, dowiedziała się pani po wizycie niemieckich policjantów?

Skinęła głową.

– Już wtedy wiedziała pani, że Gustaw Garbarczyk jest zaginiony.

Znów potwierdziła.

– I nie przyszło pani do głowy zadzwonić? Obiecała pani pełną współpracę.

– Sprawa rąk mojego męża to nie jest wasza jurysdykcja – zaczęła odważnie.

– W istocie – zgodził się z nią Matuszak. – Ale zaginięcie rodziny pani brata oraz ujawnienie ciała w waszym ogródku leżą po naszej stronie. Czyżby nie zależało pani na rozwiązaniu tej sprawy?

– Nie znam tych ludzi. Nie było mnie w kraju, kiedy ktoś ich zabił.

– A skąd pani wie, że to była zbrodnia? – Przekrzywił głowę. – Przesłuchałem nagranie dostarczone przez starszego aspiranta Kaczmarka. O ile oczyszcza ono panią z udziału w domniemanym zabójstwie męża, a w każdym razie w uszkodzeniu ciała, o tyle stawia panią w gronie podejrzanych, jeśli idzie o kokony w domowym ogródku. Szczerze? Wysuwa się pani na prowadzenie.

To wstrząsnęło Klarą. Zrozumiała, że trzymała ją tutaj cały dzień, by ją zmęczyć. Dopiero w tej chwili przystąpił do frontalnego ataku.

– Nie wiem, o jakim nagraniu pan mówi – zablefowała, ale zanim Matuszak zaprotestował, dorzuciła: – A Grzesiek ma do mnie żal, gdyż odrzuciłam jego umizgi. Choć powinno się to raczej nazwać usiłowaniem gwałtu. Skasowałam nagranie przypadkowo, broniąc się przed odrażającym napastnikiem.

Matuszak zdawał się znudzony. Klara pojęła, że źle to rozegrała.

– Posiada pani obdukcję?

– Jak powiedziałam, do gwałtu nie doszło.

– I Kaczmarek rzucił się na panią akurat przy monitorze? A pani, broniąc się, nacisnęła przycisk „Delete”?

– Dokładnie tak było.

– Według pani adwokata nie istnieją przesłanki wskazujące, że będzie pani mataczyć. Zobowiązał się również do pozostawienia w depozycie paszportu, by nie mogła pani opuścić kraju. Co jest absurdalne, bo wystarczy dowód osobisty.

– Jeśli pan chce, mogę również przekazać swój dowód. – Uśmiechnęła się. – Będzie pan wtedy wiedział, ile mam lat.

– To już wiem z pani akt. Zresztą wiedza tego typu nie jest kluczowa.

– Zamierza pan przedstawić mi zarzuty czy tylko sobie rozmawiamy?

– Jak układało się pani życie z mężem?

Tym razem udało mu się ją wkurzyć.

– Cholernie źle od trzech lat. Wcześniej świetnie. Opowiadam o tym od rana. O Wybrańcach, grupach parareligijnych Izaaka, jego interesach i konflikcie z Guciem. Znajdźcie w końcu mojego brata albo mordercę tych ludzi i dajcie mi święty spokój!

– Niech się pani nie denerwuje. – Policjant podniósł dłonie na znak pojednania. – Może to jedna i ta sama osoba.

– Uważa pan, że Gucio ich zabił? – Roześmiała się szyderczo. Nagle przestała. – A może i tak! Co mnie to obchodzi? Czy to moja wina, że mam brata świra i męża wariata?

Matuszak pozostał spokojny. Milczał długą chwilę. Wreszcie wstał, podszedł do drzwi, poprosił o protokół, podając sygnaturę, a kiedy go otrzymał, położył go na stole. Klara widziała, że ta gra jest ustawiona. Chciał, by się bała. Ale ją te zabiegi jedynie rozbawiły.

– Gdzie pani mąż ukrył rodzinę Garbarczyka?

Uśmiech zamarł jej na twarzy. Skrzywiła się w gniewie.

– W Niemczech? W Polsce? Na którejś z przejętych posesji? – atakował śledczy.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Dobrze pani wie.

Przeleciał wzrokiem maszynopis z pieczęciami prokuratorskimi.

– Czy była pani w Polsce, kiedy zginął niejaki ojciec Struś?

– Nie znam człowieka.

– Ach tak, zapomniałem, że nie ma pani polskiej telewizji. – Matuszak szydził. – Po co miałyby pani oglądać wiadomości? Dowiedziałyby się pani z nich, że w pani posiadłości morderca założył osobliwy cmentarz. Mogłoby się też obić pani o uszy, że w pewnym klasztorze doszło do strzelaniny. Nie, nie warto włączać internetu. Zwłaszcza jeśli o tym wszystkim ma pani wiedzę z pierwszej ręki! I z pewnością bardziej rozległą niż tutejsza policja.

– Pan jest bezczelny! – oburzyła się Klara.

– Ja? Bezczelny? – Matuszak pogładził się po łysinie. – Mecenas Kluge zaręczał, że nie ma żadnych związków między panią a martwym zakonikiem, a ponieważ spędziliście całą drogę z Berlina razem, nie sądzę, byście nie ustalali wersji.

– Wersji? – Prychnęła. – Chyba nigdy nie jeździł pan busem z siedmioma diabolicami w różnym wieku na pokładzie.

– Tak mi się życie ułożyło, że akurat nie miałem tej przyjemności – fuknął.

– Nie da się o niczym porozmawiać z sensem. Niby siedzą w komórkach, ale w kółko się kłócą! Ustalanie wersji jest w takich warunkach niemożliwe. – Uderzyła się w pierś.

Matuszak przesunął w jej kierunku wydruk z fotoradaru.

Klarze cała krew odpłynęła z twarzy. Wpatrywała się w niewyraźne wizerunki dwóch osób siedzących na przednim siedzeniu. Wyglądało to trochę jak starodawne monidło małżeńskie wykonywane po zaślubinach, takie, jakie wisiało u dziadków Garbarczyków.

– Podejrzewam, że to jest pani, a to pan Haselhof. – Matuszak postukał w wydruk. – Ciekaw jestem, co takiego zabawnego mówił mąż, że śmieje się pani pełną gębą. Szczerze? Nie wyglądacie na skłóconą parę. Raczej na ludzi, którzy osiągnęli swój cel. To nie tylko ładna pamiątka, ale też cenny dowód. Wiemy dzięki temu, że pani mąż tego dnia miał jeszcze dłonie. Trzyma je na kierownicy, czyż nie? Sprawdzamy teraz monitoring pod kątem pani podróży z mężem autem Izaaka Haselhofa zarejestrowanym na Helmuta Kischkego. Zwłaszcza rejon pewnego dyskontu meblowego, w którym sprawca poczwórnego zabójstwa na Sołaczu zakupił część materiałów do ukrycia zwłok.

– Odmawiam dalszych odpowiedzi na pana pytania – zdołała wydusić Klara.

– Ma pani do tego prawo, choć mecenas Kluge najprawdopodobniej rano zaleci zmianę tego stanowiska – odrzekł Matuszak. – A może wcale nie wróciła pani do Berlina, jak zapewniała mnie pani przez telefon – oświadczył. – I nic dziwnego, że nie odbierała pani moich telefonów, bo komórka lokalizowałaby się nie w Niemczech, lecz w Polsce. I to niedaleko Sołacza. Dokładnie na trasie do Ostrowa Tumskiego. Tam znajduje się klasztor. W jednej z celi zastrzelili się zakonnik, którego ponoć pani nie znała. Co za pech, że na drodze ustawiono niedawno nowy fotoradar. Tym samym informuję panią, że zezwalam na jeden telefon do dzieci, bo dziś w nocy zostanie pani u nas.

Kobieta zacisnęła usta, w jej oczach błyszczał gniew.

– Nie mam z tym nic wspólnego. To jakaś nowa intryga mojego męża. Nawet prawie nieżywy skutecznie mnie dręczy – fuknęła. – Nie wiem, o co chodzi.

– Może więc wyjaśni pani okoliczności wykonania tej pamiątki? – Podniósł zdjęcie. – Dla swojego dobra. Ponieważ panią polubiłem, ostrzegam, że prokurator nie może się doczekać postawienia zarzutów. Przeczესujemy w tej chwili sieć, system płatności elektronicznych, bramki na autostradzie, a Niemcy z nami współpracują. Zdobycie kolejnych dowodów jest realne.

– To tylko poszlaki.

– Według mojej wiedzy przed odkryciem zwłok na Halnej bywała pani regularnie w Poznaniu. Czyżby przygotowania do pochówku? Kim są ludzie, których zakopaliście?

– Pan mnie obraża. – Podniosła podbródek i odwróciła głowę. Zastygła w tej pozycji.

– Więc nie będzie pani współpracowała?

– Odmawiam odpowiedzi na pana pytania i żądam spotkania z adwokatem.

– Wedle życzenia.

Matuszak wstał. Skierował się do drzwi.

– Kiedy przyjdzie Andreas? – Klara nie wytrzymała napięcia. Sięgnęła do torebki i zaczęła w niej grzebać. – Chciałabym, aby zabrał moje rzeczy, jeśli chcecie mnie aresztować.

Matuszak przypatrywał się kobiecie zaciekawiony.

– Musi pani zorganizować sobie nowego prawnika. Mecenas Kluge właśnie wypowiedział swoje pełnomocnictwo.

– To jakiś absurd! – zachnęła się kobieta. I zaczęła się emocjonować po niemiecku: – Muszę z nim pomówić! Pan łamie prawa człowieka, konstytucję. Co to za kraj!

– Pan Andreas, nawet gdyby chciał, z powodów formalnych nie mógłby pani reprezentować – wyjaśnił Matuszak. – Właśnie do niego idę. Będzie przesłuchiwany w sąsiednim pokoju. Prokurator postawił mu zarzuty wspólnictwa. Zaraz i pani je usłyszy. Biedak, sam zmuszony jest organizować sobie prawnika.

Kobieta wpatrywała się w Matuszaka, nic nie rozumiejąc.

– Niby na jakim podstawie? – wydusiła. – Wspólnictwa w czym?

– Dokonałiśmy rewizji. Pan Kluge miał przy sobie kartę niejakiego Helmuta Kischkego. Numer jest zgodny z tą, która jest kluczowa dla sprawy. Posiada także motocykl, który nas interesuje. Suzuki intruder, model ostatnio często wybierany przez polskich księży. Byłych księży – zaznaczył. – Szukamy

go w tej chwili na polskich drogach. Chyba że pani ma informacje na ten temat i zechce się nimi podzielić. Mógłbym jeszcze przekonać prokuratora, by wziął pod uwagę nadzwyczajne złagodzenie. Ma pani siódmkę dzieci. Szkoda by było, żeby dorastały bez rodziców.

\* \* \*

Rodzice wychodzili z salki katechetycznej grupkami i od razu kierowali się do zaparkowanych aut. W ich ruchach była nerwowość. Matki, które przyszły z młodszą dżiatwą bez obstawy, wielokrotnie oglądały się za siebie, nim przebiegły przez zaciemnioną alejkę od kościoła na parking. Samochody szybko rozjeżdżały się w różne strony. Wkrótce na Sołaczu zapanowała niemal idealna cisza. Po kilku minutach w salce zgasło światło, a w drzwiach wyjściowych stanęła kobieta w dziwnym płaszczu, jakby miała na grzbiecie pled zamiast ubrania. Dokładnie zamykała wszystkie zamki i wcale nie wyglądała na przestraszona, kiedy Meyer wyszedł zza winkła.

– Musiałeś się tak skradać, chłopcze? – zgañila go, jakby miał piętnaście lat. – Zawału bym dostała, gdybym była choć dekadę młodsza. Gotowam pomyśleć, że jakiś zbój czai się na moją cnotę.

Przeprósł, uśmiechnął się i przedstawił pełnym stopniem.

– Narobiliście takiego rabanu w mediach, że ludzie boją się wychodzić z domów – poskarżyła się. – Na dzisiejszych zajęciach miałam ledwie jedną trzecią klasy. Bogatsi wyjechali. Wyprowadzili się do rodzin albo zapłacili za hotel. Chcą przeczekać ten koszmar. To dziwne, co się tutaj odbywa. Została tylko biedota. Tacy jak ja, którzy uczciwie pracują całe życie, ale i tak nie stać ich na motel w Swarzędzu. Zresztą po co? Przecież nie mam samochodu. I raczej się na to nie zanosi.

Wyciągnęła dłoń do powitania.

– Nazywam się Iryna Nowacka. Przez „y”, bo matka była Ukrainką. Przeszła na katolicyzm dla taty. Był kościelnym w katedrze tumskiej. Prowadzę tu próby chóru i pomagam w utrzymaniu czystości. Gosposią księdza Jacka nigdy nie byłam – zastrzegła. – Choć jego i Gucia praktycznie wychowałam.

– Właśnie Jacka szukam – wyjaśnił Hubert bez wstępów. – Byłam na plebanii. Ciemno. Nikt nie otwiera.

Zdziwiła się.

– To on nie jest zatrzymany?

– Nie dostał zarzutów. Muszę pilnie z nim pomówić. Nie wie pani, gdzie go znajdę?

Iryna wzruszyła ramionami.

– Odwołali go. A może i już przenieśli? Mówią, że nazwisko nowego proboszcza ujawnią w przyszłym miesiącu. Jacek ma przez was okropne kłopoty. Nikt tutaj nie wierzy w jego jakąkolwiek winę. Splamiliście jego nazwisko i nie da się tego odkręcić. Biedny chłopak. Dobrze, że jego rodzice tego nie dożyli. Tak nam szkoda, że zdecydował się odejść. Moim zdaniem ktoś go przymusił. Jacek czuje powołanie, jak niewielu w tej firmie. – Znow się uśmiechnęła. – Nie stracił wiary. Nie wierz w te brednie.

– Zna pani Jacka tak dobrze?

– Mów mi Iryna. Nigdy nie byłam żadną panią. A jeśli różnica wieku cię powstrzymuje, to już „ciociu” będzie lepsze. Masz na imię Hubert? – spytała, choć Meyer miał pewność, że to wiedziała.

Spojrzała na zegarek, wskazała migoczącą lampę. Zmierzchało, ale w tej części Sołacza zdawało się, że to już noc. Pozostała część drogi nie była oświetlona. Wszelchobecna zieleń, piękno ogrodzeń i opustoszałe wille.

– Przyjrzyj się. Sołacz właśnie przywdziewa kostium gwiazdy z czarno-białego filmu – powiedziała z zadumą. – Z podlotka przeistacza się w kobietę fatalną, po której możesz się spodziewać najgorszego. A jednak nie odchodzisz, patrzysz w oczy otchłani, dajesz się hipnotyzować. Czekasz na finał.

Umilkła. Meyer też się nie odzywał.

– Kocham to miejsce i zawsze marzyłam, że kiedyś będę miała tutaj dom – wyznała. – Ale jak na razie mieszkam na Jeżycach, w niszczującej kamienicy, na trzydziestu sześciu metrach. Ostatni bezpośredni autobus przyjeżdża za dwadzieścia minut. Możesz mnie podprowadzić na przystanek,

inspektorze. W tym czasie porozmawiamy – zarządziła. – W sumie dobrze, że się zjawileś, bo z policjantem u boku czuję się bezpiecznie. Ludzie różne rzeczy gadają.

Przyjrzał się jej. Zastanowił, ile ma lat. Nie była taka stara, jak chciała być widziana. Głos miała dźwięczny, oczy bystre. Zachowywała się i poruszała żwawo, szła wyprostowana. Jej twarz szpeciły siateczka zmarszczek oraz blizny po przebytej dawno chorobie skóry. Całkiem białe włosy związała w kitę na czubku głowy. Pewnie doczepiane, bo kuc był gruby na pięść. Ale w butach na wielkiej platformie i neonowym płaszczu z pewnej odległości mogła uchodzić za kobietę o dwadzieścia lat młodszą.

– Co na przykład?

– Sekta, nieznamy zwłoki u zaginionych Garbarczyków, śmierć ojca Strusia, nasz ksiądz zatrzymany – wymieniała. – To chyba starczy, by na jakiś czas zniknąć z Sołacza? Znałam Gucia i Marysię. Przed laty opiekowałam się ich dziećmi. Teraz zajmuję się siódmką Klary. Jaka szkoda, że jej matka ich nie poznała. Modliła się o to. Błagała Boga, żeby córka przyjechała. Fajne dziewczynki, tylko uzależnione od internetu. Oczy rozbłyskują im chorobliwie, gdy siadają do gry. Najstarsza różnie w komputer do piątej nad ranem. Dlatego zdecydowałam się nie odwoływać swoich lekcji. Nawet nie zauważą, że nie ma mnie w domu. Oczywiście córki Klary nie chciały przyjść. One nie wierzą. – Urwała. – Ale to, że byłam gosposią Garbarczyków i brałam udział w poszukiwaniach, już wiesz. Dlatego przyszedłeś, inspektorze? – Zatrzymała na nim spojrzenie. – Po wizycie w komendzie Jacek nie wrócił. Jest podejrzany?

Hubert uznał, że nie ma sensu kłamać. Dyskretnie spojrzał na zegarek.

– Jest jeszcze czas – uspokoiła go, sprawdzając na tablicy odjazd autobusu. – Najwyżej pojedę z przesiadką. Co ci potrzeba? Pytaj. Chcę, żeby ludzie wrócili na Sołacz i żeby było tak jak dawniej. Chociaż pewnie to niemożliwe. Nic nigdy nie będzie takie samo. Ale jak znajdziecie mordercę, ludzie z czasem zapomną. Ludzie szybko zapominają, jeśli sprawa jest śmierdząca.

– Gdzie jest Jacek?

– Nie wiem. Przysięgam.

– A Marysia z dziećmi? Ojciec Struś pomagał im w ucieczce.

Odwrociła się do niego przestraszona.

– Siedem lat temu sprzątałście z Jackiem dom Gucia – kontynuował. – Ksiądz wypowiadał mi się nad rzeką. Gdzie oni są, ciciu Iryno?

Doszła już do siebie, bo znów miała twarz dobrotliwej katechetki.

– Wtedy nic mi nie mówili, a co dopiero teraz? Sprawa się skomplikowała. Za dużo się wydarzyło. Za dużo tajemnic. Ciężko to dźwigać starej kobiecie.

Hubert milczał. Czasami to jedyny sposób, by zmusić interlokutora do zwierzeń.

– To prawda, że sprzątałam dom – wyznała nagle. – Krew była w łazience na parterze. Ale jej nie znajdziecie, bo mój mąż wymienił wannę i położył nowe płytki. Waldemar nie żyje od trzech lat. Nowotwór. Pieniądze, które dostaliśmy, poszły na jego leczenie. – Zawahała się. – To dlatego dom Garbarczyków był zamknięty do dwudziestego września. Po to były listy i ogłoszenie z pocztą. Żeby zyskać na czasie. Tak myślę.

– Kto ci zapłacił?

– Zakonnik samobójca. Zlecają mi oprowadzanie wycieczek. Robię też rekolekcje. Odmówiłbyś swojemu zwierchnikowi? Osobie duchownej?

Podjechał autobus. Nikt nie wysiadł. Kierowca przyglądał się tej dziwnej parze: starszawej kobiecie w neonowym płedzie i chudemu okularnikowi w żałobie i pod bronią. Iryna dała znak szoferowi autobusu, że jest bezpieczna. Tylko z tego względu nie zamknął od razu drzwi i cierpliwie czekał.

– To nie był pierwszy raz, kiedy widziałam zakrwawione bandaże. Spodziewałam się, że któregoś dnia wezwą mnie i zobaczą ją martwą. On ją bił. Kiedy choroba wracała, nie panował nad sobą. Brał leki, ale z czasem przestały skutkować, a ze szpitala w kółko go wypisywali. Marysia starała się to trzymać w tajemnicy, ale wiedziałam od dzieci. Gustaw pastwił się nad nią całe lata. Z czasem zaczął



podnosić rękę na najstarszą Wikę, bo stawiała w obronie matki i była harda. Z upodobaniem katował małego Brajana. Chłopiec był strachliwy i najgłośniej płakał. Pozostałych dzieci Gucio nie tykał. Były sprytniejsze, zdążyły się chować w szafach albo w piwnicy, u dziadka? A może nie chciały opowiadać starej niani o swoim smutku. Jeśli mnie wezwiesz oficjalnie, nie potwierdzę. Ja tylko sprzątałam. Musisz wiedzieć, że jestem w tym dobra. Nic nie znajdziecie. Niestety. – Umilkła na krótką chwilę, ale nie dlatego, że się wahała. Chciała dobrze dobrać słowa. – W tej wannie, którą wymieniał mój mąż, było wcześniej ciało.

– Jedno ciało czy kilka?

– Nie wiem – przyznała. – Widziałam tylko smugi, odciski dłoni, zacieki. Ktoś tam zginął. Dlatego oni wszyscy zniknęli. Nigdy więcej Garbarczyków nie spotkałam.

– Ojciec Struś ci zapłacił – uściślił Hubert. – Ale kto cię zatrudnił? Jacek?

Wpatrywała się w niego. W jej oczach nie widział strachu, raczej ulgę.

– Jesteś wierząca – dodał. – Co na to twój Bóg? Chyba nielekkko dźwigać przez lata taki sekret? Kłamanie do protokołu też jest wbrew dogmatom twojej wiary. O odpowiedzialności karnej już nie wspominam.

– Moim spowiednikiem był ksiądz Jacek – oświadczyła. – Podzielił ze mną ciężar tego grzechu. Ale skoro Jacek uciekł, nie mam sił dźwigać go sama.

– Morawski uciekł? Skąd wiesz?

– Prosta dedukcja. – Wzruszenie ramionami, spuszczone powieki. – Ty go szukasz, wierni, kuria. Nie został w areszcie. Jacek zwiął. Miał dosyć. I szczerze go rozumiem. Teraz ja powierzam ten sekret tobie, inspektorze. Jesteś młodszy i masz siłę go taszczyć. Dowiedz się, co zaszło siedem lat temu na Halnej trzy, bo to jest przyczyna naszej obecnej tragedii.

– Naszej? – nie wytrzymał. – Czyli czyjej? Garbarczyków, Jacka czy Strusia? A może chodzi o Haselhofów?

– Ten dom jest przeklęty – odpowiedziała. – Pytałeś wcześniej, co ludzie gadają.

Pewnym krokiem weszła na stopień autobusu. Nie zatrzymywał jej. Czuł, że lepiej mieć w niej sojusznika, a nie wątpił, że jeszcze się spotkają. Nagle odwróciła się.

– Nie wiem, kto kogo zabił w tym domu. Wolę wierzyć, że Marysia żyje i wyjechała gdzieś z dziećmi. Nigdy też nie pytałam o to Jacka. Może ty będziesz miał odwagę znaleźć odpowiedź?

\* \* \*

Dom Garbarczyków miał zamknięte okiennice. Wejście na taras, spod którego wyjęto ciało, wciąż było rozkopane. Krata, która wcześniej chroniła kurhan nieznaney kobiety i dzieci, stała oparta o drzwi balkonowe. W fontannie z amorkami pływały śmieci: fragmenty taśmy policyjnej, artefakty wydobyte z kokonu Haselhofa i breja z proszków do zabezpieczenia śladów.

Hubert próbował otworzyć furtkę, ale była zapieczętowana. Szarpnął nią kilka razy. Była to solidna kuta brama. Nawet się nie poruszyła. Obejrzał się. Wokół żywego ducha.

Stanął na podmurówce, wspiął się na pierwsze zdobienie na wysokości metra. Gdyby był młodszy, spróbowałby ją przeskoczyć. Ludzie z sąsiednich budynków wynieśli się sami lub zniknęli w dziwnych okolicznościach. Nie wiedział, czy Matuszak ich znalazł, bo od ostatniej sprzeczki się unikali. W okolicy krążył patrol, który mógł go przyuważyć, jeśli będzie miał pecha. Nie wizja skręcenia kostki czy paru siniaków powstrzymały go przed przedostaniem się za płot, lecz czas. Jak najszybciej powinien dotrzeć do klasztoru.

– Nocna wizja lokalna, inspektorze? – usłyszał za plecami głos Szałaja. – Czytałem, że pana metody są niecodzienne, ale żeby kombinować włam na miejsce zbrodni? Tego się nie spodziewałem.

– Cześć, sierżancie. – Hubert odwrócił się, udał wesołość. – A ty co, spać nie możesz?

– Skończyłem właśnie nocną zmianę przy apostołe – odparł niezrażony policjant. – Haselhof wciąż drzemie. Nie dostarczę danych do przełomu w śledztwie. Lekarz mówi, że szanse na wybudzenie w nocy są raczej marne. Odesłał mnie do domu. Zdrzemnę się i od rana abarot nuda na krzeselku.

– Doktor Cania tak stwierdził? – Hubert wzmógł czujność. – Zgłosiłeś to?

Szałaj skinął głową.

– Z ordynatora równy chłop. To, z czym on obcuje, zaprowadziłyby mnie do czubków.

– Rozumiem, że się zakolegowaliście?

– Skoro mam rozkaz tam przesiadywać? – Wzruszył ramionami i potrząsnął pękiem kluczy. – Tak się składa, że trójka też tu jest. Zainteresowany?

Hubert zawałał się. Powinien pomówić z Marcinkiem i przeszukać celę Strusia, póki stoi pusta. Jeśli jutro chowają zakonnika, kolejnej nocy może spać w tym pomieszczeniu inny brat. Wtedy nie będzie łatwo się tam dostać.

– Nie, dzięki – odparł. – Mam coś do załatwienia. Tak tylko kontemplowałem przebieg wydarzeń.

– Nie przypuszczaj nic Matuszakowi. Wiem, że się pokłóciliście.

– Drobną różnicą zdań.

– Ponoć odsunął was od sprawy.

– Każdy pracuje osobno. Mnie to odpowiada.

– Zazdroszczę panu – wyznał Szałaj. – Chciałbym móc robić to, na co mam ochotę. Iść tropem, nie trzymać się ściśle scenariusza wyznaczonego przez zwierzchnika.

Hubert zainteresował się.

– Nie znałem cię z tej strony. Myślałem, że jesteś służbista z urodzenia.

– Interesuję się taktykami przesłuchań, strategią prowadzenia wojen. Nie dane mi było jeszcze się wykazać, ale czytam sporo i się dokształcam.

– Nadejdzie twoja chwila – mruknął Hubert.

Sporzrzał tęsknie na dom Garbaczyków. Żałował, że musi iść.

– Wątpię. – Szałaj pochylił głowę. – Chyba że weźmie mnie pan do drużyny. Kaczmarka zdegradowali, jak poszedł do WWD, a i tak jest zachwycony.

– Zdegradowali go? – zdziwił się Hubert. – Nic się nie zająknął.

– Nie ma czym się chwalić. O całe dwa stopnie. Był przecież podkomisarzem – obruszył się Szałaj. I trajkotał dalej: – Teraz mu się nie dziwiw. Dobrze czasem zaryzykować. Ponoć macie być jednostką niezależną, z dodatkowymi kompetencjami, a jak pana znam, to pańscy ludzie mają spore pole manewru. Nie to, co u nas, w zwykłej służbie.

– Nie jest tak różowo, jak myślisz. Też mamy swojego Matuszaka. Nazywa się minister Czajkowski. I jest o niebo bardziej upierdliwy.

Szałaj otworzył szeroko oczy.

– Spowiadacie się tylko przed ministrem?

– Oficjalnie przed komendantem głównym. Ale jak się tutaj nie sprawię, to chyba mnie wywalą. – Hubert zmusił się do rubasznego śmiechu i skierował do swojego auta.

– Myślałem trochę o tych kokonach. – Szałaj szedł za profilerem krok w krok, nie przestając gadać. – No wie pan, o poczwarkach złożonych w podpiwniczeniu. Mój tato interesował się motylami. Do dziś w domu dziadków są witryny z zasuszonymi okazami. Wbijał je na szpilki, opisywał. Takie hobby.

– Nie mam teraz czasu – uciął dyskusję Meyer. – Pogadamy jutro?

Szałaj był zawiedziony.

– Zdawało mi się, że szukacie motywu tej zbrodni.

Hubert zatrzymał się. Przyjrzał się sierżantowi.

– Mów, co wymyśliłeś – warknął. – Ale szybko, bo jestem umówiony.

– O tej godzinie? – zdziwił się funkcjonariusz. A potem nagle rozpromienił. – Pewnie z informatorem?

– Jeśli to coś warte, Matuszak się o tym dowie – zachęcił go łagodniej profiler. – Dlaczego sprawca w ten sposób pozostawił ciała? Po co to robi?

– Tego jeszcze nie wiem – przyznał Szałaj. – Ale poczwarka to też symbol.

Hubert czekał. Nie odzywał się. Starał się nie okazywać zniecierpliwienia.

– Przeistoczenie larwy w motyla jest dla stworzenia bolesne. Kurewsko bolesne – podkreślił Szałaj, a Hubert zdziwił się, że prymus Matuszaka zna takie słowa. – Transformacja do następnego stadium rozwoju to cholernie długi proces. Kokon przywiera do ciała, niemal się z nim łączy. Kiedy motyl jest gotów do wyjścia, wcale nie tak łatwo mu zrzucić kokon. Motyl się wije, walczy, szarpie. Nierzadko umiera, jeśli nie ma wystarczająco determinacji, woli walki czy jakkolwiek to nazwać... – Zatrzymał się. – Nie wiem też, czy ci ludzie faktycznie zostali zmuszeni do wypicia trucizny i założenia na głowę worka foliowego, czy sami to sobie uczynili, ale gdyby tak było, musi towarzyszyć im zagorzała wiara.

– W co?

Szałaj skrzywił się. Wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem, czy po śmierci idzie się do piekła, czy nieba, ale dokądkolwiek trafią, stworzą własny raj. Bo święcie w to wierzą. Jeśli faktycznie mieli przywódcę duchowego, czy on był oszustem, czy prawdziwym apostołem, obdarował ich siłą. Można powiedzieć, że nie chcieli, by ta moc się zmarnowała.

Hubert czekał w napięciu na jakąś konkluzję, ale się nie doczekał.

– Uważasz, że skojarzenie z kokonem poczwarki należy traktować dosłownie? – upewnił się psycholog.

– Kształt jest podobny – zauważył Szałaj. – Tylko w przypadku dzieci otuliny z kołder jest więcej. Całuny miały wrzecionowatą formę, a wewnątrz izolację. Może w ich zatrutych demagogią umysłach ten sposób śmierci miał być rodzajem oświecenia? Dewocjonalia miały im przypominać o tym, kim będą po tym, jak zmienią formę.

– Zostaną motylami?

– Gdyż teraz są w postaci larwy – tłumaczył dobrodusznie Szałaj. – Reinkarnacja za życia. Zostali przecież pochowani żywi. Trucizna, alkohol i worek to tylko środki znieczulające.

Zapadła cisza.

– I co o tym sądzisz, inspektorze?

– Jeszcze nic. Ale dałeś mi do myślenia – przyznał Hubert. – Gratuluje.

Ruszył do swojego samochodu. Zajął miejsce za kierownicą.

– Gdybyście z Kaczmarkiem potrzebowali pomocy, jestem do usług – zapewnił sierżant. – Nie, Matuszak mnie nie wysłał. Nie zdradzę was. To moja własna inicjatywa. Mam już dość mało znaczących zadań. Lubię rozmyślać i mogę się przydać.

Hubert wahał się. Ambitny typ, a do tego służbista filozof. Kiepskie połączenie.

– Skontaktuj się z Grześkiem. Jest kilka tropów do sprawdzenia. I powiedz mu o motylach – polecił. – Kto pilnuje teraz Haselhofa, skoro ty idziesz odespać?

– Chyba nikt. Matuszak nie wierzy, że coś z niego wyciśniemy. Jakby co, doktor zobowiązał się pomóc. Wymieniliśmy się komórkami.

– Sam ordynator Cania? – Hubert z trudem ukrywał zaskoczenie. – Ten facet kiedykolwiek odpoczywa?

Szałaj roześmiał się, biorąc uwagę psychologa za kwaśny komplement.

– Osobiście go przeszkoliłem – oświadczył. – Mogę dać znać, jeśli chciałby pan przy tym być. Ja z pewnością będę dziś spał na czujce.

\* \* \*

Marcinek wybudzał się z drzemki, a po chwili znów się w niej pogrążył. Za każdym razem popatrywał na krótkofalówkę leżącą na stoliku przy pryczy i modlił się żarliwie, by Meyer nie wrócił. Wreszcie zerwał się, wsunął stopy w drewniaki, a zanim Wielki Bern, jego obecny współlokator, przekreślił się na drugi bok, Marcinek był już u wejścia do celi Strusia. Wkładał klucz do zamka, gdy usłyszał trzaski, a potem głos profilera zniekształcony przez urządzenie.

– Psalm sto dwudziesty czwarty. Odbiór.

Zakonnik zamarł w bezruchu. Rozejrzył się, ale poza nim nie było nikogo. Przekreślił klucz. Nie pasował. Spróbował raz jeszcze. Bez skutku.

– Naszą pomocą jest Pan i Stwórca – wyszeptał, choć ustalili, że te słowa będą odzewem bezpieczeństwa. Dorzucił dyszkantem: – Nie mogę tego zrobić. To zbyt niebezpieczne.

– Życie jest niebezpieczne – odpowiedział Meyer. – A na dodatek kończy się śmiercią. Otwórz. Stoję pod bramą. I wyobraź sobie, że jest zamknięta!

Marcinkowi tak trzęsły się ręce, że krótkofalówka wyskoczyła mu z dłoni, jakby była żywym stworzeniem. Ukucnął, skulił się. Czuł, że nie będzie w stanie się podnieść, jeśli nie zrobi tego od razu. Zaintonował modlitwę.

– Co tam mamrociesz? – niecierpliwił się Hubert.

– Zmienili zamki.

– Wpuść mnie.

– Klucz nie pasuje. – Marcinka powoli ogarniała panika. – I tak nie wejdiesz do środka. A jeszcze nas złapią.

– Kto? Wszyscy śpią. Widzę przecież, że okna w celach są ciemne.

– Odejdź, bo zawołam przeora i powiem, że mnie nękaasz.

Hubert przeklął szpetnie.

– Chcesz zostać w klasztorze? – spytał na zakończenie wiąchy. – To lepiej tu przyłaż. W przeciwnym razie wrócę z policją. Przeniosą cię na kuchnię jak nic. Skończą się lichterze i krypty Mieszka.

– Nie masz takich mocy. Wyłączam ten sprzęt.

– Będę świecił długimi z auta całą noc i śpiewał szanty.

Cisza. Hubert słyszał jednak, że Marcinek się nie rozłączył. Obaj wiedzieli, że Meyer jest w stanie to zrobić.

– Powiem im też, co zataiłeś – zagroził. – Matuszak urwie ci klejnoty. To pewne.

– Rób, co chcesz – zdecydował zakonnik. – Nie muszę ci pomagać. Strusia to nie wskrzesi, a ty nie prowadzisz tego dochodzenia. Jest zamknięte.

Hubert milczał.

– Otwórz mi i uciekaj – rzekł po namyśle. – Zadbaj o to, by współlokator widział cię w celi. Jakby trzeba było, narób rabanu. Dopiero gdy będziesz poza podejrzeniem, wejdę na teren. Nikt się nie dowie. Chcę sprawdzić tylko jedną rzecz. – Umilkł, ważył kolejne słowa. – Też kogoś straciłem i wiem, jak się czujesz – szepnął z troską. – Ból zmieszany z gniewem. Chcesz spać, a nie możesz. Na jawie zdaje ci się, że śnisz. Jakby zniecka wrzucili cię do obcej bajki. Mam rację?

Marcinek nie odpowiedział. Trzymał jednak urządzenie włączone, bo Hubert słyszał trzaski i wycie psów z daleka.

– A klucz do celi ojca Strusia? – spytał łagodniej zakonnik. Hubert wiedział już, że osiągnął skutek. – Mój nie pasuje. Odbiór.

– Poradzę sobie. Przyniosłeś habit?

– Sprawdź dziuplę klonu srebrzystego. Jest spróchniała w środku i obrośnięty bluszczem. Od lat służy nam za kryjówkę na zastępczy klucz. Odbiór.

– Dobry z ciebie tajny agent, Marcinku. Odbiór.

– A myślałem, że Daniel ocalony z jaskini lwów.

– Przecież to ty sam jesteś lwem. Odbiór.

Hubert wręcz widział, jak mały zakonnik się uśmiecha. On sam też rozciągnął usta w kpiący grymas.

– Nie walcz z tym bólem. To potrwa – dorzucił Meyer. – I nie musisz mi dziękować. Misja jeszcze nie zakończona.

– Z Wielkim Bernem pomówisz bez mojej pomocy – padło w odpowiedzi. – O trzeciej rusza na targ odebrać kwiaty na pogrzeb ojca Strusia. Bez odbioru.

\* \* \*

Hubert tak samo świetnie znał się na dendrologii, jak na zapachach perfum, kiedy jeszcze nie miał wężu. Rozejrzał się i wytypował kilka obrośniętych najgrubszych pni. Obmacywał je dobre dziesięć minut, zanim trafił na ten właściwy. Pod bluszczem przechylonego drzewa faktycznie znajdowała się podłużna szpara, ale musiał nieźle się natrudzić, by włożyć tam dłoń. Pakunek spoczywał niemal na samym dnie. Hubertowi zdawało się, że prawie wlaźł do środka. Wydobył habit, który należał chyba do Marcinka, bo sięgał Hubertowi ledwie do połowy łydki i trzaśkał w szwach, kiedy policjant go wkładał. Obszerny kaptur był jednak wymiarowy. Jeśli sunie go głęboko, nikt nie ma prawa dostrzec jego twarzy. Nocny chłód to w miarę uzasadniał.

W kieszeni znajdowała się karta magnetyczna. Do niej dołączono naklejkę z dwoma rzędami cyfr. Znaczyło tyle, że hasło do wejścia jest dwustopniowe. Meyer poświecił sobie latarką, bo ciąg był zbyt długi, żeby go spamiętać. Zmartwiło go trochę, że zostawi ślad. Sądził naiwnie, że dostanie starożytny klucz z mosiądzu albo kutego żelaza na przerdzewiałym kółku. Rozejrzał się.

Kamery ustawiono tak, że nie było ich widać. A może wcale ich nie zainstalowano? Marcinek przekonywał, że w klasztorze nie ma monitoringu, ale Hubert w to wątpił. Skoro mają elektroniczną bramę, ktoś siedzi przed laptopem w dyżurce i obserwuje wejście. Pozostawało liczyć, że śpi albo poszedł zaparzyć sobie ziółka, czy co tam piją klasztorni ochroniarze.

Pokonał dziedziniec, plac przed katedrą i skierował się kruzgankami do wieży, w której przez lata żył ojciec Struś. Starał się iść spokojnie, bez pośpiechu.

Ku jego zdziwieniu drzwi do klatki schodowej były otwarte na oścież. Zamek wyłamano, a na posadzce widniał ślad policyjnego obuwia w dużym rozmiarze. Hubert był niemal pewien, że kiedy zbadają odbitkę, okaże się, że jest to czterdzieści sześć. Zawahał się. Myślał szybko. Iść i kontaminować ślady czy dzwonić po Matuszaka? Miał ochraniacze na buty, a w kieszeni kilka par jednorazowych rękawiczek. Nie bardzo mógł się teraz wycofać, a nie był pewien, czy następnego dnia Marcinek nie zmieni zdania i w dziupli kłonu będzie czekała karta wejściowa. Zrobił zdjęcia odbitek obuwia, uwiecznił ślady włamania w drzwiach, a następnie postąpił krok naprzód, odpinając jednocześnie zatrzask kabury. Serce waliło mu jak oszalałe.

Kiedy znalazł się pod celą Strusia, spostrzegł światło. Ktoś używał szperacza. Ten ktoś nie przyszedł jak Hubert – rozejrzeć się. Pracował metodycznie. Wiedział, czego szuka.

Meyer przyłgnął plecami do ściany. Znieruchomiał. Wsłuchiwał się w każdy szelest kroków konkurenta. Czekał, czy osoba znajdująca się wewnątrz, orientuje się, że ma towarzystwo. Odsuwano meble, przekładano przedmioty. Wreszcie dobiegł go odgłos łamanych desek. Nie wytrzymał, przyłożył oko do szpary w drzwiach, ale nie był w stanie dostrzec rysów twarzy rabusia. Nie był też w stanie określić gabarytów jego ciała. Nocny gość wpadł na ten sam pomysł z habitem. Jego przebranie było jednak standardowe. Siegało do kostek, osłaniało ręce. Głowę człowieka całkowicie przykrywał kaptur.

Hubert nie zastanawiał się dłużej. Wyciągnął rewolwer i pchnął skrzydło drzwiowe.

– Ręce na głowę. Policja.

O sekundę za długo wpatrywał się w intarsjowaną skrzynkę wydobytą ze skrytki pod podłogą i za późno zareagował. Intruz zamachnął się na Meyera, zadał celny cios w głowę. Hubert upadł, ale zaraz się zerwał. Szarpnął napastnika za habit. Kotłowali się chwilę i profiler natychmiast pojął, że walczy z kobietą nienawykłą do przemocy. Chwycił ją za nadgarstki, unieruchomił. Zsunął z głowy kapuzę. Włosy miała ogolone na zero, twarz naznaczoną rytualnymi kropkami. Z szyi zwiślał jej złoty łańcuszek,

na którym zawieszono trzy czerwone koraliki. Identyczne, jakie założono kotom na posesji przy Halnej 3.

– Kim pani jest? – warknął, jednocześnie lokalizując swój rewolwer.

Leżał pod ścianą, bliżej niej niż jego. Przesunął się w tamtym kierunku i kopnął broń dalej, by kobieta nie mogła jej dosięgnąć.

– Co pani tu robi?

– Chyba to samo, co i ty zamierzałaś. – Podniosła butnie podbródek. Wskazała plik artykułów ze zdjęciami ze starych gazet, którymi przełożono egzemplarz *Strażnika Dusz*. – Płdruję celę ojca Strusia.

– Maria Garbarczyk?

– Obecnie Sheela Pur Mei. Ale wcześniej Wiktoria Garbarczyk, córka Marii. W sumie dobrze się złożyło, bo i tak miałam się zgłosić.

\* \* \*

Kasetka leżała na łóżku. Obok niej książka autorstwa ojca Strusia i Jacka Morawskiego. Niemal każdą stronę przełożono wycinkami z gazet oraz cienką bibułą na pierwszy rzut oka wyglądającą, jakby wydarto ją z Biblii. Kiedy Hubert spróbował odczytać kilka cytatów, stwierdził, że to jakaś dalekowschodnia księga. Było też zdjęcie nagich kobiet pogrążonych w ekstazie podczas modlitwy i stara komórka, sprzed epoki smartfonów. Bateria była wyjęta. Na samym dnie pudełka leżał zapakowany w kopertę komercyjny test DNA. Hubert z trudem się powstrzymywał, by go nie otworzyć.

– Możecie mnie już zabrać? – spytała znudzona. Siedziała przy oknie, paląc papierosa. Wciąż miała na sobie habit. Zdjęła jedynie kaptur. – Chętnie bym się zdrzemnęła.

Hubert zignorował jej utyskiwania. Kolejny raz obchodził pokój. Przyglądał się ścianom, podłodze, futrynom okiennym. Dokładnie przejrzał kosz na śmieci.

– Czego szukasz? – parsknęła, ze złością gasząc peta w słoiku po klasztornym miodzie, który Hubert dla niej znalazł. Sam chętnie by zapalił, ale nie chciał mieszać niedopałków, a drugiego naczynia nie było. W związku z tym był coraz bardziej wściekły.

– Nie wiem. Kiedy się nie wie, czego się szuka, jest większe prawdopodobieństwo, że się to znajdzie.

– To bez sensu.

– Niezgodności. Dysonansu. Tego, co nie pasuje.

– Skarb ojca Strusia ci nie wystarczy?

Wskazała łóżko, na którym ułożyli fanty. Hubert wstępnie ją o nie rozpytał, ale stwierdziła, że widzi je pierwszy raz w życiu, i umilkła na dobry kwadrans. Utrzymywała też, że nie zabiła Strusia. Meyer jej nie wierzył. Patrzył na za duże buty, które miała na sobie, i rozumiał już, dlaczego odbitki błota na miejscach zdarzeń były niekompletne. Była zbyt lekka, miała za małą stopę, by ślad odcisnął się w błocie w całości. Na pewno włożyła to obuwie specjalnie, bo chodzenie w takich kajakach z pewnością było uciążliwe, ale chciała, wręcz postarała się, by znaleźli te ślady. Nie ulegało wątpliwości, że Wiktoria ma związek ze wszystkimi sprawami, nad którymi pracowali.

Mimo to wciąż nie wezwał Matuszaka. Zawiadomił jedynie Kaczmarka i miał nadzieję, że młody profiler jest w drodze. Ustalił z Wiktorią, że będzie się zachowywała cicho, a czas na wyjaśnienia przyjdzie, kiedy opuszczą klasztor. Młoda kobieta uśmiechała się, jak mają w zwyczaju ludzie „oświeceni” przez guru: nie dostrzegała powagi sytuacji, choć wiedziała znacznie więcej niż on.

Rozległy się kroki. Do pomieszczenia zajązwał wprawdzie przerażony Marcinek, a za nim jak góra wyrósł Wielki Bern.

– To ją widziałeś? Tego dnia, kiedy w klasztorze był ksiądz Morawski? – Hubert nie bawił się w powitania.

Zakonnicy przyglądali się kobiecie, która apatycznie sięgnęła po kolejnego papierosa Meyera. Wielki Bern zacisnął usta, potarł ręką policzek, jakby miał tam coś brudnego, i wzruszył bezradnie ramionami.

– Może?

– Widziałeś czy nie? To ważne!

Ołbrzym spojrział prosząco na Marcinka, jakby mały brat miał moce, by go stąd jak najszybciej zabrać.

– Zawołam przeora. – Zaczął się wycofywać. – Trochę późno na rozmowy.

– Nie denerwuj go. I tak ledwie trzyma nerwy na wodzy – poprosił Marcinek, a Hubert podziękował mu spojrzeniem za wsparcie. – Skup się, Berni. To ta pani wzięła coś od Jacka? Ona?

Hubert westchnął ciężko. Nie bardzo wiedział, jak z tego wybrnie, jeśli zakonnicy umyją ręce od sprawy. Z pewnością najchętniej siedzieliby cicho i potraktowali nocną wizytę jak zły sen.

– Rozbieraj się – rzucił do kobiety. A potem się poprawił, widząc politowanie na jej twarzy. – Wiktorio, mógłbym cię prosić o zdjęcie przebrania?

– A jeśli jestem goła?

– Byłaś goła na spotkaniu z Jackiem?

– Czasami – przyznała. Powiodła z satysfakcją spojrzeniem po zebranych, a potem dodała: – Żartuję.

Mnisi cofnęli się o krok. Hubert podniósł brew. Zastanawiał się, czy w tej drwinie może być ziarno prawdy.

– A tego dnia, kiedy zginął ojciec Struś?

– Wtedy się z nim nie widziałam. Mówiłam, że jestem tutaj pierwszy raz.

Hubert zacisnął szczękę. Pogrywała z nimi. Czowała się pewnie, była wręcz bezczelna.

– Pojedziemy na komendę – zarządził.

Wiktorija wstała.

– Najwyższa pora. Mam już dość tej gównoburzy z poszukiwaniem listem gończym mojego taty i mnie. Powinniście szukać kogoś zupełnie innego.

– Kogo?

– Powiem, jeśli po konsultacji z adwokatem uznam, że to mi się opłaca.

Spojrzała na telefon, który Hubert jej zarekwirował.

– Możesz przeprowadzić tę rozmowę teraz. – Podał jej komórkę.

Ku jego zdziwieniu pokręciła głową.

– Jeszcze go nie posiadam. Nawet nie wiem, jak załatwia się mecenasa.

Hubert wykrzywił się z powątpiewaniem.

– Za to z włamaniem do klasztoru poradziłaś sobie pierwszorzędnie. Co ciekawe, choć jesteś tutaj pierwszy raz, celę zamordowanego zakonnika znalazłaś bez trudu.

Wiktorija nie zaprotestowała.

– Włamywać się potrafię. Może to jedyne, co umiem. – Zawahała się, nim podjęła wątek. – Uciekłam bez grosza w kieszeni. Od lat nie byłam poza osadą.

– Co to za osada? Adres.

Wiktorija go zignorowała. Ciągnęła wywód, patrząc profilerowi prosto w oczy.

– Jak rozumiem, przysługuje mi ktoś z urzędu?

– Zabierzcie ją i pilnujcie do przyjazdu radiowozu – polecił zakonnikom. – Włamała się, splądrowała celę. Narobiła śladów, które, mam nadzieję, tym razem nie zostaną umyte? – Spojrział przeciągle na Marcinka.

Mnich zbłądł, uszy mu płonęły. Pochylił głowę i wyszeptał:

– Czyli zawiadamiamy przeora?

– Z tym jeszcze zdążymy – uspokoił go Hubert. – Rozejrz się, a potem zaprowadzicie mnie do waszego szefa. Wezmę to na siebie.

Ściągnął habit, podał go Marcinkowi wraz z kartą. Otworzył szufladę. Wydobył z niej modlitewnik, różaniec i damską szcztokę do włosów. Dokładnie obejrzał przedmioty. Włożył z powrotem. Zasunął

szafkę.

Odwrócił się do kobiety.

– Żadnych sztuczek.

Włożył do kabury swój rewolwer. Po namyśle wyjął go ponownie, otworzył bębenek i położył na dłoni jedną kulę. Podszedł do ściany, w której była dziura po postrzale. Druga – jak powiedział Bożiłow – okazała się śmiertelna dla ojca Strusia. Przymierzył nabój do miejsca. Nie pasował. Nie chodziło o kaliber.

## ROZDZIAŁ 5 NIEBEZPIECZEŃSTWO

### 1 października (piątek)

#### POZNAŃ

– Strzelano z dwóch jednostek broni – powtórzył Meyer i spojrzął na Matuszaka, który wpatrywał się w opinię balistyka potwierdzającą słowa profilerów. – W ścianie jest otwór, który nie został uwzględniony w opinii. Dlaczego? Znasz odpowiedź na to pytanie?

Matuszak milczał. Metodycznie rozrywał opakowanie po papierosach i był to jedyny symptom zdenerwowania, jaki okazywał.

– Nie wiemy, z jakiego pistoletu został wystrzelony, ale nie był to rewolwer – kontynuował Hubert. – Tak naprawdę nie wiemy, co wydarzyło się w tej celi. Kto nocą odwiedził zakonnika? Skoro ja wszedłem na teren klasztoru niezauważony i udało się do Wiktorii Garbarczyk, mógł to zrobić każdy. Jak przebiegła interakcja? Pewne jest tylko to, że ojciec Struś w momencie śmierci nie był sam. Jeśli próbował się zastrzelić, w co wątpię, podobnie jak w to, że jego śmierć była wypadkiem, sprawca był uzbrojony i wychodząc, zabrał ze sobą narzędzie zbrodni. Jestem niemal pewien, że szklanki z alkoholem, botulina i rewolwer służyły inscenizacji, by odwrócić naszą uwagę. Chociaż Bożiłow i balistyka potwierdzają, że Struś zginął od kuli ze smith and wessona.

Położył na stole swój sprzęt. Dołożył zdjęcie otworu w ścianie z opisem techników.

– Wiem, że moje wejście do pokoju zakonnika odbyło się nielegalnie i że powinienś wiedzieć o tym wcześniej – wytłumaczył się bez poczucia winy. – Zdam sobie sprawę, że oględziny miejsca zdarzenia nie do końca odpowiadają przyjętym standardom, ale przyznasz, że zdobyte dowody zmieniają obraz sytuacji.

– Zdecydowanie – wycedził przez zęby Matuszak. – Możliwe też, że dzięki twoim nocnym działaniom wymienią szefa kryminalnych w Poznaniu. Ty w każdej chwili możesz opuścić miasto, umyć ręce od sprawy i co najwyżej będziesz miał postępowanie dyscyplinarne. Jak znam życie, twój minister się za tobą wstawi i przerzuci cię do pomocy innej jednostce. Ja natomiast będę świecił oczyma przed górą i nie mam wytłumaczenia, dupochronki, bo to, co wykonałście z Kaczmakiem od wczoraj, to jakaś hucpa, a nie pomoc. Jak mam wyjaśnić komendantowi i prokuraturze, że działacie za moimi plecami?

– Sam nas wyeliminowałeś – oburzył się Meyer. – Dostaliśmy zielone światło na działania niezależne. Mieliśmy nie zbliżać się do Klary i Morawskiego. Rozkaz uszanowaliśmy. Dobrze wiesz, że Kaczmarek to potwierdzi. Nadal chcesz iść w dyscyplinarkę?

Matuszak z trudem powstrzymywał się przed wybuchem. To była jawna bezczelność, ale wiedział, że profilerzy są w prawie. W razie skandalu to on wyjdzie na głupka. Nie zapanował nad podwładnymi, dał po sobie jeździć.



– Doskonale radzimy sobie ze śledztwem bez was – syknął. – Nazwijmy rzecz po imieniu: przeskadzacie.

– To ty przeskadzasz nam pracować! – Do dyskusji nieoczekiwanie włączył się Kaczmarek, wciąż zielony na twarzy z niewyspania i przepicia. Zionął alkoholem, więc zapobiegliwie odsunął się od Matuszaka na większą odległość. Zaraz jednak dorzucił ze złością: – Odciąłeś nas od śledztwa, zatajałeś kluczowe dane! Mimo to mamy Wiktorię Garbarczyk i nowe tropy łączące doktora Canię ze sprawą. Przyznaj, że się pomyliłeś i nam zazdrościsz. Mamy ten sam cel: złapać skurwysyna!

Obaj spojrzeli na młodego profilerka zaskoczeni. Hubert uśmiechnął się oczyma, za to Matuszak zerwał się z krzesła, jakby chciał przywalić Grześkowi z główką.

– Tropy? Raczej bezużyteczne barachło! Zaciemnia obraz i zmusza moich ludzi do drobiazgowej analizy pobocznych wątków, które niczego nie wnoszą do sprawy – huknął. – Lekarz nie przyznaje się do wystawienia zaświadczenia Haselhofowi, a jego pieczętkę mógł zrabować każdy. Tak, facet mieszkał kiedyś na Halnej, ale siedem lat temu, jeszcze zanim zaginęli Garbarcykowie. Dziewczyna, którą mi dostarczyliście, podaje się za Wiktorię Garbarczyk. Nie ma dokumentów, bez badań DNA nie stwierdzimy, czy jest spokrewniona z zaginionymi. Do waszej wiadomości: odmówiła wyjaśnień.

– To może być Wiki – upierał się Grzegorz. – Jest podobna do matki. Gdyby nie ostrzyżone włosy, postarzony portret z gazet byłby miarodajny.

Sięgnął po fotografię wykonaną przez techników, która została opublikowana w mediach wraz z listem poszukiwawczym.

– Sam mówiłeś, że antroposkop się sprawił.

– Wiki Garbarczyk powinna mieć dwadzieścia trzy lata. A pani, którą znaleźliście, jest grubo po trzydziestce.

– Bez urazy – wtrącił Kaczmarek. – To twoja subiektywna opinia. Według mnie wygląda maksymalnie na dwadzieścia pięć. Chodzi ci o te tatuaże na twarzy?

– Sądzę, że ta kobieta upozowała się na Wiktorię i ją udaje. – Matuszak był nieugięty. – Pojawiła się w celi Strusia, kiedy wiadomo było, że przyjdzie tam Meyer. A jeśli to kolejna manipulacja sprawcy? Rodzaj prowokacji?

– Po co? – zapytał Hubert. – Po co miałyby to robić?

– Gdyby miała czyste intencje, złożyłaby zeznania – odparł Matuszak. – Wbrew temu, co ci obiecywała, zaprzecza. Nie przyznaje się. I twierdzi, że nie wie nic o losach swojej rodziny.

– Nie przyznaje się do udziału w śmierci zakonnika – zgodził się z prowadzącym dochodzenie Meyer. – O losach rodziny może nie wiedzieć, skoro się ukrywała. Dowodu też nie mogła wyrobić. Miała szesnaście lat, kiedy Garbarcykowie zniknęli.

– Gdzie? – Matuszak odpowiedział pytaniem na pytanie. – Gdzie byli? Ta kobieta nie potrafi podać adresu. Kiedy ją przycisnąłem, stwierdziła, że nie zna lokalizacji. Mówiła coś o lesie, jakimś zbiorniku wodnym. Kto wywiózł ją na szosę i zostawił uśpioną? Nie wierzę w te bajeczki. Mają zamydlić nam oczy. Zdecydowanie za dużo tych znaków zapytania. Może jeszcze powiecie, że kuria nami manipuluje, przeor jest w to włączony i to jakaś wojna religijna?

– Nigdy nie przedstawialiśmy takiej hipotezy – zaproponował Hubert.

– Więc co się tutaj wyprawia? Co się wydarzyło na Sołaczku? Jak zginął ojciec Struś? Z jakiego powodu działał jego domniemany zabójca? Po co kalacie dobre imię szanowanego doktora Cani? Fakt, nie zarejestrowałem wcześniej, że to jego matka hoduje koty i kangury, ale to nie jest zabronione. Gdyby moja rodzicielka żyła, sam nie wiem, jakie dziwactwa miałyby w tym wieku.

Meyer z Kaczmarkiem spojrzeli po sobie.

– Dopuszcz nas ponownie do śledztwa – poprosił Hubert. – Pozwól porozmawiać z Wiki. Złeć swoim ludziom gruntowne, choć dyskretne sprawdzenie życiorysu doktora Cani. Ten człowiek ma obecnie absolutną władzę nad życiem naszego jedyne go świadka i podejrzanego. Jeśli Haselhof wybudzi się ze śpiączki, nie zdołamy go przesłuchać, bo odwołałeś Szalaja.

– Bzdury! – zełościł się Matuszak. – Szanse na wybudzenie po pochowaniu żywcem są żadne. Chyba jesteście głusi! Cania kilka razy to podkreślał. Jeszcze może powiecie, że z rozmysłem trzyma Haselhofa w śpiączce?

– To wcale nie jest wykluczone – przyznał Kaczmarek i sięgnął po roztwór elektrolitów. Wypił do dna. – Nie byłoby mu na rękę, gdyby facet się obudził i wskazał go jako sprawcę. Dziś w nocy rozmawiałem nieoficjalnie z mieszkańcami Sołacza. Było grubo.

– Aż tutaj czuję – parsknął Matuszak, zatykając nos. – Za moich czasów potrafiłeś wieczór spędzić przy małym piwie, a i to połowa szklanki zostawała.

– Kazałem mu się poświęcić. – Meyer wziął Grzeska w obronę. – Posłuchaj, bo młody wiele się dowiedział.

– Od kogo? Czego? – Matuszak prychnął jak rozwścieczony kocur. – Plotki i legendy mnie nie interesują.

– Gadałem między innymi z ojcem Anity – zaczął Kaczmarek. – Nowacki prowadził strzelnicę, do której chodzili Garbarczyk i Cania. Wiem już na pewno, że panowie się znali. Doktor pożyczył Guciovi sporą sumę pieniędzy. A przez Garbarczyka Haselhof przejął dom rodzinny Caniów. W mojej opinii brzmi to jak porządny motyw!

– Ktoś coś słyszał, coś komuś powiedział! – drwił Matuszak. – Nazwiska, daty, kwoty? Odkąd jesteś w Warszawie, nabawiłeś się dziur w mózgu? Piłeś z tymi ludźmi, chcieli się popisać. Będziesz miał coś do protokołu, wrócimy do tematu.

Kaczmarek zacisnął usta i spojrzał na Meyera. Ten lekko pokręcił głową, ale Grzesiek zdecydował się walczyć.

– Rozpytanie lekarza na okoliczność tych pogłosek jest moim zdaniem pilne i konieczne. Jeśli to tylko plotki, puśćisz Canię luzem. Starczy nam godzina rozmowy. Mam concept, jak załatwić go na miękko. Kotwica: matka, koty, chory ojciec. I lewe zaświadczenie. W każdej chwili będziesz mógł nam przerwać.

W pokoju zapadła męcząca cisza.

– Po tym, co odwinęliście, nie mogę was dopuścić do śledztwa. – Matuszak rozłożył ręce. – Zrozumcie, zły przykład dla innych. Wy wyjedziecie, a ja zostanę. Ludzie będą mieli mnie za cipę. Chodzi o respekt.

– Napiszemy ci raport. Weźmiemy winę na siebie – obiecał Meyer. – Wezwanie do komendanta masz na poniedziałek rano. Do tego czasu pozwól nam działać, zjednoczmy siły. Być może ten weekend okaże się kluczowy, by połączyć wszystkie puzzle. Wyszedłbyś z odprawy u szefa z tarczą, a gdyby coś poszło naprawdę źle, niesubordynacją obciążysz nas, czyli obcych z głównej. Twój komendant będzie czysty, ty jesteś czysty. Całe gówno do naszego ogródka.

Matuszak wpatrywał się w profilerów z niedowierzaniem. Wreszcie opuścił ramiona, niechętnie skinął głową.

– Raport na moje biurko, zanim znów zaczniecie łącać prawo i robić ze mnie klauna – zażądał. – Niech będzie w nim analiza poprzednich działań wraz z listą informatorów oraz strategiami śledczymi. Plus plan na cały weekend. I żadnych więcej ruchów za plecami.

– Tak jest, nadkomisarzu. – Kaczmarek zasalutował. – Ja zrobię ten kwit.

Matuszak wahał się chwilę. Wreszcie wykrzywił się i dodał już weselszy:

– No, spodziewam się, że nie on. – Wskazał Meyera. – Jeden bezużyteczny kwit już mam. Starczy.

Mimo kpiny Meyer podziękował mu spojrzaniem. Uśmiechnął się do Kaczmarka, a potem pełen powagi zwrócił się do Matuszaka.

– Skoro formalności mamy ustalone, może warto skorzystać ze sposobności, że Boziłow jeszcze nie wyjechał? – Odchrząknął. – Rozmawiałem z nim przed wizytą w klasztorze i złożyłem na jego ręce nieformalną prośbę. Przyjaźnimy się od lat. Nie honor było mi odmówić. Właściwie to rodzaj wyzwania.

– Teraz wiem już, dlaczego naciskałeś na tego akurat eksperta. Wiesz, jak głaska psa pod włos.

Meyer go zignorował. Kontynuował swoje.

– Niestety, nie dopełniłem obietnicy i przez zatrzymanie Wiktorii lub – jak wolisz – odnalezienie kobiety, która się za nią podaje, nie dowiozłem próbek.

– Tutaj też namieszałeś? – Matuszak westchnął ciężko. – Dziś pogrzeb ojca Strusia. W klasztorze będzie pełno mediów. Dać ci palec, Meyer, sięgniesz po całą dłoń. Mam nadzieję, że przynajmniej ta sprawa nie stała się publiczna.

Hubert rozpromienił się, jakby Matuszak nie mógł bardziej mu schlebić.

– Poprosiłem go o zbadanie, czy osoby wydobyte z piwnicy Garbarczyków były ze sobą spokrewnione – dokończył.

Matuszak ożywił się. Podniósł głowę.

– Wiemy, że nie były rodziną – rzekł oględnie. – Jakie to ma znaczenie?

– Zapytałem też, czy nie znalazł markerów nowotworowych. Czy przypadkiem nie chorowali. Jak Struś i Haselhof.

– Byli zdrowi. – Matuszak odetchnął z ulgą. – Twój trop do ordynatora urywa się nieoczekiwanie. Trudno, świetnie.

– Nie do końca – rzucił Meyer.

Odwrócił się, dał znać Kaczmarkowi. Matuszak patrzył, jak Grzesiek powoli wstaje i wychodzi z gabinetu. Po chwili wrócił z Szałajem.

– Kolaborujesz z nimi? – ryknął na niego Matuszak.

Funkcjonariusz stanął na baczność. Z trudem krył zawstydzenie. Hubert położył dłoń na ramieniu młodego sierżanta.

– Powiedz, co ustaliliśmy dzięki twojemu sprytowi.

– Inspektor Meyer poprosił, żebym zdobył próbkę włosów poszkodowanego Haselhofa – zaczął raport Szałaj. – Zdobyłem ją dziś nad ranem. Nie uwzględniłem tego w notatce służbowej, bo nie miałem kiedy jej spisać. Zajmowałem się urabianiem znajomej analityczki od billingów.

Matuszak przenosił wzrok z Meyera na Kaczmarka, ale największa złość skrupiła się na Szałaju.

– I co wam z tego przyszło? Dowiem się wreszcie, czy znów będę musiał czyścić teren?

Szałaj wydobył zza pazuchy dokument w foliowej koszulce.

– Bożiłow przekazuje ukłony. Właśnie od niego wracam. Czeka na dalsze materiały do badań i obietnicą zgodę prokuratora. Dodał, że, jak miernia, teraz to tylko formalność. – Odchrząknął.

Matuszak przeleciał wzrokiem ekspertyzę. Długo się nie odzywał.

– To pewne?

\* \* \*

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent – potwierdził Meyer.

– Mydlisz mi oczy jednostkami broni – zachnął się Matuszak. – Dlaczego od tego nie zacząłeś?

Profiler wzruszył ramionami.

– Uznałem, że lepiej będzie, jeśli sam zdecydujesz, jak ubrać to w raporcie.

– Jak mam to ubierać? Sprawa jest prosta. Skoro Haselhof jest ojcem tych dzieci, to Klara wraca do pokoju przesłuchań. Może mieliście rację, że to intryga rodzinna? Wychodzi na to, że to całkiem spora rodzina.

– To nie wszystko – przerwał mu Meyer. Spojrzał na Szałaja. – Powiedz mu.

– Telefon, który zabezpieczyliśmy w celi Strusia, był nieczynny – wyrecytował sierżant. – Nie dałoby się uruchomić aparatu. Ktoś usunął baterię. Ale babcia Grzeška miała kiedyś ten model nokii. Mówiła, że kosztował trzy tysiące złotych na współczesne. Pożyczyła nam ładowarkę. Zwykły zbięg okoliczności, podobno były bardzo popularne. Taki stary banan. – Zawahał się. Spojrzał po zebranych.

– Do rzeczy, bo jajko zniosę – zdenerwował się Matuszak.  
– Numer IMEI nie pojawił się jeszcze w bazie – wyjaśnił szybko Meyer. – Ale został wrzucony do WERY. Zidentyfikowaliśmy aparat i jego pierwszym abonentem był doktor Cania.

Matuszak się nie odzywał. Czekał w napięciu.

– Kartę SIM wydano pod numerem tożsamym z ogłoszeniem po zaginięciu Garbarczyków.

– To jeszcze nic nie znaczy – zaproponował Matuszak. – Ordynator mógł aparat sprzedać, oddać, podarować na cele charytatywne. Ktoś mógł mu go ukraść!

– Jasna sprawa – zgodził się Hubert. – Nie przychodzilibyśmy do ciebie, gdybyśmy nie mieli prawdziwej kasy. Sierżant Szałaj nie napisał notatki służbowej, gdyż bajerował koleżankę, która pracuje dla jednej z korporacji telekomunikacyjnych. Mamy nieoficjalną listę połączeń z tego numeru na miesiąc sprzed zbrodni na Sołaczcu.

– Nieoficjalną? – powtórzył z powątpiewaniem Matuszak, ale pogładził się po świecącej czaszce i uśmiechnął z zadowoleniem. – A więc był używany? Dlaczego to nie wyszło? Sądziłem, że impuls uruchamia system. Natychmiast.

– I uruchomił – potwierdził Meyer. – Telefon logował się na Sołaczcu. Trzy połączenia w ciągu kilku godzin. Potem impuls znikł.

– Dawaj to – rozkazał Matuszak.

Ze swoich przepastnych kieszeni Szałaj wydobył kolejny plik kartek.

– Dwa połączenia wychodzące – pokazał Hubert. – I jedno odebrane. Wszystkie z tym samym numerem. Wykonane dziewiętnastego września. Dzień przed pochówkiem bezimiennych ofiar z wili Garbarczyków.

Matuszak wykręcił numer podkreślony różowym markerem. Słuchał chwilę i odłożył ze wstrętem, jakby zamiast słuchawki trzymał w dłoni karalucha.

– Szpital miejski? – upewnił się Hubert. Wcześniej sam wykonał podobny test. Wiedział dokładnie, jaki komunikat usłyszał Matuszak. – Sekretariat oddziału intensywnej opieki medycznej. – Prowadzący dochodzenie w milczeniu skinął głową. – Tam gdzie Cania jest ordynatorem.

\* \* \*

**Przesłuchanie nr 1 z dnia 1 października 2021 doktora Zygmunta Cani na okoliczność wykonania profilu nieznanego sprawcy w dochodzeniach Ds 6/9/21, Ds 56/9/21 i Ds 57/9/21, jak również Ds 134/9/14 (sprawa niezamknięta-zakończona, na okoliczność wznowienia). Prowadzi inspektor Hubert Meyer, powołany do sprawy bez nadzoru, za zgodą prokuratora (w aktach, bez odwołania, warunki szczególne zgodnie z 234 kp, 7 procedura – zgodnie z ustawą ministerialną). Za lustrem fenickim asystuje prowadzący dochodzenie nadkomisarz Bogdan Matuszak oraz funkcjonariusz WWD starszy aspirant Grzegorz Kaczmarek.**

**Przedstawiono świadkowi formuły personalne. Upředzono o odpowiedzialności karnej. Sprawdzone tożsamość (zgodna z paszportem o numerze EUZ2347). Świadek Cania deklaruje, że od siedmiu lat nie posiada dowodu osobistego ani miejsca zameldowania. Oświadcza, że udziela odpowiedzi dobrowolnie i wedle własnej wiedzy. Wyraża zgodę na rejestrację audio i wideo oraz zaprotokołowanie. Nie zgłasza uwag do zatrzymania. Prosi o wrzutek. Od kilku dni boli go gardło.**

– Ile jednostek broni pan posiada i jakie modele?

– Żadnych. Zawodowo zajmuję się ratowaniem życia. Wystarczająco się napatrzyłem na ludzką głupotę.

– Ale ma pan pozwolenie na broń?

– Ostrą, gazową i myśliwską. Od lat dokumenty kurzą się w szufladzie. Są potrzebne? Zadzwońcie do mamy. Przywiezie.

– Na razie nie ma takiej potrzeby. Jakie jednostki broni posiadał pan w przeszłości?

- Nigdy nie miałem własnego pistoletu.
- Po co więc panu te wszystkie pozwolenia?

Świadek nie odpowiada. Prowadzący powtarza pytanie. Uprzedza o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Świadek zauważa, że jego wrzątek wystygł. Prosi o przerwę. Znosi się kaszlem. Dyżurny przynosi czajnik z gorącą wodą.

- Zechce pan odpowiedzieć na pytanie?
- Wyrobiłem je, kiedy Gustaw Garbarczyk zaczął mi grozić.
- Jakiego charakteru to były pogroźki? Proszę podać daty.
- Już dokładnie nie pamiętam. Długo przed zaginięciem. Wtedy zacząłem chodzić na strzelnicę. Trenowałem nawet na kałasznikowie i wyrzutni granatów.

- Bał się pan o swoje życie?
- Zdecydowanie.
- Dlaczego? Byliście skonfliktowani?
- Można to tak ująć. Pożyczyłem mu pieniądze. Sporą sumę pieniędzy.
- Ile?

– 180 tysięcy. Twierdził, że nie może oddać, ale dopuści mnie do interesu. Przez jego machlojki straciłem dom. Moi rodzice musieli przenieść się do chatki na kangurzej fermie, a tata był już wtedy ciężko chory. Pożyczonych pieniędzy nie odzyskałem do dziś. Długi zaciągnięte pod pseudointeres Garbarczyka uregulowałem dopiero w ubiegłym roku. Nikomu o tym nie mówiłem. Wstydiłem się. Ale chyba nietrudno pojąć, że byłem na tego pana, delikatnie mówiąc, wkurzony. Nie ja jeden. Takich jak ja jeleni było kilka ulic.

Świadek powołuje się na umowę, którą posiada w domu, a której nie można wyegzekwować, gdyż Gustawa Garbarczyka uznano wraz z rodziną za zaginionego. Oferuje, że pokaże ją na potwierdzenie swoich słów.

- Nie mam powodu, by panu nie wierzyć. Dokument dostarczy pan w wolnej chwili.
- Wiem, do czego pan zmierza. Ale to nieprawda.
- Co jest nieprawdą?
- Nie zabiłem Garbarczyków. Nie mam nic wspólnego z tym, co się u nich wydarzyło ostatnio. Nie tknąłem Izaaka Haselhofa. To znaczy poza tym, że go zszywałem.
- A ojciec Struś?
- Nigdy go nie spotkałem.
- Dlaczego dzwonił pan do Strusia w dniu 19 września o godzinie 22.34?
- Nigdzie nie dzwoniłem.

Prowadzący pokazuje materiał zdjęciowy. Dowód numer 2 i 7.

- Ten telefon należał do pana?
- Nie wiem. Może? Trudno powiedzieć. To jakiś rzęch.
- W 2013 roku był pan posiadaczem nokia 8110. Została zarejestrowana na pana nazwisko. Miał pan jeszcze meldunek i była to Halna 17.
- Skoro tak jest w dokumentach, to pewnie tak było. Wie pan, ile w ciągu minionych lat miałem telefonów?
- Ile?
- O Jezusie, pan tak na poważnie? Z sześć, siedem? Plus służbowe, odkąd jestem ordynatorem. Prywatnie zawsze kupowałem telefon na abonament. Nie mam nic do ukrycia.

Prowadzący prezentuje faksymile pieczęci lekarskiej na dowodzie numer 5.

- To pana podpis?

Świadek nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

- Proszę się ustosunkować.
- Może? Nie mam pojęcia. A co to za dokument?
- Już pana rozpytywano w tej sprawie. Przesłuchanie prowadził sierżant Szałaj.
- Aha, no tak. Nie wiedziałem, że to było przesłuchanie. Sierżant spędzał trochę czasu w poczekalni i czasami rozmawialiśmy. Chodzi o fałszywe zwolnienie?
- Dokładnie zwolnienie lekarskie wystawione dla Izaaka Haselhofa na potrzeby procesu sądowego w Niemczech.
- Nic takiego nie wystawiałem. Nie mógłbym, nie mam uprawnień. Z tego, co wiem, należy być w bazie biegłych berlińskiego sądu. I to zostało przyjęte? Nie do wiary!
- Więc to nie jest pana podpis?
- Raczej nie.
- Nie jest pan pewien.
- Co za problem podrobić taką parafę? Każdy farmaceuta albo dziecko to panu machnie. To już wszystko, co na mnie macie?
- Więc zaprzecza pan, że wystawił pan zaświadczenie dla Haselhofa?
- Zdecydowanie. Pierwszy raz zobaczyłem go na stole operacyjnym. Nie wiedziałem, kim jest. Ratowałem ludzkie życie. Jak dotąd skutecznie.
- Znali się panowie?
- Można powiedzieć, że był dla mnie jak Wielki Gatsby.
- Co pan ma na myśli?
- Dużo o nim słyszałem. Od Garbarczyka, jego szwagra. Nie poznaliśmy się osobiście. Poza kontaktem w szpitalu, ale zasadniczo nie mógł rozmawiać.
- Czy wtenczas pan wiedział, że to do niego obecnie należy dom pana rodziców?
- Powtarzam panu, że nie wiedziałem, kogo operuję. Dla mnie był anonimowym pacjentem.
- Czy gdyby pan wiedział, odmówiłby pan udziału w operacji?
- Składałem przysięgę. Moim zadaniem jest pomagać ludziom.
- Twierdzi pan, że nie dzwonił pan do ojca Strusia, ale odebrał pan dwa telefony. Połączenie o 21.20 trwało dziesięć minut, drugie – o 21.56 – minutę. O czym rozmawialiście?
- Świadek wybuchł śmiechem.
- Nie rozmawiałem z nikim, powtarzam panu. To takie trudne, by zrozumieć? Nie było mnie tego dnia w pracy. Ktoś inny musiał odebrać telefon.
- Tak dobrze pamięta pan swój grafik?
- Bardzo dobrze, bo 19 września to był jedyny dzień, kiedy miałem wolne. Od tamtej pory jestem w szpitalu codziennie.
- Gdzie pan był tej nocy?
- W domu.
- Ktoś może to potwierdzić?
- Gdyby mój kot mógł mówić, zapewne on.
- A jakiś człowiek?
- Rozmawiałem przez telefon z mamą. Mój tato jest chory. Pogorszyło mu się i mama chciała, żebym przyjechał, ale nie mogłem. Wypiłem kilka drinków, poszedłem spać.
- Czyli nikt nie może potwierdzić pana alibi na noc z 19 na 20 września.
- Wychodzi na to, że nie.
- A 28 września?

– Tego dnia pracowałem do późna. Wróciłem do domu około północy. Też raczej nikt tego nie potwierdzi. Mieszkam sam, jak już wspominałem.

– I twierdzi pan, że nie ma pan broni?

– Może pan mnie odwiedzić, przeszukać mieszkanie. Nic pan nie znajdzie.

– Zarówno zmarły Struś, jak i Haselhof byli pana pacjentami. Są w waszym rejestrze. Pan widywał ich w sali. Podpisywał pan ich karty podczas licznych obchodów.

– Nie przypominam sobie.

– To pana podpis?

Prowadzący okazuje kartę pacjenta numer 22/15 i 209/18, oznaczone w aktach numerami kart 367 i 368.

– Zdecydowanie.

– Był pan wtedy pracownikiem oddziału onkologii. Dlaczego pan zrezygnował?

– To moja prywatna sprawa.

– Nie chce pan odpowiadać na to pytanie?

– Z przyczyn osobistych. Czy możemy zrobić przerwę? Muszę pójść tam, gdzie król chodził piechotą.

– Słucham?

– Do kibla. Jak pan chce, może mnie pan pilnować. Nie ucieknę. Ma pan tyle lat, co ja, chyba pan rozumie.

– Niezbyt.

– Prostata, człowieku!

– Zaraz kończymy. Wytrzyma pan jeszcze pięć minut?

– Mam prawo się odlać, to chyba wolny kraj!

Świadek zaczyna krzyczeć. Konieczne jest odczytanie formuły i wezwanie nadzoru. Po rutynowych czynnościach świadek się uspokaja. Zaczyna się śmiać. Konieczna jest pauza.

– To wasze śledztwo to jakaś bzdura. I tak mi niczego nie przybijecie. Bez problemu patrzę sobie w oczy, kiedy myję zęby.

– Kto w pana biurze mógł odebrać taki telefon?

– Od Strusia? Każdy. Pracownicy, pacjenci, nawet ktoś obcy. Często nie ma pielęgniarek w biurze. A ja, jak pan wie, głównie siedzę w sali operacyjnej.

– Zdaje pan sobie sprawę, że nie ma pan alibi na czas wszystkich zgonów. Może pan to jakoś wytłumaczyć?

– Nie zamierzam. Ty jesteś od tego, żeby mi udowadniać winę. Nie mam nic do dodania. Mogę iść do tego kibla?

**Przesłuchanie nr 2 z dnia 1 października 2021 doktora Zygmunta Cani na okoliczność wykonania profilu nieznanego sprawcy w dochodzeniach Ds 6/9/21, Ds 56/9/21 i Ds 57/9/21, jak również Ds 134/9/14 (sprawa niezamknięta-zakończona, na okoliczność wznowienia).  
Prowadzi – jak wyżej.**

– Jak się pan czuje?

– Lżejszy, Bóg zapłać. Przez pana chyba dostałem biegunki.

– Lubi pan koty?

– Znacznie bardziej niż psy. Koty to wolne, niezależne zwierzęta. Powinniśmy się od nich uczyć, jak żyć. Czy wie pan, że one przesypiają 22 godziny z doby?

Prowadzący prezentuje dowód numer 87 (Ds 6/9/21).

– O Boże, to straszne. Kto im to zrobił?

– Też się nad tym zastanawiamy. Kojarzy pan tę ozdobę?

– Czy to jest nasz Chłopiec i Dziewczynka?

– Obawiam się, że tak. Pana mama je rozpoznała.

Świadek płacze.

– Przykro mi. Pomoże nam pan?

– Staram się. Nie, nie kojarzę tych koralików. Nie wiem, co mogą znaczyć.

– Kiedy ostatnio widział się pan z Gustawem Garbarczykiem?

– Na pogrzebie jego ojca. Przyszedłem z szacunku do starego Garbarczyka i licząc, że Gucio zmięknie, pod wpływem sytuacji krytycznej coś mu się poprzestawia w głowie. Myliłem się. Oświadczył, że nie odda pieniędzy. Wtedy też dowiedziałem się, że nie odzyskam domu. Zaśmiał mi się w twarz, że byłem naiwny, skoro na to liczyłem.

– Jak pan to przyjął?

– Normalnie, jak każdy poniżony facet. Dałem mu w mordę i raz trafiłem. Od kolejnych ciosów się uchylił. Nie jestem dobry w bójkach. Zajmuję się łataniem osób, które są w tym ode mnie lepsze. Nie zawsze się udaje.

– Myślał pan o zemście? O tym, by ukarać Garbarczyka?

– Każdego dnia. Bardzo mnie zasmuciła wiadomość, że zdołał uciec z naszymi pieniędzmi.

– Naszymi?

– Całej okolicy, już mówiłem. Gdybym się dowiedział, że to on jest w takim kokonie, ulżyłoby mi. Ten krętacz na to zasługiwał.

– Wie pan, jak działa botulina w połączeniu z alkoholem?

– Zasadniczo śmiertelnie. To zgon w cierpieniach.

– Ma pan dostęp do takich substancji?

– Oczywiście. Pracuję w szpitalu.

– Może przypomniał pan sobie kogoś, kto mógłby potwierdzić pana obecność w innym miejscu niż Halna?

Świadek milczy.

– Pana telefon logował się na Sołacz.

Świadek nie odpowiada.

– Chciałby się pan do tego odnieść?

– Jestem podejrzany?

– Jeszcze nie. Procedura przesłuchania byłaby inna.

– To on mnie wrabia?

– Kto?

– Garbarczyk. Znaleźliście go i próbuje zrzucić winę na mnie?

– A ciąży na panu jakaś wina?

– Nie byłem w stanie uratować bardzo wielu ludzi. Trudno się z tym pogodzić. To wszystko, co mam na sumieniu.

– Był pan na Sołacz, kiedy dokonywano pochówku bezimiennych z Halnej 3?

Świadek odmawia udzielenia odpowiedzi na pytanie. Uprzedzony o odpowiedzialności karnej, prosi o wrzątek i domaga się kontaktu z adwokatem.

– Będę musiał wezwać pana mamę. Kto zajmie się waszymi kotami?

– Zgadzam się na badanie na poligrafie. Zgadzam się na pobranie odcisków palców. Na wszystko się zgadzam, tylko jej nie szarpacie! Ma naciśnienie, cukrzycę. Ledwie znosi odchodzenie taty.

– Jaki rozmiar obuwia pan nosi? Czterdzieści sześć?



## 2 października (sobota)

### POZNAŃ

Buty były zabłocone, zniszczone, a w jednym z nich pękło sznurowadło. Postawiono je na dzisiejszej gazecie, której okładkę zdobiło zdjęcie ogolonej na zero i wytatuowanej na twarzy Wiktorii Garbarczyk. Wielki napis na czołówce głosił: *ODNALEZIONA*.

Meyer podniósł jeden z trzewików i obejrzał go dokładnie.

– Odciski pasują do śladów zebranych na wszystkich miejscach zbrodni – zaczął bez wstępów. – Od wczoraj sprawa śmierci ojca Strusia także ma zmienioną kwalifikację.

Dziewczyna nie poruszyła się. Zdawało się, że głęboko medytuje. Wpatrywała się w punkt przed sobą. Źrenice miała rozszerzone, jakby przed przesłuchaniem zażyła narkotyk. Hubert wiedział, że to niemożliwe. Cały wczorajszy dzień i całą noc spędziła w izolacie. Obserwowano każdy jej ruch. Położyła się spać i obudziła, dopiero kiedy do celi zapukał strażnik ze śniadaniem. Zjadła wszystko co do okruszka. Poprosiła nawet o dolewkę zbożowej kawy. Meyer wiedział, że tylko niewinni szaleją i awanturują się po zatrzymaniu. Ci, którzy mają coś na sumieniu, są zwykle zaskakująco spokojni. Wiktoria tak właśnie się zachowywała.

Ale to nic nie znaczyło. Nic, gdyby nie odcisk obuwia, w którym została zatrzymana.

– Nadal odmawiasz wyjaśnień? – Udało mu się zdobyć cień jej uwagi. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co to dla ciebie oznacza? Będziesz odpowiadała za cztery zabójstwa i jedno usiłowanie. Nie licząc utylizacji i zbezczeszczenia zwłok świętych kotów.

– Tylko dlatego, że miałam na sobie te kamasze? – Uśmiechnęła się.

– Prokurator uważa, że do aresztowania na trzy miesiące wystarczy – odparł. – Chyba że masz coś do dodania?

Zawahała się. Sięgnęła po łańcuszek na szyi z trzema koralikami i zerwała go jednym ruchem. Schowała do kieszeni, a po namyśle wrzuciła celnie do kosza na śmieci.

Hubert obserwował jej działania bez słowa. Wreszcie wstał, zajrzał do kubła. Odstawił go. Zajął swoje miejsce przy stole. Wtedy mu odpowiedziała.

– Poza tym, że miałam je na sobie, nie.

– Szkoda – westchnął. Podsunął w jej kierunku protokół. – Podpisz i szykuj się na transport do sądu. Na rozprawie dowiesz się, jakie konkretnie masz zarzuty. Pewnie się już nie spotkamy.

W jej oczach dostrzegł lęk. Spojrzała na dokument i leżący obok długopis, ale po niego nie sięgnęła.

– Adwokat, którego mi przydzieliliście, to oferta.

– Nie mam na to wpływu. – Meyer wzruszył ramionami. – Możesz złożyć wniosek o zmianę, jeśli istnieją uzasadnione okoliczności. Natomiast w mojej opinii mecenas dobrze ci doradza. Zacznij współpracować, a ugrasz więcej niż strugając niezłomną. Chcemy tylko wiedzieć, co wydarzyło się na Halnej. Siedem lat temu. I teraz. Wiemy, że te sprawy są ze sobą powiązane.

Odchyliła się na krześle.

– Chyba za długo nie myślałeś nad tą taktyką. – Prychnęła. – Spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Strategia na dobrego glinę powoduje u mnie womity. Zły glina, twój poprzednik z kucykiem, był śmieszny. Sama nie wiem, który z was budzi we mnie większą litość.

– Nie jestem dobrym ani złym gliną – oświadczył. – Złożyłem ci ofertę. Odrzuciłaś ją. Odmówiłaś złożenia wyjaśnień. Nie jestem w stanie zastosować żadnej strategii, jeśli wolisz chronić rodzinny sekret. To twoje życie, ale szykuj się na bardzo głośny proces. Już teraz sprawa cieszy się zainteresowaniem mediów. To trudne doświadczenie, wielu wtedy pęka. A tajemnice wcześniej czy później wychodzą na jaw. Czas działa skuteczniej niż wariograf.

Roześmiała się szyderczo.

– Mam pęknąć od razu? Bo wtedy mógłbyś przypiąć sobie medal?

– Wolałbym już premię – skwitował. – Z twoim udziałem czy bez, rozwiążemy tę sprawę.

– Dokładnie obejrzałeś zdjęcie, które znaleźliśmy w celi ojca Strusia? – spytała nagle.

Hubert zdziwił się. Starał się jednak zamaskować zainteresowanie.

– Jednak jesteś w stanie rozpoznać te kobiety?

– Może?

– Od czego to zależy?

– Chcę wyjść za kaucją. A najlepiej nie być o nic oskarżona.

– To tak nie działa.

– Musisz spytać swojego zwierzchnika? – Przekrzywiła głowę. – Kto o tym decyduje? Prokurator? Matuszak?

– Najpierw powiedz, co wiesz, a ja ci powiem, czy jest sens negocjować.

– Nie zamierzam nic wyjaśniać – powtórzyła. – Ale podrzucę ci trop. Zrobisz z nim, co zechcesz. Chciałabym jeszcze raz obejrzeć tamtą fotografię.

Hubert skinął głową, podszedł do drzwi i poprosił, by przyniesiono mu podręczne akta. Kiedy czekali, milczał. Nie spuszczał z niej spojrzenia. Była typem twardej dziewczyny, która w gruncie rzeczy jest bardzo miękka, emocjonalna. Wiedział, że boi się więzienia i możliwe, że nie poradziłaby sobie za kratami. Był pewien, że ona ma tego świadomość. Dlatego chce powiedzieć. I powie. Czy to jednak będzie prawda?

– Wczoraj powiedziałaś, że bywałaś w towarzystwie księdza Jacka Morawskiego bez ubrania. To był żart?

– Bynajmniej. Nie tylko ja modliłam się nago. Mówiono, że zbliża nas to do absolutu. Bez kagańców społecznych, czysta miłość, ekstaza. Dziś wiem, że to gówniane gadanie. I chodziło wyłącznie o podniecanie się starego dziada.

– Haselhofa?

Potwierdzenie.

– Ale nie tylko jego. Przyprawdzał swoich klientów, żeby patrzyli. Wtedy wierzyłam, że należą do naszej społeczności. Tak jak w te inne bzdury: reinkarnację za życia, bycie wybraną. Zwróciłeś uwagę, że na zdjęciu są tylko młode dziewczyny? Kiedy kobieta rodziła dziecko, traciła prawo do bycia westalką Strażnika Dusz.

– Strażnika Dusz? – powtórzył Hubert. – To ma jakiś związek z książką, którą znalazłaś u Strusia?

– Chciałabym ją przeczytać. Za szybko przyszedłeś i tylko ją przewertowałam. Ale sądzę, że tak. Dokładnie tak było. Wiele motywów, które są tam podejmowane, wpajano nam jako dogmaty wiary. Jeśli pójdę do aresztu, dostanę egzemplarz? Powiem ci, czy moje podejrzenia się potwierdzą.

Hubert zastanawiał się. Moss twierdził, że na rynku było tylko trzysta egzemplarzy. Nakład był wyczerpany, a książkę wydała oficyna, która już nie istnieje. Należała do wielu spółek Garbarczyka i przepadła, kiedy zbankrutował. Nie opublikowano w niej niczego poza *Strażnikiem Dusz*. Nie powiedział tego Wiktorii. Wpierw chciał wydobyć z niej to, co ona wie na temat grupy wuja.

– Ksiądz Jacek należał do waszej sekty?

– To nie była sekta. Robiliśmy to w chrześcijańskiej kaplicy.

– Kiedy i gdzie? Co dokładnie robiliście?

– Sam będziesz musiał to ustalić – syknęła.

Drzwi skrzypnęły i zajrzał Kaczmarek. Wiktorii powiodła za nim spojrzeniem, ale udał, że tego nie widzi. Podał Meyerowi teczkę, skierował się do wyjścia.

– Niech on zostanie – zażądała.

Meyer skinął głową, a Grzesiek zatrzymał się, przyjrzał się podejrzanej. Przez chwilę w pokoju panowała absolutna cisza. Hubert wyszukał fotografię pogładową, położył przed Wiki. Wysunęła z rękawa szczerlinie wytatuowaną dłoń i wskazała jedną z kobiet stojącą tyłem do obiektywu. Mężczyźni przyjrzeni się kształtnym pośladkom i zakrzywionej linii lędźwi modelki.

– To ja – oświadczyła. – Nie miałam jeszcze tatuaży.

Potem przesunęła palec na dziewczynę stojącą obok. Jej profil był niewyraźny. Twarz częściowo zasłaniały charakterystyczne rude włosy. Kręcone i niezwykle bujne.

– Poznajesz? – Spojrzała wyzywająco na Grześka. – To twoja była narzeczona. Anita Nowacka.

\* \* \*

Kaczmarek z trudem ukrywał szok.

– To może być każdy – zaprotestował niemrawo. – Rysów twarzy nie widać, a w tej pozie niemożliwe jest zidentyfikowanie po kształtach.

– Byłam na tej ceremonii – zapewniła Wiktoria. – Anita tańczyła obok mnie. Mówiono, że potem spółkowała z moim wujem. I z innymi jego przyjaciółmi, którzy uważali się za kogoś w rodzaju apostołów Strażnika Dusz. Wolę używać tego słowa niż pieprzyła się, bo jest wulgarnie, a to zawsze były wzniosłe misteria. Nie byłam świadkiem akurat tej orgii. Miałam dopiero szesnaście lat i mama zabrała mnie z kaplicy na czas. Pogłoski musiały być prawdziwe, bo dziewięć miesięcy później Anita urodziła dziecko. Że jest w ciąży, zorientowała się w okolicy pogrzebu mojego dziadka Staszka. Była rozbita, przerażona i wiedziała, że musi z tobą porozmawiać. To dlatego zerwaliście, nieprawdaż? Zaraz potem wyjechała do Niemiec. Tam na świat przyszedł jej synek.

– Anita nie ma dzieci – wyduśił oszołomiony Grzesiek i spojrzał błagalnie na Meyera, jakby spodziewał się, że profiler uratuje honor jego dziewczyny. – A zerwaliśmy z mojej winy. Mówiłem ci – dodał szeptem. – Przez Klarę.

– Sprawdzimy to – obiecał Hubert.

Spojrzał badawczo na Wiki. Nie odzywał się.

– Radziłabym wam dowiedzieć się, gdzie jest chłopiec, którego urodziła Nowacka – podkreśliła z naciskiem córka Garbarczyka. – Dziś miałby siedem lat. Może to jedno z dzieci, które znaleźliście w naszym domu. Czytałam, że był tam siedmioletni dubler mojego brata, Brajana. Dzieci, które rodziły się z tych ceremonii, od początku były przeznaczone na ofiarę. Oczywiście nikt im nie mówił, że pewnego dnia zostaną otrute i pogrzebane żywcem. Wszystkie rosły w przeświadczeniu, że są Wybrańcami. Synami Strażnika Dusz.

– Strażnik Dusz to Haselhof? – zapytał Hubert.

– Miał wiele imion. Jak Bóg albo Lucyfer. To było jedno z nich. Twierdził, że jest jedną z inkarnacji Strażnika. Kto będzie nim po jego śmierci? Nie wiem. Liczę, że ta chora organizacja po prostu się rozpadnie, a ludzie, którzy byli w to zamieszani, umilkną na zawsze. Może ten, kto zabił kobietę i dzieci, a potem próbował zakopać mojego wuja, ukarał go za to, co zrobił nam wszystkim? Nie jestem w stanie opowiedzieć, ile zła przez te lata uczyniono w dobrej wierze. Krzywdy seksualne, zawłaszczenia, regularne kradzieże. Byłam tylko mało istotną dziewczyną i miałam nieszczęście trafić do rodziny, która od początku była zdegenerowana. – Parsknęła z gniewem. – Pamiętam jednak, że jak w każdej religii, było bóstwo, czyli Strażnik Dusz, i jego rewers. W ramach kary zamykał reinkarnacyjny krąg i odcinał grzesznikom dłonie.

– Nazywaliście go Złodziejem Dusz?

Wiktoria skinęła głową.

– Teraz pojmujesz, dlaczego chcę przeczytać tę książkę? Może zrozumieć, po co to robili? Przez lata tylko o niej słyszałam. Wiedziłam, że istnieje rodzaj świętej księgi, z której Haselhof czerpał inspirację.

Meyer pochylił się do Kaczmarka i szeptem poprosił, by Grzegorz przyniósł mu egzemplarz, który trzymali w pudle z dowodami.

– Skopiować?

– Daj jej oryginał – polecił psycholog, a potem spojrzał z troską na Wiki. – Powiedz, jeśli coś jeszcze sobie przypomnisz.

Spuściła wzrok i lekko się zarumieniła.

– Bardzo nam pomagasz – dodał. – Twoja wiedza jest bezcenna.

– Mam nadzieję – rzuciła lekko, ale wiedział, że to podziękowanie wiele dla niej znaczy.

Hubert w jakimś stopniu ją podziwiał. Była znacznie silniejsza, niż zdawała sobie z tego sprawę, i jak na osobę kształconą chałupniczo – zabójczo inteligentna. Wydostała się z sekty, a teraz zamierzała uniknąć więzienia. Potrzebowała sojusznika.

– Jeśli dotrzymasz słowa i mi pomożesz, będę z tobą szczerą – obiecała. – Ale pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Rozmawiam tylko z tobą. Także jeśli dojdzie do procesu i później. Nie ufam nikomu.

Potwierdził skinieniem na znak zgody. Położył na stoliku paczkę z papierosami. Pokręciła głową, a potem wyciągnęła jednego. Podał jej ogień.

– Ty też takie urodziłaś? – spytał. – Dziecko. Wybrańca.

Wiki powoli podnosiła głowę. Zaciągnęła się i wypuściła dym.

– Rok temu. Córkę – szepnęła. – I też mi ją odebrano. Przeraza mnie myśl, że spotka ją taki sam los, jak bezimiennych z naszego domu. Ten, kto realizuje wizję mojego wuja, jest bardziej chory niż on.

– Wiesz, kto to jest?

Kręcenie głową.

– Jest więcej takich dzieci?

– Z pewnością. Wiem o pięciu matkach, bo razem rodziliśmy. Ale dziewczyn było mnóstwo. Na bachanaliach nieustannie pojawiały się nowe twarze. I ciała. Także dzieci Klary są zagrożone złożeniem w kokonach, bo należą do rodziny Strażnika Dusz. Chodzi o geny. Rozsiewanie genów Haselhof uważał za swój obowiązek i najwyższą świętość. Wielodzietność była promowana, a kobiety, które wychowywały piątkę, siódmkę dzieci, jak ciotka Klara, traktowano niczym boginie. Miały wszystko: pieniądze, prestiż i władzę. Były de facto nietykalne. Ci, którzy aspirowali do struktury, musieli składać im daninę. W postaci pieniędzy, złota albo nieruchomości. Ludzie, którzy mieli problem z bezpłodnością, terminalną chorobą, łapali się na to. Ja sama przez długi czas wierzyłam w te bzdury i żyłam w uniesieniu. Sądziłam, że jestem najszczęśliwsza na świecie, a byłam tylko pijana. Gwałcił mnie mój własny wuj. I kupa innych starców. Nigdy nie spałam z nikim poniżej czterdziestego roku życia. – Zatrzymała się, zacisnęła pięści, jakby zbierała siły, by mówić dalej. – Ale teraz wytrzeźwiałam. Wiem, że to było nie tylko szaleństwo, lecz regularne niewolnictwo. Rodzaj zbrodni. Nigdy im tego nie wybaczę. Kiedy byłam w środku, tak tego nie widziałam. Czułam wręcz wdzięczność, że mam dach nad głową, jestem uwielbiana i wyjątkowa. Kiedy zaciążyłyśmy, robili nam testy DNA. Dziewczyny, które miały urodzić dziecko Haselhofa, zostawały w osadzie. Nigdy więcej nie brały udziału w orgiach. By nas odróżnić, byłyśmy tatuowane. Święte obrazki na ciele miały nas chronić przed chełpliwymi spojrzzeniami samców. Jeśli miały szczęście, dołączały do haremu Haselhofa. Pozostałe wywożono. Nie wiem, jaki los je spotkał.

Długo milczała.

– Przecież to rodzaj loterii – odważył się przerwać ciszę Hubert. – Spółkowałyście z Haselhofem i innymi mężczyznami. Jakie było prawdopodobieństwo, że dziecko okaże się jęgo?

– O to chodziło. – Wzruszyła ramionami. – Dowód na to, jak wielka jest siła genów apostoła.

– Gdzie one są? Dzieci i kobiety, które urodziły razem z tobą?

– Tam, skąd wzięłam buty w rozmiarze czterdzieści sześć – padło w odpowiedzi. – W dawnej kangurzej fermie Urszuli Cani. Jej gospodarstwo ma pięćdziesiąt siedem hektarów. Wybieg dla kangurów i wolierę przebudowano na baraki z placem zabaw dla dzieci. Moja mama prowadzi szkołę, doktor Zygmunt zapewnia im opiekę medyczną, a ksiądz Jacek chrześcijańską posługę duszpasterską. Kilka lat temu odciepli się od mojego wuja i przejęli dzieciaki pod swoją opiekę. Wierzą, że w ten sposób chronią je przed złożeniem w kokony. Matki zostały z Haselhofem w Niemczech. Byliśmy bezpieczni, dopóki żył ojciec Struś. To on dawał nam rodzaj glejtu, żeby Haselhof nas nie szarpał.

– Ale coś się zmieniło? – odgadł Meyer. – Wydarzyło się coś, co zagroziło wam wszystkim?

Wiktorija sięgnęła po fotografię. Wskazała skuloną w embrion kobietę w trzecim rzędzie.

– Paulina Guz. Ostatnia faworyta wuja. Stało się to, że znaleźliście ją nieżywą na Sołaczu.  
– Ktoś zabił metrese przywódcy i tym samym wypowiedział mu wojnę? – upewnił się Hubert. – A potem jego samego?

– Najprawdopodobniej. – Wiki nagle zaczęła się wycofywać.

– Paulina Guz nie miała ani jednego tatuażu.

– Widocznie wciąż uczestniczyła w bachanaliach. Może dlatego Klara tak nienawidziła konkubin. Jej pierwszej Izaak zabronił seksu. Była od lat na bocznym torze. Od urodzenia ostatniego dziecka.

W pomieszczeniu na długi zapadła głucho cisza.

– Nie wiemy tego na pewno. Uważamy, że ojciec Struś mediował między nimi. Zależało mu, żeby sprawa nie wyszła na światło dzienne. Za bardzo był w to umoczony.

– Zakonnik?

– Tylko dlatego pozwolili mi wyjść. Żebym się tego dowiedziała. Nie byłam nigdy wprowadzona w sprawę zarządu. Jestem zaledwie dziewczyną do rodzenia dzieci, której wmawiano, że jest muzą, inspiracją, rodzajem westalki.

Nagle się zdenerwowała i zaczęła kląć. Kiedy się uspokoiła, nabrała więcej powietrza w płuca. Dokończyła:

– Paula pochodzi ze Szczuczyna, rodzinnej miejscowości wuja. Zainteresował się nią podczas wiejskiego wesela, kiedy przyjechał kupić dworek Oporowo. Miała wtedy siedemnaście lat i mieszkała w poznańskim domu dziecka. Doczekała w bidulu pełnoletności, a kiedy zaszła w ciążę, Haselhof wywiózł ją do Berlina. Oświadczył Klarze, że zamieszka z nim i dziećmi w Berlinie. Z czasem dowoził kolejne dziewczyny. Żyli jak mormoni. To dlatego zatroszczył się o wykup sąsiadujących ze sobą willi na Sołaczu. By każda z jego żon miała własny dom i by mógł je odwiedzać wedle swoich fanaberii. Intryga się nie udała, bo Klara przejrzała na oczy. Miała dosyć życia w haremie. Wniosła o rozwód tylko dlatego, że choć była pierwszą żoną, nagle została odstawiona na boczny tor. O dziwo go dostała. Udało jej się przeciągnąć na swoją stronę prawnika Izaaka. Andreas Kluge to wyjątkowa szuja. Lubuje się w nieletnich, ale tak naprawdę zawsze miał ochotę na zdobycie Klary. Chciał mieć coś, co należało do jego guru. Z Haselhofem łączyły go mocne więzi. To nie tylko jego prawnik i doradca. Kluge był mu oddany jak pies obrony. Uważam, że wie o interesach wuja dosłownie wszystko. Każdy najmroczniejszy sekret. Odkąd Klara jest rozwódką, Kluge oświadczał się jej siedem razy. Odmawiała, bo jej kartą przetargową jest ta sekta. Wiedziała tyle, że Izaakowi nie opłacało się jej rozdrabniać. Ale to nie wszystko. Klara postanowiła się zemścić i przejąć majątek organizacji. Zawarła sojusz z Klugem. Wtedy cały plan wuja runął.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Z opowieści Urszuli Cani, u której ukrywamy się z mamą i rodzeństwem od schizmy. Caniowie są w komitywie z Klarą. Urszula wierzy w energię, koty i reinkarnację. Zamiast organizowania bachanaliów opiekuje się gromadą odrzuconych przez Haselhofa dzieci. Taką boginię już wolę, jeśli szczerze. – Odchrząknęła. – To ona wysłała mnie do celi Strusia. Miałam przeszukać pokój i zabrać pieniądze, które Klara przed laty powierzyła zakonnikowi. A przy okazji znaleźć telefon, który łączy za sprawą jej syna, doktora Zygmunta.

– Co to za pieniądze?

– Dziadek Staszek nie trzymał niczego na kontaktach. Wszystko było w jego pokoju w piwnicy.

– W sejfie?

– Pamiętam z dzieciństwa, że to była taka ogromna szafa, do której mógł wejść dorosły człowiek. Klara odziedziczyła dom i zawartość tej kasy. Tam były złote monety, biżuteria babci, pieniądze powiązane gumkami i mnóstwo dokumentów. Całe kilogramy dokumentów. Byłam zbyt mała, żeby więcej z tego rozumieć. Ale po pogrzebie Klara niczego nie zabrała. Może wyczuwała, że z mężem może być różnie? Złożyła to w depozycie u ojca Strusia. Dostał oczywiście swoją część na klasztor.

Hubert zamyślił się. Zdecydował się zaryzykować.

– Podczas przesłuchania Klara twierdziła, że nie mogła otworzyć sejfu ojca samodzielnie. Potrzebna była druga część kodu, którą miał jej brat.

Wiktoria nie zastanawiała się nawet sekundy.

– Kłamała. Wiemy, że szafa została opróżniona, bo żyliśmy z tych pieniędzy długie lata. Klara podzieliła się z nami nie z łaski, ale żebyśmy mogli się ukryć i milczeć. Swoją część zdeponowała na czarną godzinę u Strusia. Powtarzam ci, że tak właśnie było. Widać ta godzina nadeszła, skoro wróciła do kraju.

– Dlaczego musieliście się ukrywać i przed kim? – dopytał Meyer. – Co zaszło przed ucieczką?

Wiki pochyliła głowę.

– Może kiedyś ci opowiem – wyszeptła. – Nie dziś. Nie jestem gotowa.

W pomieszczeniu panowała grobowa cisza. Przerwało ją pukanie do drzwi. Hubert był tak pogrążony w rozmyślaniach nad tym, w ilu sprawach Klara kłamała, że aż wzdrygnął się, kiedy wszedł Kaczmarek z książką pod pachą. Położył egzemplarz *Strażnika Dusza* przed Wiktorią.

– Spokojnej lektury – rzekł.

Wiki przenosiła wzrok z jednego policjanta na drugiego.

– Czy to wystarczy, żeby rozpocząć negocjacje z prokuratorem?

Potarza oko, jakby zniecka coś do niego wpadło. Nie płakała. Siedziała sztywno, czekając na decyzję śledczych.

– Chociaż obawiam się, że teraz byłabym bezpieczniejsza w areszcie niż na wolności. Zresztą nie miałabym dokąd pójść. Po śmierci taty moja mama szczerze wierzy w bzdury o świętych kotach. Uwielbia Canię, traktuje ją jak jakieś bóstwo. Nazywa swoją mentorką. Identycznie traktowała ojca. Myślę, że nie potrafi inaczej żyć, niż być od kogoś totalnie zależna.

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Hubert. – To Gustaw Garbarczyk nie żyje? Od kiedy?

– Od pogrzebu dziadka. To był wypadek – ucięła Wiktoria i wskazała gazetę ze swoim zdjęciem na okładce. – Śpieszcie się. Jeśli nie wrócę, Cania domyśli się, że ich wydałam, i zorganizuje ucieczkę. Wszystko jest przygotowane. Mają kołdry, folię, karneol i sad starych jabłoni. W dawnej chłodni weterynaryjnej jest wystarczająco trucizny dla wszystkich. Moja córka ma na imię Lilia. Nie chcę jej stracić.

## ROZDZIAŁ 6

# NIEISTNIENIE

### **Tego samego dnia, około północy** **OKOLICE GÓRY MORASKIEJ**

Hubert odmówił włożenia kamizelki kuloodpornej i zdecydował się na zdjęcie marynarki. Chciał, by Urszula Cania widziała z daleka, że nie jest uzbrojony. Przetarł okulary, skończył palić papierosa i dał znak obstawie, że jest gotów na rozmowę z obiektem.

Okolice dawnej wsi Morasko otoczyły wszystkie jednostki patroli, ekipa AT i połowa wywiadowców z województwa. Zamieszanie przyciągnęło media, więc oczy kraju zwróciły się na las dębowo-grabowy na granicy z rezerwatem meteorytów. Ogromny obszar przeczesywano do późnych godzin nocnych. Ściągnięto nurków i metodycznie sprawdzano każde jezioro. Ekspert obsługujący georadar zażądał podwójnej stawki, kiedy Matuszak pokazał mu na oznakowanej mapie topograficznej, które miejsca powinni sprawdzić pod kątem ukrycia zwłok.

Urszula Cania zabarykadowała się w domu ze swoimi egipskimi kotami i zażądała rozmowy z synem, ale śledczym udało się to zataić przed mediami. Nie wiedzieli, w jakim stanie psychicznym jest kobieta i ilu przetrzymuje zakładników. Prokurator odmówił zwolnienia doktora z aresztu, ale pozwolił mu napisać list do matki i wręczył go Meyerowi, który podjął się negocjacji. Cania groziła, że wysadzi dom, jeśli nie spełnią jej żądań. Uprowadziła, że wszystkie woliery są połączone z ładunkiem wybuchowym, którego zapłon trzyma w swojej kuchni.

Profiler szedł na ugiętych nogach, bo wiedział, że snajperzy ustawieni są w różnych miejscach wokół domu. Gdyby doszło do eksplozji, otwarcia przez Canię ognia lub narażenia życia ludzi zgromadzonych w domu, komendant wydał rozkaz wejścia siłowego.

– Pani Urszulo, mam dla pani przesyłkę od syna. – Meyer podniósł obie ręce do góry. W jednej trzymał świstek papieru. – Chcę tylko porozmawiać.

Poza odgłosami komunikatów radiowych, gwizdu syren policyjnych w oddali i ściszonych rozmów przed obejściem dawnej hodowli kangurów panowała niepokojąca cisza. Mimo braku odzewu Hubert odważył się postąpić kilka kroków w przód.

– Zygmun jest zdrow – przemawiał powoli. – Martwi się o panią. Prosił przekazać, że mąż też czeka na odwiedzinę.

Zero reakcji.

– Mam karneol. Wiem, że nie zrobi mi pani krzywdy.

Profiler zatrzymał się, sięgnął do kieszeni. Wyjął łańcuszek z trzema paciorkami.

– To naszyjnik pani kotki, którą ukryła pani ze stadem w Oporowie – dorzucił.

Drzwi się uchyliły, ale nadal nikt nie wychodził.

– Zależy mi, by zrozumieć. Proszę mnie wpuścić.

– Idź stąd – rozległ się żeński głos zwielokrotniony przez głośnik. – Nie uratujesz nas, przynajmniej nie przeszkadzaj. Nie boimy się śmierci. To brama.

– Niech pani wypuści Marię i dzieciaki. Jeśli są jeszcze inne kobiety, niech pani je uwolni.

– Oni chcą zostać. – Głos Cani niósł się echem po okolicy.

Hubert zdecydował się zaryzykować.

– Możemy to usłyszeć od nich? Jeśli nie chcą wyjść, niech powiedzą to sami.

Wewnątrz domu doszło do szarpaniny. Słysząc było popłakiwanie. Rozległ się pisk, a potem dziewczęcy głosik, ledwie słyszalny z miejsca, w którym stał Hubert. Profiler czuł, że serce mu staje, pot zalewa oczy.

– Ja nie chcę, ciociu! Boję się.

– Niech pani wypuści chociaż dzieci – powtórzył. – Jeśli Maria pragnie zostać, porozmawiamy razem.

– Jestem za nich odpowiedzialna. – Znow głoś Cani z głośnika. Spokojny i zimny. – Wasze kule nam niestraszne. Idzie o rytuał odejścia. Oni nie mają już nikogo. Zbyt wiele przeszli.

– Nie musicie umierać – powiedział Hubert i podbiegł do okna budynku, oparł się plecami o ścianę.

Starał się zajrzeć w szparę między drzwiami, ale panowała w nim ciemność. Widział naftową lampę na stole i ogromnych rozmiarów detonator. Wajcha była ustawiona w pozycji neutralnej. Krzyknął:

– Pani Mario, Nelu, Brajanie, Jurku! Podejdźcie do drzwi i otwórzcie je powoli. To wszystko w dalszym ciągu może się dobrze skończyć. Przejmiemy was i nikomu nie stanie się krzywda. Nic wam nie grozi. Pani Urszulo, mam wszystkie pani koty. Są zdrowe, także młode, które urodziła pani Dziewczyna.

– To dopiero początek – zaśmiała się kobieta. – Nie zbliżaj się! Nie podchodź. Przekaż Zygmosiowi, że go kocham, i niech zajmie się tatą. Wy nic nie rozumiecie, a ja wiem, co kombinujesz, inspektorze Meyer. Udajesz przyjaciela i zagadujesz mnie, żebym straciła czujność. Wika nas zdradziła. Wszystko, co powiedziała, to kłamstwo. Nic nie rozumiecie. Lilia nie żyje.

Hubert chwycił klamkę drzwi, ale jej nie nacisnął. W ostatniej chwili dostrzegł kawałek drutu łączący ją z detonatorem. To była pułapka.

– Stój! Ona nas wysadzi. – Usłyszał dziewczęcy głosik. Ten sam, który protestował, kiedy Hubert proponował uwolnienie zakładników. A potem szept: – Ja nie chcę umierać. Będę już grzeczna.

Meyer wytrzymał wzrok. Dziewczynka siedziała nieruchomo na krześle z cegiełkami masy przyklejonymi do tułowia. Twarz miała czerwoną od płaczu, włosy rozczochrane. Była ubrana w podobną sukienkę, w jakiej znaleziono martwe dziecko, które miało ją udawać w prowizorycznym grobie na posesji Garbarczyków.

– Nela? – szepnęła. – Nie denerwuj się. Wszystko jest pod kontrolą.

Odwrocił się. Spotkał w oddali wzrok Matuszaka. Nie był pewien, czy urządzenie zbierające dźwięk, które przymocowano mu do piersi, jest sprawne.

– Tu jest ładunek – powiedział chrapliwym szeptem. – Trotyl? Sam nie wiem. Potrzebne wsparcie.

W kieszeni miał krótkofalówkę, ale na chwilę ogarnął go stupor. Nie był w stanie się ruszyć. Czekał, aż atak paniki minie, ale serce zaciskało się mocniej, jakby pompa w klatce piersiowej nie dawała rady odsysać powietrza.

– Pani Urszulo! – krzyknął.

Odpowiedziała mu cisza. Dotknął znow klamki i nie spuszczał wzroku z ręcznego detonatora. Widział, że kiedy naciska uchwyt, dźwignia nieznacznie się porusza. Opuścił. Wpatrywał się w milczącą dziewczynkę, starając się nie okazywać grozy, ale był pewien, że ona widzi ją w jego oczach.

– Przyślemy helikopter, jak pani prosiła. Spakujcie się. Wyjdźcie na podjazd.

– Za późno. – Zwalista kobieta pojawiła się przy drzwiach cicho jak kot. – Na wszystko już za późno.

Hubert widział, jak gładzi Nelę po włosach, jednocześnie sprawdzając połączenia kabli.

Zdecydował w jednej chwili. Podskoczył i plecami wybił szybę w oknie, poturlał się do środka. Szarpnął kobietę za włosy, odciągnął pod ścianę. Urszula Cania była masywną babą, a w gniewie miała sił więcej niż niejeden ćwiczony zapaśnik. Czuł, jak orze mu paznokciami twarz, a gdyby nie okulary na nosie, nie miałby już lewego oka. Gryzła, szarpała się, próbowała go udusić. Wreszcie udało mu się przewrócić ją na brzuch i usiąść na niej okrakiem. Wiergła jak wściekła kobyła. Ledwie utrzymał się na jej ciele. Wreszcie założył jej ręce na plecach, wysyczał formułę. Wtedy spostrzegł, że kable od



detonatora wciąż oplatają jej nogi. Musiała się o nie zaczepić, kiedy się na nią rzucił. Wajcha detonatora była ustawiona w pozycji „jeden”, mimo to do wybuchu nie doszło. Dziewczynka zataśmowana plastrami plastikowej masy wciąż siedziała na krześle, ale teraz widział, że do głównych przewodów przymocowano spinaczami jej nogi. W kącie za kominkiem kulili się pozostałe dzieci. Drobną kobietą oplatała je ramieniem, jakby w razie eksplozji zamierzała wziąć na siebie całą siłę rażenia.

– To fejk? – wyszczał Meyer z drżeniem w głosie. – Wszystkie ładunki są udawane?

Urszula Cania zatrzęsała się pod nim. Nie był pewien, czy ze śmiechu, czy może cichutko płacze. Poluzował chwyt, pozwolił jej się podnieść. Kiedy usłyszał ekipę czarnych zbliżających się do drzwi, zdołał krzyknąć:

– To zasadzka! Nie ruszajcie klamki.

Spojrzał na kobietę przy kominku.

– Maria?

Skinęła głową.

– Jesteście cali?

Kobieta odwróciła wzrok, jakby wstydziła się zdrady przed mentorką.

– Wstawajcie powoli – polecił. – Idźcie do tamtego okna. Uważajcie na kable.

Wskazał wybitą szybę, w której tłoczyli się funkcjonariusze.

– Przejmujemy ich. Dawajcie tu sapers!

Matuszak przejął dowodzenie i wydawał rozkazy. Po chwili wokół domu zaroilo się od ludzi w bojowych mundurach.

– Byłaś bardzo dzielna, Nelu – zwrócił się do dziewczynki profiler. – To jeszcze trochę potrwa. Wytrzymasz bez ruchu?

Jedenastolatka pokiwała głową, a potem uśmiechnęła się blado.

– Ale wciąż mogę wybuchnąć?

Meyer spojrzał na Urszulę Canię, która zacisnęła usta i odwróciła głowę. Nie zamierzała udzielać odpowiedzi, jakby ta sprawa jej nie dotyczyła.

– Lepiej będzie, jak moi znajomi się tym zajmą – odparł jak najspokojniej, choć z każdą chwilą był coraz bielszy na twarzy. – Ale potem będziecie wolni. Wyśpisz się, odpocznesz.

– Gdzie będziemy mieszkać? – zmartwiła się Nela. – Ciocia się na nas gniewa, że nie udało się odlecieć helikopterem.

– Dokąd mieliście lecieć?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– To się prawie nigdy nie udaje, wiesz? – Hubert spojrzał jeszcze raz na Canię. – Właściwie tylko na filmach. A i to bardzo rzadko.

Urszula miała podbite oko, z nosa ciekła jej krew. Otarła twarz rękawem. Milczała.

– Ciocia pewnie chciała dobrze, tylko dorosłym czasem nie wychodzi – przemawiał dalej do unieruchomionej dziewczynki. – Jak pójdziesz do mamy i rodzeństwa, my tutaj wszystko posprzątam. Znajdziemy wam nowy dom. Będziesz chodziła do szkoły. Poznasz nowych przyjaciół. Wszystko będzie dobrze, tylko się nie ruszaj.

W tym momencie pirotechnik dał znak ekipie, że detonator jest odłączony. Hubert miał wrażenie, że runie na podłogę jak kłoda. Kolana latały mu, jakby dostał nagle drgawek. Pomógł Neli wypłatać się z oprządkowania i mocno ją przytulił. Po chwili podbiegła do niej matka z rodzeństwem.

\* \* \*

Zwijali kable i skomplikowaną siatkę drutów rozciągniętych po całym pomieszczeniu, składali urządzenia, analizowali detonator. Rozbierali Nelę z gąbek, które zostały pokolorowane tak, by udawały

trotyl, kiedy w oknie pojawiła się znów twarz Matuszaka. Uśmiechnął się nieznacznie do Huberta, a potem podszedł do drzwi.

Profiler patrzył, jak naciska klamkę, i żołądek podszedł mu do gardła. Przez milisekundę w wyobraźni słyszał huk wystrzału, mignęła mu twarz Wery i jej biały nagi tors z dziurą po kuli. Znów tulił kobietę w ramionach, jakby to miało zatrzymać ulatujące z niej życie. W kącikach oczu pojawiły się łzy. Gardło płonęło żywym ogniem, oddech stał się płytszy. Przed oczyma nagle zaczęły fruwać czarne platy. Hubert czuł, że zaraz zemdleje.

– To było, kurwa, skrajnie nieodpowiedzialne – ryknął Matuszak, kładąc mu dłoń na ramieniu i tym samym zatrzymując marę i przywracając do pionu. – Ale cieszę się, że tym razem skończyło się bez ofiar. Zabierzemy się teraz do woliery kangurów i sprawdzimy każdy barak tej hacjendy. Przesypujemy każde ziarno piasku, przez sito przelejemy każdą kroplę wody w tutejszych bajorach. Panią zapraszam.

Odpiął kajdanki od pasa i jednym ruchem zatrasnął je na przegubach Urszuli.

– Nie muszę informować, że jest pani aresztowana? Na razie za narażenie życia pięciu osób, sprowadzenie sytuacji zagrożenia na okolicę i atak terrorystyczny.

Cania zaniosła się rozpaczliwym płaczem. Jakby wybudziła się ze snu, jej maska psychopatki spadła i znów była dobrotliwą staruszką z pokiereszowaną twarzą.

– Ja tylko się nimi opiekowałam. Starałam chronić. Troszczyłam się, karmiłam. Ukrywałam przed agresorami – powtarzała. – Nic złego nie zrobiłam. Żadna niegodziwość nie miała ich prawa ze mną spotkać. Niepotrzebnie Wika zrobiła wam pranie mózgu. Spanikowałam. Chciałam tylko, żebyście dali nam spokój. Żeby nikt się nami nie interesował, jak przez te wszystkie lata.

– Wika? – zmarszczył się Matuszak. – A kto jej zrobił pranie? Ty, matka, ojciec czy może wujek apostoł? Wszyscy jesteście nieźle pojebani.

Meyer wstał. Wziął apteczkę z rąk pielęgniarki, który wszedł, by opatrzeć obrażenia Cani. Wydobyl środki dezynfekujące, rozłożył na małym stoliku plastry i bandaże. Zarówno Urszula, jak i Matuszak przyglądali się tym działaniom podejrzliwie.

– Tak jak powiedziałem, chcę zrozumieć – oświadczył Meyer. – Nie wyjdziemy stąd, póki pani nie opowie, jak doszło do tego szaleństwa. Dopiero wtedy pojedziemy na komendę.

Spojrzał na Matuszaka, a ponieważ nie zaprotestował, wydobyl z kieszeni list od jej syna. Spomiędzy kartek wypadł łańcuszek, którym wcześniej posłużył się jak kartą wejściową. Trzy koraliki błyskały na złotym łańcuszku.

– Jak? – Kobieta skrzywiła się, wskazując wisiołek. – Przez karneol.

\* \* \*

– Ludzie nie są źli. Po prostu robią głupoty, a w chwili, kiedy je popełniają, sądzą, że podjęli dobrą decyzję – zaczęła opowieść Urszula. – Facet, który przyszedł po moje koty, wzburzył tę lawinę. Wszystko, co dotąd mówiłam, to była prawda.

Hubert zaparzył kawę. Kiedy otworzył lodówkę, by podać mleko do kawy, zrozumiał, że Cania z aresztantami nie zamierzała przebywać w domu dłużej niż do następnego posiłku. Poza sokiem z pigwy, kilkoma puszkami tuńczyka i dżemem w chłodziarce było tylko światło. Otworzył zamrażarkę i rozpoznał racuchy księdza Jacka w ilościach przemysłowych. Dopiero w kredensie znalazł coś zdatnego do jedzenia. Postawił przed kobietą przeterminowane dwa lata temu ciasteczka. Wgryzła się w nie jak koparka w dziurę w ziemi. Sam zadowolili się zgodą na palenie w zrujnowanym domu. Urszula poprosiła, by przeszli na ty, bo tak łatwiej będzie się jej spowiadać. Meyer przystał na to. Patrzył, jak nerwowo chrupie jeden biszkopt za drugim.

– Mówiłaś, że to był Gustaw Garbarczyk – zaczął. – A wiemy od Wiki, że doszło do wypadku. Jej ojciec nie żyje.

– Dotąd tak myśleliśmy – odrzekła Cania. – I jak skończę, zrozumiesz, dlaczego nie wyprowadzaliśmy dzieci z błędu. Dla ich bezpieczeństwa.

– Od kiedy Marysia z rodziną mieszkała na twojej farmie?

– Praktycznie od początku. Od czterdziestego dnia, kiedy zaginął Gustaw. Czasami tylko Wika z Marysią wyjeżdżały na wykłady do Niemiec.

– To znaczy? – Hubert uniósł brew. Strzepnął popiół do kryształowej salaterki. – Może zaczniemy od tego miejsca. Bo zgłupiałem.

Wskazała list od syna.

– Chyba że chciałaś najpierw zapoznać się z tym?

– Nie. – Pokręciła głową. – Chcę powiedzieć prawdę. Cokolwiek Zygmunt napisał, nie zmieni to mojego postanowienia. Może wyda ci się to pokręcone, ale naprawdę żyłam w przeświadczeniu, że robię dobrze. Że tak trzeba. Że to działa. Dopiero kiedy on się pojawił, zrozumiałam, że jestem ofiarą cudzej intrygi.

– On, czyli zmartwychwstały Garbarczyk? Twoim zdaniem to jego intryga?

– Tak myślę. – Urszula wzruszyła ramionami. – Siedem lat temu do gabinetu mojego syna trafił niejaki Helmut Kischke. Nie wiedzieliśmy wtedy, że jest szwagrem Garbarczyków i w Niemczech nosi nazwisko Izaak Haselhof. Zналиśmy Garbarczyków jedynie z widzenia. Mieszkali na Sołacz, byliśmy sąsiadami. Helmut miał raka płuc w zaawansowanym stadium, więc Zygmunt potraktował go priorytetowo. Pacjent od razu trafił na stół operacyjny. Syn otworzył go i zamknął. Były już przerzuty. Mniej więcej w tym samym czasie u mojego męża stwierdzono białaczkę. Początkowo liczyliśmy na szybki przeszczep. Modliłam się, chodziłam do kościoła. Nasz ksiądz Morawski zbierał w jego intencji datki. Moja wiara była wielka i nie dopuszczałam innej myśli niż ta, że wszystko się ułoży. Pierwszy przeszczep organizm odrzucił, a kolejnego dawcy nie było. Mąż czuł się coraz gorzej. Patrzyłam na niego, jak marnieje i gaśnie, i nie rozumiałam, dlaczego Bóg go tak doświadcza. Gdzie jest ten Bóg, skoro karze tak dobrego człowieka? W tym czasie syn nawiązał bliższy kontakt z Helmutem. Medycyna nie dawała mu żadnych szans, ale on nie umierał. Prowadził swoje wykłady, modlił się w małym gronie, chwalił się, że kolejny raz został ojcem. I kolejny... To zakrawało na cud. Zaczął wprowadzać nas w swoje wierzenia. Opierały się na magicznych rytuałach związanych z kotami, które chroni boski karneol, i modlitwie młodych dziewcząt w tej intencji.

– Nago? – upewnił się Hubert. – Znaleźliśmy zdjęcie z takiej modlitwy w celi ojca Strusia.

Kobieta potwierdziła.

– Wiem, jak to wygląda, ale to naprawdę działało.

– Książka *Strażnik Dusz* to wasza biblia?

– Nie wszyscy przeczytali książkę, ale przekazywano sobie opowieści. Wierzyliśmy w nie całym sercem – zapewniła. – Zaczęliśmy kupować coraz więcej karneolu i rozmnażać święte koty. – Urwała, przestraszona. – Musisz pamiętać, że dotyczy to ludzi, którzy za wszelką cenę chcą przywrócić życie ukochanej osobie. Poszłabym do piekła, żeby mój mąż wyzdrowiał. Jestem gotowa choćby dziś zawinąć się w kokon, wypić truciznę, jeśli ktoś obiecałby mi, że to cofnie chorobę.

– Jaki to ma związek z kokonami na Sołacz? – zniecierpliwił się Hubert.

– Moim zdaniem to dlatego znalazłeś bezimienne ciała na Halnej. Oni zrobili to, żeby ktoś wyzdrowiał.

Na długą chwilę zapadła cisza. Hubert nie spuszczał z Urszuli spojrzenia.

– Kto miał wyzdrowieć? Haselhof?

– Skoro mówiłaś już z Wiką, wiesz, że zmarła to Paulina Guz. Najmłodsza ukochana Haselhofa – wyjaśniła. – Chciała go w ten sposób uratować. Poświęciła nawet jego dzieci. Za zgodą matek, które wciąż wierzą, że rytuał reinkarnacyjny to tylko stopień w rozwoju duszy. Klara nie była na to gotowa. Dlatego się z nią rozwiódł.

– Gdzie one są? – Hubert miał dosyć tych wynurzeń. – Matki tych dzieci.

– Nie mam pojęcia.

– Skąd to wszystko wiesz? Podziałaś Paulinie truciznę, przytrzymałaś jej worek? – warknęła, ale widząc minę Urszuli, dodał: – Rozumiem, że człowiek, który straci ukochanego, jest zdolny do wszystkiego. Po

prostu mamy niewiele czasu, by wyjaśnić sprawę. Matuszak nie chce już słuchać o kotach i koralikach. Przygotowuje teraz dowody przeciwko tobie i twojemu synowi.

– Nie zabiłam tych ludzi – zapewniła pośpiesznie. – Zygmus też nie przyłożył do tego ręki. Moją jedyną zbrodnią jest milczenie i ukrywanie Marii z dziećciakami. Bo im dłużej to trwało, tym lepiej rozumiałam. I powiem ci, że jest mi przykro. Oni mnie wykorzystali!

– Jeśli mam ci pomóc, skup się na konkretach – pouczyła ją. – Jaki to ma związek z Garbarczykami? Kto podał truciznę ofiarom z Sołacza? Kto zawiązał w folię Haselhofa? Kto strzelał do ojca Strusia?

– Wszystko zrozumiesz, jeśli zechcesz mnie wysłuchać – fuknęła. Zawahała się. – Nie znam wszystkich odpowiedzi. Sam będziesz musiał je zdobyć. Trochę cierpliwości.

– Spróbuję – westchnął Hubert, ale przez głowę przemknęła mu myśl, czy kobieta nie gra na zwłokę. Kogo chroni? Za kim pogoń stara się odciągnąć, snując niekończące się opowieści?

– Do grona wyznawców Haselhofa należał Gustaw Garbarczyk – kontynuowała. – Nie jestem pewna, czy podzielał wierzenia szwagra, czy tylko wyczuł interes. Maria, jego żona, była przeciwna inwestowaniu ostatnich pieniędzy w karneol. Uważała, że to zwykłe oszustwo, choć Haselhof przekonywał, że to święty kamień mocy. Że dzięki niemu wciąż żyje. Mój syn zrobił badania i okazało się, że rak Haselhofa się cofnął. To samo stało się w przypadku Strusia, mojego męża i innych. Grono ludzi, których bliscy zdrowieli, powiększało się. Pojawiali się kolejni, którzy pragnęli kogoś uratować.

– Chcesz powiedzieć, że noszenie koralików, hodowanie kotów i spółkowanie młodych dziewcząt z apostołami cofało choroby?

– No, niektórzy oczywiście umierali – przyznała Urszula. – Większość. Ale w takiej sytuacji odbywał się rytuał przejścia.

– Kokon z folii i paciorków?

Cania potwierdziła.

– Po czterdziestu dniach człowiek zyskuje nowe ciało.

– Więc gdzie są teraz dzieci z Sołacza i kobieta zwana Pauliną Guz?

Urszula pochyliła karnie głowę.

– Zabrałeś je z Oporowa. Odrodziły się w postaci świętych kotów.

– Jesteś szalona!

– Możesz wątpić, ale mój mąż przetrwał siedem lat bez kolejnego przeszczepu. – Urszula szczerze się oburzyła. – Było ciężko, nadal jest, ale kiedy przyszła diagnoza, sądziliśmy, że to kwestia miesięcy. W tamtym czasie byłam pewna, że mąż żyje dzięki mocy, jaką daje ten kamień.

– I spółkujące z apostołami dziewice? – zakpił Meyer.

– Jak w każdej wielkiej organizacji, dochodziło do nadużyć! – zaproponowała Cania. – Właśnie przed przemocą seksualną ukrywałam Wikę i Marysię. Koczowało u nas wiele uciekinierek z dziećmi, ale wcześniej czy później wracały do Izaaka. To była syzyfowa praca – westchnęła. – Dlatego zmieniłam dogmaty wiary Reinkarnacji za Życia i utworzyłam własną osadę. Trzeba było tylko pozbyć się kangurów, żeby nikt nie plątał się po farmie!

Hubert siedział ze zmarszczonym czołem i nie dowierzał własnym uszom.

– Dziś już wiem, że te cuda, uzdrowienia, to była po prostu silna wiara – kontynuowała swój wywód Urszula. – Placebo. Lub wola życia, jak mawiają inni. Tak przecież działają wszystkie organizacje religijne, prawda? – Cania się zawahała. – Któregoś razu do naszych drzwi zastukał ksiądz Morawski. Pomagał mi w obrzędach i chrzczył narodzone dzieci.

– Mimo że wierzyłaś w karneol i koty, chodziłaś do kościoła?

– Zbudowałam własną świątynię imienia Marii Magdaleny! – obruszyła się Cania. – Znajdziesz ją za wolierami, w lasku. Nad jeziorkiem.

Hubert przypomniał sobie, co mówiła Wika. Obrzędy odbywały się w chrześcijańskiej kaplicy. Zmroziło go, ale nie dał po sobie poznać. Ta kobieta opowiada mu bajki. Kłamie. Nie szło o karneol. Nigdy nie chodziło o koty. Pieniądze. Być może majątek, który Klara powierzyła zakonnikowi.

– Tego dnia nie przyszedł z posługą – ciągnęła Cania. – Powiedział, że ostatnia partia kamienia została zrabowana. Zrobił to Garbarczyk podczas ojcowskiej stypy. Maria udaremniła kradzież i jej mąż leży teraz nieżywy na Solażu. To było jedenastego sierpnia dwa tysiące cztertnastego. Pojechaliśmy tam, licząc, że odzyskamy kamień. Karneol był dla nas cenniejszy niż złoto.

– To był niby ten wypadek? – Meyer zerwał się. Ruszył do drzwi. – Brałaś udział w zacieraniu śladów. Jesteś współwinna zabójstwa z premedytacją! Kto zabił Gustawa? Gdzie ukryliście ciało?

– Zaczekaj. – Urszula powstrzymała go gestem. – Na miejscu zobaczyłam Marię z rękoma we krwi. Gucio znajdował się w wannie. Obok leżał rewolwer jej teścia. Wtedy wydało mi się naturalne, że zginął od strzału. Maria zapewniała, że zrobił to sobie sam.

– Pewnie – mruknął z przekąsem Hubert. – Czy zakonnikowi też pomagaliście?

– O tym, jak zginął ojciec Struś, wiem najmniej, ale to on był kluczem do wszystkiego. To była tak naprawdę jego sekta, a Haselhof był tylko kapłanem.

– Teraz to wymyśliłaś?

– Byli spokrewnieni – zaoponowała. – Haselhof mówił o tym w swoich kazaniach. Obaj zachorowali i w tym samym czasie wyzdrowieli. Jak będziesz przesłuchiwał ludzi, zapytaj o to. Obejrzyj ich karty w szpitalu.

– Zrobimy badania, bądź pewna! – burknął Hubert. – Co było dalej?

– Dzieci pochowały się w swoich pokojach. Maria od lat cierpiała z tym potworem. Jej psychika była, mówiąc delikatnie, w rozsypce.

Hubert przerwał jej.

– Zaczęliście sprzątać?

Urszula gwałtownie zaprzeczyła.

– Z tym nie mam nic wspólnego! Zgodziłam się tylko przechować Marię i dzieci.

– Kto jeszcze poza tobą brał w tym udział?

– Nie wiem. Resztę znam z opowieści Marii – wymigała się od odpowiedzi. – Ponieważ Gustaw należał go zgromadzenia Izaaka, wezwali go, żeby dokonał pochówku. Kołdry, folia, dewocjonalia. Wszystko, co już znasz.

Hubert skrzywił się. Nie krył zdziwienia.

– Pochowaliście go?

– Gucio został zakopany pod jabłonką, tam gdzie znaleźliście koty. W płytkim grobie, według rytuału reinkarnacyjnego z książki. Jacek ustalił ze Strusiem, że ukryjemy Marysię na farmie. Byliśmy to Garbarczykom winni. No i mieliśmy za to dostać cały karneol – zakończyła.

Hubert jej nie wierzył. Z opowieści Klary wynikało, że Haselhof nie wiedział o pogrzebie teścia. Z Gustawem pozostawał w stanie wojny. Czy ryzykowałby przyjazd, by dokonać tajnego pochówku? Dlaczego Struś nie poprowadził ceremonii? *Strażnik Dusz* to była jego książka. Nikt od niego nie znał lepiej rytuałów przejścia. Któraś z tych kobiet kłamie? Może obie. Bił się z myślami.

– Co stało się z Izaakiem po pogrzebie Gustawa?

– Wrócił do Berlina.

– Rozumiem. A więc to ty, Struś i Jacek Morawski sfingowaliście ucieczkę Garbarczyków – podsumował Hubert, by przyspieszyć opowieść. – Zatarliście ślady zbrodni, posprzątaście teren. Składaliście fałszywe zeznania, kryliście morderczynię latami. Wiedzieli o tym Klara, jej mąż i adwokat Kluge. Całkiem niezła drużyna. Dlaczego zabiliście Haselhofa? Po co odcinaliście mu dłonie? Szantażował was? Chciał za dużo pieniędzy, karneolu? Czy może to wy nabraliście ochoty na jego majątek? A może doszło do kolejnej schizmy? Ty chciałaś być boginią?

Cania aż się zapieniła ze złości.

– Sfingowaliście ucieczkę Marii, tak jest – potwierdziła. – Listy Gucia były oryginalne. Ogłoszenie z numerem telefonu mojego syna, żeby w razie czego mieć kontrolę, gdyby ktoś dzwonił. Ale po

namyśle uznaliśmy, że komórkę trzeba wyłączyć. Nie zrobiliśmy tego jednak, żeby chronić morderczynie, jak mówisz, ale by uniemożliwić zemstę.

– Zemstę? Czyją? – Meyer zmarszczył brwi. – Poza tym w twojej opowieści jest luka. W ogródku na Halnej nie znaleziono ciała Gustawa Garbarczyka. Ani siedem lat temu, ani teraz.

– Właśnie! – Urszula aż się rozpromieniła. – Następnej nocy, nie wiem już, kto pierwszy tam poszedł, chyba ksiądz Jacek z Anitą, okazało się, że grób jest odkopany, a kokon rozdarty. Gustaw zmartwychwstał! On żyje, rozumiesz?

– Urocze. – Hubert wybuchnął gromkim śmiechem. – I popatrz, nie potrzebował na to czterdziestu dni. A nie zamienił się przypadkiem w kota? Może to jeden z tych, które przywlokłem z Oporowa?

Cania spoglądała na profilera spode łba.

– Nikt mi nie powiedział – poskarżyła się. – Trzymali to w tajemnicy przez te wszystkie lata. Dowiedziałam się, dopiero kiedy na Sołaczu znaleziono nasze koty. Jacek i wszyscy członkowie dawnej Reinkarnacji za Życia od początku twierdzili, że zabija Gustaw. Z zemsty.

– I to jest już koniec bajeczki?

Pokiwała smętnie głową.

– Nie wierzysz mi?

Profiler w odpowiedzi wskazał list od syna.

– Lepiej to przeczytaj. Do celu nie pozwolą ci niczego zabrać.

Urszula zawahała się, nim rozerwała kopertę.

– Ty wiesz, co zawiera?

Hubert zacisnął szczęki, a kiedy czytała, recytował z pamięci:

– „Nic mu nie mów. Nie wydawaj Marii. Gustaw obiecał zapłacić. Jeśli zechce otworzyć kasę, mów, że nie znasz kodu. PS Tata nie przeżyje do rana. PRZYGOTUJ UCIECZKĘ dla siebie i dzieciaków”. Popeniłaś błąd – oświadczył, zaciskając dłoń na jej ramieniu. – Teraz zabiorę cię do komendy i spiszemy zeznanie. Obawiam się, że jakiś czas będziesz musiała przeżyć bez karneolu.

Spojrzała na niego szklistymi oczyma.

– Za późno.

Sięgnęła do kieszeni i nacisnęła przycisk na pilocie. Hubert nie zdołał jej go wyrwać. Rozległ się nieprawdopodobny huk. A potem krzyki ludzi i kilka drobniejszych wystrzałów.

Meyer rzucił się na kobietę. Unieruchomił jej ręce, by nie zdołała wlać sobie do gardła zawartości fiolki, którą trzymała teraz w dłoniach. Nie zdążył.

– Sama tych ładunków nie zakładałaś. To twój syn?

Pokręciła głową.

– Garbarczyk?

Wykrzywiła się z bólu.

– Kto? – Trzymał ją za ramiona, ale tylko charczała niezrozumiale.

Z kącika ust poszła piana, a potem z jednej z dziurek w nosie wypłynęła strużka krwi.

Wyskoczył na werandę i bezskutecznie wołał pomocy. Ratownicy biegli w stronę płonących woiher, skąd na noszach transportowano poranionych podczas eksplozji funkcjonariuszy.

Matuszaka znalazł na skraju małego bajorka, tuż obok kaplicy, w której sekciarze Haselhofa odbywali swoje prozdrowotne bachanalia. Policjant siedział w kukki nad zwłokami kobiety wydobytymi przed chwilą przez nurków. Choć były w stanie posuniętego rozkładu, Matuszak zidentyfikował je po pierścionku zaręczynowym i fragmentach munduru polowego jako ciało zaginionej żony.

## ROZDZIAŁ 7

# WĄTPIENIE

### 3 października (niedziela)

#### POZNAŃ

Tego ranka w mediach mówiono i pisano wyłącznie o cudownym odnalezieniu rodziny Garbarczyków.

Maria i jej dzieci – Jurek, Brajan i Nela – byli zdrowi. Nic im nie dolegało. Udzielali wywiadów i pozowali do zdjęć. Na pytania, co działo się z nimi przez te wszystkie lata, odpowiadali, że zostali uprowadzeni przez szaloną ciotkę Canię, która więziła ich, by przejąć majątek zgromadzony przez szwagra Marii – Izaaka Haselhofa. Dzieciom przydzielono lekarza psychiatrę, trzech terapeutów, a ogólnopolskie stacje rozpoczęły zbiórkę funduszy, by zapewnić nowy dom cudownie ocalałej rodzinie z Sołacza. Dziennikarze prześcigali się w ofertach płatnych wywiadów, wydawcy podsuwali ghostwriterów, by spowiedź Marii ukazała się jak najszybciej w formie książkowej, a producenci zacierali ręce na film oparty na tak nieprawdopodobnej historii.

Hubert zaczekał, aż konferencja prasowa się skończy, a potem klepnął Kaczmarka w ramię. Młody profiler wmieszał się w tłum i stanął przed Marią pozującą do selfie z jedną z dziennikarek. Jej dzieci tuliły się do Iryny, która częstowała je łakociami i głaaskała po głowach, jakby wciąż miały po kilka lat.

– Mogę cię prosić do pokoju przesłuchań numer trzy? – Starał się wypaść jak najmniej oficjalnie.

Nie wyszło. Kobieta przyjrzała mu się zniesmaczona.

– Grzesiu! – roześmiała się. I zaraz zmarkotniała. – Tak mi przykro, że do tego doszło.

– Mnie również. Trzynastu rannych funkcjonariuszy. Urszula Cania nie żyje. Jej syn próbował popełnić samobójstwo, jego stan jest krytyczny. Leży teraz w sali obok twojego szwagra. Wasze wyjście z kryjówki wypadło spektakularnie, ale przyznasz, że mogło się odbyć mniej krwawo.

– Byliśmy uwięzieni – szepnęła zdławionym głosem.

W pomieszczeniu rozległ się pomruk dezaprobaty. Ktoś szeptał o bezduśności funkcjonariuszy, braku empatii i pierdolonych służbistach. Kaczmarek nie zwracał na te docinki uwagi.

– Proszę opuścić salę. – Przekrzywił głowę. Spojrzał nad głowami zebranych i czujnie nasłuchujących reporterów. – Część oficjalna jest zakończona. – Wyciągnął ramię, zaciśnął dłoń na przegubie Marii. – Mogę cię zakuć w kajdanki albo pójdziesz dobrowolnie. Jak wolisz? – wysyczał jej do ucha i skrzywił się do obiektywów, które w nich wycelowano.

– Skurwysyn – szepnęła i naraz uśmiechnęła się szeroko. – Nic na mnie nie macie. Ula nie żyje, Jacek zniknął, a Gustaw się zasztył. Reszta czeka na przeistoczenie w postaci kotów.

– O tym właśnie chciałbym z tobą pomówić – wychrypiał. Wychodzili na korytarz w rzęsistym deszczu lamp błyskowych i odgłosie strzałów migawek. – Ale nie sam.

Kiedy dotarli do pokoju numer trzy, Meyer już na nich czekał. Wyciągnął rękę, przedstawił się, a potem wskazał dwie towarzyszące mu kobiety.

– Klara Haselhof czy Anita Nowacka? Z którą z nich chciałaby pani odbyć pierwszą konfrontację?

Maria Garbarczyk długo nie odpowiadała.

– A może wpierw woli pani rozmówić się z córką?

Zza drzwi wysunęła się Wiktoria. Podniosła dumnie podbródek, prezentując na szyi wielkiego motyla. Gęsto wytatuowane dłonie schowała do kieszeni.

– Cóżś ty z siebie zrobiła, córko? – zachnęła się Maria karcząco.

– To będzie siedem lat, mam. Siedem chudych lat dla mnie i dla taty, lecz jakże tłustych dla ciebie.

\* \* \*

– Dziękuję, że zostałeś. – Matuszak spojrział na Boziłowa z wdzięcznością. – O tej porze miałeś być w domu.

– Poradzimy sobie – odparł cicho anatomopatolog. – Jaga wzięła kilka dni wolnego i jedźcie do mnie z dwójkami. Upiekła nawet zbrę, moje ulubione ciasto. Liczy, że nie odmówisz spotkania. – Urwał, jakby uświadomił sobie, że tego rodzaju propozycja może zostać uznana za niestosowną. – Ale rozumiem, że możesz nie czuć się na siłach. W razie potrzeby jesteśmy do dyspozycji.

Przez krótką chwilę nie odzywali się do siebie. Wpatrywali się w szufladę, w której, jak obaj wiedzieli, znajdowało się ciało Lili.

– Pokaż mi ją i powiedz wszystko – zażądał Matuszak. – Jestem gotów.

Boziłow zmierzył go ostrożnym spojrzeniem. Nie podzielał jego opinii, ale nie śmiał zaprotestować. Wiedział, że czasami lepiej nie przedłużać takich spotkań.

– Jest woda w płucach – oświadczył. – Utonięcie.

Osobiście zabrał się do wyciągania zwłok z lodówki. Matuszak chciał mu pomóc, lecz Boziłow bezceremonialnie nakazał, by policjant został tam, gdzie stoi.

– To nie będzie przyjemne – usprawiedliwił się.

– Już ją widziałem – zaproponował Matuszak. – Kiedy ją wyłowili, stałem dosłownie kilka kroków obok. Tylko dlatego nie leżę razem z moimi ludźmi na OIOM-ie. Gdybym wierzył w znaki i gusła, powiedziałbym, że Lili mnie zawołała, żeby ocalić od pewnej śmierci. – Urwał. – Możesz stwierdzić coś więcej? Ślady walki, ciągnięcia, obrażenia zewnętrzne?

– Po takim czasie? – Boziłow odsłonił prześcieradło. – Nie powiem ci zbyt wiele.

Po zdjęciu resztek munduru i pocięciu skóry granatowosine, nabrzmiało jak balon ciało zmarłej nie przypominało wcale człowieka. Rysy twarzy praktycznie się zatariły i były nie do zidentyfikowania. Ryby i żyjątką wodne objadły tkankę do kości, razem z chrząstkami uszu i nosa.

– Nie ręczę, że to Lili, dopóki nie zrobimy analizy DNA – oświadczył doktor. – Daktyloskopia odpada. Opuszki palców praktycznie się rozpuściły. Zleciłem opinię stomatologiczną.

Podniósł fragment napęczniałej od wody dłoni. Obrączka i pierścionek z szafirem wpijały się w serdeczny palec, jakby chciały go przeciąć na pół.

– Właściwie tylko te dwa drobiazgi identyfikują twoją żonę.

– To ona. Ja to czuję – wyszeptał Matuszak. – Wiem, że to ona. Choć zdaje mi się, że stoję za szklaną szybą i patrzę na to z boku. Jak we śnie. Rozumiesz?

Boziłow kiwnął głową. Słyszał to tak wiele razy.

– Poczekajmy na analizę – zaproponował. – Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

– Więc mówisz, że nie ma złamań, otworów postrzałowych, zgruchotanych kości? – dopytał zduszonym głosem. – Jak zginęła?

– Gdybyś poprosił mnie o służbową opinię, powiedziałbym, że w grę wchodzi tylko dwie opcje: wypadek oraz samobójstwo. Osobiście skłaniałbym się do tego drugiego. Do tego jeziora, gdzie ją znaleźliście, trudno jest wpaść omyłkowo. Chociaż zdesperowani ludzie skutecznie topią się w wannie albo pod kranem, jeśli tego wystarczająco mocno pragną. – Urwał.

– Samobójstwo? – Matuszak aż się zapowietrzył. – Dlaczego Lili miałyby to zrobić? Byliśmy szczęśliwi. Nic nie wskazywało, żeby miała depresję. Była pogrążona w pracy, zaangażowana. Chciała dorwać tę kobietę, która uprowadziła i zabiła już trójkę dzieci, a dzięki danym zebranych przez Lilię zrobiliśmy to. Ta osoba odcięła sobie powieki i trafiła do czubków.

– Sam nie wiem – mruknął Boziłow. – Lili była świetną policjantką, ale jednak kobietą. A tamta desperatka porывała i mordowała małe dzieci. Może ta sprawa przerosła twoją żonę? Były jakieś inne powody? Czasami ludzie działają z pobudek nieoczywistych. Te zabite dzieci, kobieta, którą ścigaliście,



jej wspólnik, z którym Lilianna rozmawiała jako ostatnia... To wszystko mogło być dla niej zbyt traumatyczne. One się spotkały, prawda? Pamiętam, że Lilia zgodziła się wystawić na wabia z lalką w wózku. I przepraszam, że pytam, ale mówiłeś, że to nie tajemnica. Lilia była bezpłodna?

Matuszak potwierdził.

– Żle wykonana aborcja w młodości. Nie była w stanie utrzymać ciąży.

Lekarz długo nie odpowiadał.

– Przykro mi – powiedział w końcu. – Jest mi niewymownie przykro, że nie ma już nadziei na odnalezienie Lilianny żywej. Choć z kondolencjami wolałbym poczekać, aż ostatecznie stwierdzimy, że to faktycznie twoja małżonka.

– Nie – zaprotestował Matuszak. – Tak jest lepiej. Wreszcie czuję ból w klatce piersiowej. Ciężar w okolicy serca tak potworny, jakby usiadł tam słoń potężniejszy niż tamta ściana. – Pokazał mur naprzeciwko instytutu widoczny z okna. – Ale i rodzaj ulgi. Coś razem z Lili odeszło dawno temu, a teraz jakby zaczynało się zacierać. Odczuwam wręcz spokój, że sprawa wygląda najgorzej jak można. Pewnie, że wolałbym ściagać jej mordercę. Ukatrupiłbym niegodziwca i zatknął jego głowę na włóczni przed własnym domem. Niestety wychodzi na to, że powinna to być moja własna.

– Nie obwiniaj się. Nie mogłeś jej zawrócić ani zatrzymać. Nie miałeś z tym nic wspólnego. Uznała widocznie, że nie chce cię tym obciążać. Pozwól jej na to. Jedyne, co możesz zrobić, to uszanować jej decyzję.

Matuszak nie był w stanie dłużej tego słuchać. Ukrył twarz w dłoniach i bezgłośnie łkał. Boziłow objął ramieniem wyższego i dużo potężniejszego od siebie policjanta, a następnie zaprowadził go na metalową kozetkę. Posadził siłą. Pozwolił się wypłakać.

– W sumie zazdroścę Meyerowi, że w jego sytuacji jest jakiś żar – powiedział, łykając łzy, Matuszak. – Odwet, zemsta. To napędza cię, żeby mieć jakiś cel. Chcieć żyć dalej. Ja nie wiem, po co miałbym...

– Nie zazdrość Hubertowi, bo to jego rozpacz, nie twoja – obsztorcował go anatomopatolog. – I nie znasz jej smaku.

Siedzieli długie minuty w ciszy, a Boziłow wyganiał wzrokiem każdego interesanta, który zaglądał do sali. Wreszcie Matuszak poderwał się, otrzepał dżinsy i wytarł mokre dłonie w koszulę.

– Już biorę się w garść – zapewnił. – Kontynuujemy.

– Jesteś przekonany? – Doktor nie dowierzał. – Możemy to przełożyć. Naprawdę nie ma pośpiechu. Poczekać z autopsją.

– Chcę mieć to za sobą – zaprotestował Matuszak. – Inaczej będę miał do siebie żal, że stchórzyłem. Gdybym ja tutaj leżał, Lili by wytrzymała. Miałaby w zanadru kilka zmyślnych pytań i z pewnością nie rozsypałaby się jak jakaś siksa. Nie powiesz nikomu?

Boziłow spojrzął na Matuszaka z przyganą.

– Lili była twarda, ale przy tobie stawała się miękka jak rozgrzany wosk. Wzruszyłoby ją to, że płakałeś. Może i śmiałaby się, ale roztopiłbyś jej serce.

To ostatecznie przywróciło Matuszaka do pionu. Poglądził się po potylicy, zebrał rozczochrane kosmyki. Zaplótł je pod gumkę.

– Z pewnością by rechotała – potwierdził, a nawet wykrzywił usta w grymas, który niewątpliwie był najszczerzym uśmiechem z jego kolekcji.

Ponownie podeszli do stołu. Boziłow wskazał resztki munduru, w który w momencie śmierci ubrana była zmarła.

– Zastanawia mnie, dlaczego Lili miałyby to zrobić w mundurze polowym? Praktycznie nigdy go nie wkładała. Pracowaliście w kryminalnym, głównie po cywilu. Nie wiedziałem nawet, że takowy posiada. Ile razy widziałem ją w uniformie, to galowym.

Matuszak podniósł wyżej podbródek. Zaciśnął szczęki.

– Była obława. Nie do końca zatrzymanie tej dzieciobójczyni wyglądało tak, jak pisano w mediach. Ona uciekła. Ścigaliśmy ją z ekipą czarnych. Ponieważ tamta знаła moją żonę, Lili dla bezpieczeństwa

nosiła kombinezon szturmowy. Pod spodem miała kamizelkę kuloodporną.

– Czy ten pościg mógł się rozgrywać w okolicach Góry Moraskiej? – zapytał lekarz. – Dlaczego akurat to bajoro? Tam nawet kaczkę dotykają dna.

Matuszak gwałtownie zaprzeczył.

– Lili zniknęła po zatrzymaniu tamtej. Kiedy już ją mieliśmy. Ostatni raz widziałem żonę, gdy wychodziła z pokoju przesłuchań. Pamiętam, że patrzyłem i myślałem, jaka jest piękna, mądra. Wróciła do domu, sąsiedzi ją widzieli. Wtedy nie miała już na sobie munduru. Są zdjęcia z monitoringu. Przenicowałem każdy skrawek danych z tamtego czasu.

– Dla swojego spokoju przenicuj teraz każdy skrawek posiadłości Caniów. – Boziłow wpatrywał się w rozkładające się zwłoki. – Z jakiejś przyczyny Lilia się tam pojawiła. Czy to był wypadek, czy sama zdecydowała, miała powód. – Zawahał się, czy dodać coś jeszcze, ale zrezygnował.

– Tak zrobię – obiecał Matuszak.

Sięgnął po rękawiczki z pudełka. A potem z wahaniem wyciągnął dłoń w kierunku ręki kobiety. Tej z pierścieniem zaręczynowym i obrączką. Zacisnął mocno, aż ciecz rozlała się na prześcieradło, a potem gwałtownie puścił, jakby nagle przestraszył się, że to naprawdę pożegnanie.

– Bóg mi świadkiem, że muszę to odkryć, bo nigdy już spokojnie nie zasnę – wyszeptał, jakby składał żonie ostatnią obietnicę.

Boziłow podał nadkomisarzowi chusteczki i płyn do dezynfekcji.

– Teraz tego nie zdejmę. Ręka jest zbyt spuchnięta – wyjaśnił. – Ale jak skończymy, postaram się dostarczyć ci precjoza osobiście. Może jednak zmienisz zdanie i przyjmiesz zaproszenie Jadzi?

– Nie sądzę. – Odwrócił się do wyjścia. – Pozdrów ją ode mnie i dbaj jak o skarb. Dopiero kiedy ci kobieta zniknie, doceniasz, jaka była wspaniała.

– Zaczekaj – szepnął Boziłow. – Jest coś, co muszę ci powiedzieć. Tylko nie wiem, czy teraz, czy kiedy ostatecznie się upewnię co do jej tożsamości.

Pochylił głowę, zaczął drobić kroki.

– Mów – rozkazał Matuszak. – Teraz już musisz. Dam radę.

– Ona była w ciąży – wypalił Boziłow.

– Co? – Matuszak nie dowierzał. – Jesteś pewien?

Lekarz wskazał łono zmarłej.

– Rozszerzona miednica. Obstawiam piąty miesiąc. Przy jej posturze mogłeś tego nie zauważyć. Trudno będzie stwierdzić, czy płód był żywy. Ale nosiła pod sercem dziecko. Przykro mi.

Policjant długo patrzył w czubki swoich butów. Chwiał się na nogach, jakby zagrano jego ulubionego snuja. Milczał.

– Możesz sprawdzić, czy dziecko było moje? – zapytał zaskakująco spokojnie. – Jeśli proszę o zbyt wiele, zrozumieć.

Boziłow bez słowa skinął głową.

– Nie śpiesz się – polecił Matuszak. – Chciałbym mieć pewność.

– Rozumiem. Jak tylko będę miał wyniki, dam znać.

– Dziękuję – szepnął Matuszak, ale stał wciąż w tym samym miejscu.

Cierpliwie czekał, aż lekarz schowa ciało do właściwej szuflady. Kiedy się odezwał, głos miał znów zimny, oficjalny. Ktoś, kto go nie znał, nie domyśliłby się emocji buzujących teraz w jego sercu.

– Czy udało ci się ustalić coś więcej w sprawie ofiar na Sołaczu i ich powiązań z Haselhofem oraz Strusiem? W kasetce był test mający poświadczyć prawdopodobieństwo pokrewieństwa zakonnika i polskiego Niemca.

Boziłow oniemiały wpatrywał się w metamorfozę nadkomisarza. Odchrząknął. Wyprostował się.

– Jest sfalszowany – odrzekł służbowym tonem. – Firma, która go wykonała, nie istnieje. Sądzę, że nigdy nie istniała. Mam za to coś, co da ci do myślenia. Nie sądziłem, że będziesz na siłach rozmawiać

o śledztwie, dlatego tego nie zgłaszałem, ale moim zdaniem zmienia trochę ogład sytuacji.

– Mów. Jestem zainteresowany. I zamierzam pracować – zapewnił Matuszak, łypiąc na doktora spod oka. – Ta chwila słabości zostanie między nami?

– Oczywiście – potwierdził skwapliwie doktor. Kontynuował: – Niemcy przysłali akta sprawy dłoni, które Klara znalazła na swojej posesji. Ustalono, na podstawie odcisków palców Helmuta Kischki z aresztu, że należały do Izaaka Haselhofa. To zgadza się z dokumentami z naszych polskich spraw. Jednak pobierając te wszystkie próbki dla potrzeb twojego dochodzenia, przy okazji zbadałem zgodność. Zdawało mi się, że to jedynie formalność. – Zawahał się. Wyrężył pierś. – W każdym razie nie pasują do człowieka, który leży w naszym szpitalu. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie pasują. To dłonie Strusia – zakończył.

– Jak to? – zdołał wydusić Matuszak. – Może zaszła pomyłka? I jakim sposobem to ustaliłeś? Przecież zakonnik został przedwczoraj pochowany!

– Pogadaj ze swoimi technikami, ale w laboratorium mają włosy ze szczotki, którą Meyer znalazł w szufladzie zakonnika. Cesały się nią dwie osoby: ojciec Struś i niezidentyfikowana kobieta.

– Kobieta? – zdziwił się Matuszak. I wzburzył się, podniósł głos o kilka tonów. W jego postawie nie było już śladu dawnej słabości. – Dlaczego o wszystkim dowiaduję się ostatni?! Kto prowadzi to dochodzenie: ja czy Meyer? Kto ci płaci, doktorze? Czyje polecenia wykonujesz?

Boziłow przyglądał mu się z satysfakcją, choć był zaskoczony, że policjant tak szybko wrócił do formy.

– To już ustalacie między sobą – odparł, a z każdym kolejnym słowem obniżał głos coraz bardziej. – Moim zadaniem jest przemawiać w imieniu tych, którzy sami niczego nie są w stanie już powiedzieć. Jest mi wszystko jedno, kto zleca mi zadania. Byle miały sens i były w miarę odkrywcze. Meyer połączył jakoś te nitki i dostarczył mi próbki. Powtarzam ci: na szczotce znajdują się włosy Anity Nowackiej, byłej narzeczonej Grzeska Kaczmarka i córki właściciela strzelnicy, do której chodzili Garbarczyk, Cania i, jak sądzę, wszyscy pozostali. Również Haselhof. Możemy dalej bawić się w szukanie poszlak, ale byłoby najlepiej zbadać to u źródła. Jeśli dłonie należą do zakonnika, grono podejrzanych zawęży się do ledwie trzech osób. Jest szansa, że rozwiążesz tę sprawę szybciej, niż się spodziewałeś. Liczyłem na pochwałę i premię, szefie, a nie karczemny opierdół po tym, co dla was robię. Za dużo czasu spędzasz z Meyerem!

Boziłow odwrócił się i wyszedł z sali, głośno trzaskając drzwiami. Matuszak pobiegł za nim, chwycił go ramię.

– Daj mi to na piśmie. Zaraz dzwonię do prokuratora. – Skłonił głowę na znak przeprosin. – Ubłagaj Jadwigę o dzień, dwa, bo jeszcze dziś w nocy będziesz miał na stole odkopanego mnicha.

\* \* \*

Hubert wszedł do ciemnego pokoju, gdzie przed laptopem dyżurował Kaczmarek. Na stole leżały rozgrzebane papiery, a spomiędzy kilku puszek z napojami izotonicznymi straszyla wypełniona zużyтыми iqosami popielniczka. Meyer bez słowa podeszedł do okna, otworzył je na oścież. Niebo było stałe jak w środku zimy.

– Wstrzymaj się – polecił młodemu profilerowi, oświetlając twarz zapalniczką. Zaciągnął się łapczywie papierosem. – Matuszak ruszył z prokuratury. Przed ekshumacją chce wziąć udział w naszym eksperymencie.

– Uważasz, że to dobry pomysł? – Kaczmarek był sceptyczny. – Znów będzie się pluł ze złości. Mieliśmy szukać dowodów, a nie ujawniać niesprawdzone tropy.

Sięgnął do kieszeni i wyłuskał z listka lek przeciwbólowy.

– Uuu, dopiero trzeźwiejesz? – domyślił się Hubert. – Weź lepiej dwie. Praktycznie nie spałeś, będzie tylko gorzej, a noc zapowiada się długa. Przydałby się klin, ale nie zdążyłbym wrócić z żabki. Szałaj poleci po kilka małek, jak wykona swoje życiowe zadanie.

Przyjrzał się rozczochranej fryzurze dawnego prymusa, jego zaczerwienionym białkom oczu i jednodniowemu zarostowi na szczęcie.

– Dobrze się spisałeś. Wytrzymasz. Mam nadzieję, że to już ostatnia prosta.

– Straszna sprawa z żoną Matuszaka – odezwał się chrapliwie Kaczmarek i okropnie się rozkaszał. Mruczał coś pod nosem o nienawiści do alkoholu. – Sam nie wiem, czy po czymś takim zdołałbym wrócić do pracy.

– To jedyne lekarstwo – rzekł Meyer. – Druga opcja to leżeć bez ruchu. W końcu dopada każdego, ale twardziele tacy jak my zwlekają z tym zawsze za długo. No i za żadne skarby się nie przyznają.

– Też leżałeś?

Meyer pokiwał głową. Chwycił krzesło stojące pod oknem i przystawił sobie do biurka, przy którym godzinę temu założył posterunek Grzegorz.

– Balem się, że tak mi zostanie. Nie wstanę wcale, nie wydobędę głosu z gardła. Niczego nie przelknę. Do nikogo nie zadzwonię. Wszystko zdawało mi się bezcelowe.

– To się nazywa depresja. Są na to leki.

– Nie działały – powiedział Meyer. – Uratowała mnie praca. WERA musiała powstać. Dla niej. – Umilkł. – Ciekawe, jaki ratunek znajdzie dla siebie Bodzio. Bo jakiś znajdzie.

– Nie inaczej. – Kaczmarek przytoczył ulubione powiedzonko Matuszaka. – Oby się nie rozpił.

Porozumieli się spojrzeniem, a potem w milczeniu wgapiali się w monitor.

Ekran podzielono na cztery części. Przesyły z kamer zainstalowanych w kolejnych pokojach przesłuchani oznaczono numerami. W każdym z nich, na niewygodnym krzeselku bez oparcia, siedzieli przy stoliku kobieta: 1 – Anita Nowacka, 2 – Wiktoria Garbarczyk, 3 – Maria Garbarczyk. Czwarty pokój był pusty.

– Wydaje się, że wszystko działa – mruknął Hubert. – Możesz jednocześnie słuchać wszystkich?

– To bez sensu, ale tak. Całość nagrywa się niezależnie. I mam dwie pary słuchawek. Mogę mieć jedną panią na głośniku, a drugą w office. Niestety trzecia musi być wtedy wyciszona.

– Nie szkodzi – orzekł Hubert. – Wszystko i tak rozegra się w tym czwartym.

– Kogo do niego zaprosisz?

– Niespodzianka – uśmiechnął się profiler. – Ktoś potrzebuje jej bardziej od nas.

W tym momencie trzasnęły drzwi. Stał w nich Matuszak.

– Kto zapierdolił drugi komplet dłoni? – ryknął.

\* \* \*

Sierżant Szałaj otworzył drzwi radiowozu i polecił świadkom wysiąść. Najpierw z auta wyskoczył mały zakonnik, a chwilę po nim wygramolił się olbrzym w habicie. Funkcjonariusz puścił mnichów przodem, a sam wziął z przedniego siedzenia pudło z rekvizytami, które pobrał z archiwum.

– Jest pan pewien, że nie będzie nas widać? – niepokoił się Marcinek.

– Mówiłem chyba z dziesięć razy – fuknął Szałaj. – Lustro fenickie nie prześwituje, nie słychać rozmów. Chyba że zaczniecie się drzeć albo mordować nawzajem. Nie bójcie się. Będziecie niewidzialni.

– Tylko dlatego wyraziłem zgodę. Berni też, prawda? – Marcinek spojrział na Wielkiego Berna. – Hubert zagwarantował nam pełną anonimowość!

Duży mnich potwierdzał każde słowo Marcinka skwapliwym kiwaniem głowy. Na nosie miał druciane okulary i cały czas je poprawiał.

Kiedy pokonali dyżurkę, Szałaj kazał im zatrzymać się za filarem. Sprawdził, czy nikogo nie ma w korytarzu i dopiero dał znać, by ruszyli przodem.

– Czekajcie w czwórce – rozkazał, po czym siłą wepchnął ich do środka.

Słyszał, jak się awanturują, gdy zamykał ich na klucz.

– Cicho! – obsztorcował ich chrapliwym szeptem. – Podejrzani znajdują się w pokojach obok. Tak do końca to te pomieszczenia nie są wygłuszone.

– Jest komplet – oświadczył Hubert. – Możemy zaczynać. Wszystko się zaraz wyjaśni, nadkomisarzu – uspokajał prowadzącego dochodzenie. – Siadaj!

Matuszak przystawił sobie jakiś stos kartonów, przysiadł na nich i dołączył do zebranych. W milczeniu obserwowali ludzi w pustych pomieszczeniach. Anita nieustannie poskramiała burzę rudych loków i pod tym pretekstem starała się dojrzeć w szybie ukrytych widzów. Wiktoria siedziała skulona, jakby z każdej strony spodziewała się ciosu. Maria modliła się. Złożyła dłonie w krzyż na piersi, przykneęła oczy i poruszała bezgłośnie ustami. Zakonnicy zaciekle się klócili. Jeśli oczywiście kłótnią można nazwać okładanie małymi piąstkami Wielkiego Berna i wykrzykiwanie grózb o ogniach piekielnych, co dawało tyle samo, co gadanie do skały.

– Nagranie ruszyło – zameldował Kaczmarek. Podał słuchawkę Matuszakowi. Drugą przechwycił Meyer. – Od którego pokoju zaczynamy?

Matuszak spojrzął na profilerę.

– Dowodzisz – rzekł łaskawie, ale zaraz dodał: – Tylko podczas eksperymentu.

Hubert pokazał trzy palce. Kaczmarek włączył głośnik. Napisał coś w telefonie i kilka sekund później drzwi pokoju, w którym znajdowała się Maria Garbarczyk, otworzyły się. Szałaj wprowadził zakutą w kajdanki Klarę Haselhof. Wskazał jej miejsce naprzeciwko bratowej.

– Panie się oczywiście znają – zaczęła sierżant, spoglądając z wahaniem w kamerę. Nie był pewien, czy wykonuje polecenia prawidłowo. – Dla formalności odczytam nazwiska i uprzedzę, że konfrontacja jest nagrywana. Wizja i dźwięk. Kopia wraz z protokołem znajdzie się w aktach. Zgromadzony materiał będzie miał wartość procesową.

Obie kobiety zareagowały nerwowo. Klara natychmiast się wyprostowała. Maria się przygarbiła, jakby chciała się wydać jeszcze mniejsza.

– Nie patrz na siebie – zauważył Kaczmarek. – Maria się boi.

– Spodziewała się spotkania z córką. Na konfrontację z bratową nie była przygotowana – dorzucił Matuszak. – Spójrzcie na kolano Klary. Trzęsie nim, jakby dostała drgawek. Może myśli, że pod stołem tego nie widać?

Meyer nic nie powiedział. Wpatrywał się w ekran i mrużył oczy.

– Możesz powiększyć dłonie Marii? – poprosił. – I wycisz dźwięk. Nie jest ważne, co mówią. Odsłuchamy to później. Szałaj dostał instrukcje, niech się wykaże. Skupmy się na mowie ich ciał i mimice twarzy.

Kaczmarek wykonał polecenie. Patrzyli na drobne dłonie Marii. Palce pracowały intensywnie. Rząd czerwonych koralików na łańcuszku błyskał co jakiś czas. Kobieta mówiła szybko, łąpczywie łąpiąc hausty powietrza.

– Starczy – oświadczył. – Teraz oczy i usta Klary. Wrzuc zoom na maksa.

Żona Haselhofa praktycznie nie mrugała. Oczy miała szeroko otwarte. Wargi wydymała z pogardą, jakby groziła przeciwnikowi. Rzuciła bratowej wyzwanie.

– Pełen obraz – polecił Hubert. – I możesz włączyć dźwięk dla wszystkich. Niech staną na baczność.

– Więc twierdzą panie, że nie bywały w klasztorze w krytycznym dniu? – rozległ się głos Szałaja.

We wszystkich pokojach powstał popłoch. Zakonnicy zerwali się z krzesel i odwrócili plecami do kamer, jakby to miało uchronić ich przed atakiem Wielkiego Brata.

– W krypcie Mieszka nie byłam od szkoły podstawowej – oświadczyła podniesionym głosem Klara. Dotknęła nosa.

– Kłamie – burknął pod nosem Hubert. Matuszak zmierzył go wątpięcym spojrzeniem.

– Ja od lat nie opuszczałam kryjówki na fermie Urszuli – zapewniła łamiącym się głosem Maria. – Pierwszy raz znalazłam się poza zagrodą po eksplozji ładunków wybuchowych. Przecież to wiecie? – Rozkleiła się.

– Kto panią odwiedzał? – zainteresował się Szałaj. – Kontaktowałyście się ze sobą przez te wszystkie lata?

– Wycisz – polecił Hubert. – Ale oni wszyscy niech słuchają dalej. Chcę mieć zbliżenia twarzy Wiktorii i Anity. Ciekaw jestem, co one na to. Jak zareagują.

Kobiety w pokojach 1 i 2 były spokojne. Na twarz Wiktorii co jakiś czas wypływał kąpiący grymas. Kiedy Klara z Marią zaczęły się kłócić, Anita pierwszy raz ziewnęła.

Jej znużenie udzieliło się Matuszakowi. Wyjął słuchawkę z ucha.

– Czego to ma dowodzić? – spytał. – Nie lepiej normalnie je przesłuchać?

– Zaraz to zrobisz – zapewnił Hubert. – Staram się oszczędzić ci czasu.

– To NLP, jakieś inne czytanie z ludzkich warg czy tylko straszak?

– Słyszałeś o Pick up Artists? – Meyer rozparł się na krześle, aż zatrzeszczało.

– Zamierzasz którąś z nich poderwać? – Nadkomisarz się skrzywił.

Meyer uśmiechnął się.

– Zanim artysta uwodzenia podejdzie do dziewczyny, wcześniej ją obserwuje. To nie musi trwać długo, jeśli wiesz, na co zwracać uwagę. Jednemu starczy pięć minut, innemu kwadrans. Gdy ofiara jest trudna, potrzebujesz godzin, dni, a bywa, że i miesięcy.

– Tyle nie mamy – parsknął Matuszak.

– Ja już właściwie mógłbym podchodzić – oświadczył Meyer, a widząc ironiczne spojrzenie Matuszaka, wyjaśnił: – Pickuper stara się zajrzeć głęboko pod maskę, którą każdy z nas nosi na co dzień. Ja, ty, nawet nasz pupil Kaczmarek. Chociaż dzisiaj kostium wzorowego aspiranta leży pod stołem, a wszystkie fisie prymusa widziane są gołym okiem, bo chłopak ma kaca. – Uśmiechnął się z sympatią do ucznia. – Nie słuchasz, nie analizujesz. Rejestrujesz. Zdradzają nas drobne gesty, mimika twarzy, rodzaj spojrzenia. Jeśli wiesz, co znaczą, masz kobietę w garści. Wiesz już, czego pragnie i czego się boi. Atakujesz, nawijasz odpowiedni bajer, zgodny z legendą, którą do niej dopasowałeś. A ponieważ uszyłeś tę personę pod wymiar, nie może być innego zakończenia, jak „trafiony-zatopiony”. Dziewczyny potem się dziwią, że spotkały gościa, pogadały z nim chwilę, zjadły coś, wypily i pierwsza randka skończyła się w łóżku. To nie był przypadek. Ani tym bardziej miłość życia, nawet nie superchemia. Po prostu klient uszył na miarę swoją personę, by kobietę skutecznie do tego wyra zaprowadzić. Zwykle też „po” są bardzo zadowolone. Zakochują się natychmiast. Klasyczna manipulacja.

– Rozumiem, że znasz to z autopsji? – Kaczmarek odciął się za przytyk o prymusie, a Matuszak i Meyer zgodnie zarechotali. – Inaczej słabo widzę badanie. Jeśli nie będziesz umiał zedrzyć masek z Klary, Anity, Marysi i Wiktorii, marnujemy czas.

– To właśnie teraz robimy? – upewnił się Matuszak. – Prowadzimy je do łóżka?

Hubert pokiwał głową.

– Wiemy, że każda z nich powiązana jest ze sprawą.

– To jasne – zgodził się Matuszak. – Tylko która z którą?

– I to jest właściwy klucz. – Meyer klepnął się po udach. – Choć mamy do czynienia z sekwencją zdarzeń, sam proces jest spójny: śmierć starego Garbarczyka, zaginięcie rodziny, cisza, kokony na Halnej, zastrzelony zakonnik i próba zabójstwa Haselhofa.

– Dodałbym jeszcze zagadkę zamiany odciętych dłoni dwóch starców, którym zamarzyło się być Panem Bożią – burknął Matuszak. – Musimy o tym pogadać, chłopcy! Właśnie wracam od Bożiłowa.

– To punkt kulminacyjny tej sztuki – zgodził się z nim Hubert.

– A rozpierducha u Caniów? – dorzucił Grzesiek.

– Rachunek za milczenie. Wszystkie nasze dzisiejsze goście grały w tej sztuce swoje role. Staram się teraz ujawnić obsadę. Tym sposobem dowiemy się, kto jest główną bohaterką, kto pomagał, a kto tylko występował w epizodach. Przy okazji fundujemy im stres, by przesłuchania poszły gładko i zakończyły się przyznaniem do winy.

– Uważasz, że jedna z nich jest morderczynią?

Hubert zawahał się.

– To nie bingo, a ja nie jestem wróżką – odparł wymijająco. – Sądzę jednak, że mają wiedzę na temat prawdziwego przebiegu wydarzeń. A kiedy to ustalimy, nazwisko zabójcy wyłoni się samo.

– Wiesz przynajmniej, kogo rozpozna Wielki Bern? – Matuszak był ostrożny.

– Nie on jest przedmiotem tej konfrontacji – uciął Meyer. – Co do niego jestem pewien. Szukamy teraz słabego ogniwa. Pani, która ma powód, by sypać.

Wskazał Kaczmarkowi pokój numer 2, by powiększył twarz Anity. Wykrzywiła się gniewnie, słysząc słowa Klary. Niestety nie wiedzieli, o czym mówiono.

– Włącz dźwięk.

– Nie miałam wyjścia. Sama byłam ofiarą.

– O czym ona gada? – zniecierpliwził się Matuszak.

– O byłym mężu, z którym była w doskonałych stosunkach. Wcale nie chciała się rozwodzić. To Haselhof zamienił ją na nowszy model Pauliny Guz – wyjaśnił Meyer. Odłożył słuchawki na stolik. – Ja mam już wszystko. Dawaj je do czwórki.

– Wszystko? – zdziwił się Matuszak. – A ja znacznie mniej niż wcześniej.

Kaczmarek znów napisał esemes. Po chwili Szałaj zaprosił obie przesłuchiwane do wyjścia. Pokoje pustoszały. Anita i Wiktoria również zniknęły ze swoich okienek. Nie minęły trzy minuty, a wszystkie cztery pojawiły się na podeście z numerkami na ścianie. Policjanci widzieli, jak Szałaj ustawia je w rzędzie, jednocześnie instruując, jak mają trzymać swoje plansze. Numeracja była zgodna z oznaczeniem pokoi przesłuchań: 1 – Anita, 2 – Wiktoria, 3 – Maria. Jedyne Klara miała w rękach szablon z numerem 5. Sierżant wyszedł i zajął do pomieszczenia, w którym byli zakonnicy.

– Czy panowie mnie słyszą? – rozległ się głos zwielokrotniony przez mikrofon, aż Matuszak i Meyer się wzdrygnęli.

Kaczmarek pochylił się, poprawił ustawienia i dopiero wtedy oświadczył:

– Słyszemy cię bardzo dobrze. Bracie Marcinie, bądź łaskaw przyjrzeć się stojącym na podeście okazanym paniom.

– Powiększ twarz Wielkiego Berna – polecił Hubert. – A kiedy wskaże kobietę, także jej oczy. I dłonie.

Marcinek wcale się nie zastanawiał. Wreszcie podniósł całą dłoń.

– Piątka – wyszeptał Matuszak. – Wskazał Klarę. Tak jak się spodziewałem. Wszystko się zgadza. Niech będzie błogosławiony wydruk z nowiutkiego fotoradaru!

– Panie Bernardzie? – zachęcił rosnącego zakonnika Szałaj. – Zgadza się pan z tą opinią?

Olbrzym się zawahał. Powoli skinął głową, a potem, jakby niesiony poczuciem winy, składał kolejne palce. Ostatecznie wyprostowany został tylko jeden – kciuk.

– To na znak zgody? – Matuszak nie rozumiał. – Czy ten facet właśnie pokazał Anitę Nowacką?

Meyer uśmiechał się promiennie do monitora.

– Przekaż Szałajowi, że doskonale się spisał – zwrócił się do Kaczmarka, a potem odkręcił się do prowadzącego dochodzenie.

– Teraz wszystko w twoich rękach, Bodziu. Bierz na warsztat Berna i westalkę Strusia. To oni są tutaj najcenniejszym nabytkiem.

– Sorry, chłopcy. – Matuszak się poderwał, aż spadł pierwszy z brzegu karton. – Nie czuję się dziś na siłach rozwiązywać szarad. Jadę kopać doły na sołeckim cmentarzu. Okazuje się, że zakonnik samobójca nie zasłużył na pochówek w klasztornej nekropolii. Sami to zróbcie. Od tego was przecież mam. A jak skończycie lekcje uwodzenia, zapraszam na ekshumację. Nie sądzą, byśmy skończyli do rana, więc spodziewajcie się mocnych wrażeń. Gdyby zaś któreś z nich przyznało się do zbrodni, dajcie, proszę, znać, to oszczędzę ludziom nieprzyjemnych widoków.

– Skąd się znacie?

Meyer wszedł do pomieszczenia z impetem. Za nim jak cień podążał Kaczmarek. Przydźwigał przywiezione przez Szałaja fanty, a teraz pieczołowicie rozkładał je na stole. Skopiowany na policyjnej kserokopiarce egzemplarz *Strażnika Dusz*, zdjęcie nagich, rozmodlonych kobiet i intarsjowaną skrzynkę Strusia. Wyjął z niej damską szczotkę do włosów z etykietą dowodu numer 74.

Anita i Wielki Bern spojrzeli po sobie. Zakonnik pochylił głowę, poprawił sznur w pasie.

– Nie znamy się. – Kobieta odezwała się pierwsza. Obrzuciła pogardliwym spojrzeniem rosnącego mnicha. – Myślałam, że to będzie przesłuchanie.

– I jest – potwierdził Hubert. – Obecność brata Bernarda jest konieczna. To część eksperymentu, na jaki wyraziłaś zgodę.

Skinął na Kaczmarka. Grzegorz podał mu dowód numer 74.

– Na tym narzędziu są twoje włosy – oświadczył profiler i przesunął rekwizyt w kierunku kobiety. – Co ta szczotka mogła robić w celi Strusia?

Anita nabrała powietrza. Zacisnęła usta. Milczała.

– Twierdzisz, że nie bywałaś w klasztorze.

– Nie bywałam.

– To twoja szczotka. Czy jestem w błędzie?

– Zaginęła mi jakiś czas temu – odparła szybko.

– W jakich okolicznościach?

– Już nie pamiętam. Prawdę mówiąc, nie widziałam jej od dawna. Może ją zgubiłam? To naprawdę takie ważne?

Hubert nie poruszył się. Przyglądał się tej dwojce.

– Zabójca użył jej do uczesania ojca Strusia po śmierci. Zastrzelił go, zainscenizował samobójstwo, a na koniec umył i uczesał. Skąd wiemy, że wykonał ten rytuał pośmiertnie? Bo są na niej GSR-y i mikroskopijne drobinny krwi ofiary. Dlatego też w dniu dzisiejszym kwalifikacja śmierci zakonnika została zmieniona. Pracujemy obecnie nad sprawą morderstwa. Samobójca nie mógłby się zastrzelić, następnie dokonać ablucji i jeszcze schować szczotkę do szuflady. To twoja szczotka, Anito, i zapewne wiesz, dlaczego została użyta.

– Nie mam pojęcia – wydukała kobieta. Spojrzała z przestrachem na funkcjonariuszy, a potem przeniosła wzrok na mnicha. – Pan coś rozumie?

Wielki Bern gwałtownie zaprzeczył.

– Dlaczego sprawca akurat ciebie chce pogrzyźć? – drążył Meyer. – Jaki może mieć powód?

Sięgnął za siebie i położył na stole fotografię. Sylwetkę nagiej Anity otoczono kółkiem. Potem wydobyl z akt zbliżenie fragmentu jej twarzy i włosów. Wstał, przybliżył do jej fryzury.

– Zdziwiający podobieństwo – mruknął.

A potem z impetem dorzucił na stół kserokopię książki.

– Dobra. Czytałaś? – spytał z kpiącą miną. – Choć powiem szczerze, że adaptacja w rzeczywistości trzyma w napięciu o wiele lepiej.

– Jestem niewinna! – zakrzyknęła kobieta i zerwała się z krzesła, jakby kopia woluminu miała ją zaatakować. – Tę szczotkę ktoś podrzucił. Wrabia mnie! Mogę przedstawić alibi na wszystkie noce, kiedy dokonano zbrodni. Od lat nie kontaktuję się ze Strusiem, nie widuję Haselhofa i nie znalazłam ofiar z Halnej.

– Tych współczesnych czy zaginionych? – dopytał Meyer.

Anita zbaraniała.

– Garbarczyków znalazłam, oczywiście.



– I wiedziałaś, gdzie się ukrywają. Nie zgłosiłaś tego. Nie starczyło ci odwagi na wykonanie anonimowego telefonu. To mnie zastanawia. Podobnie jak fakt, że twoja zaginiona szczotka odnajduje się przypadkiem na miejscu zbrodni.

– Przecież to za moją sprawą tu jesteście! – oburzyła się. – To ja poprosiłam Grzegorza, żeby przyjechał.

– Poprosiłaś o wsparcie, bo się przestraszyłaś. – Meyer pochylił się nad dziewczyną całym ciałem. – Wiedziałaś od początku, kim są bezimienne ofiary na Halnej! Niewolnikami Izaaka Haselhofa. Może nie znałaś nazwisk, ale czułaś, że to ma związek z sektą i jest rodzajem groźby. Powiem więcej: nadal się boisz, że możesz być następna. Zresztą słusznie. Zabójca dokonuje pomsty na ludziach, którzy jego zdaniem zrujnowali życie byłemu szefowi stowarzyszenia obrony przed sektami. Znajdziemy pistolet, z którego próbowano go zabić już tydzień temu. W tej chwili mundurowi przeszukują strzelnicę twojego ojca. Jeśli będzie zgodność, wyjdiesz z więzienia jako staruszka.

– Nie byłam tego dnia w klasztorze – powtórzyła twardo Anita. – Ani tydzień wcześniej. Powiedziałam ci: odcięłam się od tych popaprańców wiele lat temu! Możesz mnie straszyć. Nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłam. A u taty niczego nie znajdziecie. On nic nie wiedział.

Hubert przyglądał się jej znad oprawek okularów. Długo się nie odzywał.

– Gdzie jest dziecko, które urodziłaś Izaakowi? Czy siedmioletni chłopiec z kokonów to twój syn?

Anita milczała.

– Wykonanie badań DNA jest dzisiaj dziecinnie proste. Mamy twój materiał genetyczny. Dostarczył nam go sprawca. Jeśli zgodzisz się ujawnić prawdę, możesz zmniejszyć swój wyrok. Kłam dalej, przysięgam, że cię pograżę. Kto zabił Paulinę Guz i dzieci Haselhofa, a jego samego próbował ukarać?

– Naprawdę nie wiem – wyszeptała łamiącym się głosem. – Dziecko odebrano mi zaraz po porodzie. Nie zdążyłam nadać mu imienia. Przysięgam wtedy, że nigdy więcej nie będę się kontaktowała ze Strusiem, Izaakiem i innymi! Mówię prawdę. Bardzo to przeżyłam. I nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy, o które mnie podejrzewacie. Każdy może się zagubić w życiu! – Zapłakała.

– Dobrze – pochwalił ją Hubert. – Doceniam twoją dobrą wolę. A do zagubienia w życiu jeszcze wrócimy. Czekaj w swoim pokoju. Zastanów się, co ci się bardziej opłaca: ujawnić cudze winy czy spędzić resztę życia za kratami. Iryna wszystko mi opowiedziała.

– Wiem – szepnęła. – Ale to nie jest wszystko. Ciocia tylko sprzątała.

– Domyślałam się. Inaczej rozwiązalibyśmy już tę sprawę. Wiem także, że wstydzisz się wielu rzeczy. Niepotrzebnie. Cenę już zapłaciłaś. Straciłaś swojego chłopca bezpowrotnie. Nawet nie wiedział, że byłaś jego matką.

Dał znak Grzegorzowi, by ją wyprowadził.

Kiedy wychodzili, Hubert nie spuszczał wzroku ze zbolełej twarzy Wielkiego Berna. Okulary zaparowały mu od przyspieszonego oddechu, a potężna pierś unosiła się i opadała, jakby powstrzymywał zawał.

– Więc jak to było, Berni? – odezwał się Hubert, kiedy zostali sami. – Kogo widziałeś na spotkaniu w krypcie? Anitę czy może kogoś innego? Bo poza księdzem Morawskim faktycznie był tam ktoś jeszcze. Ty sam.

\* \* \*

Zakonnik wpatrywał się w twarz Huberta totalnie oziębiały. Wręcz słychać było, jak tryby w jego głowie przesuwały się z trzaskiem.

– To zależy, o której godzinie – oświadczył ze spokojem. – Bo spotkania były dwa. Wózek ojca dwukrotnie zniknął spod wieży. I żeby było jasne, za drugim razem ja go nie transportowałam.

– Pierwszej schadzki Marcinek nie widział – odpowiedział mu Meyer. – Klara przyjechała z byłym mężem i domagała się spotkania ze Strusiem. Klócili się o pieniądze. Z tamtej skrzynki.

Pokazał. Otworzył. Wewnątrz była kupa pogniecionych papierów i różnej maści obrazków religijnych.

– Bardzo im się nie spodobało, że depozyt zniknął.

Zakonnik potwierdził.

– Izaak Haselhof. Sekciarz – kontynuował flegmatycznie. – Już wcześniej nachodził ojca. Chodziło o bardzo dużą kwotę. Twierdził, że Struś zdefraudował powierzone mu pieniądze, a ojciec mówił mi, że przed laty zostawili je jako ofiarę na klasztor. Musiałem bronić staruszka, bo tamten był agresywny, a jego żona nie lepsza. Skontaktowałem się z Jackiem. Zaproponował, że przyniesie broń. Do straszenia. Nie zabijania.

– To był łamany rewolwer Smith and Wesson starego Garbarczyka?

Wielki Bern potwierdził.

– Okazał się zepsuty.

– Wtedy zrozumiałeś, że musisz mieć inny pistolet?

– Zadzwoiłem do ojca Anity i powołałem się na Strusia. Zostawili go w dziupli klonu srebrzystego. Dla bezpieczeństwa z amunicją przyjechał Jacek. Przeszkolił mnie, jak go używać, konserwować i bezpiecznie przechowywać.

– I to było drugie spotkanie – podsumował Hubert. – Tylko ty i ksiądz Jacek.

Wielki Bern zwiesił smętnie głowę.

– Nie chciałem go zabić. Celowałem w sekciarza, ale uchylił się, wybił mi broń z ręki. Chwyciłem z rozpacy ten zepsuty. Zdaje mi się, że nie nacisnąłem spustu. On sam wystrzelił.

– Ta, pewnie – mruknął profiler z niedowierzaniem. – Gdybym pobierał opłaty za takie wyjaśnienia, byłbym już krezusem. Broń zawsze wypala sama.

– To był wypadek – zarzekał się zakonnik. – Ojciec Struś pechowo znalazł się na linii strzału. Samodzielnie nie był w stanie się przemieścić. Przecież na co dzień jeździł na wózku! Nie zmarł od razu. Odmówiłem modlitwę i siedziałem z nim, aż odejdzie. Szeptał, że mi wybacza.

Wielki Bern wbił pełne cierpienia spojrzenie w psychologa.

– Ja też mu wybaczyłem. Wszystkie grzechy. Teraz odpowiada tylko przed Bogiem.

– Co zrobiłeś z pistoletem? To był glock, mam rację? Widziałem dziurę wlotową w ścianie. Tam gdzie spudłowałeś. Dziewięć milimetrów. Najpopularniejszy model służbowy w policji.

Olbrzym przetarł rękawem twarz.

– Włożyłem go z powrotem do dziupli. Jacek zabrał go i gdzieś ukrył. Marcinek z pozostałymi braćmi posprzątał, rozstawili szklanki, zaaranżowali samobójstwo. Nikomu nie spowiadałem się, co zaszło. Wiedzieliśmy tylko ja i ksiądz Jacek. Morawski uznał, że teraz sam musi zniknąć.

– Ktoś jeszcze wiedział. I mógł was wydać – dodał Hubert. – Ten, kto był świadkiem twojej zbrodni. Znalazłeś Haselhofa, upoiłeś trucizną i zawiązałeś w kokon. Pech chciał, że weszliśmy na puste posesje, by je przeszukać.

Wielki Bern przestraszył się.

– Czy przeor wie?

– Myślę, że podejrzewał od samego początku – odrzekł Hubert. – Wziął te pieniądze i nie zamierzał zwracać ofiary.

– Zostały dobrze wykorzystane w zbożnym celu.

Hubert uśmiechnął się.

– Nie wątpię. Beneficjentów kilkuset tysięcy, które powierzyła Strusiowi Klara, zapewne jest sporo. Bardzo się starali wyciszyć sprawę. To dlatego przeor następnego ranka udał się w delegację i do tej chwili nie udało się go przesłuchać. Sądzę, że kiedy go dorwę i zapytam, wszystkiego się wyprze. Sprzedał cię, Berni. Jak Piłat Jezusa. A ty boisz się zwierchnika bardziej niż sądu bożego. Ty już tam nie wrócisz, nie musisz nikogo kryć. Twoim nowym klasztorem będzie areszt na Młyńskiej. W sumie twoje życie mało się zmieni.

Zakonnik długo nie odpowiadał.

– Ktoś musiał to posprzątać – rzekł wreszcie. – Będę dźwigał swój krzyż i odpracuję każdy grzech. W więzieniu z pewnością jest wielu takich jak ja. Mieli dobre intencje, a wyszło, jak wyszło. Nikt ich lepiej nie zrozumie – zakończył z pompą, po czym wyciągnął potężne przeguby do zapięcia kajdanek.

Hubert zdziwił się, bo w pokoju przesłuchań nie miał takiego sprzętu.

– Z pewnością czeka cię więc kupa roboty – skwitował. – A Paulina Guz i nieustalone dzieci? Jak to było? W której opuszczonej willi ich mordowałeś?

– To nie moja sprawka – zaprzeczył szybko Bernard. – Nie zrobiłbym krzywdy niewinnym ani kobiecie, choć była jawnogrzesznicą.

– Z pewnością ty także nim jesteś – wtrącił Hubert. – I znałeś tę najmłodszą dziewczynkę.

Wielki Bern zmrużył groźnie oczy.

– Położyłeś jej monety na powiekach. Potraktowałeś ją czulej, bo to była twoja córka, prawda?

– Brednie! – ryknął olbrzym.

Wstał, podniósł ramiona. Na jego przegubie przez chwilę błysnął karneol. Hubert kontynuował:

– Bywałeś na bachanaliach Strusia. Stąd wiedziałeś, że Anita też brała w nich udział. Dlatego jej ojciec przyniósł ci nierejestrowaną spluwę, kiedy tego zażądałeś. Od dawna ich szantażujesz. I to ty podrzuciłeś intarsjowaną skrzynkę z wycinkami staruszka. Chciałeś pogrążyć Anitę. To dlatego nas wezwała. Wiedziała, że zechcesz ją w to zrobić! A wózka za drugim razem nie ruszano, bo kiedy Jacek przyjechał, Struś już nie żył. Powiem ci, jak było. Chcesz, Berni?

Meyer nachylił się nad potężnym mężczyzną, który momentalnie skulił się, jakby próbował zmniejszyć się do wielkości muchy i wierzył, że zdoła czmychnąć z pokoju przez uchylone okno.

– Klara z Haselhofem była pierwszy raz w klasztorze tydzień wcześniej – zaczęła Hubert. – Wiemy to, ponieważ mamy nagranie z tego nieszczęsnego fotoradaru. Jechała z mężem w jedną stronę, ale wracała już sama. Podśluchiwałeś ich scysję ze Strusiem. Wtedy się zorientowałeś, że jest szansa na porządny zarobek. Może i na początku chciałeś bronić patrona, ale z czasem obrałeś innego sojusznika. Była żoną Haselhofa. Omotała cię, przekupiła czy zastraszyła? A może wszystko w jednym? Ta kobieta ma dar uwodzenia. Trzeba jej to przyznać. Żyła tyle lat z mistrzem manipulacji, poznała dobrze jego sztuczki. Strzeliłeś do niego, ale spudłowałeś. Starczyła jednak twoja mocna pięść i padł jak długi. Nie od razu zauważyliśmy obrażenia na głowie. Gdy przyjmowali go na oddział, był zarośnięty jak wilkołak. Łuskę zabrałeś, ale nabój został w ścianie. Wydlubałem go obok tej dziury, którą zrobiłeś tydzień później, kiedy zabijałeś Strusia. – Hubert ułożył go na stole. – Zapakowałeś Izaaka do furgonetki, którą wozisz towar ze sklepów i kwiaty do kościoła. Struś ci sekundował. Ukryliście starca w jednym z opuszczonych domów przy Halnej i może wtedy jeszcze sądziłeś, że skończy się na szantażu. Wtedy okazało się, że Haselhof przywiózł ze sobą Paulinę z dziećmi. Czekali na męża i ojca, a tutaj taka niespodzianka: jakiś pan niesie tatusia w foliowym worku. Obecność rywalki wkurzyła Klarę. Kazała ci ich zabić w zamian za majątek zdeponowany u Strusia. W sumie nie miałaś wyjścia. Paulina i tak doniosłaby na ciebie glinom. Tak było, Berni? Wmówiłeś jej więc, że Haselhof jest chory i konieczny jest rytuał przejścia. Na oczach rodziny odciąłeś Haselhofowi dłonie. To był rodzaj koniecznego teatru, ale czy nie tak karze się jawnogrzeszników w waszym stowarzyszeniu? Po pochówku konkubiny i dzieci na sąsiedniej posesji zakopałeś też samego apostoła. Gdybyś tego nie zrobił, skończyłbyś wkrótce jak on, bo Klara żądała dowodu, że zbrodnia się dokonała i teren jest czysty. Dlatego posłałeś jej do Berlina dłonie byłego męża. To była gwarancja, że kobieta zapłaci. A potem zastrzeliłeś Strusia. Tego dnia nie było żadnej kłótni z Klarą. Poza mną i Jackiem w krypcie nie było żadnych obcych. Po prostu się przestraszałeś, co Struś mi wyjawiał i co jeszcze może zeznać. Nie rozumiem tylko jednego: po co odcinałeś mu ręce po śmierci? Ich podmiana w gabinecie Bożiłowa naprowadziła mnie na twój trop.

Wielki Bern podniósł głowę i wykrzywił się z pogardą.

– Struś całe życie szkalował Haselhofa, a był taki sam. Chciwy oszust! I na dodatek kłamał, że byli spokrewnieni. – Splunął pod nogi. – Chodziło mu tylko o szmal. Władze naszego kościoła nie przejęły ofiary. Przeor jest czysty jak lza. To Struś cały czas trzymał pieniądze u siebie.

– Może czas na powiedzenie prawdy, Berni? – zapytał łagodnie Meyer.

– Zdaje mi się, że wszystko już odkryłeś. – Zakonnik uśmiechnął się chytrze.

– Nie wszystko. Pytań jest bez liku. Na przykład gdzie są dłonie Haselhofa?

– Szukajcie, a znajdziecie – mruknął Bern. – W życiu należy kierować się tą myślą.

Hubert miał dość. Wstał, okrążył podejrzanego i syknął mu do ucha:

– Przecież wiem, po co zachowałeś dłonie Izaaka.

– O czym ty gadasz? – Bernard zaczął się wycofywać. – Zbudowałeś sobie teoryjkę. Może spróbuj ją udowodnić?

– I tak zrobię. – Zadowolony profiler pokiwał głową. Postukał w drzwi. Uchyliły się. Kaczmarek podał mu kartonowe pudło. – Bo wiesz, długo myślałem o tym, dlaczego razem z dłońmi posłałeś Klarze sygnet Morawskiego i zdjęcie jej zmarłego ojca. To było ostrzeżenie. Gdyby kiedyś zapragnęła przestać płacić albo co gorsza zeznawać, przypomnisz jej, co wydarzyło się przed siedmiu laty na Halnej.

– To wszystko same bzdury. – Bern bronił się coraz słabiej. Zaplótł dłonie na brzuchu. Nadął się jak balon.

– Na szczęście Ewangelia według świętego Mateusza od dawna jest moim drogowskazem. – Hubert bawił się coraz lepiej. Chodził wokół stołu i perorował: – Jeśli zaś chodzi o oryginalne dłonie Haselhofa, czyli twój hak na drugiego współnika, są już one jednym z kluczowych dowodów w sprawie. Kto szuka, ten znajduje.

Dźwignął pudło i postawił je na stole z impetem. Otworzył, wyjął turystyczną lodówkę.

Bern odruchowo odchylił głowę. Skrzywił się z obrzydzeniem, jakby spodziewał się makabrycznego widoku i towarzyszącego mu fetoru. Zamiast odciętych w przegubach kończyn, Hubert wykladał na stół pliki waluty: dolarów i euro.

– Marcinek ujawnił mi skrytkę w klonie srebrzystym – wyjaśnił z uśmiechem. – Pomyślałem, że spróchniałych drzew przed bramą klasztoru jest więcej. W jednym z nich zabezpieczyliśmy twoją dolę, którą zostawił ci współnik. Daję ci teraz łaskawie szansę, by wskazać kryjówkę Jacka. Nie chcesz chyba samotnie ponieść odpowiedzialności, podczas gdy on będzie grzał dupę na Hawajach za pieniądze Klary, które ty w pocie czoła zarobiłeś?

## ROZDZIAŁ 8

# WROGOŚĆ

### OKOLICE OPOROWA

Już z drogi Meyer widział rozświetlone okna pałacyku Morawskich. Kiedy parkował, w krzakach dostrzegł motocykl. Tym razem nie musiał przeskakiwać ogrodzenia ani wspinać się na gzymsy. Furtka była otwarta, a po chwili w drzwiach wejściowych stanął Jacek.

Spotykali się trzeci raz i Hubert uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widział Morawskiego w sutannie. Zdecydowanie była to jego najprzystojniejsza odsłona.

– Masz tupet – rzekł profiler zamiast powitania. – Wykorzystujesz swój mundur, którego nie masz prawa już nosić, by omamić tutejszych.

Były ksiądz wzruszył ramionami. W jego oczach i postawie nie znać było strachu.

– Wszyscy na nas plują, ale nikt w twarz nie powie duchownemu złego słowa. – Otworzył szerzej drzwi. – Rozumiem, że tym razem sam liczysz na spowiedź, inspektorze? – zażartował sucho. – W przeciwnym wypadku przyjechałbyś z obstawą i pod bronią. Chociaż w twoim przypadku strzelby zbyt szybko wypalają. – Uśmiechnął się kąśliwie. – Już kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, wiedziałem o tobie praktycznie wszystko.

Hubert nie odpowiedział. Zdjął okulary na okoliczność obezwładnienia podejrzanego. Kątem oka ocenił odległość do samochodu i zdecydował się zaryzykować. Wiedział, że Matuszak wszystkie siły rzucił w tej chwili na sołecki cmentarz, gdzie ekshumowano zakonnik. Reszta ludzi dokonywała przeszukań w klasztorze, w domu Anity Nowackiej i w strzelnicy jej ojca.

– Powiem ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć, jeśli i ty nie pożałujesz mi prawdy – oświadczył pojednawczo i wszedł za Jackiem do domu.

W środku pachniało kocimi szczynami i pleśnią. Mimo rozpalonej kozy było zimno jak w spiżarni. Kiedy tylko zamknęły się za Hubertem drzwi, ze wszystkich pomieszczeń zaczęły wyłazić miauczące koty.

Jacek wziął na ręce jednego z nich i zaczął go głaskać.

– Wielki Bern przyznał się do zastrzelenia Strusia. – Hubert nie owijał w bawełnę. – Powiedział też, że tę broń dostał od ciebie. Skąd miałeś rewolwer starego Garbarczyka?

Jacek odłożył kota. Sięgnął do kieszeni po papierosy. Rozluźnił kolaratkę, wskazał stół z dwoma krzesłami, ale Hubert pokręcił głową.

– Odpowiedz – popędził Morawskiego, który zadarł sutannę i spokojnie przetrząsał kieszenie stylowych dżinsów w poszukiwaniu zapalniczki.

Hubert nie ruszył się. Nie zamierzał używać mu swojej, choć też miał ochotę zapalić.

– Ostatnim razem przekonywałeś mnie, że smith and wesson zniknęła wraz z Garbarczykiem. Nie znaleziono go podczas przeszukań domu na Halnej. Przed siedmiu laty ani później. Może dlatego, że było to narzędzie zbrodni? Gustaw nie żyje. Nie był u Klary ani na farmie Caniów. To był dubler. Sąsiad Klary z Berlina, niejaki Jakubik. Dostał przesyłkę z dłońmi i zostawił jedną w gabinecie, a drugą podrzucił psu na podjazd. Niemcy już go maglują. Źle wybrałeś epizodystę. Od razu przyznał się do odegrania życiowej roli. Honorarium ponoć było zbyt małe, by opłacało mu się kryć współników. Ciebie i Klarę. Tym razem potwierdzi się, że ręce należą do Strusia, bo mamy już oba komplety dłoni. Zostaniesz pociągnięty do odpowiedzialności i za to.

Jacek wreszcie odpalił papierosa. Patrzył, jak popiół spada na wzorzysty dywan.

– Może tak właśnie było – rzekł z flegmą. – Wynająłem Jakubika i negocjowałem stawkę na prośbę Klary, ale Gucia nie zastrzeliłem. Nie jestem mordercą.

Odpowiedź zaskoczyła Meyera.

– Więc dlaczego pomagałeś Cani w założeniu ładunków i wysadzeniu Góry Moraskiej? – zaatakował. – Przez ciebie w szpitalu leży teraz kilkunastu policjantów. Ordynator jest w śpiączce. Nie wiadomo, czy z tego wyjdzie.

– Jeśli znów mnie nagrywasz, połóż dyktafon na stole – zaproponował Jacek. – To długa opowieść. Obydwóm nam będzie wygodniej.

Odwrócił się, przeszedł do kuchni. Wyciągnął z szafki butelkę szkockiej i nalał sobie trzy czwarte szklanki. Dopiero kiedy wlał do gardła solidny łyk na odwagę, odezwał się ponownie.

– Skąd wiesz, że to ja pomagałem Urszuli?

– Twoje dziwne żarcie było w jej lodówce. Widziałem pigwę, tuńczyka i racuchy, zanim nastąpiła eksplozja.

Jacek zaśmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

– Urszula naiwnie sądziła, że odleci helikopterem. Zawsze zazdrościłem jej tak głębokiej wiary w cuda. Jej cel był szlachetny: uratować Marysię i jej dzieci przed agresorem. Nawet kiedy pozostałe matki z dziećmi zwiąły, wierzyła, że Gustaw się na nich czai. Zapewniam cię, do końca była przekonana, że facet w kapturze, który przyszedł kupić jej koty, to Garbarczyk. Dlatego nam pomagała. A my potrzebowaliśmy jej. Nie było nam na rękę wyprowadzać ją z błędu. Wtedy sam liczyłem, że sprawa się nie wyda.

– A dziś?

– Dziś? – powtórzył jak echo Jacek. – Jest mi wszystko jedno. Odszedłem z Kościoła. Nie muszę już nikogo kryć. – Podniósł hardo głowę. – Jestem gejem. Przez całe lata sam sobie kłamałem. Wstydziłem się, biczowałem, miałem za degenerata. Kiedy Gustaw zaczął mnie szantażować, płaciłem bez gadania. Potem stawki zrobiły się zabójcze. Nie dawałem rady organizować pieniędzy. On był jak smok, coraz bardziej żądny i głodny. Nienawidziłem go, ale znacznie bardziej siebie, bo przez całe lata byłem w nim ślepo zakochany. To nie ze względu na Marię, ale na niego przykleiłem się do tej rodziny. A on to wiedział. I Marysia wiedziała. Nigdy nic między nami nie było, choć kilka razy po pijaku próbowałem się zbliżyć. Gardził mną. Poniżał mnie i wykorzystywał.

– Dlatego go zastrzeliłeś?

– Nie zrobiłem tego – powtórzył z naciskiem Jacek. – Ale kiedy po stypie starego Garbarczyka Marysia zadzwoniła, że Gucio nie żyje, ulżyło mi. Zabrałem z Halnej jego zwłoki i pochowałem. Odmówiłem nawet modlitwę dziękczynną i to był chyba ostatni raz, kiedy modliłem się szczerze. Dlatego zrezygnowałem z posługi. Nie chcę dłużej żyć w kłamstwie. Odbędę karę za swoje uczynki, ale nie będę przeproszał za moją orientację seksualną. Zbyt długo zwlekałem z przyznaniem przed sobą, że jestem normalny. Możesz mnie już zabrać.

– Nie tak szybko. – Meyer odsunął krzesło. Usiadł.

Spojrzał tęsknie na butelkę z bursztynowym płynem, przetknął ślinę, ale wiedział, że musi być trzeźwy. Jego zadaniem było odstawić Morawskiego do aresztu jeszcze dzisiejszej nocy.

Położył na stole telefon z włączonym dyktafonem.

– Dziękuję za twoją zgodę – rzekł. – Choć będziesz musiał jeszcze raz opowiedzieć to wszystko Matuszakowi. W komendzie.

Jacek wykonał nieokreślony ruch głową. Dolał sobie, choć szklanka była pełna.

– Nie ucieknę. I nie zamierzam się zabijać jak doktor Cania – oświadczył. – Na to nie licz. Wszystko, co najgorsze, mam za sobą. Pomagałem w tym spisku, ale nie mam krwi na rękach. Zabijał Bern. Zlecenie wydała Klara.

– Dziękuję za tę informację. Przyda się w procesie. – Meyer się uklonił. – Nadal jednak nie rozumiem, co dokładnie wydarzyło się na Sołaczu w noc po pogrzebie Stanisława Garbarczyka. Bo wtedy wszystko się zaczęło.

– Większość tropów podałem ci podczas naszej pierwszej rozmowy. Gdy rozmawialiśmy drugi raz, właściwie się przyznałem. Ale ty nie umiałeś tych puzzli poskładać. Chcesz wszystko dostać na tacy?

– Nie zaszkodziłoby – mruknął Hubert. – Homoseksualiści w kiciu nie mają miodowego życia. Gdybyś podał miejsce ukrycia ciała Garbarczyka, wyrok byłby niższy.

– Przecież to oczywiste. – Jacek się uśmiechnął. – Wciąż jeszcze się nie domyśliłeś?

## ROZDZIAŁ 9

# ZDRADA

Sołecki cmentarz doprawdy lśnił od reflektorów z soczewką Fresnela, jakby mieszkańcy świętowali przyspieszony Halloween. Funkcjonariusze pilnujący taśm stali w rzędzie, a technicy klęczeli w kombinezonach z grabkami, kilofami i łopatami, by jak najostrożniej odsłaniać kolejne warstwy ziemi z grobu.

Hubert precyzyjnie przeszedł przez tłum kryminalnych i patrzył na to ze zbolowanym sercem. Po latach zaangażowania i ciężkiej pracy ktoś uznał, że Struś nie zasługuje na pochowanie w klasztornej mogiłnicy. Trumna, w której złożono zakonnik, była najtańsza, jaką można było zdobyć. Nieoheblowane deski zbito pośpiesznie. Na wieku ktoś narysował węglem prosty krzyż. Kiedy deski podważono, ich oczom ukazał się obraz godny rozpacz. Ojciec Struś nie został pochowany w habitcie, jak przysłało na zakonnik. Na jego ciało włożono jutowy worek pokutny. Ramiona miał powykrzywiane. Z przegubów straszły kikuty. Boziłow na miejscu dopasowywał dłonie, które otrzymał do badań. Te, które znaleźli w lodówce z pieniędzmi Wielkiego Berna, pasowały do obrażeń wciąż nieprzytomnego Haselhofa.

– Wygląda na to, że mamy oba komplety. – Do Huberta podszedł zadowolony Matuszak. Położył dłoń na ramieniu profilera. – Dobrze się spisałeś. Jak wrócisz do domu, myśl o mnie dobrze. Przepraszam za wszystko, co kiedykolwiek gadałem.

Hubert bez słowa pokiwał głową. Przeżegnał się i ruszył w głąb cmentarza.

– Gniewasz się? – Matuszak polecił Kaczmarkowi pilnować ekshumacji, a sam dogonił psychologa. Kiedy maszerowali cmentarną alejką, tłumaczył się gęsto: – Nie czuję się najlepiej. Powinieneś coś o tym wiedzieć. Boziłow potwierdził tożsamość zwłok. To Lili. Czekam tylko na informację, czy dziecko było moje.

Hubert zatrzymał się i długo wpatrywał się w policjanta, jakby nie rozumiał kierowanych do siebie słów.

– Przykro mi – wydukał. – Naprawdę ci współczuję.

Matuszak pochylił głowę.

– Jeszcze to do mnie nie dociera – wyznał. – Ale przynajmniej pojąłem, że muszę odstawić picie. Już teraz cię rozumiem. Prawdziwy ból dopiero się zbliża. Chcę być gotów. Dlatego na razie wolę zająć się pracą.

– Wiem dobrze, o co chodzi – mruknął Meyer.

Ruszył przed siebie i co jakiś czas czytał na głos nazwiska na nagrobkach.

– Czego ty szukasz? – Matuszak podążyła za nim, nie przestając mówić. – Szalaj dopracowuje w tej chwili wyjaśnienia Marii i Klary. Okazał się świętym śledczym. Chyba dam mu awans. – Przerwał. Nabral więcej powietrza. – Wyobraź sobie, że żona i siostra Garbarczyka jednocześnie przyznały się do jego zabójstwa. Ponoć podczas stypy doszło do wielkiej awantury. Gustaw prawie pobił się z Klarą. Maria stanęła w jej obronie. Kobiety dogadały się w sprawie majątku, ale Garbarczyk nie chciał tego zaakceptować. Zamierzał uciec z kraju, tułać się po świecie i nadal unikać odpowiedzialności za długi i malwersacje. Nie mógł znieść, że będą żyli w biedzie albo i pójdzie siedzieć. Miał żal do ojca, że go wydziedziczył. Każda z nich twierdzi, że zastrzeliła Gustawa w obronie własnej. Prokurator zastanawia się nad postawieniem im zarzutów dokonania zbrodni wspólnie i w porozumieniu, choć one zaprzeczają, że ta druga brała w tym udział. Podejrzewamy, że chcą, by w razie aresztowania jedna



z kobiet zajęła się dziećmi. W sumie będzie ich dziesięcioro, bo Wika jest już samodzielna. Uwierzysz?

Hubert stanął w miejscu, spojrzął na Matuszaka. Czekał na dalszy ciąg relacji.

– Gdybyśmy mieli jego ciało, i ta sprawa mogłaby być zamknięta rozwiązaniem – dokończył nadkomisarz. – Z zimnej znów mogłaby być gorąca. – Odwrócił się, spojrzął na grób Stanisława Garbarczyka, przed którym się zatrzymali. – Tego szukałeś? – upewnił się. A potem nagle jakby go oślnię. – Książd ci powiedział?

– Nie – zaprzeczył Hubert. – Tej jednej informacji nie chciał ujawnić. Ale skoro masz na miejscu ludzi, może byście to sprawdzili? Jedenastego sierpnia dwa tysiące czterdnastego roku to był święty grób. Jacek Morawski miał klucz do szopy grabarzy i najlepiej ze wszystkich znał ten cmentarz. Potwierdził, że zabrał ciało Gustawa z domu przy Halnej. Zawinał w folię, ale nie opatulał w koldry. Nie znajdziesz też żadnych koralików. Strecz miał funkcję wyłącznie praktyczną. By nie zostawić śladów w przyczepie do wozienia kangurów Urszuli Cani. Podobno furgonetka wciąż znajduje się na terenie fermy. Z tego, co pamiętam, ten budynek nie spłonął. Jeśli będziecie mieli szczęście, znajdziecie tam włókna, włosy, fragmenty folii. Jacek Morawski twierdzi, że od tamtej pory nikt auta nie używał. Ma zardzewiałe felgi. Nie da się go ruszyć.

– To wspaniałe nowiny – rozpromienił się Matuszak. – Bądź pewien, że mój raport na wasz temat będzie pełen lodów i wazeliny.

Hubert szczerze się roześmiał.

– Nie zapomnij wspomnieć w nim o Kaczmarku. Zasłużył na awans. Chcę jak najszybciej przywrócić mu stopień, który stracił, kiedy cię opuszczał.

Matuszak wyciągnął z kieszeni krótkofalówkę i wezwał techników, by podzielili się pracą. Kiedy skończył wydawanie poleceń, zwrócił się znów do profilerka.

– Będę potrzebował twojej opinii w materii sprawy zabójstwa Garbarczyka. Dowodowo to mało bezpieczne, gdyby Maria i Klara okrzyły z emocji i zaczęły się wycofywać z wyjaśnień w trakcie procesu.

– Czyżybś nagle uwierzył w opinię typologiczną? – Hubert uśmiechnął się półgębkiem. – A może w psychologię śledczą w ogóle?

– Dupochron najszynniejszego Wydziału Wsparcia Dochodzeń nie zawadzi – przyznał Matuszak, ale nie mógł zrobić Meyerowi większej przyjemności.

W tym momencie do policjantów podbiegł zaczerwieniony od wysiłku Kaczmarek.

– Co się tym razem stało? – zdenerwował się Matuszak. – Ktoś zginął? To nie zakonnik? A może są jakieś ładunki wybuchowe?

Kaczmarek kręcił głową jak oszalały. Wreszcie pociągnął Meyera za rękaw, ale nie zdążył nic wyjaśnić, bo cmentarną alejką maszerowała już w ich kierunku wściekła jak osa kobieta.

Szare getry, rozciągnięty błękitny sweter i czapka bejsbolówka, spod której wystawały lniane włosy. Tym razem podkomisarz Agnieszka Olton nie miała ze sobą jedynie wypchanej torby.

– Mam *déjà vu!* Żyrafa? – burknął pod nosem Matuszak. – Tego się po was, chłopcy, nie spodziewałem.

Rozejrzał się.

– A gdzie jaguar ministra i ekipa czarnych?

Agnieszka stanęła szeroko na nogach. W dłoni trzymała włączoną komórkę.

– Znalazłam go – zameldowała i zakończyła połączenie.

– Znów chce mi pani storpedować śledztwo? – zaatakował ją Matuszak. – Wypad stąd, kobieto. Nie pozwolę. Odejdzie pani sama czy mam wyprowadzić?

Spojrzął na Kaczmarka i Meyera, by udzielił mu wsparcia.

– Jestem tu półprywatnie – oświadczyła, ale patrzyła tylko na Huberta. – Musimy pogadać, szefie. Pilnie. Nie tylko wy kopiecie na cmentarzach. W Katowicach ujawniono ciało poszukiwanej kobiety. To

niejaka Ewelina Gloria, dawniej Psikup, główny świadek w procesie Sroki.

\* \* \*

Meyer właściwie wiedział, co Agnieszka powie dalej. Uspokoił spojrzeniem Matuszaka i zdobył się na profesjonalny ton.

– Nie pogniewasz się, jeśli opinię typologiczną Marii Garbarczyk i Klary Haselhof przejmie za mnie Kaczmarek? W razie potrzeby wsparcia udzielą wszyscy moi ludzie, a ja zerknę na nią, kiedy będzie gotowa.

– Co się stało? – zapytał Matuszak. – Co może być pilniejsze od sukcesu, jakim jest dzisiejsze rozwiązanie śledztwa Garbarczyków? Naprawdę nie ma pani wycucia. Wszystko może poczekać do rana.

– Obawiam się, że nie wszystko, nadkomisarzu.

Agnieszka wywróciła oczyma, a potem wyjaśniła zniżonym szeptem, pociągając Meyera z całych sił na bok i pochylając się do niego tak blisko, że poczuł zapach kolendry zmieszany z jaśminem i różą.

– Okazuje się, że Ewelina Gloria została zastrzelona z broni zrabowanej z białostockiej jednostki. Emerytowany młodszy inspektor Tomasz Domański, bardziej znany jako Doman, jest ponoć pod obserwacją. Obstawiają, że to on wyniósł spluwę z archiwum dowodów. Znasz go?

Hubert potwierdził, starając się przelicytować ślinę tak cicho, by nie zdradzić swojego zdenerwowania, ale i tak czuł, że nogi mu miękną, serce przyspiesza, a przed oczyma wirują czarne motyle.

– Wygląda na to, że proces gangstera Japy i innych będzie wznowiony – ciągnęła Olton. – Nieoficjalnie wiem, że Srokę ujęto. Jak tylko go zapuszkowali, zaczęła sypać. Czekają tylko na jego ostateczne przyznanie się do winy i dają to do mediów. Ten proces to będzie bomba nuklearna kryminalistyki!

– To świetnie – wydukał Meyer. – Najwyższy czas.

Agnieszka pochyliła głowę. Wpatrywała się w swoje sportowe buty na dwunastocentymetrowych koturnach. A potem nagle chwyciła Huberta za kłapy i zażądała ze łzami w oczach:

– Powiedz, że to nieprawda!

Hubert strzepnął jej ręce ze wstrętem. Milczał. Kiedy się odezwał, głos miał zimny, urzędowy.

– Czajkowski cię przysłał?

– Tak, ale i tak bym przyjechała cię ostrzec.

Sięgnęła znów po swój telefon i włączyła nagranie, które Hubert tak dobrze znał. I przez które tak naprawdę zamordowano Weronikę Rudy, bo je ukrywała. Patrzył na siebie samego wysiadającego z auta w towarzystwie kobiety w futerku w panterkę. Kiedy zniknęli w bramie kamienicy, nagrywający przybliżył numer rejestracyjny samochodu.

– To twój wóz – powiedziała. – I ty ostatni widziałeś Ewelinę żywą. Okazuje się, że zwierzyła się komuś z waszego spotkania. Jutro z rana zamierzają cię zatrzymać. – Nieoczekiwanie zaczęła płakać. Mówiła dalej przez łzy: – Czajkowski szaleje z wściekłości. To będzie skandal. Na WWD wyleje się wiadro pompy. Minister zrobił cię szefem wydziału, który miał być jego chlubą i polityczną kartą atutową, a teraz nagle okaże się, że jesteś głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo. Plotka hula już po mieście. Wiedzą wszyscy: prokuratura, połowa jednostek policji na Śląsku, a nawet ludzie z żandarmerii. Oczywiście wielu ma cię za jakiegoś pieprzonego bohatera. Musisz uciekać!

– Dokąd? – Hubert zapatrzył się w dal. Spokojnie wyjął papierosa z paczki, a potem uśmiechnął się do niej. – Nie zamierzam czekać, aż po mnie przyjdą. Zgłoszę się sam – zdecydował. – Zadbasz o to, by prace nad WERĄ postępowały zgodnie z planem? Pilnuj, by Szczecinek się nie rozbestwił. Poza Kaczmakiem to nasz najlepszy narybek. Trzeba tylko utemperować jego rozbuchane ego. O Grzesia dbaj. Mianowałbym go swoim drugim zastępcą, ale chyba zostanie jutro zawieszony. Dowal mu roboty, niech się rozwija. I awansuj go o dwa stopnie. To hucpa, że go zdegradowali, kiedy do mnie aplikował.

– To brzmi jak jakieś cholerne pożegnanie. – Skołowana kobieta pochyliła głowę. – Może pod pretekstem konsultacji służbowych będą mogła odwiedzać cię w więzieniu? – zaproponowała. –

Chcesz, znajdę tego Domana i się z nim rozmówię. Przekonam go, by cię nie pogrążył. Masz jakieś oszczędności? Może trzeba mu zapłacić?

Hubert poczuł, że kiedyś już to przeżywał. Z Werą. Poprawił okulary, uśmiechnął się do zastępczyni.

– Nie trzeba. Ale gdybyś go widziała, pozdrow go ode mnie. Powiedz, żeby za dużo nie pił, był dobry dla żony. Mam nadzieję, że nie urodził mu się znów jakiś nowy dzieciak. W jego wieku to już niestosowne.

Agnieszka nic nie rozumiała. Z trudem łykała łzy. Hubert zdobył się na wyciągnięcie ręki i niezgrabnie poklepał ją po ramieniu.

– To naprawdę miło, że robiłaś sobie kłopot i przyjechałaś – rzekł. A potem odwrócił się do Matuszaka. – Bodziu, zrobiłbyś mi jedną uprzejmość?

Nadkomisarz podszedł natychmiast. Musiał bacznie obserwować rozmowę Meyera z Olton, bo był poważny i chyba nie traktował już Agnieszki jak swojego śmiertelnego wroga.

– O co chodzi?

Hubert wyciągnął dłoń jak do założenia kajdanek.

– Gdybyś mnie aresztował i odstawił radiowozem do Katowic? Sorry za kłopot.

Matuszak zaczął kląć i parskać, jakby uważał, że to kolejny durnowaty żart profilera, ale widząc miny pozostałych, sięgnął po kajdanki przymocowane do paska. Zrezygnował w ostatniej chwili.

– Najpierw zapalimy. Rozchodniaczka.

Stali we trójkę i zaciągali się dymem, wpatrując się w lunę nad sołeckim cmentarzem, jakby dopiero co kogoś pochowali. Ciszę przerwał Matuszak.

– Jesteś winien? – zapytał Huberta wprost.

– Gdybym ci powiedział, ciebie też zatrzymaliby do rozpytania – odparł Hubert, siląc się na spokój, choć ręce tak mu się trzęsły, że ledwie trzymał w palcach papierosa. – Zniszczyłbym życie wam wszystkim. I tak już zbyt wielu przeze mnie płakało. – A potem nagle go olśniło. – Chyba wiem, jak zginął Garbarczyk! I dlaczego obie matki biorą winę na siebie.

## EPILOG

# DEZORIENTACJA

**Noc z 11 na 12 sierpnia 2014**  
**POZNAŃ, UL. HALNA 3**

Intarsjowana skrzynka leżała wysoko na szafie, ale Nela wiedziała, jak wspiąć się po drapakach dla kotów, by jej dosięgnąć. Była ciekawa, jak wygląda prawdziwy rewolwer dziadka Staszka. Tata wrócił ze spotkania z ciotką Klarą okropnie wściekły. Wrzucił swój spadek z impetem na górę, zabrał butelkę wódki i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Mama została na przyjęciu żałobnym, a w ich domu panował większy harmider, niż kiedy rodzice się kłócili. Te obce dziewczuchy, których Nela nigdy nie widziała, zrobiły w ich domu polowanie na potwory. Nela nie zamierzała poddać się bez walki. Pokaże tym małym Niemkom, które prawie nie potrafią mówić po polsku, że jest największą łowczynią dragonów.

Chwyliła ciężką skrzynkę w obie rączki i powoli, uważnie schodziła po drapakach jak po schodach. Starła się nie patrzeć w dół, bo wiedziała, że wtedy będzie musiała zawołać Anitę, która została z nimi pod nieobecność dorosłych, a niania od jakiegoś czasu chodziła skwaszona i krzyczała na nich bez powodu. Wołała już być z Iryną, ale ciocia organizowała stypę i musiała jeszcze posprzątać.

Udało się. Znow miała podłogę pod stopami. Ukryła się za wersalką i z pietyzmem otwierała skrzynkę. Nie było żadnej kłódki ani zamka. Wieko uchyliła bez trudu. Rewolwer wyglądał jak na filmach. Drewniana rękojeść, chromowana lufa, wielki jak gardło indyka bębenek. Chwyliła broń w obie rączki, wycelowała do lustra, ale nie odważyła się położyć palca na spuście. Nagle drzwi szczęknięły, dobiegł ją jazgot krzyków tamtych dzieci.

– Nela? – Usłyszała szept młodszego brata.

Brajan niósł w rękach wielkiego misia.

– Kiedy oni pójdą? Ja chcę spać.

Nela ukryła broń za plecami, skrzynkę kopnęła pod stół.

– Co robisz? – zainteresował się chłopiec.

– Przygotowuję się – oświadczyła z powagą. – Pokażemy im, jak się walczy z bestią.

– Anita wyszła – zakomunikował Brajan. – Jej chłopak do niej przyszedł. Chyba gadają na ganku. A raczej on krzyczy, a ona płacze. Chcę do mamy. Zadzwonimy?

– Mama ma teraz ważniejsze sprawy. Dziadek zmarł, pamiętasz? – pouczyła go jak dorosła. – Chodź, połóż się do łóżka.

– Boję się sam zostać. – Brajan skrzywił się i za chwilę już chlipał. – Tato może zaraz wrócić. W pokoju jest ciemno.

Nela wzięła od brata maskotkę, ukryła za nią broń.

– Zapalę ci twoją kolorową lampkę. I dostaniesz snickersa.

Wzięła chłopca za rękę. Ruszyli do wyjścia z sypialni rodziców. Kiedy byli już na korytarzu, wyskoczyła na nich nastolatka w pióropuszu. W dłoni miała drewnianą łyżkę. Za tarczę służyła jej pokrywka do garnka, w którym mama na święta gotowała bigos. To było największe naczynie w ich domu i Nela poczuła zazdrość, że sama na to nie wpadła.

– Poddajcie się! – wrzeszczała po niemiecku Ewa. Tylko jej imię Nela zapamiętała.

Bez słowa wymierzyła w jej kierunku rewolwer.

Dziewczynka zamiast się przestraszyć, odłożyła swoją broń i podskoczyła do niej wielce zainteresowana.

– Ale fajny – zachwycała się. – To dziadka?

– Naszego dziadka. Nie twojego – zaczął się wymądrzać Brajan.

– Akurat! – zachnęła się Ewa. – To był też nasz dziadek. I kochał nas bardziej, bo zapisał nam wszystko, co miał. A jak nie będziecie nas słuchać, mama wyrzuci was z tego domu. Ta spluwa też należy do nas. Oddawaj!

Rzuciła się na Nelę. Zaczęły się okładać. Brajan rozwrzeszczał się wniebogłosy. Nela wręcz czuła, jak jego smarki pryskają jej na twarz. Udało jej się wyszarpać rewolwer z rąk Ewy i zbiec schodami w dół do piwnicy. Niemka w odwecie zatrasnęła za nią drzwi.

Dziewczynka poczuła grozę. Wiedziała, że włącznik światła znajduje się przed wejściem. Musiała zejść w ciemności na sam dół, bo dopiero za winklem znajdowało się biurko dziadka, a tam stała lampka.

Szła powoli, macając lewą ręką ściany. W prawej wciąż zaciskała rewolwer. Za plecami słyszała nawoływania. Dzieciaki gromadziły się u wejścia. Cioteczne siostry zaśmiewały się i szwargotały po niemiecku, a jej rodzeństwo kłóciło się z nimi. Hałas był straszliwy. Nela w każdej chwili spodziewała się ataku. Przyśpieszyła i omal nie wywinęła orła na ostatnim stopniu, aż wreszcie udało jej się stanąć na równym kawałku podłogi. Wtedy w ciemnościach usłyszała szmer.

Coś tam było. Poczowała odór, ciężki zgłuszony oddech. Bestia!

W tym momencie drzwi na górze się otworzyły, a horda dzieci zbiegała w dół. Nela spanikowała. Wymierzyła w potwora czającego się w otchłani czerni i położyła palec na spuście. Rewolwer wystrzelił sam.

Rozległ się krzyk, cielsko zważyło się na podłogę z impetem. Rozbłysło światło. Nela zobaczyła, że z brzucha ojca bryzga krew.

Drzwi kasy pancерnej dziadka były otwarte, a w niej ułożone w stosach leżały powiązane gumkami banknoty i jakieś pudła z dokumentami.

Ojciec charczał, jego ciałem wstrząsały drgawki. Nela wpatrywała się w jego nieruchomiejące oczy. Sama nie wiedziała, jak długo tam stoi i co dzieje się dalej. Nagle poczuła, że ziemia osuwa się jej spod stóp, przed oczyma miała biel, jakby ktoś skierował w nią snop latarki.

\* \* \*

Obudziła się w swoim łóżku. Brajan spał obok, wtulony w swojego misia. Słyszała rozmowy w kuchni i wahała się, czy nie wyjść z pokoju, ale za bardzo się bała. Nie wiedziała do końca, czy to w piwnicy jej się śniło, czy zdarzyło się naprawdę. Strasznie chciało jej się sikać. Wysunęła nogę spod kołdry i ruszyła do łazienki. Musiała przejść korytarzem, a nie chciała, by ktoś ją zobaczył. Poza tymi rozmowami w domu panowała zadziwiająca cisza. Spojrzała w okno. Już świeciło.

Poczowała delikatny dotyk i ciche mruknięcie. Sięgnęła po kotkę i wzięła ją pod pachę, by dodać sobie odwagi.

Kiedy była już przy drzwiach łazienki, zauważyła ją mama. Bledsza niż zazwyczaj, wciąż w żałobnej sukience, w której była na pogrzebie dziadka. Ciotka Klara też nie miała na sobie piżamy. Przy stole siedział wujek Jacek. Wstał. Przywitał się z nią, jakby nic złego nie zaszło, i dał znak mamie, która oparła się o drzwi łazienki, jakby ją do nich przyklejono.

– Zajmę się tym – powiedział Jacek do mamy i ciotki. – Nie chcę nic więcej wiedzieć. O nic nie pytam. Wy też lepiej o tym nie rozmawiajcie. Idźcie spać.

A potem zwrócił się łagodnym tonem do Neli.

– Chodź, wojowniczko, zobaczymy, czy w łazience na górze jest ciepła woda. Tutaj niestety mamy awarię.

\* \* \*

Następnego dnia mama obudziła ich bardzo wcześnie. Powiedziała, że nie wolno im zabrać niczego, czego potem nie będą chcieli dźwigać.

Jechali dużym samochodem. Zatrzymali się w jakimś lesie. Na spotkanie wyszła im wielka kobieta o dobrotliwej twarzy. Nela od razu ją polubiła, bo pani Urszula kochała koty. Miała ich z pięćdziesiąt albo więcej. A kiedy okazało się, że hoduje też kangury, Nela na jakiś czas zapomniała o potworach.

*Warszawa, 23 grudnia 2021*

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6212519

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz